

Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT WIEDŹMIKOŁAJ



ŚWIAT DYSKU

Terry Pratchett

Wiedźmikołaj

Hogfather

Przełożył: Piotr W. Cholewa

Wydanie oryginalne: 1996



Wydanie polskie: 2004

*Szefowi partyzanckiej księgarni,
znanemu przyjaciołom jako „ppint”,
za to, że wiele lat temu zadał mi pytanie,
które zadaje Susan w tej książce. Dziwię się,
że więcej osób o to nie pytało...*

I zbyt wielu nieobecnych przyjaciołom...

Wszystko się gdzieś zaczyna, choć wielu fizyków ma inne zdanie. Ludzie jednak zawsze niejasno zdawali sobie sprawę z problemu, jakim są początki. Zastanawiali się głośno, jak dociera do pracy kierowca pług śnieżny albo gdzie autorzy słowników sprawdzają pisownię słów. Mimo to istnieje odwieczne pragnienie, by w skręconych, splątanych, skłębionych sieciach czasoprzestrzeni znaleźć taki punkt, który można wskazać metaforycznym palcem i stwierdzić, że tutaj właśnie wszystko się zaczęło...

Coś zaczęło się w dniu, gdy Gildia Skrytobójców przyjęła pana Herbatkę, który widział rzeczy inaczej niż inni ludzie, a jednym ze sposobów, w jaki widział rzeczy inaczej niż inni ludzie, był ten, że w innych ludziach widział tylko rzeczy. (Później lord Downey z Gildii Skrytobójców powiedział: „Zlitowaliśmy się nad nim, ponieważ w tak młodym wieku stracił oboje rodziców. Myślę teraz, że powinno nas to bardziej zastanowić”).

Coś jeszcze zaczęło się wcześniej, o wiele wcześniej, kiedy ludzie zapomnieli, że najstarsze opowieści mówią – tak czy inaczej – o krwi. Usunęli tę krew, żeby opowieści bardziej się nadawały dla dzieci, a przynajmniej dla ludzi, którzy je dzieciom czytają – bardziej niż dla samych dzieci (które na ogół całkiem lubią krew, pod warunkiem że przelewana jest przez tych, którzy zasłużyli*). A później się dziwili, dokąd prowadzą te opowieści.

I jeszcze wcześniej, kiedy coś w mroku najgłębszych jaskiń i najciemniejszych puszczy pomyślało: Co to za istoty? Będę je obserwować...

I jeszcze o wiele, wiele wcześniej – kiedy formował się Dysk, dryfujący przez kosmos na grzbietach czterech słoni, stojących na skorupie ogromnego żółwia, Wielkiego A'Tuina.

Możliwe, że w swym ruchu wplątuje się – jak ślepiec w domu pełnym pajęczyn – w te wysoce specjalizowane cienkie włókna czasoprzestrzeni, które usiłują się mnożyć w każdej napotkanej historii, rozciągać ją, rozłamywać, układać w nowe formy.

A możliwe, że nie, naturalnie. Filozof Didactylos streścił alternatywną hipotezę jako: „Rzeczy po prostu się zdarzają. A co tam...”.

Najstarsi magowie Niewidocznego Uniwersytetu stali wokół i przyglądali się drzwiom.

Nie było żadnych wątpliwości, że ten, kto je zamknął, chciał, by pozostały zamknięte. Dziesiątki gwoździ mocowały skrzydło do framugi. W poprzek ktoś przybił deski. W dodatku aż do dzisiejszego ranka były ukryte za biblioteczką, którą ktoś przed nimi ustawił.

– I jest jeszcze kartka, Ridcully – przypomniał dziekan. – Czytałeś ją, jak przypuszczam. No wiesz, ta kartka, co jest na niej napisane: „Pod żadnym pozorem nie otwierać tych drzwi”.

– Pewnie że czytałem – potwierdził Ridcully. – Myślicie, że czemu chcę je otworzyć?

– No... czemu? – zapytał wykładowca run współczesnych.

– Żeby sprawdzić, dlaczego są zamknięte, oczywiście*.

Skinął na Moda, uniwersyteckiego ogrodnika i krasnoluda do wszystkiego, który stał w pobliżu z łomem w ręku.

– Bierz się do roboty, chłopcze.

Ogrodnik zasalutował.

– Się robi, proszę pana.

Przy akompaniamencie trzasków łamanego drewna Ridcully ciągnął dalej:

– Z planów wynika, że to była łazienka. Przecież, na miłość bogów, nie ma w łazienkach niczego strasznego. Chcę mieć łazienkę! Mam już dość chlapania się razem z wami, chłopcy. To niehigieniczne. Można coś złapać. Ojciec mi mówił. Kiedy dużo ludzi kąpie się razem, Gnom Kurzajka biega

dookoła ze swoim workiem.

– To ktoś w rodzaju Wróżki Zębuszki? – zapytał sarkastycznie dziekan.

– Ja tu jestem szefem i mam prawo do osobnej łazienki – oświadczył stanowczo Ridcully. – I tyle na ten temat, jasne? Chcę mieć łazienkę na Noc Strzeżenia Wiedźm, zrozumiano?

I na tym polega kłopot z początkami. Czasem, kiedy ma się do czynienia z domeną okultyzmu, która całkiem inaczej traktuje czas, skutek następuje trochę wcześniej niż przyczyna.

Skądś, na samej granicy słyszalności, zabrzmiało delikatne „dzyń, dzyń, dzyń”, jakby dźwięczały małe srebrne dzwoneczki.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy nadrektor tworzył nowe prawo, Susan Sto-Helit siedziała na łóżku i czytała przy świeczce.

Mróz wymalował szronem dziwne desenie na szybach.

Lubiła te wczesne wieczory. Kiedy już położyła dzieci do łóżek, miała czas tylko dla siebie. Pani Gaiter, choć przecież płaciła Susan pensję, była przerażona na samą myśl o wydawaniu jej poleceń.

Pensja zresztą nie była ważna. Liczyło się to, że Susan jest Osobą Samodzielną, wykonującą Prawdziwą Pracę. Praca guwernantki na pewno była prawdziwa. Jedyne problem to owo zakłopotanie, jakie wyniknęło, kiedy jej pracodawczyni odkryła, że Susan jest księżną. Ponieważ według książki (a w przypadku pani Gaiter była to książka raczej krótka, z kartkami pokrytymi dużym, ręcznym pismem), wyższe sfery nie powinny pracować. Powinny być próżniacze. Susan z najwyższym trudem skłoniła ją, by nie dygała, gdy się mijały.

Światło zamigotało. Płomień świecy wyciągnął się poziomo w bok, jak gdyby dmuchał huraganowy wicher.

Susan odwróciła głowę. Zasłony wzdymały się przy oknie, które...

...otworzyło się z trzaskiem.

Ale nie było wiatru.

A przynajmniej nie było w tym świecie.

Jakieś obrazy formowały się w myślach. Czerwona kula... Ostry zapach śniegu...

A potem zniknęły, w ich miejsce zaś pojawiły się...

– Zęby? – odezwała się głośno Susan. – Znowu zęby?

Mrugnęła. I kiedy otworzyła oczy, okno było – wiedziała, że tak będzie – szczelnie zamknięte. Zasłony wisiały spokojnie. Płomień świecy niewinnie sterczał pionowo. Nie, znowu się zaczyna... Choć tyle czasu minęło i wszystko tak dobrze się układało...

– Siuzian...

Obejrzała się. W uchylonych drzwiach stała mała dziewczynka – bosa i w nocnej koszuli.

Susan westchnęła.

– Tak, Twyło?

– Boję się, bo w piwnicy ceka potwór. On chce mnie pozleć.

Susan zatrasnęła książkę i ostrzegawczo uniosła palec.

– Pamiętasz, Twyło, co powiedziałam o takim przymilnym, dziecinnym mówieniu?

– Powiedziałaś, że mam tak nie robić – odparła dziewczynka. – Powiedziałaś, że takie przesadne seplenienie jest karalne, i że robię tak tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Zgadza się. Wiesz, jaki to potwór tym razem?

– Taki wielki, futsasty i...

Susan znów podniosła palec.

– No? – ostrzegła.

– Futrzasty – poprawiła się Twyla. – I ma osiem łap.

– Znowu? No dobrze...

Wstała i włożyła szlafrok. Dziecko patrzyło na nią, więc starała się zachowywać spokój. A więc to wraca, myślała. Nie, nie ten potwór w piwnicy. To zwykła codzienność. Ale najwidoczniej znowu zacznie pamiętać przyszłość.

Potrząsnęła głową. Nieważne, jak daleko by człowiek uciekł, zawsze sam siebie dogoni.

Przynajmniej potwory były łatwe. Już nauczyła się sobie z nimi radzić. Wzięła pogrzebacz sprzed kominka w dzieciennym pokoju i tylnymi schodami zeszła na dół. Twyla ruszyła za nią.

Państwo Gaiter przyjmowali gości. Zza drzwi jadalni dobiegała stłumiona rozmowa.

I właśnie kiedy Susan przekradała się obok, ktoś otworzył te drzwi. Zajaśniało żółte światło i jakiś głos zawołał:

– Na bogów, jest tu jakaś pannica w nocnej koszuli i z pogrzebaczem!

Dostrzegła sylwetki wyrysowane w żółtym świetle i rozpoznała niespokojną twarz pani Gaiter.

– Susan? Eee... Co tu robisz?

Susan spojrzała na pogrzebacz, a potem na pracodawczynię.

– Twyla mówi, że boi się potwora w piwnicy, proszę pani.

– I ty chcesz go przepędzić pogrzebaczem? – domyślił się któryś z gości.

Z jadalni dochodził wyraźny zapach brandy i cygar.

– Tak – odparła krótko Susan.

– Susan to nasza guwernantka – wyjaśniła pani Gaiter. – Opowiadałam o niej.

Nastąpiła jednoczesna zmiana wyrazu twarzy za drzwiami. Pojawił się na nich rodzaj rozbawienia i szacunku.

– Odpędza potwory pogrzebaczem? – odezwał się ktoś.

– Prawdę mówiąc, to znakomity pomysł – stwierdził ktoś inny. – Mała wbija sobie do głowy, że w piwnicy czeka potwór, więc idzie się tam, stuka głośno parę razy, gdy dziecko słucha, a potem wszystko już jest w porządku. Dobrze kombinuje ta dziewczyna. Bardzo rozsądnie. Bardzo nowocześnie.

– To właśnie chcesz zrobić? – spytała niepewnie pani Gaiter.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała posłusznie Susan.

– Na Io, muszę to zobaczyć. Nie co dzień można spotkać takie pannice, co tłuką pogrzebaczem potwory – oświadczył jakiś mężczyzna zza pleców pani Gaiter.

Zaszeleścił jedwab i wypłynęła chmura tytoniowego dymu, gdy goście wysypali się z jadalni na korytarz.

Susan westchnęła znowu i ruszyła w dół, do piwnicy. Twyla usiadła grzecznie u szczytu schodów, obejmując rękami kolana.

Drzwi otworzyły się i zamknęły.

Nastała krótka chwila ciszy, przerywana straszliwym wrzaskiem. Któraś z kobiet zemdlą, a jakiś mężczyzna upuścił cygaro.

– Nie ma się o co martwić, wszystko będzie dobrze – uspokoiła ich Twyla. – Susan zawsze wygrywa. Wszystko będzie dobrze.

Usłyszeli stuki i brzęki, potem jakiś warkot, aż w końcu coś w rodzaju bulgotania.

Susan otworzyła drzwi. Pogrzebacz był pogięty w kilku miejscach. Zabrzmiały nerwowe oklaski.

– Dobra robota – pochwalił jeden z gości. – Bardzo sykologiczna. Sprytny pomysł z tym skrzywieniem pogrzebacza. Pewnie już się wcale nie boisz, co, dziewczuszko?

– Nie.

– Bardzo sykologiczne.

– Susan mówi, żeby się nie bać, tylko złościć – wyjaśniła Twyla.

– Ehm... Dziękuję, Susan – powiedziała pani Gaiter, będąca w tej chwili rozedrganym kłębkim nerwów. – A teraz, eee, sir Geoffreju, pewnie zechcą państwo wrócić do salonu... to znaczy do gabinetu...

Wszyscy odeszli. Ostatnie słowa, jakie usłyszała Susan, brzmiały:

– Wściekle przekonujący ten pogięty pogrzebacz...

Odczekała jeszcze trochę.

– Poszli już sobie, Twylo?

– Tak, Susan.

– To dobrze.

Wróciła do piwnicy, a po chwili wynurzyła się, wlokąc coś wielkiego, kudłatego i z ośmioma łapami. Zdołała jakoś zawlec to coś po schodach i bocznym korytarzem do wyjścia, gdzie wykopała to na dwór. Wyparuje przed świtem.

– Tak załatwiamy sprawy z potworami – rzekła.

Twyla obserwowała ją uważnie.

– Teraz biegiem do łóżka, moja mała – powiedziała Susan, biorąc ją na ręce.

– A mogę na noc zabrać pogrzebacz do sypialni?

– Pewnie.

– On zabija tylko potwory, prawda...? – spytała sennie dziewczynka.

– Zgadza się. Wszystkie odmiany.

Ułożyła małą do łóżeczka obok brata i oparła pogrzebacz o szafkę dla lalek.

Pogrzebacz był tani, metalowy, z mosiężną gałką na końcu. Susan wiele by dała, by móc go użyć na poprzedniej guwernantce.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Wróciła do swojego małego pokoiku i położyła się do łóżka, podejrzliwie zerkając na zasłony.

Miło by było uwierzyć, że sobie to wyobraziła. Ale też byłoby to głupie. Lecz miała za sobą już prawie dwa lata normalności, kiedy żyła samodzielnie w realnym świecie i w ogóle przyszłości nie pamiętała.

Może to wszystko jej się śniło? Chociaż sny też mogą być realne...

Starła się nie zwracać uwagi na długi sopel wosku, sugerujący, że płomień świecy – przez kilka chwil tylko – odchylił się na wietrze.

Gdy Susan próbowała zasnąć, lord Downey w swoim gabinecie starał się nadgonić papierkową robotę.

Lord Downey był skrytobójcą. A raczej Skrytobójcą. Skrytobójcy są całkiem inni od tych opryszków, co to krążą po ulicach i mordują ludzi dla pieniędzy. Są dżentelmenami, którzy czasem – za opłatą – udzielają konsultacji innym dżentelmenom, chcącym usunąć niewygodne ostrza z cukrowej waty życia.

Członkowie Gildii Skrytobójców uważali się za ludzi kulturalnych, wielbicieli dobrej muzyki, kuchni i literatury. Znali też wartość ludzkiego życia. W wielu przypadkach co do pensa.

Gabinet lorda Downeya był wyłożony dębowymi panelami, a na podłodze leżał dywan. Meble wydawały się stare i zużyte, ale zużycie takie charakteryzowało tylko meble wysokiej klasy, używane z wielką elegancją przez wieki. To były dojrzałe meble.

W kominku płonęły grube polana. Przy ogniu spały dwa psy – w tych spleśnianych pozycjach, jakie zawsze i wszędzie przyjmują psy wielkie i kudłate.

Poza rozbrzmiewającym z rzadka psim chrapnięciem albo trzaskiem ognia panowała cisza, zakłócana jedynie skrzypieniem pióra lorda Downeya i tykaniem stojącego przy drzwiach zegara z wahadłem – dyskretne, domowe odgłosy, tylko podkreślające ciszę.

Przynajmniej tak się działo, dopóki ktoś nie odchrząknął.

Dźwięk ten sugerował, że celem owej czynności nie jest eliminacja obecności w gardle kłopotliwego okruchu ciasta, tylko wskazanie – w najuprzejmniejszy możliwy sposób – na obecność gardła.

Downey przestał pisać, ale nie podnosił głowy. Wreszcie – po chwili namysłu – odezwał się rzeczowym tonem:

– Drzwi są zamknięte na klucz. Okna zakratowane. Psy, jak sądzę, się nie zbudziły. Skrzypiące deski podłogi nie skrzypnęły. Inne drobne aranżacje, o

jakich nie chcę tu szczegółowo wspominać, zostały najwyraźniej ominięte. Mocno ogranicza to dostępne możliwości. Szczerze wątpię, czy jesteś duchem, a bogowie na ogół nie anonsują się tak grzecznie. Mógłbyś być Śmiercią, naturalnie, ale on raczej nie przejmuje się konwenansami, a poza tym czuję się całkiem dobrze. Hm.

Coś pojawiło się w powietrzu przed jego biurkiem.

– Zęby mam w doskonałym stanie, więc nie jesteś też Wrózką Zębuszką. Zawsze uważałem, że kieliszek brandy przed snem usuwa zapotrzebowanie na usługi Piaskowego Dziadka. A że całkiem dobrze potrafię trzymać rytm, raczej nie ściągnę na siebie uwagi Starego Biedy. Hm.

Postać przedryfowała nieco bliżej.

– Przypuszczam, że gnom mógłby się przecisnąć przez mysią dziurę, ale rozstawiłem pułapki – ciągnął Downey. – Strachy potrafią przenikać ściany, lecz ujawniają się bardzo niechętnie. Doprawdy, nie potrafię odgadnąć. Hm?

Dopiero wtedy uniósł wzrok.

W powietrzu wisiała szara szata. Zdawało się, że jest kimś wypełniona, ponieważ miała kształt, chociaż jej lokator nie był widoczny.

Downey odniósł nieprzyjemne wrażenie, że ów lokator nie jest niewidzialny, ale po prostu – w sensie fizycznym – wcale go tam nie ma.

– Dobry wieczór – rzekł.

Dobry wieczór, lordzie Downey, odpowiedziała szata.

Jego mózg zarejestrował te słowa. Uszy mogłyby przysiąc, że ich nie słyszały.

Ale człowiek nie dlatego zostawał przewodniczącym Gildii Skrytobójców, że łatwo ogarniał go strach. Zresztą gość nie budził lęku. Był – zdaniem Downeya – niewiarygodnie nudny. Gdyby monotonna bezbarwność mogła przyjąć jakiś kształt, właśnie taki by wybrała.

– Wydajesz się widmem – oświadczył.

Nasza natura nie jest tematem do dyskusji, pojawiła się w jego głowie odpowiedź. Proponujemy panu zlecenie.

– Życzycie sobie kogoś inhumować?

Doprowadzić do końca.

Downey zastanowił się. Sprawa nie była aż tak niezwykła, jak mogłoby się wydawać. Każdy mógł kupić usługi Gildii Skrytobójców. W przeszłości zdarzało się, że angażowali gildię na przykład zombi, chcący wyrównać rachunki ze swymi zabójcami. W istocie gildia, jak lubił myśleć, praktykowała absolutną demokrację. By ją wynająć, zbędne były inteligencja, pozycja towarzyska, uroda czy wdzięk. Wystarczyły pieniądze, które – w przeciwieństwie do innych atrybutów – były dostępne dla każdego. Oprócz biedaków, naturalnie, ale niektórym ludziom zwyczajnie nie da się pomóc.

Doprowadzić do końca... Dziwne określenie.

– Możemy... – zaczął.

Zapłata będzie odpowiednia do trudności zadania.

– Nasz zakres cen...

Zapłata wyniesie trzy miliony dolarów.

Downey wyprostował się. To cztery razy więcej niż dowolne honorarium uzyskane przez członka gildii, a i tamto było specjalną stawką rodzinną, uwzględniającą też zostających na noc gości.

– I żadnych pytań, jak przypuszczam – rzekł, by zyskać na czasie.

Żadnych odpowiedzi.

– Proponowane wynagrodzenie sugeruje istniejące trudności. Czy klient jest dobrze strzeżony?

Wcale nie jest strzeżony. Ale niemal na pewno niemożliwy do wymazania bronią konwencjonalną.

Downey skinął głową. Nie musiało to powodować istotnych problemów. Przez lata działalności gildia zebrała spory asortyment broni niekonwencjonalnych. Wymazanie? Dziwny dobór słowa...

– Lubimy wiedzieć, dla kogo pracujemy.

Jesteśmy pewni, że lubicie.

– Chcę przez to powiedzieć, że musimy poznać pańskie nazwisko. Albo nazwiska. Oczywiście, gwarantujemy poufność tej informacji. Musimy coś wpisać w naszych aktach.

Może pan myśleć o nas jako... Audytorach.

– Doprawdy? A czego audyty przeprowadzacie?

Wszystkiego.

– Chyba musimy dowiedzieć się o was czegoś więcej.

Jesteśmy tymi, którzy mają trzy miliony dolarów.

Downey zrozumiał sugestię, choć wcale mu się nie spodobała. Trzy miliony dolarów mogą kupić wiele niezadanych pytań.

– Doprawdy? – powtórzył. – W takim razie, ponieważ jesteście nowymi klientami, chcielibyśmy otrzymać wynagrodzenie z góry.

Jak pan sobie życzy. Złoto jest w waszym skarbcu.

– Chce pan powiedzieć, że wkrótce znajdzie się w naszym skarbcu...

Nie. Zawsze było w waszym skarbcu. Wiemy, bo właśnie je tam umieściliśmy.

Przez chwilę Downey wpatrywał się w pusty kaptur. Potem, nie

odwracając wzroku, sięgnął do rury komunikacyjnej.

– Pan Winvoe? – zapytał, kiedy już w nią gwizdnął. – Aha. Dobrze. Proszę mi powiedzieć, ile mamy w tej chwili w naszym skarbcu. Wystarczy w zaokrągleniu. Powiedzmy, do milionów. – Na chwilę odsunął wylot rury od ucha, po czym znów się do niej odezwał. – Niech pan będzie taki miły i jednak sprawdzi, dobrze?

Odwiesił rurę i płasko ułożył dłonie na blacie przed sobą.

– Póki czekamy, czy mogę panu zaproponować coś do picia?

Tak. Sądzimy, że tak.

Downey wstał z poczuciem ulgi i przeszedł do sporego barku. Jego dłoń zawisała nad cennymi zapasami gildii, w starych karafkach opisanych Mur, Nig, Otrop i Yksihw*.

– A czego się pan napije? – spytał, zastanawiając się, gdzie Audytor ma usta. Jego dłoń zatrzymała się na moment nad niewielką butelką opisaną jako Anzicurt.

Nie pijemy.

– Ale właśnie pan powiedział, że mogę panu zaproponować...

Istotnie. Uważamy, że jest pan zdolny do wykonania tej czynności.

– Aha.

Downey zawahał się nad karafką whisky, ale zrezygnował. W tej właśnie chwili gwizdnęła rura komunikacyjna.

– Tak, panie Winvoe? Doprawdy? Rzeczywiście? Ja sam często znajduję jakieś drobne między poduszkami sofy; aż dziw, ile się tego może nazbierać... Nie, nie, to nie była iro... Owszem, miałem pewne powody, by... Ależ skąd, o nic pana nie obwiniam... Nie, naprawdę nie widzę, jak... Tak, proszę odpocząć, to dobry pomysł. Bardzo dziękuję.

Znowu odwiesił rurę. Kaptur nie poruszył się nawet.

– Musimy zatem dowiedzieć się gdzie, kiedy... i oczywiście kogo – rzekł po chwili pierwszy skrytobójca.

Kaptur przytaknął.

Lokalizacji nie ma na żadnej mapie. Chcielibyśmy, aby zadanie zostało wykonane w ciągu tygodnia. To kluczowy warunek. A o kogo chodzi...

Na biurku Downeya pojawił się rysunek, a w głowie pojawiły się słowa: Nazwijmy go Grubasem.

– Czy to żart?

My nie żartujemy.

Nie, na pewno nie, pomyślał Downey. Zabębnił palcami o blat.

– Wielu jest takich, którzy twierdzą, że... ta osoba... nie istnieje – powiedział.

Musi istnieć. Inaczej w jaki sposób rozpoznałby go pan tak szybko? Wielu też prowadzi z nim korespondencję.

– No tak. W takim sensie rzeczywiście istnieje...

W jakimś sensie wszystko istnieje. Nas interesuje raczej zaprzestanie istnienia.

– Odszukanie go może być kłopotliwe.

Na każdej ulicy spotkacie osoby, które podadzą wam jego przybliżony adres.

– Tak, naturalnie – zgodził się Downey. Nie był pewien, dlaczego ktoś chciałby je nazywać „osobami”. Dziwny dobór słów. – Ale, jak pan wspomniał, nie wydaje mi się, by potrafiły wskazać to miejsce na mapie. A gdyby nawet, to w jaki sposób... Grubas... może być inhumowany?

Szklaneczką zatrutej sherry?

Kaptur nie miał twarzy, która mogłaby się uśmiechnąć.

Nie zrozumiał pan natury zatrudnienia, zabrzmiało Downeyowi w głowie.

Zjeżył się. Skrytobójcy nie byli zatrudniani. Bywali angażowani, przyjmowani, otrzymywali zlecenia, ale nigdy zatrudniani. Zatrudnia się służących.

– A czegoż takiego nie rozumiałem?

My płacimy. Wy znajdujecie sposoby i środki.

Kaptur zaczął się rozwiewać.

– Jak mam się z panem kontaktować? – rzucił jeszcze Downey.

My skontaktujemy się z panem. Wiemy, gdzie pan mieszka. Wiemy, gdzie mieszka każdy.

Postać zniknęła. W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanął bardzo zdenerwowany pan Winvoe, skarbnik gildii.

– Przepraszam, lordzie, ale naprawdę musiałem przyjść! – Rzucił na biurko kilka niedużych dysków. – Proszę je obejrzeć.

Downey ostrożnie podniósł jeden mały krążek. Wyglądał jak nieduża moneta, ale...

– Nie ma wybitej wartości! – stwierdził Winvoe. – Ani awersu, ani rewersu, ani radełkowania! Gładkie dyski! To tylko gładkie dyski!

Downey otworzył usta, by spytać: „Bezwartościowe?”. Uświadomił sobie nagle, że skrycie na to właśnie liczy. Jeśli oni – kimkolwiek byli – zapłacili bezwartościowym metalem, to nie ma nawet cienia zawartego kontraktu. Widział jednak, że nic z tego – skrytobójcy już na wczesnych etapach kariery uczyli się rozpoznawać pieniądze.

– Gładkie dyski – powiedział – z czystego złota.

Winvoe przytaknął.

– To całkiem wystarczy.

– Na pewno są magiczne! – zawołał skarbnik. – A nigdy nie przyjmujemy magicznych pieniędzy!

Downey rzucił monetę na blat; odbiła się kilka razy z satysfakcjonującym, bogatym brzękiem. Nie, nie była magiczna. Magiczne pieniądze wyglądałyby jak prawdziwe, ponieważ ich głównym zadaniem było oszukanie odbiorcy. Ale te nie musiały naśladować niczego tak ludzkiego, tak łatwo podrabianego jak waluta. To złoto! – krzyczały do jego palców. Bierz je albo zrezygnuj.

Siedział i myślał, gdy Winvoe stał i się martwił.

– Weźmiemy je – postanowił.

– Ale...

– Dziękuję, panie Winvoe. Podjąłem decyzję. – Downey spojrzał w sufit, a po chwili się uśmiechnął. – Czy pan Herbatka jest jeszcze w budynku?

Winvoe cofnął się.

– Myślałem, że rada zgodziła się, by go usunąć – przypomniał oschle. – Po tej sprawie z...

– Pan Herbatka widzi rzeczy inaczej niż inni ludzie – odparł Downey. Podniósł z biurka obrazek i przyjrzał mu się z uwagą.

– Faktycznie. Sądzę, że to z całą pewnością prawda – zgodził się Winvoe.

– Proszę go tu przysłać.

Gildia przyciągała różne osoby, myślał Downey. Odkrył, że zastanawia się, w jaki sposób przyciągnęła takiego na przykład Winvoe'a. Trudno sobie wyobrazić, żeby wbił komuś nóż w serce, bo przecież krew mogłaby

poplamić portfel ofiary. Za to pan Herbatka...

Kłopot polegał na tym, że Gildia Skrytobójców przyjmowała młodych chłopców i zapewniała im doskonałe wykształcenie, a przy okazji uczyła zabijać w sposób czysty i obojętny, dla pieniędzy albo dla dobra społeczeństwa, a w każdym razie dla dobra tej części społeczeństwa, która miała pieniądze; a jaka inna część społeczeństwa się liczy?

Jednak, choć bardzo rzadko, okazywało się, że przyjęto kogoś w rodzaju pana Herbatki, dla którego pieniądze stanowiły jedynie czynnik zakłócający. Pan Herbatka posiadał rzeczywiście błyskotliwy umysł, lecz błyskotliwy niczym rozbite lustro – cudownie lśniąca odłamki i tęcze, ale przecież coś, co jednak jest pęknięte.

Pan Herbatka zbyt dobrze się bawił. Innymi ludźmi także.

Downey prywatnie zdecydował, że jakoś tak niedługo pana Herbatkę spotka wypadek. Jak wielu ludzi pozbawionych moralności, lord Downey przestrzegał pewnych norm, a Herbatka budził w nim odrazę. Skrytobójstwo to ostrożna gra, prowadzona zwykle przeciwko ludziom, którzy sami znają reguły, a przynajmniej mogą sobie pozwolić na usługi tych, którzy znają. Czysta inhumacja była źródłem uzasadnionej satysfakcji. Nie powinna budzić przyjemności inhumacja niechlujna. To prowokuje plotki.

Z drugiej strony, skrecony umysł Herbatki jest właściwym narzędziem, by rozwiązać właśnie taką sprawę. A jeśli mu się nie uda... Cóż, to przecież nie będzie winą Downeya, prawda?

Wrócił do dokumentów. Zadziwiające, ile się ich zbierało. Ale trzeba tego pilnować, w końcu nie są przecież mordercami...

Ktoś zastukał do drzwi. Downey odsunął papiery i oparł się wygodnie.

– Proszę wejść, panie Herbatka – powiedział.

Nigdy nie zaszkodzi wzbudzenie odrobiny respektu u innych członków gildii.

W drzwiach stanął jednak któryś ze służących. Trzymał tacę z herbatą.

– O, Carter... – Lord Downey znakomicie nad sobą panował. – Postaw to na tamtym stoliku, dobrze?

– Tak, proszę pana. – Carter odwrócił się i skinął głową. – Przepraszam, sir. Zaraz pójde po drugą filiżankę.

– Co?

– Dla pańskiego gościa, proszę pana.

– Gościa? Ach, znaczy, kiedy zjawi się pan Herba...

Urwał. Obejrzał się.

Młody człowiek siedział przed kominkiem i bawił się z psami.

– Panie Herbatka!

– To się wymawia Herr-bat-ká, z akcentem na „a”, sir – rzekł Herbatka tylko z cieniem wyrzutu. – Wszyscy się mylą.

– Jak pan to zrobił?

– Całkiem prosto. Chociaż na ostatnim odcinku nieco mnie przypiekło.

Na dywanie leżało kilka płatków sadzy. Downey uświadomił sobie, że słyszał, jak spadają, ale nie było w tym nic szczególnie niezwykłego. Nikt przecież nie mógł zejść kominem. Przy końcu przewodu wmurowano ciężką kratę.

– Jest także zablokowany kominik za dawną biblioteką – odparł Herbatka, wyraźnie czytając mu w myślach. – Przewody łączą się poniżej kraty. To zwykły spacer, sir.

– Doprawdy...

– Na pewno, sir.

Downey skinął głową. Stare budynki zwykle były podziurawione całymi labiryntami zablokowanych przewodów kominowych – ten fakt należało sobie przyswoić już na wczesnym etapie kariery. A potem, myślał, jakoś się o tym zapomina. Zawsze opłaca się wzbudzić i u tego drugiego respekt dla siebie. Tego też uczą – i też się zapomina.

– Psy chyba pana lubią – zauważył.

– Dobrze się dogaduję ze zwierzętami.

Twarz Herbatki była młoda, otwarta i przyjazna. A przynajmniej przez cały czas uśmiechnięta. Dla większości rozmówców efekt tego uśmiechu psuł fakt, że jego właściciel miał tylko jedno oko. Jakiś niewyjaśniony przypadek doprowadził do utraty drugiego, zastąpionego teraz szklaną kulką. Rezultat okazał się niepokojący. Jednak lorda Downeya bardziej niepokoiło to drugie oko – to, które można by w zasadzie nazwać normalnym. Nigdy jeszcze nie widział tak małej źrenicy. Herbatka spoglądał na świat przez otworek po szpilce.

Downey zauważył, że wycofał się za biurko. Herbatka miał w sobie coś takiego, że człowiek czuł się pewniej, jeśli mógł się czymś od niego odgrodzić.

– Lubi pan zwierzęta, tak? – zapytał. – Mam tu raport stwierdzający, że psa sir George’a przybił pan do sufitu.

– Mógłby zacząć szczekać, kiedy pracowałem, sir.

– Niektórzy podaliby mu jakiś środek nasenny.

– Och... – Herbatka przez moment wydawał się przygnębiony, ale zaraz odzyskał humor. – Jednak stanowczo wypełniłem kontrakt, sir. Nie może być wątpliwości. Sprawdziłem oddech sir George’a lusterkiem, zgodnie z instrukcją. Napisałem o tym w raporcie.

– Istotnie.

Najwyraźniej głowa sir George’a znajdowała się w owej chwili o kilka

stóp od ciała. Przerazająca była myśl, że Herbatka może nie dostrzegać w tym nic absurdalnego.

– I jeszcze... służba – powiedział.

– Nie mogłem pozwolić, żeby nagle weszli, sir.

Downey przytaknął, na wpół zahipnotyzowany szklistym spojrzeniem i okiem z dziurką po szpilce. Nie, nie mógł pozwolić, żeby nagle weszli. Skrytobójca może się czasem spotkać z oporem, może nawet stawianym przez ludzi edukowanych u tych samych nauczycieli. Ale staruszek i pokojówka, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w tym czasie w domu...

Nie istniała żadna formalna reguła – Downey musiał to przyznać. Tyle że przez długie lata gildia wypracowała pewien etos i jej członkowie byli zwykle bardzo schludni w swej pracy. Zamykali nawet za sobą drzwi i ogólnie sprząтали przed wyjściem. Krzywdzenie niewinnych było czymś gorszym niż naruszeniem moralnej osnowy społeczeństwa. Było naruszeniem dobrych manier. A nawet jeszcze gorszym: przejawem złego smaku. Ale formalnej reguły nie było...

– To było właściwe, sir, prawda? – upewnił się niespokojnie Herbatka.

– Hm... Zabrakło pewnej elegancji.

– Rozumiem. Dziękuję panu. Zawsze chętnie przyjmuję krytyczne uwagi. Następnym razem będę o tym pamiętał.

Downey nabrał tchu.

– O tym właśnie chciałem porozmawiać – wyjaśnił. Podniósł obrazek tego... jak ta istota go nazwała? Grubasa? – Tak z czystej ciekawości – rzekł. – Jak zabrałby się pan do inhumacji tego... dżentelmena?

Każdy inny, Downey był pewien, wybuchnąłby śmiechem. Powiedziałby coś w rodzaju: „Czy to żart, sir?”. Herbatka pochylił się tylko w wyrazem zaniepokojenia i skupienia na twarzy.

– To trudne, sir.

– Z pewnością – zgodził się Downey.

– Potrzebowałbym czasu, żeby obmyślić jakiś plan.

– Naturalnie. I...

Ktoś zapukał i wszedł Carter z filiżanką i spodkiem. Ukłonił się Downeyowi z szacunkiem, po czym wyszedł.

– Już, sir – powiedział Herbatka.

– Przepraszam? – Downey nie zrozumiał.

– Wymyśliłem już plan, sir.

– Tak?

– Tak, sir.

– Tak szybko?

– Tak, sir.

– Na bogów!

– Wie pan zapewne, że zachęca się nas do rozważania problemów filozoficznych?

– O tak. To bardzo cenne ćwiczenie... – Downey urwał nagle ze zdumioną miną. – Chce pan powiedzieć, że naprawdę poświęcił pan czas na rozważania, jak inhumować Wiedźmikołaja? Naprawdę usiadł pan i zastanowił się, jak tego dokonać? Wykorzystywał pan swój czas wolny, żeby rozwiązać ten problem?

– Tak, sir. I Duchociastną Kaczkę. I Piaskowego Dziadka. I Śmierć.

Downey zamrugnął niepewnie.

– To znaczy, że usiadł pan i rozważał, w jaki sposób...

– Tak, sir. Zebrałem sporo interesujących danych. W czasie wolnym od zajęć, naturalnie.

– Chcę być pewien, że dobrze zrozumiałem, panie Herbatka. Poświęcił... się... pan... badaniu sposobów zabicia Śmierci?

– Tylko jako hobby, sir, ale w samej rzeczy.

– No tak, znaczy hobby, owszem... Sam kolekcjonowałem motyle... – Downey wrócił wspomnieniem do pierwszych chwil rozkoszy przy użyciu trucizny i szpilki. – Ale...

– Prawdę mówiąc, sir, zasadnicza metodologia jest taka sama, jak w przypadku istot ludzkich. Okazja, lokalizacja, technika... Trzeba tylko wziąć pod uwagę znane fakty dotyczące rozpatrywanego osobnika. Oczywiście, na temat tego akurat wiemy bardzo dużo.

– I opracował pan to wszystko, tak? – upewnił się Downey, niemal zafascynowany.

– Och, już dawno temu, sir.

– A kiedy, jeśli wolno spytać?

– To było chyba wtedy, gdy w pewną Noc Strzeżenia Wiedźm leżałem w łóżku, sir.

Bogowie! – westchnął w duchu Downey. I pomyśleć, że ja wtedy nasłuchiwałem dzwonków sań.

– Coś takiego – powiedział.

– Może będę musiał sprawdzić pewne szczegóły. Byłbym wdzięczny za umożliwienie mi dostępu do książek w Czarnej Bibliotece. Ale istotnie, widzę już chyba podstawowe zarysy.

– Jednakże... ta osoba... niektórzy uważają, że technicznie rzecz biorąc,

jest nieśmiertelna.

- Każdy ma jakieś słabe punkty, sir.
- Nawet Śmierć?
- O tak. Absolutnie. Bardzo wiele.
- Naprawdę?

Downey znów zabębnił palcami o blat. Chłopak nie może przecież mieć prawdziwego planu, przekonywał sam siebie. Rzeczywiście, jego umysł jest nieco skrzywiony... Skrzywiony? Toż to prawdziwa spirala! Ale Grubas nie jest przecież kolejnym celem w jakiejś cichej rezydencji. Można chyba z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że już wcześniej ludzie zastawiali na niego pułapki.

Właściwie to był nawet zadowolony. Herbatka poniesie klęskę, możliwe, że wręcz śmiertelną klęskę, jeśli jego plan okaże się dostatecznie głupi. A gildia, być może, straci wtedy złoto – a może nie.

- Doskonale – rzekł. – Nie muszę wiedzieć, jaki jest pański plan.
- To się dobrze składa, sir.
- Co pan ma na myśli?
- Ponieważ nie zamierzałem go panu zdradzać. Byłby pan zmuszony do wyrażenia dezaprobaty, sir.
- Zdumiewa mnie pańskie przekonanie, że plan będzie skuteczny...
- Ja tylko logicznie rozważam problem, sir – odparł chłopak z lekkim wyrzutem.
- Logicznie?
- Przypuszczam, że widzę rzeczy inaczej niż inni ludzie.

Dla Susan był to spokojny dzień, chociaż w drodze do parku Gawain nastąpił na pęknięcie w chodniku. Umyślnie.

Jednym z wielu strachów, przywołanych radośnie bezmyślnym postępowaniem poprzedniej guwernantki, były niedźwiedzie, które czekały na ulicach, by pożreć dzieci następujące na pęknięcia w bruku.

Susan zaczęła pod swym praktycznym płaszczem guwernantki nosić pogrzebacz. Jedno solidne uderzenie zwykle załatwiało sprawę. Były zdumione, że ktoś jeszcze je widzi.

– Gawain! – rzuciła, zerkając na nerwowego niedźwiedzia, który nagle ją zauważył i teraz usiłował wycofać się nonszalancko.

– Tak?

– Chciałeś nastąpić na to pęknięcie, żebym musiała zbić jakieś nieszczęsne stworzenie, którego jedyną winą jest to, że chce cię rozerwać na strzępy.

– Ja tylko podskakiwałem...

– Akurat. Normalne dzieci nie podskakują w taki sposób, chyba że biorą środki odurzające.

Uśmiechnął się do niej.

– Jeśli jeszcze raz cię przyłapię na takich słodkich minkach, zawiążę ci ręce na supeł za głową.

Kiwnął głową i poszedł spychać Twylę z huśtawki.

Susan uspokoiła się. To było jej prywatnie odkrycie – dzieci nie przejmowały się bezsensownymi groźbami, ale były posłuszne. Zwłaszcza w przypadku gróźb dostatecznie obrazowych.

Poprzednia guwernantka używała jako formy dyscypliny rozmaitych

strachów i potworów. Zawsze coś się czaiło, by pożreć albo porwać niegrzecznych chłopców i dziewczynki za takie zbrodnie, jak jąkanie się albo zuchwały i denerwujący upór, by pisać lewą ręką. Nożycoręki czekał zawsze na dziewczynkę, która ssie kciuk, a w piwnicy zawsze ukrywał się strach. Z takich cegieł wznosi się konstrukcję dziecięcej niewinności.

Próby Susan, by skłonić dzieci do niewiary w takie stwory, tylko pogorszyły sytuację.

Twyla zaczęła moczyć się nocą. Mogła to być prymitywna forma obrony przed straszliwą, uzbrojoną w pazury kreaturą, co do której była pewna, że mieszka pod łóżkiem.

Susan odkryła to już pierwszej nocy, kiedy dziecko zbudziło się z płaczem z powodu stracha w szafie.

Westchnęła wtedy i poszła sprawdzić. I tak bardzo się rozzłościła, że wyciągnęła go, walnęła pogrzebaczem po głowie, wywichnęła mu bark dla zaakcentowania przesłania, a potem wykopała przez kuchenne drzwi.

Dzieci nie chciały przestać wierzyć w potwory, bo doskonale wiedziały, że potwory naprawdę tam są. Przekonała się jednak, że potrafią również bardzo mocno uwierzyć w pogrzebacz.

Teraz siedziała na ławce i czytała książkę. Starła się każdego dnia zabierać dzieci gdzieś, gdzie mogą spotkać inne dzieci w tym samym wieku. Jeśli nauczą się zachowania na placu zabaw, myślała, to w dorosłym życiu niestraszne im będą żadne lęki. Poza tym przyjemnie było słuchać głosików bawiących się dzieci, pod warunkiem że człowiek siadał dostatecznie daleko i nie słyszał, co naprawdę mówią.

Po powrocie prowadziła z nimi lekcje. Szły o wiele lepiej, odkąd zrezygnowała z czytania książeczek o kolorowych piłkach i psie imieniem As. Gawaina namówiła na kampanie militarne generała Tacticusa – odpowiednio krwawe, ale też, co ważniejsze, uznawane za zbyt trudne dla dzieci. W rezultacie zakres jego słownictwa podwajał się co tydzień i chłopiec potrafił już wtrącać w codziennych rozmowach takie określenia jak „zdekapitowany”. W końcu czy jest sens uczyć dzieci, jak być dziećmi? Z

tym radzą sobie całkiem naturalnie.

Ona za to – ku swemu lekkiemu przerażeniu – naturalnie radziła sobie z nimi. Zastanawiała się nawet, czy to nie cecha rodzinna. A jeśli – sądząc po tym, jak chętnie jej włosy zwijały się w ciasny kok – takie zajęcia były Susan przeznaczone na resztę życia?

To wszystko wina rodziców. Nie chcieli, żeby tak się jej ułożyło. A przynajmniej wielkodusznie miała nadzieję, że nie chcieli.

Chcieli ją tylko ochronić, trzymać z dala od wszelkich światów poza tym jednym, od tego, co ludzie uważają za okultystyczne, od... No, od jej dziadka, brutalnie mówiąc. Wszystko to, miała wrażenie, odrobinę ją zwichrowało.

Oczywiście, trzeba być sprawiedliwym – to przecież rola rodziców. Świat jest tak pełen ostrych zakrętów, że gdyby nie skrzywili jej nieco, nie miałaby żadnej szansy, by się dopasować. W dodatku byli sumienni, łagodni, zapewnili jej szczęśliwy dom, a nawet wykształcenie.

I to dobre wykształcenie. Dopiero potem zorientowała się, że było to wykształcenie w dziedzinie, no... wykształcenia. To znaczy, że gdyby ktoś potrzebował nagle policzyć objętość stożka, mógł spokojnie zwrócić się do Susan Sto-Helit. Ktoś, kto nie potrafiłby przypomnieć sobie kampanii generała Tacticusa albo pierwiastka kwadratowego z 27,4, łatwo uzyskałby jej pomoc. Jeśli potrzebny był ktoś, kto umie w pięciu językach rozmawiać o elementach gospodarstwa domowego oraz rzeczach, które można kupić w sklepach, Susan była pierwsza w kolejce. Wykształcenie to prosta sprawa.

Nauczenie się czegoś okazało się trudniejsze.

Uzyskanie wykształcenia przypominało trochę chorobę przenoszoną drogą płciową. Człowiek przestawał się nadawać do sporej liczby zajęć, a potem nachodziła go chęć, by przekazać ją dalej.

Susan została guwernantką. Była to jedna z nielicznych funkcji, jakie mogła pełnić dobrze urodzona dama. I całkiem dobrze sobie przy tym radziła. Przysięgała sobie, że jeśli kiedykolwiek zacznie tańczyć po dachach z kominiarzami, zatłucze się na śmierć własną parasolką.

Po herbatce przeczytała im bajkę. Lubili bajki. Ta w książce była okropna, ale w wersji Susan została dobrze przyjęta. Tłumaczyła, czytając.

– ...a potem Jack ściął łodygę fasoli, dodając morderstwo i ekologiczny wandalizm do wspomnianych wcześniej przestępstw kradzieży, oszustwa i wtargnięcia na cudzy teren. Uszło mu to jednak na sucho; żył długo i szczęśliwie, bez śladu wyrzutów sumienia z powodu tego, co uczynił. Co dowodzi, że jeśli człowiek jest bohaterem, to właściwie wszystko zostanie mu wybaczone, bo nikt mu wtedy nie zadaje niewygodnych pytań. A teraz... – Z trzaskiem zamknęła książkę. – Pora do łóżek.

Poprzednia guwernantka nauczyła ich modlitwy wyrażającej nadzieję, że jeśli umrą we śnie, ten czy inny bóg zabierze ich dusze. Jeśli Susan mogła to osądzić, zawierała też sugestię, że to coś dobrego.

Pewnego dnia, postanowiła Susan, wytropię tę kobietę.

– Susan – odezwała się nagle Twyla spod kołdry.

– Tak?

– Wiesz, że w zeszłym tygodniu pisaliśmy listy do Wiedźmikołaja?

– Tak?

– Tylko że... Rachel w parku mówiła, że on wcale nie istnieje, i to tak naprawdę jest ojciec. A wszyscy inni powiedzieli, że ma rację.

Z drugiego łóżeczka rozległ się szelest. Brat Twyli odwrócił się i nasłuchiwał dyskretnie.

Ojej, pomyślała Susan. Miała nadzieję, że jakoś tego uniknie. Znowu będzie jak z tą Duchociastną Kaczką.

– Czy to ważne, jeśli i tak dostajecie prezenty? – spytała, apelując bezpośrednio do chciwości.

– ...ym...

No tak... Susan usiadła na łóżku, zastanawiając się, jak, u licha, załatwić tę sprawę. Poglądziła jedną widoczną dłoń.

– Popatrz na to w taki sposób – powiedziała i bezgłośnie nabrała tchu. – Gdzie tylko ludzie są tępi i niemądrzy... Gdzie mają, nawet według najłagodniejszych norm, okres koncentracji uwagi kurczaka podczas huraganu i zdolności badawcze jednonogiego karalucha... I gdzie tylko są bezmyślnie łatwowierni, żałośnie przywiązani do wiedzy wyniesionej z pokoju dzieciennego, i ogólnie takie mają pojęcie o rzeczywistym, fizycznym wszechświecie co ostryga o wspinaczkach górskich... Tak, Twylo. Tam Wiedźmikołaj istnieje.

Pod kołdrą panowało milczenie, ale wyczuwała, że ton jej głosu spełnił swe zadanie. Słowa nie miały znaczenia. I to właśnie – jak mógłby powiedzieć jej dziadek – jest ludzkość w całej okazałości.

– ...anoc.

– Dobranoc – powiedziała Susan.

To nawet nie był bar. To było zwykłe pomieszczenie, gdzie ludzie pili, czekając na innych ludzi, z którymi załatwiali interesy. Interesy dotyczyły zwykle przeniesienia własności czegoś z jednej osoby na inną, ale przecież interesy zawsze są takie.

Pięciu biznesmenów usiadło wokół stołu, oświetlonego świeczką na spodeczku. Między nimi stała otwarta butelka. Starali się trzymać ją z dala od płomienia.

– Już po szóstej – oznajmił jeden z nich, potężny mężczyzna z dredami i brodą, w której można by hodować kozy. – Zegary były już wieki temu. Nie przyjdzie. Chodźmy.

– Siadaj, co? Skrytobójcy zawsze się spóźniają, bo to taki styl. Jasne?

– Ale ten jest psychiczny.

– Ekscentryczny.

– A jaka to różnica?

– Worek szmalu.

Trójka, która dotąd się nie odzywała, spojrzała po sobie niespokojnie.

– Co jest? Nie mówiłeś, że to skrytobójca – zaprotestował Siata. – Nie mówił, że gościu jest skrytobójcą, nie? Mówił, Banjo?

Zabrzmiał odgłos dalekiego gromu – to odchrząknął Banjo Lilywhite.

– Zgadza się, no – odezwał się głos z górnych zboczy. – Żeś nie mówił.

Pozostali odczekali, aż ucichnie łoskot. Nawet głos Banja był kolosalny.

– On jest... – Pierwszy z rozmówców zamachał rękami, by przekazać swoją opinię, że ktoś jest o kosz jedzenia, parę składanych krzesełek, obrus, zestaw turystycznych sprzętów kuchennych i całą kolonię mrówek oddalony od pikniku. – On jest psychiczny. I ma dziwne oko.

– Jest szklane, jasne? – rzekł ten, którego nazywano Kocie Oko. Skinął na kelnera, by podał cztery piwa i szklankę mleka. – I płaci dziesięć tysięcy dolarów na każdego. Więc nie obchodzi mnie, jakie ma oko.

– Słyszałem, że ono jest z tego samego, z czego robią te kryształy do przepowiadania przyszłości. I nie powiesz mi, że to w porządku. Bo on patrzy na ciebie przez to oko – dokończył pierwszy z rozmówców. Znany był jako Brzoskwinia, choć nikt jeszcze nie odkrył dlaczego*.

Kocie Oko westchnął. Rzeczywiście, było w panu Herbatce coś dziwnego, trudno zaprzeczyć. Ale wszyscy skrytobójcy mieli w sobie coś dziwnego. A ten dobrze płacił. Wielu skrytobójców korzystało z usług informatorów i ślusarzy. Formalnie było to wbrew regułom, lecz zawodowe standardy obniżały się w każdym fachu, nie? Ale zwykle płacili późno i niechętnie, jakby robili człowiekowi łaskę. Herbatce trudno by coś zarzucić pod tym względem. Fakt, po paru minutach rozmowy z nim oczy zaczynały łzawić i

człowiek miał ochotę wyszorować całą skórę, nawet od wewnątrz, ale przecież nikt nie jest doskonały, nie?

Brzoskwinia pochylił się nad stołem.

– Wiecie co? – szepnął. – Tak myślę, że on może już tu być. W przebraniu! I śmieje się z nas wszystkich! No, jeżeli się śmieje...

Zacisnął palce, aż strzeliły kostki.

Średni Dave* Lilywhite, ostatni z piątki, rozejrzał się czujnie. Rzeczywiście, w niskim, mrocznym pomieszczeniu zauważył kilku samotnych klientów. Większość miała na sobie płaszcze i obszerne kaptury. Siedzieli w kątach, kryjąc twarze. Żaden nie wyglądał przyjaźnie.

– Nie wygłupiaj się, Brzoskwinia – mruknął Kocie Oko.

– Kiedy oni właśnie takie rzeczy robią. To mistrzowie w przebraniu.

– Z tym jego okiem?

– Ten gość przy kominku ma opaskę na oku – zauważył Średni Dave. Rzadko się odzywał. Ale zawsze obserwował.

Pozostali obejrzeli się.

– Zaczeka, aż przestaniemy się pilnować, a wtedy zrobi ahahaha! – stwierdził Brzoskwinia.

– Im nie wolno zabijać, chyba że dla pieniędzy – uspokoił go Kocie Oko, ale w jego głosie pojawiła się szczypta niepewności.

Przyglądali się człowiekowi w kapturze. A on im się przyglądał.

Zapytani, co robią, by zarobić na życie, mężczyźni przy stole odpowiedzieliby coś w rodzaju: „To czy tamto”, albo i „Radzę sobie, jak mogę”, chociaż w przypadku Banjo odpowiedź brzmiałaby pewnie: „He?”. Według norm nieopiekuńczego społeczeństwa, byli kryminalistami, choć sami tak o sobie nie myśleli i nawet nie potrafiliby napisać takiego słowa jak

„przestępczość”. Zwykle zajmowali się przemieszczaniem pewnych rzeczy. Czasami te rzeczy znajdowały się po niewłaściwej stronie stalowych drzwi albo w niewłaściwym domu. Czasami tymi rzeczami byli ludzie – o wiele za mało ważni, by zajmować czas Gildii Skrytobójców – którzy znaleźli się na bardzo niedogodnej pozycji i można było znaleźć dla nich lokalizację o wiele lepszą, na przykład gdzieś na dnie morza*. Żaden z tej piątki nie należał do żadnej gildii. Zwykle znajdowali klientów wśród ludzi, którzy z sobie znanych mrocznych powodów nie chcieli gildiom sprawiać kłopotu, często dlatego, że sami do nich należeli. Dzięki temu cała piątka miała dość zajęć. Zawsze znalazło się coś, co trzeba było przetransportować z punktu A do punktu B albo na dno C.

– Lada chwila – oświadczył Brzaskwinia, gdy kelner przyniósł piwo.

Banjo odkaszlnął. Był to znak, że zjawiała się kolejna myśl.

– Czegoś nie rozumiem – powiedział.

– Tak? – spytał jego brat.

– Nie rozumiem, od kiedy mają tu kelnerów.

– Dobry wieczór – powiedział Herbatka, stawiając tacę na stole.

Przeglądali mu się w milczeniu.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

Wielka pięść Brzaskwini walnęła o stół.

– Szpiegowałeś nas, ty mały...

Ludzie w tym fachu rozwijają w sobie pewną zdolność przewidywania. Średni Dave i Kocie Oko, siedzący po obu stronach Brzaskwini, odsunęli się z pozorną nonszalancją.

– Witam! – rzucił Herbatka. Coś mignęło i zawibrował nóż, wbity w stół pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym Brzaskwini. – Nazywam się Herbatka – oznajmił Herbatka. – A ty jesteś kto?

- Brzaskwinia – wymamrotał Brzaskwinia, nadal wpatrzony w nóż.
- Interesujące imię. A dlaczego nazywają cię Brzaskwinią, Brzaskwinio?

Średni Dave zakaszał.

Brzaskwinia uniósł głowę i spojrzał w twarz Herbatki. Szklane oko było tylko kulą lekko lśniącej szarości. To drugie wyglądało jak czarny punkcik na morzu bieli. Jak dotąd jedyne kontakty Brzaskwini z inteligencją polegały na tym, by pobić ją i okraść, gdy tylko trafi się okazja. Teraz jednak posłuchał instynktu samozachowawczego i siedział jak przyklejony do stołka.

- Bo się nie golę – wyjaśnił.
- Brzaskwinia nie lubi ostrzy, wie pan... – dodał Kocie Oko.
- A ilu masz przyjaciół, Brzaskwinio?
- No, paru mam...

Błyskawicznym ruchem – tak szybkim, że wszyscy przy stole aż podskoczyli – Herbatka odwrócił się, chwycił krzesło, przysunął je i usiadł. Trzech z nich oparło dłonie na rękojeściach mieczy.

– A ja nie mam zbyt wielu – wyznał przepraszającym tonem. – Chyba brak mi talentów towarzyskich. Z drugiej strony wszakże... zdaje się, że wcale nie mam nieprzyjaciół. Ani jednego. To miło, prawda?

Herbatka myślał – myśli krążyły w tym brzęczącym, hałaśliwym pokazie fajerwerków, jaki się odbywał w jego głowie. Myślał o nieśmiertelności.

Był może całkiem, ale to całkiem szalony, ale nie był głupcem. W Gildii Skrytobójców wisiały liczne portrety i stały popiersia sławnych członków, którzy... Nie, oczywiście to nie tak. Portrety i popiersia przedstawiały sławnych klientów członków gildii, a skromne mosiężne tabliczki, przykręcone obok, zawierały dyskretne komentarze w stylu „Opuścił ten padół łez 3 grune’a roku Skośnej Pijawki, z pomocą szan. K.W. Dobsona

(Dom Żmii)”. Wiele instytucji edukacyjnych stawia gdzieś w holu obelisk z listą Dziadków, którzy złożyli swe życie dla monarchy i ojczyzny. Gildia postępowała podobnie, z wyjątkiem kwestii, czyje życie zostało złożone.

Każdy skrytobójca chciał się tam znaleźć – ponieważ to właśnie dawało nieśmiertelność. A im ważniejszy klient, tym skromniejsza i bardziej powściągliwa była ta mosiężna tabliczka, tak by absolutnie każdy musiał zauważyć wyryte na niej nazwisko.

Właściwie gdyby skrytobójca był bardzo, ale to bardzo znany, nie musieliby w ogóle wpisywać nazwiska...

Mężczyźni przy stole obserwowali go. Dość trudno było stwierdzić, co myśli Banjo, czy w ogóle myśli, ale pozostała czwórka myślała mniej więcej: zarozumiały pętaś, jak wszyscy skrytobójcy. Wydaje mu się, że wszystko wie. Mógłbym go załatwić jedną ręką, żaden problem. Ale... różnie ludzie mówią. Ciarki przechodzą od tych jego oczu...

– Więc co to za robota? – zapytał Siata.

– Nie wykonujemy robót – poprawił go Herbatka. – Świadczymy usługi. A ta usługa da każdemu z was dziesięć tysięcy dolarów.

– To o wiele więcej niż stawki Gildii Złodziei – zauważył Średni Dave.

– Nigdy nie lubiłem Gildii Złodziei – oświadczył Herbatka, nie odwracając głowy.

– Dlaczego nie?

– Zadają zbyt wiele pytań.

– My nie zadajemy pytań – zapewnił pośpiesznie Siata.

– Doskonale więc do siebie pasujemy. Proszę, napijcie się jeszcze czegoś. Musimy poczekać na innych członków naszej małej trupy.

Siata zobaczył, że wargi Średniego Dave’a zaczynają formować pierwsze litery słowa „Kto...”. Litery te uznał w tej chwili za nierozsądne. Pod stołem

kopnął Średniego Dave'a w kostkę.

Drzwi uchyliły się i wszedł jakiś człowiek – a właściwie wsunął się przez szczelinę i szedł przygarbiony pod ścianą, w sposób obliczony na to, by nie zwracać na siebie uwagi. Obliczony jednak przez kogoś, kto z takimi obliczeniami sobie nie radził.

Przybysz spojrział na nich znad postawionego kołnierza.

– To mag! – zdziwił się Brzoskwinia.

Przybysz podszedł szybko i przysunął sobie krzesło.

– Nie, wcale nie – syknął. – Jestem incognito.

– Jasne, panie Gnito – zgodził się Średni Dave. – Jesteś pan po prostu kimś w spiczastym kapeluszu. To jest mój brat Banjo, to Brzoskwinia, to Kocie...

Mag spojrział z rozpaczą na Herbatkę.

– Nie chciałem tu przychodzić!

– Pan Sideney istotnie jest magiem – potwierdził Herbatka. – W każdym razie studentem. Niestety, chwilowo szczęście się od niego odwróciło. Stąd jego chęć, by przyłączyć się do naszego przedsięwzięcia.

– A dokładnie, jak bardzo się od niego odwróciło? – zainteresował się Średni Dave.

Mag starał się unikać ich wzroku.

– Popeliłem błąd przy zakładzie – wyjaśnił.

– Postawiłeś i przegrałeś, znaczy? – domyślił się Siata.

– Spłaciłem wszystko na czas.

– Owszem, ale troll Chryzopraz odczuwa dziwną niechęć do pieniędzy,

które następnego dnia zmieniają się w ołów – wtrącił uprzejmie Herbatka. – Dlatego nasz przyjaciel musi zarobić trochę pieniędzy, szybko i w klimacie, w którym ręce i nogi pozostają na swoich miejscach.

– Nikt nie uprzedzał, że w tym chodzi o jakąś magię – zaprotestował Brzoskwinia.

– Naszym celem jest... Powinniście chyba myśleć o tym, panowie, jak o czymś w rodzaju wieży maga.

– Ale to nie jest prawdziwa wieża maga? – upewnił się Średni Dave. – Oni mają dość dziwaczne poczucie humoru, kiedy chodzi o pułapki.

– Nie.

– Straże?

– Tak sędzę. Według legendy. Ale nic wielkiego.

Średni Dave zmrużył oczy.

– I w tej... wieży... jest cenny towar?

– O tak.

– To czemu nie ma strażników?

– Ta... osoba, która jest właścicielem, nie zdaje sobie sprawy z wartości tych... tego, co posiada.

– Zamki?

– Po drodze zabierzemy ślusarza.

– Kogo?

– Pana Browna.

Pokiwali głowami. Każdy, a przynajmniej każdy w „tym biznesie” – a

każdy w „tym biznesie” wiedział, co to za biznes, a jeśli nie wiedział, to nie był biznesmenem – znał pana Browna. Jego obecność przydawała pracy pewnej szacowności. Był eleganckim starszym panem, który osobiście skonstruował większość narzędzi, jakie nosił w skórzanej walizeczce. Nieważne, jak chytrych sposobów człowiek użył, by dotrzeć do odpowiedniego miejsca, pokonać niewielką armię i odnaleźć ukryty skarbiec – wcześniej czy później posyłał po pana Browna. A on zjawiał się ze swoją skórzaną walizeczką, swoimi metalowymi cackami, swoimi małymi fiolkami dziwnej alchemii, w swoich małych lśniących bucikach. Przez dziesięć minut stał tylko i przyglądał się zamkowi, potem wybierał kawałek zgiętego metalu z kółka, na którym wisiało kilkaset niemal identycznych kawałków, i niecałą godzinę później odchodził, zabierając solidne dziesięć procent zysku. Oczywiście, nie było obowiązku korzystania z usług pana Browna. Można przecież spędzić resztę życia, wpatrując się w zamknięte drzwi.

– No dobra – rzekł Brzoskwinia. – Co to za miejsce?

Herbatka uśmiechnął się do niego.

– To ja wam płacę. Dlaczego to nie ja zadaję pytania?

Tym razem Brzoskwinia nie próbował nawet patrzeć w szklane oko.

– Chcę tylko być przygotowany, i tyle... – mruknął.

– Dobre rozpoznanie to nieodzowny element udanej operacji – stwierdził Herbatka. Odwrócił wzrok ku cielsku, które było Banjem. – Co to jest? – zapytał.

– To Banjo – odparł Średni Dave, skrecając sobie papierosa.

– Umie robić sztuczki?

Na moment czas się zatrzymał. Trzej mężczyźni spojrzeli na Średniego Dave’a. W ankhmorporskiej warstwie profesjonalistów uchodził za człowieka cierpliwego i rozważnego. Uważano go za pewnego rodzaju intelektualistę, ponieważ niektóre z jego tatuaży nie zawierały błędów ortograficznych. Można było na niego liczyć w trudnych sytuacjach, a przede

wszystkim był uczciwy, ponieważ dobrzy przestępcy muszą być uczciwi. Jeśli miał jakąś wadę, to skłonność do wymierzania surowej i ostatecznej kary każdemu, kto źle się wyraził o jego bracie.

Jeśli natomiast miał zaletę, to skłonność do wybierania odpowiedniej chwili. Wcisnął tytoń w bibułkę i uniósł papierosa do ust.

– Nie – powiedział.

Siata spróbował roztopić lody.

– Nie jest może kimś błyskotliwym, ale zawsze się przydaje. Potrafi podnieść dwóch ludzi w każdej ręce. Za karki.

– No – powiedział Banjo.

– Wygląda jak wulkan – stwierdził Herbatka.

– Doprawdy? – rzucił Średni Dave Lilywhite.

Siata szybko wyciągnął rękę i pchnął go z powrotem na krzesło.

Herbatka uśmiechnął się.

– Mam wielką nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, panie Średni Dave. Naprawdę zraniłaby mnie myśl, że nie jestem wśród przyjaciół. – Uśmiechnął się znowu i zwrócił do pozostałych. – Zatem jesteśmy umówieni, panowie?

Pokiwali głowami. Dało się zauważyć pewne wahanie, ponieważ w ich zgodnej opinii Herbatka powinien się znaleźć w pokoju o ścianach wyłożonych materacami, ale dziesięć tysięcy dolarów to jednak dziesięć tysięcy dolarów, a może nawet więcej.

– To dobrze – ucieszył się Herbatka. Potem zmierzył Banja wzrokiem. – W takim razie możemy zacząć od razu.

I bardzo mocno uderzył go w usta.

Śmierć nie pojawia się osobiście przy zakończeniu każdego żywota. Nie jest to niezbędne. Rządy rządzą, ale premierzy i prezydenci nie odwiedzają osobiście ludzi w ich domach i nie mówią, jak mają układać sobie życie – głównie z powodu śmiertelnego niebezpieczeństwa, z jakim by się to wiązało. Zamiast tego istnieje prawo.

Od czasu do czasu jednak Śmierć sprawdzał, czy rzeczy funkcjonują jak należy – a raczej, by wyrazić się bardziej precyzyjnie, czy przestają funkcjonować – w mniej istotnych obszarach jego jurysdykcji.

Teraz siedł przez ciemne morze.

Obłoki mułu unosiły się wokół jego stóp, gdy maszerował po dnie rowu. Szata falowała wokół.

Panowała cisza, duże ciśnienie i absolutna ciemność. Ale nawet tu, głęboko pod falami, istniało życie. Żyły tu wielkie mątwy i homary z zębami na powiekach. Żyły pająkowate stwory z żołądkami w stopach i ryby, które świeciły własnym światłem. Był to cichy, czarny świat z koszmaru, ale życie rozwija się wszędzie, gdzie może. Tam, gdzie nie może, trwa to trochę dłużej.

Celem Śmierci było niewielkie wzniesienie na dnie rowu. Już teraz woda wokół niego stawała się cieplejsza i wypełniała się istotami, które wyglądały, jakby poskładano je z kawałków pozostałych po czymś innym.

Ze szczeliny unosiła się niewidoczna, ale wyczuwalna kolumna wrzącej wody. Gdzieś w dole były skały rozgrzane do białości przez magiczne pole Dysku.

Wokół szczeliny osadzały się płytki minerałów. I w tej maleńkiej oazie rozwinął się rodzaj życia. Nie potrzebowało powietrza ani światła. Nie potrzebowało nawet pożywienia w takim sensie, w jakim rozumiałaby ten termin większość gatunków.

Rosło po prostu na granicy strumienia wody, podobne do krzyżówki dżdżownicy i kwiatu.

Istota była tak mała, że Śmierć musiał przykłęknąć, by się jej przyjrzeć. Ale z jakiegoś powodu w tym świecie bez oczu ani światła była też jaskrawoczerwona. Rozrzutność życia w takich kwestiach nigdy nie przestawała go zaskakiwać.

Sięgnął pod szatę i wyjął nieduże zawiniątko z czarnego materiału – jakby zestaw narzędzi jubilerskich. Z wielką starannością wyjął z jednej z kieszonek kosę długości cala, chwycił ją w dwa palce.

Gdzieś wyżej ponad dnem zbłąkany prąd strącił odłamek skały, który spadł, odbijając się od dnia i unosząc obłoczki mułu. Zatrzymał się tuż obok żywego kwiatu, a potem się przetoczył, odrywając go od skały.

Śmierć machnął małą kosą, gdy kwiat zaczął przygasać.

Często wspomina się o wyjątkowo bystrym wzroku rozmaitych istot nadprzyrodzonych. Podobno widzą upadek każdego wróbla.

Może to i prawda. Jednak tylko jedna zawsze jest na miejscu, kiedy wróbel uderza o ziemię.

Dusza rurkowatej istoty była bardzo mała i nieskomplikowana. Nie przejmowała się grzechem. Nigdy nie pożałała polipów bliźniego swego. Nigdy nie uprawiała hazardu ani nie piła alkoholu. Nie dręczyły jej pytania: „Dlaczego jestem tutaj?”, ponieważ nie miała żadnego pojęcia o „tutaj” – ani też, skoro już o tym mowa, o „jestem”.

Mimo to coś zostało odcięte chirurgicznym ostrzem kosy i zniknęło w falujących wodach.

Śmierć starannie schował narzędzie i wyprostował się. Wszystko w porządku, sprawy toczą się jak należy i...

Ale się nie toczyły.

Jak najlepsi mechanicy potrafią usłyszeć delikatną zmianę tonu sygnalizującą złą pracę łożyska, zanim nawet najczulsze instrumenty wykryją jakikolwiek błąd, tak i Śmierć wychwycił fałszywy akord w symfonii świata.

To tylko jedna nuta wśród miliardów, ale tym bardziej zauważalna – niczym maleńki kamyczek w bardzo dużym bucie.

Skinął palcem w wodzie. Na chwilę pojawił się błękitny kontur drzwi. Śmierć przeszedł przez nie i zniknął.

Rurkowate istoty nie zauważyły jego odejścia. Nie zauważyły jego przybycia. Nigdy, ale to nigdy niczego nie zauważały.

Wóz toczył się przez zimne, mgliste ulice. Woźnica kulił się na koźle. Widać było tylko gruby brązowy kożuch.

Spośród kłębow mgły wyskoczyła nagle jakaś postać i znalazła się obok niego.

– Hej – powiedziała. – Nazywam się Herbatka. A ty?

– Nie, wysiadaj, nie wolno mi brać...

Woźnica urwał. Zadziwiające, jak Herbatka potrafił wbić nóż w cztery warstwy grubej odzieży i zatrzymać go tak, by ledwie nakłuwał skórę.

– Słucham? – zapytał z uśmiechem.

– Eee... Nie ma tu nic cennego, wiesz pan, tylko parę worków...

– Och, jej! – Na twarzy Herbatki pojawił się wyraz szczerzej troski. – No, będziemy musieli zobaczyć sami, prawda? Jak ci na imię, dobry człowieku?

– Ernie. Tego... Ernie – odparł Ernie. – Tak, Ernie. Eee...

Herbatka odwrócił głowę.

– Wskakujcie, panowie. To mój przyjaciel Ernie. Dziś wieczorem będzie naszym woźnicą.

Ernie zobaczył, że z mgły wynurza się sześciu ludzi, którzy wdrapują się

na wóz. Nie obejrzał się. Kłucie w okolicach nerek podpowiadało mu, że taki ruch nie sprzyjałby dalszemu rozwojowi jego kariery. Miał jednak wrażenie, że jeden z ludzi niesie na ramieniu długi pakunek. Pakunek poruszał się i wydawał zduszone odgłosy.

– Przestań się tak trząść, Ernie – powiedział Herbatka, kiedy wóz zakołysał się na nierównym bruku. – Chcemy tylko, żebyś nas podwiózł.

– Ale dokąd, proszę pana?

– Och, to nie takie ważne. Ale najpierw chciałbym, żebyś się zatrzymał na placu Sator, obok drugiej fontanny.

Ostrze się cofnęło i Ernie zaprzestał prób oddychania uszami.

– Eee...

– O co chodzi? Wydajesz się spięty, Ernie. Przekonałem się, że pomaga na to masaż karku.

– Bo widzi pan, mnie tam nie wolno brać pasażerów. Charlie zeklnie mnie jak nic...

– O to się nie martw. – Herbatka klepnął go po ramieniu. – Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi...

– Ale po co zabraliśmy dziewczynę? – odezwał się głos z tyłu.

– Nie można tak bić dziewcząt – oświadczył drugi, grubszy. – Nasza mama mówiła: żadnego bicia dziewcząt. Tylko niegrzeczni chłopcy tak robią...

– Cicho bądź, Banjo.

– Nasza mama mówiła...

– Ciszej! Ernie nie chce słuchać o naszych kłopotach – rzucił Herbatka, cały czas obserwując woźnicę.

– Ja? Głuchy jestem jak pień – zapewnił Ernie, który w pewnych sytuacjach uczył się bardzo szybko. – I już na parę stóp ledwie co widzę. Zresztą w ogóle nie pamiętam twarzy, nawet jeśli jakieś zobaczę. Słaba pamięć? Nie mnie mówić o słabej pamięci. Czasem to jadę sobie wozem, z ludźmi gadam, tak jak z wami teraz gadam, a kiedy wysiadą, to choćbym nie wiem jak się starał, nie mogę sobie nic przypomnieć, ani ilu ich było, ani co mieli ze sobą, nic o żadnych dziewczynach i w ogóle. – Jego głos zmienił się z piskliwy jęk. – Ha! Czasem to zapominam nawet, jak mi na imię!

– Ernie, prawda? – Herbatka uśmiechnął się do niego radośnie. – No, jesteśmy na miejscu. Och jej... Zdaje się, że panuje tu spore zamieszanie.

Z przodu toczyła się jakaś bójka, a po chwili obok przebiegły dwa zamaskowane trolle ścigane przez trzech strażników. Nie zwrócili uwagi na wóz.

– Słyszałem, że gang d’Olomita próbował oczyścić skarbiec Packleya – oznajmił głos za Erniem.

– Wygląda na to, że pan Brown jednak się do nas nie przyłączy – stwierdził inny głos i prychnął wzgardliwie.

– Nic o tym nie wiem, panie Lilywhite. Nic zupełnie. – Ten głos dobiegł od strony fontanny. – Mógłby pan wziąć moją torbę, to wskoczę? Proszę uważać, jest ciężka.

Był to spokojny cichy głos. Właściciel takiego głosu z pewnością trzyma pieniądze w portmonetce w kształcie podkówki i zawsze starannie przelicza resztę. Ernie pomyślał to wszystko, a potem bardzo się starał o tym zapomnieć.

– Jedziemy dalej, Ernie – polecił Herbatka. – Myślę, że skręcimy za uniwersytetem.

Wóz potoczył się naprzód, a spokojny głos powiedział:

– Zawsze trzeba łapać pieniądze, a potem sprytnie się wynosić. Mam rację?

Wszyscy z tyłu zamruczeli z aprobatą.

– Tego się nauczyłem jeszcze u matki na kolanach, ot co.

– Wiele się pan nauczył na kolanach swojej matki, panie Lilywhite.

– Nic nie gadaj o naszej mamie! – Ten głos przypominał trzęsienie ziemi.

– To przecież pan Brown, Banjo! Nie poznałeś?

– Ale nie powinien tak gadać o naszej mamie!

– Dobrze już, dobrze! Witaj, Banjo! Chyba miałem tu gdzieś cukierka... O, jest. Tak, wasza mama wiedziała, jak się zachować, nie ma co. Wchodzicie bez pośpiechu, bierzecie, po co przyszliście, i oddalacie się spokojnie i zgodnie z planem. A nie sterczycie na miejscu, żeby przeliczyć zdobycz i opowiadać sobie, jakie z was dzielne chłopaki. Mam rację?

– Ale panu się chyba powiodło, panie Brown?

Wóz jechał wolno na drugi koniec placu.

– To tylko drobnostka na pokrycie kosztów, panie Kocie Oko. Skromny strzeżeniowiedźmowy prezent, można powiedzieć. Nie należy łapać wszystkiego i uciekać. Trzeba wziąć trochę i odejść powoli. Nie biegiem. Nigdy biegiem. Straż zawsze goni biegnącego człowieka. Są jak teriery, uwielbiają pościg. Nie... Wychodzisz powoli, skręcasz za róg, czekasz, aż zaczniesz się zamieszanie, a potem zawracasz i spacerkiem idziesz z powrotem. Z tym sobie nie mogą poradzić. A oni nawet się odsuwają, kiedy przechodzisz. „Dobry wieczór panom oficerom”, mówisz i jesteś w domu na herbatę.

– Łorany! Można się tak wykaraskać z kłopotów, to jasne. Jak ktoś ma nerwy...

– Och nie, panie Brzoskwinia. Nie wy dostać się. To pozwala nie wpaść w kłopoty.

Rozmowa przypominała lekcję, pomyślał Ernie (i natychmiast spróbował

zapomnieć). Albo siłownię gdzieś na tyłach, kiedy wchodzi mistrz walk.

– Jakoś dziwnie wyglądasz, Banjo.

– Stracił zęba, panie Brown – odpowiedział inny głos i parsknął.

– Stracił żem ząb, panie Brown – zahuczał grom, czyli Banjo.

– Patrz na drogę, Ernie – odezwał się siedzący obok Herbatka. – Przecież nie chcielibyśmy, żeby zdarzył się nam jakiś wypadek, prawda?

Droga tu była całkiem pusta, mimo że w mieście za nimi panował gwar i krzątania. Obok wyrastała bryła Niewidocznego Uniwersytetu. Na kilku sąsiednich ulicach stały opuszczone budynki. W dodatku coś dziwnego działo się z dźwiękiem; zdawało się, że Ankh-Morpork pozostało bardzo daleko, odgłosy miasta dochodziły jakby przez gruby mur. Dotarli do unikanego przez większość zakątka, który od dawna stanowił lokalizację uniwersyteckich wysypisk śmieci i określany był jako Nierealne Nieruchomości.

– Przekłęci magowie – burknął odruchowo Ernie.

– Słucham? – nie zrozumiał Herbatka.

– Mój pradziadek mówił, że kiedyś mieliśmy tu dom. Niski poziom magii, niech mnie lichy... Pewno, tym magom to nie przeszkadza, mają zaklęcia do ochrony. Trochę magii tu, trochę tam... To chyba logiczne, że gdzieś musi się to zbierać, nie?

– Kiedyś stały tu znaki ostrzegawcze – odezwał się spokojny głos za plecami.

– Pewno. Znaki ostrzegawcze w Ankh-Morpork mogłyby mieć napisane: „Drewno na opał” – zauważył ktoś inny.

– Znaczy, to przecież jasne. Tu rzucają zaklęcie wybuchające coś tam, gdzie indziej takie, co ma pokręcić coś innego, a jeszcze gdzieś takie, od którego rosną marchewki, a te zaklęcia mieszają się ze sobą i kto wie, co w końcu zaczną robić? – mówił Ernie. – Pradziadek opowiadał, że czasem budzili się

rano, a piwnica była wyżej od strychu. Ale to i tak jeszcze nie najgorsze – dodał ponuro.

– No. Czasem było już tak źle, słyszałem, że człowiek mógł sobie spacerować ulicą i spotkać samego siebie idącego z przeciwka – podsunął ktoś. – Albo już nie wiedział, czy pora na spanie, czy na śniadanie. Tak słyszałem.

– Pies znosił do domu różne rzeczy – opowiadał Ernie. – Pradziadek mówił, że wskakiwali za sofę, jak wchodził do domu i niósł coś w pysku. Przerdzewiałe zaklęcia ogniowe, które zaczynały syczeć, połamane laski, co dymiły na zielono, i sam nie wiem co jeszcze. A jak człowiek zobaczył, że kot się czymś bawi, to lepiej było nie sprawdzać, co to takiego. Mówię wam...

Potrząsnął lejcami. W przypływie dziedzicznej urazy niemal zapomniał o swym obecnym położeniu.

– Bo wiecie, mówią, że wszystkie stare księgi czarów i wszystkie odpadki zakopują bardzo głęboko, a ostatnio to nawet wtórnie wykorzystują zużyte zaklęcia, ale to marne pocieszenie, kiedy ziemniaki na grządce zaczynają spacerować – narzekał. – Pradziadek poszedł raz do głównego maga, a tamten powiada... – Zaczął mówić zduszonym, nosowym głosem, bo jego zdaniem tak wyraża się człowiek, kiedy ma wykształcenie: – „Och, mogą występować jakieś chwilowe niedogodności, ale niech pan przyjdzie za pięćdziesiąt tysięcy lat”. Przeklął magowie...

Koń skręcił za róg. Znaleźli się w ślepym zaułku. Po obu stronach opierały się o siebie na wpół zburzone domy z wybitymi oknami i wykradzionymi drzwiami.

– Słyszałem, że mają tu podobno wszystko oczyścić... – odezwał się ktoś.

– Akurat – mruknął Ernie i splunął. Kiedy ślina spadła na ziemię, uciekła. – I wiecie co? Cały czas ostatnio przyłazą tu różni wariaci, grzebią wszędzie, wyciągają różne rzeczy...

– Przy tym murze przed nami – rzekł swobodnym tonem Herbatka. –

Wydaje mi się, że na ogół przejeżdżasz koło tej kupy śmieci pod uschniętym drzewem, chociaż trudno je zauważyć, jeśli człowiek się dobrze nie przyjrzy. Ale nigdy nie widziałem, jak właściwie to robisz...

– Zaraz... Nie mogę was tam zabrać. Podrzucić gdzieś to jedna sprawa, ale przewozić ludzi...

Herbatka westchnął.

– A tak dobrze się nam układało... Posłuchaj mnie, Ernie. Albo nas przewieziesz, albo... a mówię to z prawdziwym żalem... będę musiał cię zabić. Wydajesz się bardzo sympatycznym człowiekiem. I rozsądnym. Bardzo poważny kozuch i porządne buty.

– Ale jeśli was zabiorę...

– Co może cię spotkać najgorszego? Stracisz pracę. A jeśli odmówisz, zginiesz. Więc kiedy spojrzysz na to w taki sposób, dojdiesz do wniosku, że tak naprawdę wyświadczamy ci przysługę. Proszę cię, powiedz „tak”.

– Eee...

Ernie miał uczucie, że mózg mu się skręca. Młodziak wyraźnie był tym, kogo Ernie uważał za wyższe sfery. Wydawał się uprzejmy i przyjazny, ale coś w nim było nie tak. Ton głosu i treść nie pasowały do siebie.

– Poza tym – ciągnął Herbatka – jeśli zostałeś zmuszony, to przecież nie twoja wina, prawda? Nikt nie może mieć do ciebie pretensji. Jak można mieć pretensję do kogoś, kto ustąpił pod groźbą noża?

– No niby tak, jak już jest przymus... – mruknął Ernie.

Musiał się zgodzić – to było chyba jedyne wyjście.

Koń zatrzymał się i czekał, z tym cierpliwym spojrzeniem zwierzęcia, które prawdopodobnie zna drogę lepiej od woźnicy.

Ernie pogrzebał w kieszeni kozucha i wyjął małe blaszane pudełko podobne do tabakiery. Otworzył je. Wewnątrz był lśniący proszek.

– I co z tym robisz? – spytał Herbatka z wyraźnym zaciekawieniem.

– No, biorę szczyptę i rzucam w powietrze, a ono robi „brzdęk!” i otwiera w cienkim miejscu...

– Czyli nie trzeba żadnego szkolenia ani nic?

– No... rzuca się na ten mur i potem jest „brzdęk!” – odparł Ernie.

– Naprawdę? Mogę spróbować?

Hербatka wyjął pudełeczko z niestawiającej oporu dłoni i rzucił w powietrze przed konia szczyptę proszku. Proszek unosił się przez chwilę, po czym uformował wąski, migotliwy łuk. Roziskrzył się i zrobił...

...brzdęk!

– Łoj – odezwał się potężny głos. – To ładne, Dave, nie?

– Tak.

– Takie iskierki...

– A potem jedziesz naprzód? – upewnił się Herbatka.

– Zgadza się – potwierdził Ernie. – Ale szybko, bo droga jest otwarta tylko chwilę.

Hербatka schował pudełeczko do kieszeni.

– Bardzo ci dziękuję, Ernie. Naprawdę bardzo.

Jego druga ręka wysunęła się nagle. Błysnął metal. Woźnica mrugnął i runął z kozła na ziemię.

Z tyłu zapadła cisza z odcieniem grozy i może odrobiną przerażonego podziwu.

– Nudny był, prawda? – rzucił Herbatka, chwytając za lejce.

Zaczął padać śnieg. Powoli zasypywał nieruchome ciało Erniego. Płatki przelatywały przez kilka zawieszonych w powietrzu szarych płaszczy.

Zdawało się, że w ich wnętrzu nie ma niczego. Można by nawet uwierzyć, że istnieją tylko po to, by zaznaczyć pewien punkt w przestrzeni.

Cóż, powiedział jeden, jesteście pod wrażeniem.

Istotnie, zgodził się inny. Nigdy byśmy nie pomyśleli, żeby zrobić to w taki sposób.

To z pewnością bardzo pomysłowa istota, rzekł trzeci.

A całe piękno polega na tym, dodał pierwszy – a być może drugi, ponieważ absolutnie nic nie odróżniało od siebie tych szat – że nadal tak wiele pozostanie pod naszą kontrolą.

Owszem, zgodził się następny. To naprawdę zadziwiające, w jaki sposób myśleli. Jak gdyby... z nielogiczną logiką...

Dzieci, rzekł inny. Kto by pomyślał? Ale dzisiaj dzieci, jutro cały świat.

Dajcie mi dziecko poniżej siedmiu lat, a będzie moje na całe życie, stwierdził inny.

Zapadło przerażające milczenie.

Te jednomyślne istoty, nazywające siebie Audytorami, nie wierzyły w nic – być może z wyjątkiem nieśmiertelności. A sposobem na nieśmiertelność, jak wiedziały, jest unikanie życia. Jednak najbardziej ze wszystkiego nie wierzyły w osobowość. Posiadać osobowość oznaczało być stworzeniem mającym swój początek i koniec. A ponieważ, zgodnie z ich rozumowaniem, wobec nieskończonego wszechświata każde życie jest niewyobrażalnie krótkie, umierały natychmiast. Była pewna skaza w tej logice, zanim jednak ją odkrywały, było już zwykle za późno. Tymczasem starannie unikały wszelkich wypowiedzi, działań i doświadczeń, które mogłyby je wyróżniać...

Powiedziałeś „mi”, zauważył jeden.

A tak. Ale widzicie, cytowaliśmy, wyjaśnił pospiesznie inny. To mówiła jakaś religijna osoba. O kształceniu dzieci. I dlatego całkiem logicznie powiedziała „mi”. Ale ja sam nie użyłbym tego terminu, oczywi... A niech to!

Szata zniknęła w niedużym kłębie dymu.

Niech to będzie lekcją dla nas wszystkich, rzekł jeden z ocalałych, kiedy kolejna nieodróżnialna od innych szata wskoczyła w istnienie tam, gdzie przed chwilą był ich kolega.

Tak, zgodził się nowo przybyły. Z pewnością wydaje się...

Urwał. Czarna sylwetka szła ku nim po śniegu.

To on, oznajmił.

Rozwiali się pospiesznie. Nie po prostu zniknęli, ale rozmywali się i rozrzedzali, aż całkiem wtopili się w tło.

Czarna sylwetka schyliła się nad martwym woźnicą.

MOŻE POMÓC?

Ernie spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Aha. – Wstał, chwiejąc się trochę. – Ale masz pan zimne palce!

PRZEPRASZAM.

– Dlaczego on wziął i tak mnie załatwił? Przecież robiłem, co mi kazał. Mógł mnie zabić!

Spod kożucha wyjął niedużą i w tej chwili dziwnie przejrzystą srebrną flaszkę.

– Zawsze ją biorę na te mroźne noce – wyjaśnił. – Dla podtrzymania ducha.

ISTOTNIE. Śmierć rozejrzał się szybko i powąchał powietrze.

– I jak ja się z tego wytłumaczę, co? – Ernie pociągnął solidny łyk.

SŁUCHAM? PRZEPRASZAM, TO BYŁO NIEGRZECZNE Z MOJEJ STRONY. NIE UWAŻAŁEM.

– Pytałem, co mam ludziom powiedzieć? Pozwoliłem jakimś typom odjechać moim wozem. Zrobili mnie na czysto. Jak nic wylecę z pracy. Nie ma co, wpakowałem się w kłopoty...

ACH. NO TAK. TU PRZYNAJMNIEJ MAM DLA CIEBIE DOBRĄ WIADOMOŚĆ, ERNEŚCIE. ALE MAM TEŻ ZŁĄ WIADOMOŚĆ.

Ernie słuchał uważnie. Raz czy dwa zerknął na zwłoki pod nogami. Z zewnątrz ciało wydawało się mniejsze. Był dostatecznie inteligentny, by się nie kłócić. Niektóre sprawy wydają się całkiem oczywiste, kiedy mówi wysoki na siedem stóp szkielet z kosą.

– Czyli jestem trupem – podsumował.

ZGADZA SIĘ.

– No... Taki kapłan mówił... No wiesz... Kiedy już człowiek umiera, to jakby przechodził przez drzwi, a po drugiej stronie jest... On... No, straszne miejsce.

Śmierć przyjrzał się jego zmartwionej, coraz bardziej przezroczystej twarzy.

PRZEZ DRZWI...

– Tak mówił...

MYŚLĘ, ŻE TO ZALEŻY OD TEGO, W KTÓRĄ STRONĘ PRZECHODZISZ.

Kiedy ulica znów była pusta, jeśli nie liczyć cielesnej powłoki zmarłego Ernego, szare kształty na powrót stały się widoczne.

Szczerze mówiąc, robi się coraz gorszy, stwierdził jeden.

Szukał nas, dodał inny. Zauważyliście? Coś podejrzewa. Robi się taki... zatroskany.

Tak... Ale piękno naszego planu, rzekł trzeci, polega na tym, że nie może się wtrącać.

Może dotrzeć wszędzie, przypomniał jeden.

Nie, zaprotestował inny. Nie całkiem wszędzie.

I z niewypowiedzianą satysfakcją wtopiły się w tło.

Śnieg padał coraz gęściej.

Była noc przed Strzeżeniem Wiedźm. A w całym domu....poruszyła się tylko jedna istota. To była mysz.

Ktoś uznał, że stosowne będzie zastawienie pułapki. Ponieważ jednak zbliżał się czas świąt, użył skórki z pieczeni. Jej zapach przez cały dzień doprowadzał mysz do szału. Teraz, kiedy nikogo wokół nie było, postanowiła zaryzykować.

Mysz nie wiedziała, że to pułapka. Myszy nie radzą sobie najlepiej z przekazywaniem informacji. Nie prowadzą młodych myszek na wycieczki do miejsc słynnych pułapek i nie mówią: „A tutaj odszedł od nas wuj Artur”. Ta mysz wiedziała tylko, że nie warto się przejmować, to przecież coś do jedzenia. Na drewnianej deseczce, owinięte jakimiś drucikami.

Krótką szamotaninę później jej zęby zamknęły się na skórcie. A raczej przeniknęły przez nią.

Mysz spojrzała na to, co leżało teraz pod wielką sprężyną.

Ups!... – pomyślała.

A potem zauważyła czarną figurkę, która pojawiła się nagle pod ścianą.

– Piip? – zapytała.

PIP, odparł Śmierć Szczurów.

I to było właściwie wszystko.

Śmierć Szczurów rozejrzał się z zaciekawieniem. Z samej natury rzeczy, jego bardzo ważna praca zwykle prowadziła go na śmietniki, do ciemnych piwnic, we wnętrza kotów i we wszystkie te wilgotne dziury, gdzie myszy i szczury dowiadywały się wreszcie, czy istnieje Ser Obiecany. Ale to miejsce było całkiem inne.

Przede wszystkim było kolorowo przystrojone. Pęki bluszczu i jemióły zwisały z półek, a jaskrawe serpentyny zdobiły ściany – co rzadko się zdarza w większości dziur albo nawet w cywilizowanych kotach.

Śmierć Szczurów wskoczył na krzesło, z niego na stół, a dokładniej wprost do kieliszka bursztynowego płynu. Kieliszek przewrócił się i roztrzaskał. Kałuża zalała cztery rzepy i zaczęła wsiąkać w list, napisany dość niewprawną ręką na różowym papierze.

Kochany Wiedźmikołaju!

Na Szczerzenie Wiedźm bym chciała bębenek i lalkę i misia i Strasznom Izbę Tortur Omniańskiej Eksizycji z nakręcanym kołem i prawie prawdziwą krwią, ktorej można użyć znowu, możesz jom znaleźć w sklepie zabawkowym pszy Krutkiej, a kosztuje 5 dolarów i 99 pensów. Byłam grzeczna i zostawiam kieliszek szery i pasztecik dla ciebie i cztery rzepy dla Dłubacza i Kła i Grzebacza i Ryja. Myślę, że Komin jest duży ale muj pszyjacieli William muwi, że naprawdę jesteś tatusiem.

Pozdrawiam Wirginia Prod

Śmierć Szczurów nadgryzł pasztecik, bo kiedy jest się personifikacją śmierci małych gryzoni, należy się zachowywać w określony sposób. Z tego samego powodu naznaczył też moczem jedną z rzep, choć tylko metaforycznie, bo kiedy jest się małym szkieletem w czarnej szacie, to pewnych rzeczy technicznie nie da się zrobić.

Zeskoczył ze stołu i pozostawił pachnące sherry odciski łapek na całej trasie do stojącego w donicy w kącie drzewka. Właściwie był to zaledwie nagi konar dębu, ale przywiązano do niego tyle lśniącego ostrokrzewu i jemioly, że aż błyszczał w świetle świec.

Wisiała na nim lameta, migotliwe ozdoby i małe sakiewki czekoladowych pieniędzy.

Śmierć Szczurów obejrzał w szklanej bańce swe zniekształcone odbicie, po czym zerknął na półkę nad kominkiem.

Dotarł tam jednym skokiem i ruszył powoli, z ciekawością oglądając ustawione rzędem karty. Szare wąsiki drgały przy życzeniach „Wszelkiey radości i szczęścia moc na Strzeżenie Wiedźm i Cały Rok”. Na kilku znalazł obrazki potężnego, grubego i wesołego mężczyzny z workiem. Na jednej ten sam mężczyzna jechał saniami zaprzężonymi w cztery wielkie świnię.

Obwąchał parę długich skarpet zawieszonych nad kominkiem, w którym zresztą wygasł ogień i pozostały tylko smętne popioły.

Nagle wyczuł subtelne napięcie... Zdał sobie sprawę, że pokój jest sceną, jest otworem czekającym na drewniany kołek...

Coś zaskrobało. Kilka grudek sadzy spadło na popiół.

Mroczny Piskacz kiwnął łebkiem.

Skrobanie stało się głośniejsze, potem na chwilę zapadła cisza, a wreszcie

zabrzmiało głucho uderzenie i brzęk, kiedy coś wylądowało w popiele i przewróciło zestaw ozdobnych narzędzi kominkowych.

Szczur obserwował czujnie, jak przybysz w czerwonym płaszczu podnosi się i przechodzi po dywaniku, rozcierając łydkę w miejscu, gdzie trafił ją długi widelec do przypiekania grzanek.

Dotarł do stołu i przeczytał list. Śmierć Szczurów miał wrażenie, że słyszy jęk.

Rzepy zniknęły w kieszeni, a po nich – ku jego irytacji – także pasztecik. Był całkiem pewien, że przeznaczone były do zjedzenia na miejscu, nie na wynos.

Postać w czerwieni jeszcze chwilę czytała mokry list, potem odwróciła się i podeszła do kominka. Śmierć Szczurów cofnął się za „Świąteczne życzenia!”.

Dłoń w czerwonej rękawicy zdjęła skarpetę, coś zatrzeszczało i zaszeleściło, po czym skarpetka wróciła na miejsce – o wiele bardziej wypchana. Z wierzchu wystawało duże pudełko i widoczny był napis „Figury ofiar nie dołączone. Wiek 3-10 lat”.

Śmierć Szczurów nie bardzo widział dostawcę tych dobrodziejstw. Wielki czerwony kaptur skrywał całą twarz z wyjątkiem długiej siwej brody.

Wreszcie przybysz skończył, wyprostował się i wyjął z kieszeni listę. Uniósł ją do kaptura i chyba coś sprawdzał; palcem wskazywał kolejno kominek, czarne od sadzy ślady butów, pusty kieliszek sherry i skarpety. Potem schylił głowę, jakby czytał coś drobnym drukiem.

A TAK, powiedział. EHM... HO. HO. HO.

Po czym zanurkował do kominka. Zgrzytał butami o ściany, nim wreszcie podeszwy trafiły na punkt zaczepienia, po czym zniknął.

Śmierć Szczurów zauważył, że ze zdumienia zaczął gryźć uchwyt swej małej kosy.

PIIP?

Zeskoczył do paleniska i pognął między czarnymi od sadzy ścianami komina. Wynurzył się tak szybko, że jeszcze w powietrzu przebierał łapkami. Wylądował w śniegu na dachu.

W powietrzu obok rynny unosiły się sanie.

Postać w czerwonym kapturze właśnie do nich wsiadła i rozmawiała chyba z kimś niewidocznym zza stosu worków.

TU MASZ NASTĘPNEGO PASZTECIKA.

– Jest musztarda? – zapytały worki. – Świetne są z musztardą.

NIESTETY, CHYBA NIE MA.

– Trudno. Niech pan poda i tak.

BARDZO ŹLE TO WYGLĄDA.

– Nie, ktoś go tylko nadgryzł...

MÓWIĘ O SYTUACJI. WIĘKSZOŚĆ TYCH LISTÓW... ONE TAK NAPRAWDĘ NIE WIERZĄ. UDAJĄ, ŻE WIERZĄ. NA WSZELKI WYPADEK*. OBAWIAM SIĘ, ŻE MOŻE JUŻ BYĆ ZA PÓŹNO. TO SIĘ SZYBKO ROZPRZESTRZENIA, W DODATKU TAKŻE WSTECZ W CZASIE.

– Nigdy nie mów koniec, panie. To przecież nasze motto, prawda?

NIE MOGĘ UZNAĆ, BY KIEDYKOLWIEK NAPRAWDĘ BYŁO MOJE.

– Chciałem przez to powiedzieć, panie, że przecież nie wystraszy nas pewna perspektywa całkowitej i absolutnej klęski.

NIE PRZESTRASZY? TO ŚWIETNIE. NO TO PORA RUSZAĆ. Postać chwyciła lejce. DALEJ, DŁUBACZ! JAZDA, GRZEBACZ! W GÓRĘ,

KIEŁ! BIEGIEM, RYJ! JEDZIEMY!

Zaprężone do sań cztery wielkie dzikie świnie nawet nie drgnęły.

DLACZEGO TO NIE SKUTKUJE? – zdziwił się osobnik w czerwieni.

– Nie mam pojęcia, panie – odparły worki.

Z KOŃMI DZIAŁA.

– Może spróbujesz, panie, z „dawaj”?

DAWAJ! Czekali. NIE, TEŻ DO NICH NIE DOCIERA.

Szeptali chwilę.

NAPRAWDĘ? SADZISZ, ŻE TO SKUTECZNE?

– Na mnie na pewno by podziałało, panie. Gdybym był świnia.

NO DOBRZE...

Postać w czerwieni znowu potrząsnęła lejcami.

JABŁKO! SOS!

Świńskie nogi poruszyły się natychmiast. Srebrzysty blask zamigotał na saniach i nagle rozlał się na wszystkie strony. A potem sanie i świnie zmalły do czarnego punktu i zniknęły.

PIP?

Śmierć Szczurów przemknął po śniegu, zjechał po rynnie i zeskoczył na dach szopy.

Siedział tam kruk. Patrzył smętnie na coś w dole.

PIP!

– Spójrz no tylko. – Kruk skinął pazurem na karmnik w ogrodzie. – Powieszą połówkę jakiegoś smętnego kokosa, kawał skórki słoniny, rzucą garść fistaszków w drucianej siatce i już im się wydaje, że są darem bogów dla świata natury. A czy widzę tam jakieś gałki oczne? Czy widzę jakieś wnętrzności? Jakoś nie. Jestem najbardziej inteligentnym ptakiem strefy umiarkowanej i mogę obejść się smakiem, bo nie umiem wisieć głową w dół i robić ćwir, ćwir. Popatrz na takie rudziki. Wściekłe małe dranie, walczą jak demony, ale wystarczy im poskakać trochę, a nie mogą się ruszać od okruchów. Ja tymczasem mogę recytować wiersze i powtarzać zabawne zdania...

PIIP!

– Tak? Co?

Śmierć Szczurów wskazał dach, a potem niebo. Podskakiwał z podnieceniem. Kruk przekręcił jedno oko ku górze.

– A tak. On. Pojawia się o tej porze roku. Jest jakoś kojarzony z rudzikami, które...

PIP! PII IK IK IK! Śmierć Szczurów naśladował ruchy postaci lądującej w palenisku i chodzącej po pokoju. PIIP IIK PI PI, PIP „HIIK HIIK HIIK”! IK IK PIIP!!!

– Przesadziłeś ze strzeżeniowiedźmowym nastrojem, co? Grzebałeś w puddingu z brandy, co?

PIP?

Oczy kruka zatoczyły kręgi.

– Słuchaj, przecież Śmierć to Śmierć! Pracuje w pełnym wymiarze godzin, prawda? To nie jest tak, że można na boku dorobić myciem okien albo po pracy strzyc sąsiadom trawniki.

PIP!

– Jak tam chcesz.

Kruk przykucnął trochę, a drobna figurka wskoczyła mu na grzbiet. Po chwili uniósł się w powietrze.

– Oczywiście, te okultystyczne typy też mogą dostać świra – stwierdził, zataczając krąg nad ogrodem skąpanym w blasku księżyca. – Weź takiego Starego Biedę, na przykład...

PIP.

– Och, nie sugeruję przecież...

Susan nie lubiła Katafalków, ale zaglądała tam, kiedy brzemię normalności stawało się zbyt ciężkie. Katafalki, mimo zapachu, drinków i towarzystwa, miały jedną istotną zaletę. W Katafalkach nikt nie zwracał uwagi. Na nic. Strzeżenie Wiedźm tradycyjnie uważane jest za czas rodzinny, jednak ci, którzy pili w Katafalkach, prawdopodobnie nie mieli rodzin; niektórzy wyglądali, jakby mogli mieć miot albo jajka. Niektórzy za to tak jakby zjedli swoich krewnych, a przynajmniej czyichś krewnych.

Katafalki były miejscem, gdzie pili nieumarli. I kiedy ktoś zamawiał Krwawą Mary, barman Igor nie przygotowywał metafor.

Stali klienci nie zadawali pytań, nie tylko dlatego, że dla niektórych trudne do wyartykułowania okazywało się cokolwiek bardziej skomplikowane od warkotu. Głównie dlatego, że nikt tutaj nie udzielał odpowiedzi. W Katafalkach wszyscy pili samotnie, nawet jeśli siedzieli w grupach. Albo stadami.

Mimo dekoracji, które nieumiejętnie zawiesił barman Igor, by okazać dobre chęci*, w Katafalkach nie było atmosfery rodzinnej.

Rodzina to temat, którego Susan wołała unikać.

W tej chwili pomagał jej w tym gin z tonikiem. W Katafalkach, jeśli ktoś nie był zbyt wybredny, opłacało się zamawiać drinki przezroczyste, ponieważ

Igor miał niezwykle pomysły także w kwestii tego, co można nabić na koniec koktajlowego patyczka. Jeśli człowiek zobaczył coś kulistego i zielonego, mógł tylko mieć nadzieję, że to oliwka.

Poczuła za uchem gorący oddech. To jakiś strach usiadł na stołku obok.

– Sso taka normo robi w takim miejssu? – zahuczał, aż owionął ją odór alkoholu i cuchnącego oddechu. – Ha, myślisz sobie pewno, że to poniessajęse tak tu siedzieć w tej czarnej sssukni ze wszystkimi zgubionymi chłopami? Taki modny mroszszny klimat?

Susan odsunęła się. Strach wyszczerzył kły.

– Chcesz mieć stracha pod łóżkiem, sso?

– Daj spokój, Schlimazelu – rzucił Igor, nie unosząc wzroku znad wycieranego kieliszka.

– No ale po sso ona tu siedzi? – nie ustępował strach. Wielka kosmata łapa chwyciła Susan za rękę. – Pewno, może chce zwyszajnie...

– Nie będę powtarzał, Schlimazelu – ostrzegł Igor.

Zauważył, że dziewczyna odwraca się do stracha. Ze swojego miejsca nie widział dobrze jej twarzy – ale strach widział. Odskokczył tak szybko, że spadł ze stołka.

A kiedy dziewczyna przemówiła, to, co powiedziała, tylko w części było słowami; było także wyrytym w skale stwierdzeniem o tym, jaka będzie przyszłość.

– ODEJDŹ I PRZESTAŃ MNIE ZACZEPIAĆ.

Potem odwróciła się i uśmiechnęła przepraszająco do Igora. Strach poderwał się gorączkowo spośród resztek stołka i chwiejnie pobiegł do drzwi.

Susan wyczuła, że pijący wrócili do swego zwykłego zajęcia. Zadziwiające, na co można sobie pozwolić w Katafalkach.

Igor odstawił kieliszek i spojrzał w okno. Jak na knajpę, której atutem jest mrok, okno wydawało się całkiem spore. Ale oczywiście niektórzy klienci przybywali drogą powietrzną.

Ktoś właśnie w to okno stukał.

Igor podszedł, utykając, i otworzył.

Susan uniosła głowę.

– Och, nie...

Śmierć Szczurów zeskoczył na ladę, a za nim wleciał kruk.

PIP PIIP IIK! IK! PIIP PI IK „HIIK HIIK HIIK”! PI...

– Idź sobie – rzuciła zimno Susan. – Nie interesuje mnie to. Jesteś tylko odpryskiem mojej wyobraźni.

Kruk przysiadł na słoju za barem.

– No świetnie... – powiedział.

PIP!

– Co to jest? – spytał kruk, po czym zrzucił z czubka dzioba coś białego. – Cebulki? Fuj!

– Idźcie sobie obaj – mruknęła Susan.

– Szczur mówi, że twój dziadek zwariował – wyjaśnił kruk. – Mówi, że udaje Wiedźmikołaja.

– Posłuchaj, nic mnie... Co?

– Czerwony płaszcz, długa broda...

HIIK! HIIK! HIIK!

– ...woła „Ho, ho, ho”, jeździ saniami zaprzężonymi w cztery świnie, no wszystko...

– Świnie? A co się stało z Pimpusiem?

– Nie mam pojęcia. Oczywiście, takie rzeczy się zdarzają, jak właśnie przed chwilą szczurowi tłumaczyłem...

Susan zatkała rękami uszy, bardziej dla dramatycznego efektu niż dla tłumienia dźwięku.

– Nie chcę wiedzieć! Nie mam dziadka!

Tego musiała się trzymać.

Śmierć Szczurów popiskiwał przez dłuższą chwilę.

– Szczur mówi, że na pewno pamiętasz, jest wysoki, trudno go nazwać tęgim, nosi kosę...

– Idź stąd. I zabierz ze sobą... szczura!

Ze złością machnęła ręką i ku swej zgrozie i zawstydzeniu, strąciła mały szkielet w kapturze do popielniczki.

IIK?

Kruk złapał dziobem szczurzą szatę i próbował go wyciągnąć, ale małeńka koścista dłoń potrząsnęła kosą.

IIK IK PII PIIP!

– Mówi, żebyś nie zaczepiała szczura – przetłumaczył kruk.

Zatrzepotały skrzydła i obaj zniknęli.

Igor zamknął okno. Powstrzymał się od komentarzy.

– Nie byli prawdziwi – wyjaśniła pośpiesznie Susan. – To znaczy, no...

Kruk jest chyba prawdziwy, ale zadaje się ze szczurem...

– ...który nie jest prawdziwy – dokończył Igor.

– Właśnie – przyznała z wdzięcznością Susan. – Prawdopodobnie niczego nie widziałeś.

– Zgadza się – potwierdził Igor. – Zupełnie nic.

– A teraz... Ile jestem winna?

Igor policzył na palcach.

– To będzie dolar za drinki – powiedział – i jeszcze pięć pensów, bo ten kruk, którego tu nie było, grzebał w piklach.

Była noc przed Strzeżeniem Wiedźm.

W nowej łazience nadrektora Modo wytarł ręce w szmatę i z dumą obejrzał swe dzieło. Lśniąca porcelana połyskiwała bielą. Miedź i mosiądz lśniły w blasku lamp.

Trochę go martwiło, że nie zdążył wszystkiego wypróbować. Ale pan Ridcully oświadczył: „Sprawdzi się w użyciu”, a Modo nigdy się nie spierał z Dżentelmenami, jak o nich myślał. Zdawał sobie sprawę, że wiedzą dużo więcej niż on, i wcale mu to nie przeszkadzało. On nie grzebał przy osnowie czasu i przestrzeni, a oni trzymali się z dala od jego szklarni. W jego opinii było to prawdziwe partnerstwo.

Szczególnie dokładnie wyszorował podłogę. Pan Ridcully specjalnie mu to polecił.

– Gnom Kurzajka... – mruknął do siebie, ostatni raz przecierając kran. – Ależ wyobraźnię mają ci Dżentelmeni...

Z daleka, niesłyszany przez nikogo, zabrzmiał delikatny odgłos – jakby brzęk srebrnych dzwoneczków.

Dzyń, dzyń, dzyń...

A ktoś wylądował nagle w zaspie i powiedział „Szlag!”. To naprawdę straszne, wymówić coś takiego jako pierwsze słowo ze wszystkich.

Nad jego głową, nieświadome nowego i rozgniewanego życia, które właśnie otrzepywało się ze śniegu, sanie pędziły naprzód przez czas i przestrzeń.

BRODA TO PRAWDZIWE UTRAPIENIE, oświadczył Śmierć.

– Dlaczego musisz nosić brodę, panie? – zdziwił się głos spomiędzy worków. – Mówiłeś przecież, że ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć.

DZIECI NIE. ZBYT CZĘSTO WIDZĄ TO, CO JEST NAPRAWDĘ.

– Cóż, przynajmniej wprawia cię w odpowiedni nastrój, panie. Pasuje do postaci.

ALE WCHODZENIE PRZEZ KOMIN? JAKI TO MA SENS? MÓGLBYM ZWYCZAJNIE PRZEJŚĆ PRZEZ ŚCIANĘ.

– Przechodzenie przez ściany także nie jest właściwe – stwierdził głos spomiędzy worków.

DLA MNIE WYSTARCZY.

– Muszą być kominy. To właściwie tak samo jak z brodą.

Jakaś głowa wysunęła się ze stosu. Zdawało się, że należy do najstarszego, najbardziej niesympatycznego skrzata we wszechświecie. Fakt, że znajdowała się pod wesołym zielonym kapelusikiem z przyczepionym dzwoneczkiem, wcale nie poprawiał tej oceny.

Potem dłoń machnęła grubym plikiem listów, w dużej części na papierze w pastelowych barwach, często z wyrysowanymi króliczkami i pluszowymi

misiami. W większości pisane były kredkami.

– Myślisz, panie, że te małe łobuzy pisałyby do kogoś, kto przechodzi przez ściany? – spytała głowa. – A nad „Ho, ho, ho” musisz jeszcze popracować, jeśli wolno zauważyć.

HO. HO. HO.

– Nie, nie. Nie – orzekł Albert. – Trzeba w to włożyć trochę życia, panie, bez urazy. To ma być porządny, rubaszny śmiech. Musi... Musi brzmieć tak, jakbyś sikał brandy i srał puddingiem, wybaczyć mój klatchiański, panie.

NAPRAWDĘ? SKĄD TY TO WSZYSTKO WIESZ?

– Byłem kiedyś młody, panie. Co roku, jak każdy grzeczny chłopiec, wieszałem nad kominkiem skarpetę. Żeby napęliła się zabawkami, tak jak ty to robisz, panie. Chociaż w tamtych czasach dostawało się głównie kiełbasę i kaszanke, jak kto miał szczęście. Ale zawsze w samym czubku palców była cukrowa świnka. Strzeżenie Wiedźm nie było udane, jeśli człowiek nie najadł się jak świnia.

Śmierć przyjrzał się workom.

Dziwnym, ale łatwym do udowodnienia faktem jest, że worki zabawek, noszone przez Wiedźmikołaja, niezależnie od swojej zawartości, zawsze mają wystającego u góry pluszowego misia albo żołnierzyka w kolorowym mundurze, którym wyróżniałby się nawet na dyskotece, bębenek i czerwono-białą szklaną laskę wypełnioną cukierkami. Rzeczywista zawartość zwykle miała krzykliwe kolory i kosztowała 5,99 dolara.

Śmierć zbadał jeden czy dwa worki. Był tam na przykład Prawdziwy Agatejski Ninja ze Staszliwym Śmiertelnym Chwytem i Kapitan Marchewa, Jednoosobowa Nocna Straż z całą szafką zabawkowej broni, której każda sztuka kosztowała tyle co sama drewniana lalka.

Zresztą zabawki dziewczynek okazywały się równie przygnębiające. Zdawało się, że są to wyłącznie konie. Większość się uśmiechała. Konie, zdaniem Śmierci, nie powinny się uśmiechać. Koń, który się uśmiecha, z

pewnością coś knuje.

Westchnął ciężko.

W dodatku całe to ustalanie, kto był grzeczny, a kto nie. Wcześniej nigdy o tym nie myślał. Grzeczni czy niegrzeczni, ostatecznie i tak na jedno wychodziło.

A jednak musiał to robić jak należy. Inaczej się nie uda.

Świnie zahamowały przy następnym kominie.

– Jesteśmy. Jesteśmy na miejscu – oznajmił Albert. – James Riddle, lat osiem.

A TAK ON WRĘCZ PISZE W SWOIM LIŚCIE: „ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE NIE ISTNIEJESZ, BO PRZECIEŻ WSZYSCY WIEDZĄ, ŻE NAPRAWDĘ JESTEŚ RODZICAMI”. NO TAK, rzekł Śmierć z czymś, co brzmiało niemal jak sarkazm. JEGO RODZICE PEWNIE NIE MOGĄ SIĘ DOCZEKAĆ, ŻEBY OBIJAĆ SOBIE ŁOKCIE PRZEZ DWANAŚCIE STÓP WĄSKIEGO I NIEOCZYSZCZONEGO PRZEWODU KOMINOWEGO. NO WIĘC NIE WYDAJE MI SIĘ. NANIOSE MU DODATKOWEJ SADZY NA DYWAN.

– Słusznie, panie. Dobry pomysł. A skoro już o tym mowa, to czas na dół.

A GDYBYM NIC MU NIE DAŁ ZA KARĘ, ŻE NIE WIERZY?

– Co mu tym udowodnisz, panie?

Śmierć westchnął.

CHYBA MASZ RACJĘ.

– Sprawdziłeś listę, panie?

TAK. DWA RAZY. TO NA PEWNO DOSYĆ?

– Na pewno.

PRAWDE MÓWIĄC, NIE MOGĘ SIĘ W TYM WSZYSTKIM POŁAPAĆ. NA PRZYKŁAD SKĄD MAM WIEDZIEĆ, CZY ON BYŁ GRZECZNY, CZY NIEGRZECZNY?

– No... sam nie wiem... Na przykład czy składał swoje ubranka...

A JEŚLI BYŁ GRZECZNY, MOGĘ MU DAĆ KLATCHIAŃSKI RYDWAN BOJOWY Z PRAWDZIWYMI WIRUJĄCYMI OSTRZAMI?

– Zgadza się.

A JEŚLI BYŁ NIEGRZECZNY?

Albert poskrobał się po głowie.

– Kiedy byłem chłopcem, dostawało się worek kości. Zadziwiające, jak dzieci ładnie się zachowywały pod koniec roku.

COŚ PODOBNEGO... A DZISIAJ?

Albert podniósł paczkę do ucha i potrząsnął.

– Brzmi jak skarpety.

SKARPETY.

– Albo wełniany podkoszulek.

BĘDZIE MIAŁ NAUCZKĘ, JEŚLI WOLNO MI WYRAZIĆ SWOJĄ OPINIĘ.

Albert spojrział ponad zaśnieżonymi dachami i także westchnął. To nie było tak, jak być powinno. Pomagał, bo cóż, Śmierć był jego panem i tyle, a gdyby pan miał serce, tkwiłoby na właściwym miejscu. Ale...

– Jesteś pewien, że powinniśmy to robić, panie?

Śmierć zatrzymał się w połowie drogi do komina.

A MASZ JAKIŚ LEPSZY POMYSŁ, ALBERCIE?

To właśnie cały problem. Albert nie miał.

Ktoś musiał to robić.

Na ulicy znowu były niedźwiedzie.

Susan zignorowała je i nawet nie starała się demonstracyjnie nie następować na pęknięcia.

Stały dookoła, jakby trochę zdziwione i trochę przezroczyście, widoczne tylko dla niej i dla dzieci. Takie wieści jak o Susan szybko się rozchodzą. Niedźwiedzie słyszały już o pogrzebaczu. Orzechy i jagody, zdawały się mówić ich miny. Po to tu jesteśmy. Wielkie ostre zębiska? Jakie wielkie ostre zębiska? Ach, te wielkie ostre zębiska? One służą do... no, do rozłupywania orzechów. A niektóre jagody bywają naprawdę groźne.

Zegary biły szóstą, kiedy dotarła do domu. Dostała swoje klucze. Przecież właściwie nie była służącą.

Nie można być księżną i służącą. Ale można być guwernantką. Było oczywiste, że nie jest się nią w rzeczywistości, lecz tylko spędza w ten sposób czas do chwili, kiedy zrobi się to, co każda dziewczyna czy panna powinna w życiu zrobić, czyli wyjść za jakiegoś mężczyznę. Jasne przecież, że to tylko taka zabawa.

Rodzice podopiecznych czuli dla niej respekt. Była córką diuka, podczas gdy pan Gaiter był człowiekiem o znacznych wpływach w hurtowym handlu obuwem. Pani Gaiter walczyła o przejście do Wyższych Sfer, co w tej chwili starała się osiągnąć, czytając książki o etykiecie. Traktowała Susan ze swego rodzaju trwożnym szacunkiem, należnym jej zdaniem każdemu, kto od urodzenia zna różnicę między serwetką a frywolitką.

Susan nigdy nie przyszłoby do głowy, że aby Awansować Towarzysko, jak tego próbowała dokonać pani Gaiter, należy zdawać jakieś testy.

Zwłaszcza że ci arystokraci, których poznała w domu ojca, nie używali ani serwetek, ani frywolitek, ale specjalnego stanu umysłu, który można opisać jako „rzuć na podłogę, psy to zjedzą”. Kiedy pani Gaiter drżącym głosem spytała ją, jak należy się zwracać do kuzyna królowej, Susan bez zastanowienia odpowiedziała: „Zwykle wołaliśmy go Kubuś”. Po czym pani Gaiter musiała w swoim pokoju cierpieć na migrenę.

Pan Gaiter kiwał tylko głową, kiedy spotykał Susan na korytarzu; nigdy zbyt wiele nie mówił. Był pewien, że wie, na czym stoi w obuwii, i to mu wystarczało.

Gdy Susan wróciła, Gawain i Twyla – nazwani tak przez ludzi, którzy chyba ich kochali – już leżeli w łóżkach. Sami nalegali. W pewnym wieku dość powszechna jest wiara, że wcześniejsze pójście do łóżka powoduje wcześniejsze nadejście jutra.

Poszła sprzątnąć w pracowni i przygotować wszystko na rano. Zaczęła zbierać zabawki zostawione przez dzieci w pokoju, gdy nagle coś zapukało w okno.

Wyjrzała przez szybę w ciemność, a potem otworzyła. Na zewnątrz z gałęzi zsunęła się śniegowa czapa.

Latem za oknem były gałęzie wiśni. Teraz w zimowym mroku widziała tylko wąskie szare linie tam, gdzie osiadł na nich śnieg.

– Kto tam? – zapytała.

Coś skakało wśród zamrzniętych gałązek.

– Ćwir, ćwir, ćwir... Uwierzysz? – odezwał się kruk.

– Znowu ty?

– A wolałabyś jakiegoś słodkiego małego rudzika? Posłuchaj, twój dzie...

– Uciekaj stąd.

Zatrzasnęła okno i zaciągnęła zasłony. Dla pewności odwróciła się do

nich plecami i spróbowała skupić uwagę na wnętrzu pokoju. Pomagało myślenie o... o rzeczach normalnych.

Normalne było strzeżeniowiedźmowe drzewko, mniejsza wersja tego wielkiego w holu. Pomagała dzieciom robić papierowe ozdoby. Tak. O tym można myśleć.

Były na nim papierowe łańcuchy. Były gałązki ostrokrzewu, wyrzucone z głównych pomieszczeń, ponieważ miały za mało jagód. Teraz otrzymały sztuczne jagody z plasteliny i zostały poutykane na półkach albo wetknięte za obrazy.

Z półki nad niewielkim kominkiem w pracowni zwisały dwie skarpety. Były też rysunki Twyli: atramentowobłękitne niebo, jadowicie zielona trawa i czerwone domki z czterema kwadratowymi oknami. To były...

...rzeczy normalne.

Wyprostowała się i patrzyła na nie; paznokciami wybijała powolny rytm na drewnianym pudełku ołówków.

Drzwi otworzyły się nagle, odsłaniając rozczochraną Twylę, jedną ręką ściskającą klamkę.

– Susan, pod moim łóżkiem znowu jest potwór...

Stuk paznokci Susan ucichł nagle.

– Słyszę, jak się tam rusza...

Susan westchnęła.

– Dobrze, Twyło. Zaraz przyjdę.

Dziewczynka kiwnęła głową i wróciła do sypialni. Na łóżko wskoczyła z pewnej odległości, by nie dosięgły jej szpony.

Zabrzmiał metaliczny zgrzyt, gdy Susan wyciągnęła pogrzebacz z niedużego mosiężnego stojaka, którzy dzielił ze szczypcami i łopatką do

węgla.

Westchnęła. Normalność jest tym, czym się ją uczyni.

Weszła do sypialni dzieci i pochyliła się, jakby chciała otulić Twylę kołdrą. I wtedy błyskawicznie sięgnęła pod łóżko. Chwyciła garść włosów. Pociągnęła.

Strach wystrzelił jak korek z butelki i zanim odzyskał równowagę, stał już w rozkroku pod ścianą, z ręką wykręconą za plecami. Zdołał jakoś odwrócić głowę i w odległości kilku cali zobaczył twarz wściekłej Susan.

Gawain podskakiwał radośnie na łóżku.

– Użyj na nim Głosu! Użyj na nim Głosu!

– Nie używaj Głosu, nie używaj Głosu! – błagał nerwowo strach.

– Walnij go po głowie pogrzebaczem!

– Nie pogrzebaczem! Nie pogrzebaczem!

– To ty, prawda? – upewniła się Susan. – Spotkaliśmy się dziś po południu.

– Tak... – Strach zmarszczył czoło, wyraźnie zdumiony. – Ale jak możesz mnie tutaj widzieć?

– To tylko przyjazne ostrzeżenie, rozumiesz? W końcu mamy święta.

Strach spróbował się poruszyć.

– To nazywasz przyjaznym?

– Aha... Wolisz spróbować nieprzyjaznego? – Susan wzmocniła uchwyt.

– Nie, nie, nie... Przyjazne bardzo mi się podoba!

– Ten dom jest zakazany, jasne?

– Jesteś czarownicą czy co? – jęczał strach.

– Jestem... czymś. A teraz... Nie będziesz już tu przychodził, prawda? Bo następnym razem czeka cię kocyk.

– Nie!

– Nie żartuję. Wsadzimy ci głowę pod kocyk.

– Nie!

– W takie puszyste króliczki...

– Nie!!!

– No to uciekaj.

Potykać się, strach pognął do drzwi.

– To nie w porządku – mamrotał. – Nie powinnaś nas widzieć, jak nie jesteś martwa albo magiczna... To nieuczciwe...

– Spróbuj pod dziewiętnastym! – zawołała Susan, miękąc trochę. – Tamtejsza guwernantka nie wierzy w strachy.

– Naprawdę? – spytał potwór z nadzieją.

– Wierzy za to w algebrę.

– Aha. To miło. – Strach uśmiechnął się szeroko. Doprawdy trudno uwierzyć, jak bardzo można napsocić w domu, gdzie nikt z posiadających autorytet nie wierzy w twoje istnienie. – No to znikam – powiedział. – Eee... Szczęśliwego Strzeżenia Wiedźm.

– Być może – mruknęła Susan, kiedy wtopił się w ciemność.

– Nie był taki zabawny jak ten z zeszłego miesiąca – stwierdził Gawain, wsuwając się pod kołdrę. – Wiesz, jak go kopnęłaś w portki...

– Spijcie już oboje.

– Verity mówi, że im szybciej zaśniemy, tym szybciej przyjdzie Wiedźmikołaj.

– Tak – przyznała Susan. – Niestety, możesz mieć rację.

Puścili tę uwagę mimo uszu. Nie była pewna, czemu w ogóle taka myśl przyszła jej do głowy. Ale nauczyła się już ufać własnym przeczuciom.

Chociaż nienawidziła takich przeczuć. Zatrwały życie. Niestety, taka się już urodziła.

Dzieci zasnęły opatulone. Susan cicho zamknęła drzwi i wróciła do pracowni.

Coś się zmieniło.

Zerknęła podejrzliwie na skarpety, ale nie zostały napełnione. Zaszeleścił papierowy łańcuch.

Spojrzała na drzewko. Było owinięte lametą, obwieszone niestarannie posklejanymi ozdobami. A na czubku siedziała wróżka zrobiona...

Susan skrzyżowała ręce na piersi, popatrzyła w sufit i westchnęła teatralnie.

– To ty, prawda? – zapytała.

PIP?

– Tak, nawet bardzo. Wystawiasz ręce jak strach na wróble i przyczepiłeś gwiazdkę na końcu kosi...

Śmierć Szczurów zawstydzony zwiesił głowę.

PIP.

– Nikogo nie oszukasz.

PIP.

– Schodź stamtąd natychmiast!

PIP.

– A co zrobiłeś z wróżką?

– Wepchnął ją pod poduszkę fotela – odpowiedział głos z półki po drugiej stronie pokoju. Coś zastukało i kruk dodał: – Do licha, twarde są te gałki oczne, nie ma co...

Susan przebiegła przez pokój i wyrwała miseczkę tak szybko, że kruk wykręcił salto i wylądował na grzbiecie.

– To są orzechy! – krzyknęła, gdy rozsypały się dookoła. – Nie gałki oczne! To pracownia szkolna dzieci. Różnica między pracownią a... a kruczymi delikatesami polega na tym, że bardzo rzadko stoją tu miski gałek ocznych, na wypadek gdyby jakiś kruk wpadł na przekąskę! Zrozumiano? Żadnych gałek ocznych! Świat pełen jest małych kulistych przedmiotów, które nie są gałkami ocznymi! Jasne?

Kruk przewrócił oczami.

– Przypuszczam, że kawałek ciepłej wątroby też nie wchodzi w grę?

– Zamknij dziób! Macie się obaj stąd wynosić, ale już! Nie wiem, jak się tu dostaliście...

– A jest jakieś prawo, które zakazuje wchodzenia przez komin w Noc Strzeżenia Wiedźm?

– ...ale nie życzę sobie, żebyście znowu pakowali się w moje życie! Zrozumiano?

– Szczur powiedział, że trzeba cię ostrzec, nawet jeśli jesteś wariatką – odparł nadąsany kruk. – Ja tam wcale nie chciałem przychodzić, przed bramą miasta leży martwy osioł, teraz będę miał szczęście, jeśli dostanę kopyto...

– Ostrzec? – powtórzyła Susan.

I znowu to uczucie. Zmiana pogody umysłu, wrażenie dotykającego czasu...

Śmierć Szczurów kiwnął łebkiem.

Z góry dobiegły odgłosy skrobania. Z przewodu kominowego spłynęło kilka płatków sadzy.

PIP, rzekł szczur, ale bardzo cicho.

Susan zdała sobie sprawę z nowego uczucia, tak jak ryba zdaje sobie sprawę z tego, że zaczął się odpływ, że źródło słodkiej wody wlewa się do morza. To czas napływał do świata.

Spojrzała na zegar – było wpół do siódmej.

Kruk podrapał się w dziób.

– Szczur mówi... Szczur mówi: lepiej uważaj.

Inni także pracowali w tę księżycową Wigilię Strzeżenia Wiedźm. Piaskowy Dziadek wędrował po świecie, wlokąc swój worek od jednego łóżka do drugiego. Mróz chodził ulicami i na okiennych szybach malował szronem niezwykle desenie.

Pewna mała, przygarbiona postać ślizgała się i potykała w rynsztoku, chlapiąc butami w topniejącym śniegu i przeklinając pod nosem.

Miała na sobie poplamiony czarny garnitur, a na głowie ten typ kapelusza, który w rozmaitych częściach multiwersum znany jest jako „melonik”, „dęciak” albo „taki, w którym wygląda się jak dureń”. Kapelusz ten został bardzo mocno wciśnięty na głowę, a że istota posiadała długie i spiczaste uszy, musiały rozsunąć się na boki, nadając jej wygląd niedużej i złośliwej nakrętki motylkowej.

Istota z kształtu była gnomem, ale z zawodu wróżką. Wróżki to niekoniecznie małe roziskrzane stworzonka. Wróżka to stanowisko zawodowe, a te najbardziej pospolite nie są nawet widzialne*. Wróżka jest po prostu istotą, zgodnie z nadprzyrodzonymi prawami zatrudnioną w danej chwili do zabierania pewnych rzeczy lub też – jak w przypadku tego niedużego stwora wspinającego się właśnie wewnątrz rynny – do ich przynoszenia.

Tak. Przynosił. Ktoś to musi robić, a on wyglądał akurat na odpowiedniego gнома do tej pracy.

O tak...

Sideney był zdenerwowany. Nie lubił przemocy, a wiele jej się wydarzyło w ostatnich dniach, jeśli w tym miejscu w ogóle miały dni. Ci ludzie... Zdawało się, że życie jest dla nich interesujące tylko wtedy, kiedy robią coś brutalnego komuś innemu. Nie zaczepiali go – z tych samych powodów zapewne, dla jakich lwy nie przejmują się mrówkami. Ale bardzo go niepokoił.

Chociaż nie aż tak bardzo jak Herbatka. Nawet ten bandzior, którego nazywali Siatą, traktował Herbatkę z ostrożnością, jeśli nie respektem. A potwór zwany Banjo chodził za nim jak szczeniak.

Właśnie ten olbrzym obserwował Sideneya.

Trochę za bardzo przypominał Ronniego Jenksa, łobuza, który utrudniał mu życie w szkole babuni Wimblestone. Ronnie nie był uczniem. Był wnukiem staruszki, bratankiem czy czymś takim, co dawało mu prawo do włóczenia się po terenie szkoły i bicia dowolnego dziecka, które było od niego mniejsze, słabsze albo mądrzejsze – co oznaczało, że miał mniej więcej cały świat do wyboru. W tych okolicznościach wyjątkową niesprawiedliwością było, że zawsze wybierał Sideneya.

Sideney nie czuł do Ronniego nienawiści. Za bardzo się go bał. Chciał zostać jego przyjacielem. Tak bardzo tego pragnął... Ponieważ wtedy

istniałaby szansa, że jego głowa nie byłaby tak często wdeptywana w ziemię, a śniadanie było zjadane, zamiast wrzucane do wychodka. I tak uznawał dzień za udany, jeśli to było tylko śniadanie.

A potem, mimo wszelkich wysiłków Ronniego, Sideney urósł i poszedł na studia. Od czasu do czasu matka opowiadała mu, co się u Ronniego dzieje (wzorem wszystkich matek zakładała, że skoro jako chłopcy chodzili razem do szkoły, to muszą być przyjaciółmi). Okazało się, że Ronnie prowadzi stragan z owocami i ożenił się z dziewczyną imieniem Angie*. Zdaniem Sideneya, nie była to dostateczna kara.

Banjo nawet oddychał jak Ronnie, który musiał się koncentrować na takim ćwiczeniu intelektualnym, i zawsze miał zatkaną jedną dziurkę w nosie. W dodatku stale trzymał otwarte usta, przez co wyglądał, jakby karmił się niewidocznym planktonem.

Sideney starał się skupić na pracy i nie zwracać uwagi na bulgotanie za plecami.

– Fascynujące – stwierdził Herbatka. – U ciebie wygląda to tak łatwo...

Sideney wyprostował się nerwowo.

– Tego... Powinno już być w porządku, proszę pana. Trochę się popsuło, kiedy sypaliśmy te... – Nie potrafił się zmusić, by wymówić to słowo; starał się nawet omijać stos wzrokiem, to przez ten dźwięk, jaki wydawały. – ...Te rzeczy – dokończył.

– Nie trzeba powtarzać zaklęcia?

– Och, będzie działało już zawsze – wyjaśnił Sideney. – Te najprostsze tak mają. To po prostu zmiana stanu, uruchamiana przez... no... w każdym razie nie przestaje działać.

Przełknął ślinę.

– No więc... – podjął niepewnie – myślałem... Bo skoro nie jestem już potrzebny, sir, to może...

– Pan Brown ma chyba problemy z zamkami na ostatnim piętrze – oznajmił Herbatka. – Te drzwi, których nie mogliśmy otworzyć. Pamiętasz? Na pewno chciałbyś mu pomóc.

– Nie jestem ślusarzem...

– Wydaje się, że są magiczne.

Sideney już otwierał usta, by odpowiedzieć: „Ale ja nie bardzo potrafię otwierać magiczne zamki”, jednak zrezygnował. Zdążył pojąć, że jeśli Herbatka chce, żeby człowiek coś zrobił, a ten człowiek nie bardzo sobie z tym radzi, to najlepszym rozwiązaniem – a może nawet jedynym rozwiązaniem – jest jak najprędzej nauczyć się radzić sobie doskonale. Sideney nie był głupcem. Widział, jak wobec Herbatki zachowywali się inni, a przecież ci ludzie robili rzeczy, o których on tylko śnił*.

Z ulgą zauważył, że po schodach idzie Średni Dave. I wiele mówi o Herbatce fakt, że ktoś z ulgą przyjął pojawienie się takiego przerywnika jak Średni Dave.

– Znaleźliśmy drugiego strażnika. Na szóstym piętrze. Chował się.

Herbatka wstał.

– Och jej – powiedział. – Nie próbował udawać bohatera, co?

– Jest tylko przerażony. Mamy go wypuścić?

– Wypuścić? – zdziwił się Herbatka. – Zbyt niechlujne. Pójdę tam na górę. Chodźmy, panie magu.

Sideney niechętnie ruszył za nim po schodach.

Wieża – jeśli to jest wieża, pomyślał; był przyzwyczajony do dziwacznej architektury Niewidocznego Uniwersytetu, ale przy tym tutaj NU wyglądał zupełnie normalnie – stanowiła pustą wewnątrz rurę. Nie mniej niż cztery różne ciągi schodów wspinały się wewnątrz, przecinając się na podestach, a czasami przechodząc przez siebie nawzajem, wbrew powszechnie

akceptowanej fizyce. To jednak było całkiem zwyczajne dla absolwenta Niewidocznego Uniwersytetu, chociaż z formalnego punktu widzenia Sideney jeszcze nie został absolwentem. Tym, co porażało wzrok, był całkowity brak cieni. Człowiek nie dostrzega cieni, nie zauważa, jak podkreślają kształty, jak nadają światu fakturę – dopóki nie znikną. Białym marmur – jeśli to właśnie biały marmur – wydawał się lśnić od wewnątrz. Nawet kiedy to niemożliwe słońce świeciło przez okno, zamiast porządnego cienia pojawiały się ledwie szare smugi. Wieża tak jakby unikała mroku.

Było to jeszcze bardziej przerażające, kiedy po przejściu skomplikowanego podestu człowiek odkrywał, że idzie w górę, schodząc w dół po dolnej powierzchni schodów, a daleka podłoga wisi mu nad głową jak strop. Zauważył, że nawet pozostali zamykają oczy, kiedy im się to przytrafia. Herbatka jednak przeskakiwał wtedy po trzy stopnie naraz i śmiał się jak dziecko, które dostało nową zabawkę.

Dotarli do górnego piętra i ruszyli korytarzem. Pozostali czekali przy zamkniętych drzwiach.

– Zabarykadował się – oznajmił Siata.

Herbatka zastukał.

– Hej, ty, w środku! – zawołał. – Wychodź. Masz moje słowo, że nie stanie ci się krzywda.

– Nie!

Herbatka odstąpił.

– Wywal te drzwi, Banjo – polecił.

Banjo wysunął się ciężko naprzód. Drzwi wytrzymały kilka potężnych kopniaków, po czym odskoczyły na bok.

Strażnik chował się za przewróconą szafką. Skulił się, gdy podszedł do niego Herbatka.

– Co tu robicie?! – zawołał. – Kim jesteście?!

– Cieszę się, że spytałeś – odparł z uśmiechem skrytobójca. – Jestem twoim najgorszym koszmarem.

Strażnik zadrżał.

– Znaczy... tym z gigantyczną kapustą i takimi jakby wirującymi nożami?

– Słucham? – zdumiał się Herbatka, nieco skonsternowany.

– Czyli jesteś tym, w którym spadam, tylko że zamiast gruntu jest tylko...

– Nie. Prawdę mówiąc, jestem...

Strażnik przygarbił się.

– Oj, ale chyba nie tym, gdzie jest pełno, no wiesz... błota, a potem wszystko się robi niebieskie...

– Nie. Jestem...

– Och, w takim razie jesteś tym, gdzie są takie drzwi, tylko za nimi nie ma podłogi, a potem wysuwają się takie kleszcze...

– Nie – odparł Herbatka. – Nie tym. – Wyjął z rękawa sztylet. – Jestem tym, w którym jakiś człowiek pojawia się znikąd i zabija cię na śmierć.

Strażnik uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

– Och, tym... – Odetchnął. – Ale ten nie jest bardzo...

Zsunął się z wysuniętej nagle ręki skrytobójcy. A potem, tak jak wszyscy inni, rozwiął się.

– Mam wrażenie, że to był akt miłosierdzia – stwierdził Herbatka. – Ale w końcu mamy już prawie Strzeżenie Wiedźm.

Śmierć, z poduszką osuwającą się wolno pod szatą, stanął pośrodku dywanu w pokoju dzieciennym...

Dywan był stary. Do pokoju dzieciennego trafiało to, co już zaliczyło służbę w pozostałej części domu. Dawno temu ktoś starannie powplatał w jutowy podkład długie kawałki kolorowego materiału, przez co dywan wyglądał jak spłaszczony rastafariański jeź. Wśród tych szmatek kryły się okruszki, kawałki zabawek, wiadra kurzu. Ten dywan poznał życie. Może nawet jakieś w nim wyewoluowało.

A teraz od czasu do czasu spadała na niego gruda brudnego, topniejącego śniegu.

Susan była czerwona z wściekłości.

– Chcę wiedzieć dlaczego! – oznajmiła, obchodząc stojącą postać dookoła. – Przecież to Strzeżenie Wiedźm! Powinno być radośnie, z jemiołą i ostrokrzewem, i... i innymi zielonymi rzeczami! To czas, kiedy ludzie chcą być szczęśliwi i zadowoleni, chcą jeść, póki nie pękną. Kiedy chcą się zobaczyć ze wszystkimi krewnymi...

Nie dokończyła tego zdania.

– Chodzi mi o to, że to czas, kiedy ludzie są naprawdę ludzcy – powiedziała. – I nie chcą na wieczerzy... szkieletu. A zwłaszcza takiego, jeśli wolno mi dodać, który nosi sztuczną brodę, a pod szatę wcisnął tę nieszczęsną poduszkę! Chcę wiedzieć dlaczego.

Śmierć był wyraźnie zdenerwowany.

ALBERT POWIEDZIAŁ, ŻE POMOŻE MI TO WPROWADZIĆ SIĘ W ODPOWIEDNI NASTRÓJ. EEE... MIŁO CIĘ ZNOWU WIDZIEĆ.

Coś mlasnęło.

Susan odwróciła się natychmiast, wdzięczna teraz za każdą zmianę tematu.

– Myślisz, że cię nie słyszę? To są winogrona, jasne? A te drugie to

mandarynki! Wyskakuj z patery z owocami!

– Nie możesz obwiniać ptaka o to, że próbował – odpowiedział ze stołu nadąsany kruk.

– A ty zostaw te orzechy w spokoju! Są na jutro!

FIF, odpowiedział Śmierć Szczurów, przełykając pospiesznie.

Susan wróciła do Śmierci. Przyprawiony brzuch Wiedźmikołaja zsunął się już do poziomu krocza.

– To miły dom – oświadczyła. – I dobra praca. Jest rzeczywista, wśród zwyczajnych ludzi. Pragnęłam normalnego życia. I nagle do miasta znowu przyjeżdża cyrk. Spójrzcie tylko na siebie! Trzech klaunów! No więc nie wiem, co się dzieje, ale macie wszyscy się stąd wynosić! To moje życie! Nie należy do żadnego z was. Nie będzie...

Zabrzmiało stłumione przekleństwo, spadł kłęb sadzy, a potem w palenisku wylądował chudy starzec.

– Bum! – powiedział.

– Coś podobnego! – złościła się Susan. – Mamy i skrzata Alberta! No, no! Prosimy do środka! Niedługo zabraknie miejsca, jeśli prawdziwy Wiedźmikołaj szybko się nie zjawi.

ON DO NAS NIE DOŁĄCZY, powiedział Śmierć. Poduszka wysunęła się i spadła na dywan.

– Och, a to czemu? Dzieci napisały do niego listy. Są pewne zasady, jak wiesz.

TAK. SĄ ZASADY. I OBOJE SĄ NA LIŚCIE. SPRAWDZIŁEM.

Albert ściągnął z głowy spiczasty kapelusz i wypluł z ust sadzę.

– Zgadza się. Sprawdził. Dwa razy – potwierdził. – Znajdzie się tu coś do picia?

– Więc po co się zjawiliście? – zapytała groźnie Susan. – Jeśli w sprawach służbowych, to muszę zaznaczyć, że te kostiumy są w bardzo złym guście...

WIEDŹMIKOŁAJ JEST... NIEDOSTĘPNY.

– Niedostępny? W Wigilię Strzeżenia Wiedźm?

JEST... NIECH POMYŚLĘ... NIE ISTNIEJE CAŁKOWICIE ODPOWIEDNIE LUDZKIE SŁOWO, WIĘC... ZGÓDŹMY SIĘ NA... MARTWY. TAK JEST MARTWY.

Susan nigdy nie wieszała skarpety nad kominkiem. Nigdy nie szukała jajek Duchociastnej Kaczki. Nie wkładała zęba pod poduszkę, poważnie oczekując, że zjawi się jakaś wróżka o dentystycznych skłonnościach.

Nie o to chodzi, że jej rodzice nie wierzyli w takie rzeczy. Nie musieli wierzyć – wiedzieli, że one istnieją. Woleliby tylko, żeby ich nie było.

Naturalnie, w odpowiednich porach dostawała prezenty, każdy ze starannie wypisaną etykietą, mówiącą, od kogo pochodzi. A w Duchociastny Poranek wspinała jajo, wypełnione słodyczami. Za mleczne zęby ojciec wypłacał jej dolara za sztukę, bez dyskusji*. Ale to wszystko było takie prostolinijne.

Teraz wiedziała, że starali się ją ochraniać. Wtedy nie miała pojęcia, że ojciec przez jakiś czas był uczniem Śmierci, a matka – Śmierci adoptowaną córką. Zachowała bardzo niewyraźne wspomnienia o tym, że kilka razy rodzice zabierali ją w odwiedziny do kogoś, kto był całkiem, no, całkiem wesoły w swoim dziwnym, chudym stylu. Te wizyty nagle się urwały. Spotkała go później, owszem, miał swoje zalety i przez jakiś czas zastanawiała się, czemu rodzice byli tak nieczuli...

Dziś rozumiała, że próbowali trzymać ją z daleka. W genetyce kryło się o wiele więcej niż tylko wijące się spirale.

Potrafiła przechodzić przez ściany, kiedy naprawdę musiała. Potrafiła

używać takiego tonu głosu, który był raczej działaniem niż słowami, który sięgał jakoś ludziom do wnętrza i uruchamiał właściwe przełączniki. A jej włosy...

Zaczęło się niedawno. Włosy i tak zawsze były nie do ułożenia, ale w wieku mniej więcej siedemnastu lat odkryła, że same się układają.

Rozstała się przez to z kilkoma młodymi ludźmi. Czyjeś włosy układające się w nową fryzurę, pukle zwijające się wokół siebie jak młode kocięta na legowisku potrafią utrudnić bliższe związki.

Robiła postępy. Mijały całe dni, kiedy czuła się jedynie i całkowicie człowiekiem.

To zwykła historia, prawda? Można wyruszyć w świat, można ułożyć sobie życie, ale wcześniej czy później zawsze zjawi się ktoś z tych kłopotliwych krewnych.

Stękając i klnąc, gnom wygramolił się z kolejnej rynny, mocniej wcisnął kapelusz na głowę, wyrzucił swój worek w zaspę i sam wyskoczył za nim.

– Ta była niezła – mruknął. – Całe tygodnie będzie się męczył, zanim się jej pozbędzie.

Wyjął z kieszeni pomięty kawałek papieru i przyjrzał się uważnie. Potem zauważył starszego mężczyznę, który pracował w milczeniu przy sąsiednim domu – stał przy oknie i skoncentrowany malował coś na szybie. Gnom podszedł z ciekawości i popatrzył krytycznie.

– Dlaczego tylko paprocie? – zapytał po chwili. – Owszem, ładne, ale powiem szczerze, za deseń w paprocie nie wrzuciłbym ci do kapelusza nawet pensa.

Malarz Mróz odwrócił się, unosząc pędzel.

– Tak się składa, że lubię desenie w paprocie – oznajmił chłodno.

– Ale wiesz, ludzie woleliby raczej, no... smutne dzieci z wielkimi oczami, kotki wyglądające z butów, szczeniaczki.

– A ja maluję paprocie.

– Albo wielkie wazony słoneczników, albo pogodne sceny na plaży...

– I paprocie.

– No ale gdyby jakiś ważny kapłan chciałby, żebyś sklepienie świątyni pomalował w bogów, aniołów i całą resztę, to co byś zrobił?

– Mógłby dostać tylu bogów i aniołów, ilu by zechciał, pod warunkiem...

– ...że wyglądałoby jak paprocie?

– Nie podoba mi się sugestia, że jestem monotematyczny – stwierdził Mróz. – Umiem też robić bardzo ładną jodełkę.

– A jak ona wygląda?

– No... przyznaję, że dla niewprawnego oka ma pewne paprociowe cechy.
– Mróz pochylił się. – A kim ty jesteś?

Gnom odstał o krok.

– Nie jesteś Wrózką Zębuszką, co? – domyślił się Mróz. – Ostatnio coraz więcej ich widuję. Miłe dziewczyny.

– Nie, nie, nie. Nie zęby. – Gnom mocniej ścisnął worek.

– A co?

Gnom powiedział.

– Naprawdę? – zdziwił się Mróz. – Myślałem, że one same się pojawiają.

– Skoro już o tym mowa, to ja z kolei sądziłem, że szron na szybach też pojawia się sam z siebie. A w ogóle to nie sprawiasz wrażenia szczypiącego.

I pewnie się nie wciskasz pod pierzynę.

– Nie śpiam – odparł lodowato Mróz. Odwrócił się. – A teraz, jeśli wybaczysz, mam jeszcze sporo okien do pomalowania. Paprocie nie są łatwe. Wymagają pewnej ręki.

– Jak to martwy? – zdumiała się Susan. – Jak Wiedźmikołaj może być martwy? Przecież... Czy on nie jest kimś takim jak ty? Taką...

ANTROPOMORFICZNĄ PERSONIFIKACJĄ? TAK. TYM SIĘ STAŁ. DUCHEM STRZEŻENIA WIEDŹM.

– Ale... jak? Jak ktoś mógłby zabić Wiedźmikołaja? Zatruta sherry? Kolce w kominie?

ISTNIEJĄ... BARDZIEJ SUBTELNE METODY.

– Ekhem, ekhem... Ależ tam było sady – odezwał się głośno Albert. – Strasznie mnie drapie w gardle.

– I ty przejąłeś obowiązki? – Susan nie zwracała uwagi na sługę. – To chore!

Śmierć zdołał wyglądać na urażonego.

– Może pójdę i czegoś poszukam. – Albert wyminął ją i otworzył drzwi.

Pchnęła je szybko.

– A co ty tu robisz, Albercie? – spytała, chwytając się brzytwy. – Myślałam, że umrzesz, jeśli powrócisz do tego świata.

ALE MY NIE JESTEŚMY W TYM ŚWIECIE, wyjaśnił Śmierć. ZNAJDUJEMY SIĘ W SPECYFICZNEJ RZECZYWISTOŚCI PRZYSTAJĄCEJ, STWORZONEJ DLA WIEDŹMIKOŁAJA. NORMALNE PRAWA MUSIAŁY ULEC ZAWIESZENIU. JAK INACZEJ KTOŚ MÓGŁBY W CIĄGU JEDNEJ NOCY OBJECHAĆ CAŁY ŚWIAT?

– Zgadza się – potwierdził Albert. – „Jeden z Małych Pomocników Wiedźmikołaja” to właśnie ja. Oficjalnie. Dostałem zielony spiczasty kapelusz i w ogóle.

Spostrzegł szklaneczkę sherry i rzepy zostawione przez dzieci na stoliku. Skierował się ku nim.

Susan była zaszokowana. Klika dni temu zabrała dzieci do Groty Wiedźmikołaja w jednym z wielkich sklepów przy Pale. Oczywiście, Wiedźmikołaj nie był prawdziwy, ale okazał się całkiem niezłym aktorem w czerwonym kostiumie. Byli też ludzie przebrani za skrzaty, a na ulicy przed sklepem pikieta Kampanii Równego Wzrostu*.

Żaden ze skrzatów nie przypominał Alberta. Gdyby tak było, ludzie wchodziliby do Groty tylko z bronią.

– Byłaś grzeczna? – zapytał Albert i splunął do kominka.

Śmierć pochylił się. Spojrzała w błękitne lśnienie jego oczu.

RADZISZ SOBIE? – zapytał.

– Tak.

JESTEŚ SAMODZIELNA? SAMA KIERUJESZ SWOIM ŻYCIEM?

– Tak!

TO DOBRZE. NO CÓŻ, ALBERCIE, NA NAS JUŻ PORA. ZAŁADUJEMY SKARPETY I RUSZAMY DALEJ.

W jego dłoni pojawiły się dwa listy.

KTOŚ TU DAŁ DZIECKU NA IMIĘ TWYLA?

– Obawiam się, że tak, ale czemu...

A DRUGIE TO GAWAIN?

– Tak, ale powiedz, jak...

DLACZEGO GAWAIN?

– No... Myślę, że to dobre i mocne imię dla wojownika...

SAMOSPEŁNIAJĄCA SIĘ PRZEPOWIEDNIA, PODEJRZEWAM. WIDZĘ, ŻE DZIEWCZYŃKA PISZE ZIELONĄ KREDKĄ NA RÓŻOWYM PAPIERZE Z MYSZKĄ W ROGU. MYSZKA NOSI SUKNIĘ.

– Powinnam chyba zaznaczyć, że zrobiła to, aby Wiedźmikołaj uznał ją za słodkie dziecko – oświadczyła Susan. – Temu celowi służą również świadomie popełniane błędy w pisowni. Ale dlaczego ty...

PISZE TU, ŻE MA PIĘĆ LAT.

– Wiek się zgadza, ale jeśli chodzi o cynizm, to raczej trzydzieści pięć. Dlaczego ty roznosisz...

WIERZY W WIEDŹMIKOŁAJA?

– Uwierzy we wszystko, jeśli ma za to dostać lalkę. Ale nie odejdiesz stąd bez wyjaśnienia...

Śmierć odwiesił skarpety nad kominek.

MUSIMY JUŻ ZNIKAĆ. SZCZĘŚLIWEGO STRZEŻENIA WIEDŹM. EEE... A TAK: HO. HO. HO.

– Niezła sherry – pochwalił Albert, ocierając usta.

Złość wyprzedziła u Susan ciekawość. Musiała pędzić bardzo szybko.

– Naprawdę wypijasz te drinki, które małe dzieci zostawiają dla Wiedźmikołaja?

– Jasne. A czemu nie? On ich przecież nie wypije. Nie tam, gdzie odszedł.

– A ile już wypiliśmy, jeśli wolno spytać?

– Nie wiem, nie liczyłem – odparł z zadowoloną miną Alfred.

JEDEN MILION OSIEMSET TYSIĘCY SIEDEMSET SZEŚĆ,
powiedział Śmierć. I ZJADŁ SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM TYSIĘCY
TRZYSTA DZIEWIĘTNAŚCIE PASZTECIKÓW ORAZ JEDNĄ RZEPĘ.

– Wyglądała pasztecikowato – wyjaśnił Albert. – Jak zresztą wszystko, po
pewnym czasie.

– To czemu nie pękłeś?

– Nie wiem. Nigdy nie miałem kłopotów z trawieniem.

DLA WIEDŹMIKOŁAJA WSZYSTKIE PASZTECIKI SĄ JAK JEDEN
PASZTECIK. Z WYJĄTKIEM TEGO, KTÓRY BYŁ RZEPĄ. CHODŹ,
ALBERCIE, WDARLIŚMY SIĘ DO CZASU SUSAN.

– Dlaczego to robisz?! – wrzasnęła Susan.

PRZYKRO MI, NIE MOGĘ CI POWIEDZIEĆ. ZAPOMNIJ, ŻE MNIE
WIDZIAŁAŚ. TO NIE JEST TWOJA SPRAWA.

– Nie moja sprawa? Jak to...

A TERAZ... MUSIMY JUŻ IŚĆ.

– Dobrej nocy – powiedział Albert.

Zegar uderzył dwa razy, na połowę godziny. Wciąż było wpół do siódmej.

A oni zniknęli.

Sanie pędziły po niebie.

– Będzie próbowała się dowiedzieć, o co w tym chodzi. Sam wiesz, panie

– powiedział Albert.

OCH, JEJ.

– Zwłaszcza że kazałeś jej tego nie robić.

TAK MYŚLISZ?

– Tak – zapewnił Albert.

COŚ TAKIEGO... MUSZĘ SIĘ JESZCZE DUŻO NAUCZYĆ O LUDZIACH, PRAWDA?

– No... nie wiem – mruknął Albert.

OCZYWIŚCIE NIEWŁAŚCIWYM BYŁOBY MIESZANIE W TO WSZYSTKO LUDZKICH ISTOT. DLATEGO WŁAŚNIE, JAK SOBIE PRZYPOMINASZ, WYRAŹNIE ZAKAZAŁEM JEJ INTERESOWAĆ SIĘ TĄ SPRAWĄ.

– Tak. Rzeczywiście.

POZA TYM TO Wbrew REGUŁOM.

– Ale mówiłeś, panie, że te szare paskudy już i tak złamały reguły.

OWSZEM, ALE NIE MOGĘ POMACHAĆ MAGICZNĄ RÓŻDŻKĄ I WSZYSTKIEGO NAPRAWIĆ. SĄ ODPOWIEDNIE PROCEDURY. Śmierć patrzył przez chwilę przed siebie, po czym wzruszył ramionami. A MY MAMY JESZCZE TYŁE DO ZROBIENIA. OBIETNICE DO DOTRZYMANIA.

– Cóż, noc jeszcze młoda – zauważył Albert, rozsiadając się między workami.

NOC JEST STARA. NOC ZAWSZE JEST STARA.

Świnie galopowały. A po chwili...

– Nie, nie jest.

SŁUCHAM?

– Noc nie jest przecież starsza niż dzień, panie. To logiczne. Bo musiał być dzień, nim jeszcze ktokolwiek wiedział, czym jest noc.

TO PRAWDA, ALE TAK JEST BARDZIEJ DRAMATYCZNIE.

– A... chyba że tak.

Susan stała przy kominku.

Nie o to chodzi, że nie lubiła Śmierci. Śmierć jako osoba, a nie jako ostateczna kurtyna sceny życia, był kimś, kogo nie potrafiła nie lubić. W pewien specyficzny sposób.

Ale i tak...

Sam pomyśl, że Mroczny Kosiarz napełnia strzeżeniowiedźmowe skarpety całego świata, jakoś nie mógł ułożyć się w jej głowie, choćby obracała go na wszystkie strony. To tak jakby próbowała sobie wyobrazić Starego Biedę jako Wróżkę Zębuszkę. A tak, Stary Bieda... to by dopiero było nieprzyjemne spotkanie.

Ale uczciwie, jaki chory osobnik chciałby zakradać się nocą do dziecięcych sypialni?

No, Wiedźmikołaj, oczywiście, ale...

Coś brzęknęło cichutko u podstawy strzeżeniowiedźmowego drzewka.

Kruk odskoczył pospiesznie od szczątków jednej z błyszczących kul.

– Przepraszam – wymamrotał. – To taka gatunkowa reakcja. No wiesz... okrągłe, lśniące... Czasami po prostu musisz dziobnąć...

– Te czekoladowe pieniądze należą do dzieci!

PIP? – zdziwił się Śmierć Szczurów, odsuwając się od błyszczących monet.

– Dlaczego on to robi?

PIP.

– Ty też nie wiesz?

PIP.

– Są jakieś kłopoty? Może to on coś zrobił prawdziwemu Wiedźmikołajowi?

PIP.

– Dlaczego nie chce mi powiedzieć?

PIP.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

Coś zaszeleściło za jej plecami. Obejrzała się; kruk starannie odrywał z opakowania prezentu kawałek czerwonego papieru.

– Przestań natychmiast!

Spojrzał na nią przepaszająco.

– Tylko kawałeczek – powiedział. – Nikt nawet nie zauważy.

– A właściwie po co ci ten papier?

– Przyciągają nas jaskrawe kolory, wiesz? Taki odruch.

– Nie was, tylko sroki!

– Do licha! Poważnie?

Śmierć Szczurów kiwnął łebkiem.

PIP.

– Aha, więc nagle zostałeś Panem Ornitologiem, tak? – burknął kruk.

Susan przykucnęła i wyciągnęła rękę. Śmierć Szczurów wskoczył jej na dłoń. Czuła jego pazurki jakby maleńkie szpileczki.

Była to jedna z tych scen, kiedy słodka i piękna heroina odśpiewuje krótki duet z Panem Drozdem.

No, w każdym razie podobna.

Przynajmniej w ogólnych zarysach. Niekoniecznie dozwolona dla małych dzieci.

– Czy coś mu dolega umysłowo?

PIP. Szczur wzruszył ramionami.

– Ale coś takiego jest możliwe, prawda? Jest przecież bardzo stary i na pewno widział wiele strasznych rzeczy.

PIP.

– Wszystkie nieszczęścia tego świata – przetłumaczył kruk.

– Zrozumiałam – odparła Susan.

To też był szczególny talent – nie wiedziała, co mówi szczur. Wiedziała, co ma na myśli.

– Dzieje się coś niedobrego, a on nie chce mi powiedzieć?

Ta myśl rozzłościła ją jeszcze bardziej.

– Ale Albert też jest w to zamieszany – dodała.

Myślała: tysiące, miliony lat na tym samym stanowisku. Niezbyt przyjemnym. Nie zawsze to sympatyczni staruszkowie umierają ze starości. Wcześniej czy później każdy by się załamał.

Ktoś musi coś z tym zrobić. Tak jak wtedy, kiedy babcia Twyli zaczęła wszystkim wmawiać, że jest cesarzową Krullu, i przestała nosić ubranie.

Susan była dostatecznie inteligentna, by wiedzieć, że zdanie „Ktoś musi coś z tym zrobić” samo w sobie niewiele znaczy. Ludzie, którzy je wypowiadają, nigdy nie kończą „a tym kimś jestem ja”. Ale ktoś naprawdę powinien się zająć tą sprawą, a w tej chwili cała pula ktosiów składała się z niej i nikogo innego.

Babcia Twyli trafiła do domu opieki nad brzegiem morza w Quirmie. Takie rozwiązanie w tej sytuacji raczej nie miało zastosowania. Poza tym nie byłby popularny wśród współlokatorów.

Skoncentrowała się. To był talent najprostszy ze wszystkich. Zdumiewało ją, że inni tego nie potrafią. Zamknęła oczy, wyciągnęła przed siebie obie ręce, dłońmi w dół, rozłożyła palce, a potem opuściła ramiona.

Mniej więcej w połowie drogi w dół zegar przestał tykać. Ostatnie ryknięcie było długie, rozciągnięte niczym śmiertelny kaszel.

Czas się zatrzymał.

Ale trwanie się kontynuowało.

Kiedy jeszcze była mała, dziwiła się, czemu odwiedziny u dziadka mogą się ciągnąć całymi dniami, a jednak kiedy wracała, kalendarz brnął spokojnie przed siebie, jakby wcale nie odchodziła.

Dzisiaj wiedziała już dlaczego, chociaż pewnie żadna ludzka istota nie umiałaby pojąć jak. Gdzieś, kiedyś, jakoś cyfry na zegarze nie miały znaczenia.

Między każdą parą wymiernych chwil istniały miliardy chwil niewymiernych. Poza godzinami istniało miejsce, gdzie jeździł Wiedźmikołaj, gdzie Wróżki Zębuszki wspinały się na drabiny, Mróz malował swoje obrazy, a Duchociastna Kaczka zносиła czekoladowe jaja. W nieskończonych odstępach pomiędzy niezdarnymi sekundami Śmierć przesuwiał się niczym czarownica tańcząca wśród kropli deszczu i nigdy nie był zmoczony.

Ludzie mogli tu... Nie, ludzie nie mogli tu żyć, w żadnym razie, bo nawet jeśli rozcieńczy się kieliszek wina wanną wody, ma się więcej cieczy, ale wciąż tyle samo wina. Gumowa taśma wciąż była tą samą gumową taśmą, choćby nie wiem jak ją rozciągnąć.

Ludzie jednak mogli tu... istnieć.

Nigdy nie było zbyt zimno, choć powietrze kłuło trochę, jak w słoneczny zimowy dzień. Ale ludzkie przyzwyczajenie kazało Susan wyjąć z szafy płaszcz.

PIP.

– Czyli nie musisz się chwilowo zajmować żadnymi myszami ani szczurami?

– Nie; tuż przed Strzeżeniem Wiedźm jest spokojnie – odpowiedział kruk, który usiłował złożyć pazurami czerwony papier. – Lecz za parę dni pojawi się sporo świnek morskich i chomików. Kiedy dzieciaki zapomną je nakarmić albo spróbują sprawdzić, jak działają.

Oczywiście, musi zostawić dzieci. Ale przecież nic im się nie stanie. Nie istniał czas, w którym coś mogłoby się im stać.

Zbiegła po schodach i wyszła frontowymi drzwiami.

Śnieg wisiał w powietrzu. I nie był to poetycki opis. Płatki unosiły się niczym gwiazdy, a kiedy dotykały Susan, topniały z krótkim jaskrawym rozbłyskiem.

Na ulicy panował spory ruch, tyle że unieruchomiony w czasie. Szła ostrożnie, wymijając przechodniów, aż dotarła do bramy parku.

Śnieg dokonał tego, co nie udało się nawet magom i straży – oczyścić Ankh-Morpork. Nie zdążyło się jeszcze zabrudzić. Rankiem będzie pewnie wyglądać jak przysypane kawowymi bezami, ale w tej chwili krzewy i drzewa okrywała czysta biel.

Panowała cisza. Zasłona śniegu przesłaniała światła miasta. Susan przeszła tylko kilka kroków, a miała wrażenie, że znalazła się na wsi.

Wsunęła dwa place do ust i gwizdnęła.

– A wiesz, mogłabyś to zrobić trochę bardziej ceremonialnie – stwierdził kruk, który przysiadł na obsypanej śniegiem gałęzi.

– Nie kłap dziobem.

– Ale i tak nieźle ci wyszło. Lepiej niż potrafiłaby większość kobiet.

– Zamknij się.

Czekali.

– Dlaczego ukradłeś kawałek czerwonego papieru z prezentu dziewczynki? – spytała Susan.

– Mam swoje plany – odparł tajemniczo kruk.

Czekali dalej.

Zastanawiała się, co będzie, jeśli to nie zadziała. Zastanawiała się, czy szczur parsknie śmiechem. Miał najbardziej irytujące parsknięcie na świecie.

Wreszcie zadudniły kopyta, płatki śniegu w powietrzu rozsypały się na boki – i zjawiał się koń.

Pimpuś klusem zatoczył koło, a potem zatrzymał się, parując.

Nie był osiodłany. Nie można spaść z konia Śmierci.

Jeśli wsiądę, myślała Susan, wszystko zacznie się od początku. Odejdę ze światła do świata innego niż ten realny. Spadnę z liny...

Ale jakiś głos w umyśle powiedział: Przecież chcesz tego... prawda?

Dziesięć sekund później pozostał już tylko śnieg.

Kruk zwrócił się do Śmierci Szczurów.

– Masz pomysł, skąd wziąć kawałek sznurka?

PIP.

Była obserwowana.

Jeden powiedział, Kim ona jest?

Jeden powiedział, Czy pamiętamy adoptowaną córkę Śmierci? Ta młoda kobieta jest jej córką.

Jeden powiedział, Czy jest człowiekiem?

Jeden powiedział, Na ogół.

Jeden powiedział, Czy można ją zabić?

Jeden powiedział, Och, oczywiście.

Jeden powiedział, No to wszystko w porządku.

Jeden powiedział, Eee... Nie myślimy chyba, że będą z tego powodu jakieś kłopoty, prawda? Wszystko to nie ma... autoryzacji. Nie chcemy, żeby padły pytania.

Jeden powiedział, Mamy obowiązek uwolnić wszechświat od

nieuporządkowanego myślenia.

Jeden powiedział, Wszyscy będą wdzięczni, kiedy się dowiedzą.

Pimpuś wylądował delikatnie na trawniku Śmierci.

Susan ominęła frontowe drzwi i przeszła od razu do kuchennych, nigdy nie zamykanych.

Nastąpiły zmiany. A przynajmniej jedna istotna zmiana.

W drzwiach zamocowano klapkę dla kotów.

Susan patrzyła.

Po sekundzie czy dwóch przez klapę wysunął się rudy kot, rzucił jej spojrzenie „nie jestem głodny, a ty nie jesteś interesująca” i odszedł w stronę ogrodu.

Susan pchnęła drzwi.

Koty wszelkich kolorów i rozmiarów pokrywały wszystkie dostępne powierzchnie. Setki oczu śledziły jej ruchy.

Całkiem jak u pani Gammage, pomyślała. Ta stara kobieta regularnie odwiedzała Katafalki, szukając towarzystwa, i była obłąkana. A jednym z objawów u tych, którzy wpadają w obłąd, było chroniczne zarażenie kotami. Zwykle kotami, które opanowały wszelkie elementy kociej egzystencji z wyjątkiem lokalizacji skrzynki z piaskiem.

Kilka z nich wtykało nosy do miski ze śmietaną.

Susan nigdy jakoś nie rozumiała, co jest atrakcyjnego w kotach. Ich właścicielami byli ludzie, którzy lubili puddingi. I całkiem realnie istnieli tacy, dla których realizacją nieba byłby kot z czekolady.

– Wynoście się stąd – powiedziała głośno. – Nigdy przecież nie trzymał tu

zwierząt.

Koty spojrzały na nią w sposób mający sugerować, że i tak zamierzały pójść sobie gdzie indziej. Po czym odeszły nonszalancko, oblizując się czasem.

Miska powoli wypełniła się na nowo.

To były najwyraźniej żywe koty. Tylko życie miało tu kolor. Wszystko inne zostało stworzone przez Śmierć. Kolory, wraz z hydrauliką i muzyką, były dziedzinami, które wymykały się jego geniuszowi.

Zostawiła kuchnię i przeszła do gabinetu.

Tu także dostrzegła zmiany. Na oko sądząc, znowu próbował nauczyć się grać na skrzypcach. Nigdy jakoś nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie może uzyskać muzyki.

Na biurku panował bałagan. Otwarte książki leżały jedna na drugiej. Były to te, których Susan nie nauczyła się czytać. Niektóre znaki unosiły się nad stronicami albo poruszały w skomplikowanych liniach, kiedy czytały człowieka, który próbował je czytać.

Złożone aparaty stały porozrzucane na blacie. Wydawały się jakoś związane z nawigacją, ale po jakich morzach i pod jakimi gwiazdami?

Kilka arkuszy pergaminu pokrywało odręczne pismo Śmierci. Było natychmiast rozpoznawalne. Nikt, kogo Susan dotąd spotkała, nie pisał z szeryfami.

Wyglądało to, jakby próbował rozwiązać jakiś problem.

NIE KLATCH. NIE HOWONDALAND. NIE IMPERIUM.

*POWIEDZMY, 20 MILIONÓW DZIECI PO 2 FUNTY
ZABAWEK NA DZIECKO.*

RÓWNA SIĘ 17.857 TON. 1785 TON NA GODZINĘ.

UWAGA: NIE ZAPOMNIEĆ O ODCISKACH SADZY.

POĆWICZYĆ JESZCZE HO, HO, HO.

PODUSZKA.

Starannie odłożyła pergamin na miejsce.

Wcześniej czy później każdego to dopadnie. Śmierć zawsze był zafascynowany ludźmi, a takie badania nie oddziałują jednostronnie. Człowiek może przez lata podglądać prywatne życie cząstek elementarnych, a potem nagle odkrywa, że wie albo kim jest, albo gdzie jest – ale nie jedno i drugie naraz. Śmierć zaraził się... człowieczeństwem. Nie takim prawdziwym, ale czymś, co może uchodzić za prawdziwe, dopóki się go dokładniej nie przeanalizuje.

Nawet ten dom naśladował ludzkie domostwa. Śmierć stworzył dla niej sypialnię, mimo że sam nigdy nie sypiał. Jeśli rzeczywiście przejmował ludzkie cechy, to czy teraz spróbował szaleństwa? Było w końcu bardzo popularne.

Może po długich tysiącletniach chciał być sympatyczny?

Zajrzała do Sali Życiomierzy. Jako mała dziewczynka lubiła ich dźwięk. Teraz jednak syk piasku, przesypującego się w milionach klepsydr, ciche „ping” i „puk”, kiedy znikwały pełne, a pojawiały się puste, nie wydawał się tak przyjemny. Teraz wiedziała już, co się tu dzieje. Oczywiście, każdy wcześniej czy później umiera. Ale nie jest właściwym słuchanie, jak się to odbywa.

Miała już wyjść, kiedy zauważyła otwarte drzwi w miejscu, gdzie nigdy drzwi nie widziała.

Były zamaskowane. Teraz odsunął się cały regał półek razem z szepczącymi klepsydrami.

Susan pchnęła go palcem tam i z powrotem. W pozycji zamkniętej musiała mocno wyteżać wzrok, by zauważyć szczelinę.

Po drugiej stronie znalazła o wiele mniejsze pomieszczenie. Miało rozmiar zaledwie... powiedzmy: katedry. A na ścianach – od podłogi po sufit – stało więcej życiomierzy, niż mogła zobaczyć w słabym świetle padającym z sali za plecami.

Weszła do wnętrza i pstryknęła palcami.

– Światło – rozkazała.

Kilka świec zapłonęło posłusznie.

Klepsydry były... dziwne. Te w głównej sali, choć może metaforyczne, wyglądały na solidne obiekty z drewna, mosiądzu i szkła. Te tutaj wydawały się zrobione ze światła i cieni, bez żadnej materialnej substancji.

Przyjrzała się jednej z większych.

Wypisano na niej imię: OFFLER.

– Bóg Krokodyl? – zdziwiła się.

No cóż, bogowie też mają jakieś życie. Prawdopodobnie. Ale, o ile wiedziała, nigdy naprawdę nie umierają. Zanikają tylko, stając się głosem wśród wiatru i przypisem w książce o religii.

Tutaj w rzędach stali bogowie. Rozpoznała niektórych.

Na półce stały też mniejsze życiomierze. Kiedy sprawdziła etykiety, o mało nie wybuchnęła śmiechem.

– Wróżka Zębuszka? Piaskowy Dziadek? Maciek Pijanica? Duchociastna Kaczka? Bóg... czego?

Odstąpiła o krok i coś zachrząściło jej pod stopą.

Na podłodze leżały odłamki szkła. Schyliła się i podniosła największy. Pozostało tylko kilka wytrawionych w gładkiej powierzchni liter...

WIEDŹM...

– Och, nie... Więc to prawda! Dziadku, coś ty narobił?

Kiedy wyszła, zgasły płomyki świec. Powróciła ciemność.

A w ciemności, pośród rozsypanego piasku, ciche skwierczenie i maleńka jasna iskierka...

Mustrum Ridcully poprawił ręcznik, którym obwiązał się w pasie.

– Jak idzie, panie Modo?

Uniwersytecki ogrodnik zasalutował.

– Zbiorniki są pełne, panie nadrektorze, sir! – zameldował dziarsko. – A pod bojlerami palę od rana.

Pozostali starsi magowie tłoczyli się w drzwiach.

– Doprawdy, Mustrum, uważam, że postępujesz nierozsądnie – oświadczył wykładowca run współczesnych. – Przecież zablokowali to w jakimś celu.

– Pamiętaj, co było napisane na drzwiach – dodał dziekan.

– Och, napisali tak tylko po to, żeby nikt nie wchodził – odparł Ridcully, odpakowując świeżą kostkę mydła.

– No, w zasadzie tak – zgodził się kierownik studiów nieokreślonych. – Zgadza się. Tak właśnie ludzie postępują.

– To łazienka – powiedział Ridcully. – A wy zachowujecie się, jakby to była, nie przymierzając, izba tortur.

– Łazienka – zgodził się dziekan. – Ale projektowana przez Bezdennie Głupiego Johnsona. Nadrektor Weatherwax skorzystał z niej tylko raz, a potem kazał zabić drzwi deskami! Mustrum, zastanów się, na miłość bogów! To Johnson!

Nastąpiła krótka przerwa, ponieważ nawet Ridcully musiał jakoś przetrwać ten fakt.

Bergholt Grimwald Johnson, który odszedł na wieczny spoczynek (a przynajmniej bardzo się oddalił), był powszechnie uznawany za najgorszego wynalazcę na świecie, jednakże w bardzo szczególnym znaczeniu tego określenia. Zwyczajni marni wynalazcy tworzyli przyrządy, które odmawiały działania. On nie mieścił się w grupie tych drobnych rybek. Każdy dureń potrafił wykonać coś, co po naciśnięciu guzika absolutnie nic nie robi. Pogardzał tymi amatorami o niezgrabnych palcach. Wszystko, co on zbudował, działało. Po prostu nie robiło tego, co zapowiadał tekst na etykiecie. Kiedy człowiek potrzebował niewielkiego pocisku ziemia-powietrze, prosił Johnsona, by zaprojektował ozdobną fontannę. Wychodziło na to samo. To jednak nie potrafiło go zniechęcić – ani też stłumić niezdrowej ciekawości jego klientów. Muzyka, pejzaże, ogrodnictwo, architektura – jego talenty nie miały początku.

Mimo to trochę zaskoczyło wszystkich odkrycie, że Bezdennie Głupi zajął się projektowaniem łazienek. Ale, jak zauważył Ridcully, zbudował przecież kilka wielkich organów muzycznych, a kiedy człowiek się dobrze zastanowi, to przecież właściwie tylko hydraulika i rury.

Pozostali magowie, którzy byli tu dłużej od nadrektora, przyjęli pogląd, że jeśli Bezdennie Głupi zbudował w pełni funkcjonalną łazienkę, tak naprawdę chciał stworzyć coś innego.

– Wiecie, zawsze mi się wydawało, że Johnson był celem wielu złośliwości – stwierdził w końcu Ridcully.

– No był, oczywiście – przyznał wykładowca run współczesnych z wyraźną desperacją. – To jakby powiedzieć, że dżem przyciąga osy.

– Nie wszystko, co zbudował, źle działa – upierał się nadrektor. –

Spójrzcie na to coś, czego używają w kuchni do obierania ziemniaków.

– Chodzi panu o to urządzenie z umocowaną mosiężną tabliczką z napisem „Udoskonalony Aparat do Manicure”, nadrektorze?

– Słuchajcie, przecież to tylko woda – zirytował się Ridcully. – Nawet Johnson nie mógł nic popsuć przy wodzie. Modo, otwieraj śluzę!

Pozostali magowie cofnęli się nerwowo, gdy Modo przekręcił parę ozdobnych mosiężnych kół.

– Mam już dość szukania mydła w waszym towarzystwie! – krzyknął nadrektor. Woda huczała w ukrytych kanałach. – Higiena! Oto klucz!

– Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegaliśmy – rzucił dziekan i zamknął drzwi.

– Eee... Jeszcze nie zbadalem, gdzie prowadzą wszystkie rury, sir – spróbował wtrącić Modo.

– Dowiemy się, nie ma obawy. – Ridcully zdjął kapelusz, włożył czepek kąpielowy własnego projektu (z szacunku dla profesji, czepek był spiczasty) i chwycił żółtą gumową kaczkę. – Ludzie do pomp, panie Modo. Czy raczej krasnoludy, w pańskim przypadku.

– Tak jest, nadrektorze.

Modo pchnął dźwignię. Rury brzęknęły, a z kilku złączy strzeliła para.

Ridcully raz jeszcze przyjrzał się łazience. Bez wątplenia był to prawdziwy ukryty skarb. Niech mówią, co chcą, ale stary Johnson musiał czasem zrobić coś jak należy, choćby tylko przypadkiem. Całe pomieszczenie, łącznie z podłogą i sufitem, pokrywały białe, zielone i niebieskie kafelki. W samym środku, pod koroną rur, stał Tajfun – Patentowe Nadzwyczajne Domowe Ablutorium Johnsona z Automatyczną Podstawką na Mydło, sanitarny poemat w mahoni, drzewie sandałowym i miedzi.

Kazał Modo wyczyścić do połysku każdą rurkę, każdy mosiężny kurek. Trwało to całe wieki.

Zamknął za sobą zaparowane drzwi.

Wynalazca tego ablucyjnego cudu postanowił zwykły prysznic uczynić przeżyciem całkowicie kontrolowanym. Na ścianie dużego szklanego pudła umieścił wspaniały panel, cały pokryty mosiężnymi kranami w kształcie syrenek, muszli i – z niewiadomych powodów – owoców granatu. Były tu osobne ujęcia dla słonej wody, twardej wody i miękkiej wody oraz wielkie koła służące dokładnemu określeniu temperatury. Ridcully zbadał je ostrożnie.

Po chwili odstąpił, spojrzał czujnie na kafelki i zaśpiewał:

– Mi, mi, mi!

Głos odbił się od ścian.

– Idealne echo – stwierdził Ridcully, jeden z urodzonych łazienkowych barytonów.

Chwycił rurę komunikacyjną, niedawno zainstalowaną i pozwalającą kąpiącemu rozmawiać z maszynownią.

– Wszystkie zbiorniki w ruch, panie Modo!

– Aye, aye, sir!

Ridcully przekręcił kurek oznaczony „Mżawka” – i odskoczył w bok. Dobrze zdawał sobie sprawę, że pomysłowość Johnsona nie tylko sięgała granic zdrowego rozsądku, ale często przełamywała je, przelatowała przez pokój i wybijała dziurę w ścianie.

Poczuł na skórze delikatne strużki ciepłej wody, pieszczące niemal jak mgła.

– Coś takiego! – wykrzyknął i sprawdził następny kurek.

„Deszcz” okazał się bardziej ożywczy, przy „Ulewie” z trudem łapał oddech, a w „Potop” nerwowo wymacał kurek, bo miał uczucie, że stracił

czubek głowy. „Fala” chlusnęła ścianą ciepłej słonej wody z jednej strony kabiny do drugiej; po chwili woda wylała się przez kratkę umieszczoną pośrodku podłogi.

– Nic się panu nie stało, sir?! – zawołał Modo.

– To wspaniałe! A są tu jeszcze dziesiątki kurków, których nie wypróbowałem!

Modo skinął głową i przekręcił zawór. Głos Ridcully’ego, wzniesiony w czymś, co uważał za melodię, dudnił wśród gęstych kłębow pary.

– *Ohoho, znałem kiedyś... eee... wiejskiego robotnika takiego czy innego, możliwe, że układał strzechy,*

A znałem go dobrze, miał... nie, był farmerem, teraz sobie przypomniałem, i miał córkę o imieniu, którego w tej chwili nie pamiętam,

I... gdzie skończyłem? Aha. Refren:

Coś tam, coś tam, jarzyna o śmiesznym kształcie, chyba rzepa, coś tam, coś tam, coś tam i słodki śpiew słowiiiiiaaaaurrggoooAARRGHH! Au, au, au...

Piosenka urwała się nagle. Modo słyszał tylko głośny szum wody.

– Panie nadrektorze!

Po chwili odpowiedział mu głos spod sufitu. Brzmiał dość wysoko i niepewnie.

– Tego... tak sobie myślę, czy byłbyś tak dobry i ze swojego stanowiska zakręcił tu wodę, mój drogi? Ehm... Tylko delikatnie, jeśli wolno...

Modo ostrożnie pokręcił kołem. Szum cichł stopniowo.

– Ach, znakomicie – odezwał się znowu głos, tym razem bliżej podłogi. – No, świetna robota. Myślę, że bez wahania możemy to określić jako sukces. Zastanawiam się, czy przez chwilę mógłbyś mi pomóc w chodzeniu. W

niewyjaśniony sposób poczułem się nagle nieco chwiejnie...

Modo otworzył drzwi. Pomógł Ridcully'emu przejść i usiąść na kanapie. Nadrektor wydawał się blady.

– Tak, rzeczywiście – powiedział, patrząc nieco zaszklonym wzrokiem. – Niewiarygodnie udane. Ehm. Tylko jeden drobiazg, Modo.

– Tak, sir?

– Jest tam taki kurek, który na razie powinniśmy chyba zostawić w spokoju. Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę, gdybyś zrobił małą tabliczkę, żeby ją tam powiesić.

– Tak, sir?

– O treści „W ogóle nie dotyczyć” czy coś w tym rodzaju.

– Oczywiście, sir.

– Powieś ją na tym, który jest oznaczony „Gejzer”.

– Tak, sir.

– Nie musisz wspominać o tym innym profesorom.

– Tak, sir.

– Na bogów! Nigdy w życiu nie czułem się taki czysty!

Z punktu obserwacyjnego wśród ozdobnych kafelków pod sufitem, uważnie się przyglądał Ridcully'emu gnom w meloniku.

Kiedy Modo wyszedł, nadrektor zaczął się powoli wycierać wielkim kosmatym ręcznikiem. Zdołał się już opanować, więc po chwili zabrzmiała następna piosenka.

– *W drugi dzień od Strzeżenia Wiedźm... odesłałem swej ukochanej Niemiły krótki liścik i głuszca na gruszcze...*

Gnom zsunął się między kafelki podłogi i zaczął się skradać za otrząsającą się z ożywieniem sylwetkę.

Po kilku próbach Ridcully wybrał piosenkę, która ewoluuje gdzieś na każdej planecie, gdzie występują zimy. Często wciągnięta jest w służbę jakiejś miejscowej religii, zmienia się kilka słów, ale tak naprawdę chodzi o coś, co ma związek z bogami tylko w takim sensie, w jakim korzenie mają związek z liśćmi.

– *...pędzą, pędzą konie już od wschodu słońca...*

Ridcully odwrócił się błyskawicznie. Róg mokrego ręcznika trafił gnoma w ucho i przewrócił na plecy.

– Widziałem, jak się skradasz! – huknął nadrektor. – Co to za zabawy? Jakiś złodziejasek, co?

Gnom przejechał kawałek po mokrej od mydlin powierzchni.

– To ja się pytam, co to za zabawy, mój panie! Nie powinienes mnie pan widzieć!

– Jestem magiem! Widzimy rzeczy, które naprawdę są – wyjaśnił Ridcully. – A w przypadku kwestora również te, których nie ma. Co masz w tym worku?

– Nie chcesz pan otwierać tego worka! Naprawdę nie chcesz pan go otwierać!

– A to czemu? Co tam trzymasz?

Gnom przygarbił się zniechęcony.

– Nie chodzi o to, co tam trzymam, wiesz pan, ale o to, co z niego wyjdzie. Mam je wypuszczać po jednej naraz. Nie mam pojęcia, co się stanie, jak wszystkie wypadną jednocześnie.

Zaciekawiony Ridcully zaczął rozwiązywać sznurek.

– Potem będziesz pan żałował – przekonywał gnom.

– Doprawdy? A co ty tu w ogóle robisz, młody człowieku?

Gnom poddał się.

– No... znasz pan Wrózkę Zębuszkę?

– Tak, oczywiście – potwierdził Ridcully.

– No więc... ja nią nie jestem. Ale... to tak jakby podobna praca.

– Zabierasz coś?

– Eee... nie zabieram. Nie w takim sensie. Raczej tak jakby... przynoszę.

– Aha. Jakby nowe zęby?

– No... jakby nowe kurzajki – odparł gnom.

Śmierć wrzucił worek na sanie i wspiął się za nim.

– Coraz lepiej sobie radzisz, panie – zauważył Albert.

TA PODUSZKA CIĄGŁE NIE LEŻY WYGODNIE, stwierdził Śmierć, poprawiając pas. NIE JESTEM PRYZYWCZAJONY DO TAKIEGO WIELKIEGO, GRUBEGO BRZUCHA.

– Po prostu brzucha. Tylko tyle zdążyłem zorganizować. W tym względzie zacząłeś, panie, ze swego rodzaju inwalidztwem.

Albert odkręcił butelkę zimnej herbaty. Po tyłu sherry odczuwał pragnienie.

– Dobrze ci idzie, panie – powtórzył, pociągnąwszy solidny łyk. – Cała ta sadza w kominku, odciski stóp, wypite sherry, ślady sań na całym dachu... To musi działać.

TAK MYŚLISZ?

– Pewnie.

I POSTARAŁEM SIĘ, ŻEBY NIEKTÓRE DZIECI MNIE ZOBACZYŁY. WIEM, KIEDY PODGLĄDAJĄ, dodał Śmierć z dumą.

– Dobra robota, panie.

TAK.

– Jeśli jednak wolno coś podpowiedzieć... Wystarczy samo „Ho, ho, ho”. Nie mów: „Drzyj, nędzny śmiertelniku”, chyba że chcesz, by wyrosły na lichwiarzy albo kogoś w tym rodzaju.

HO. HO. HO.

– Doskonale ci to wychodzi, panie. – Albert szybko zajrzał do notesu, żeby Śmierć nie widział jego twarzy. – A teraz, panie, myślę, że naprawdę bardzo by pomogło jakieś wystąpienie publiczne.

HM... NORMALNIE TAK NIE WYSTĘPUJĘ...

– Wiedźmikołaj jest funkcją publiczną. A jedno dobre wystąpienie bardziej pomoże, niż gdybyś nie wiadomo ile razy pozwolił dzieciom przypadkiem się zobaczyć. Pomoże naprężyć mięśnie wiary.

NAPRAWDĘ? HO. HO. HO.

– Tak, tak, to było znakomite, panie. Co to ja... A tak. Sklepy są otwarte do późna. Sporo dzieciaków przychodzi tam, żeby zobaczyć Wiedźmikołaja. Nie tego prawdziwego, oczywiście, ale jakiegoś starucha z poduszką pod kapotą, za twoim przeproszeniem, panie.

NIE TEGO PRAWDZIWEGO? HO. HO. HO.

– Nie. I nie musisz...

A DZIECI O TYM WIEDZĄ? HO. HO. HO.

Albert poskrobał się po nosie.

– Chyba tak, panie.

TAK BYĆ NIE POWINNO. NIC DZIWNEGO, ŻE... ZDARZYŁY SIĘ OBECNE TRUDNOŚCI. WIARA ZOSTAŁA NARAŻONA? HO. HO. HO.

– Całkiem możliwe, panie. Tego... to „Ho, ho, ho”...

A GDZIE MA MIEJSCE OWA PARODIA? HO. HO. HO.

Albert zrezygnował.

– No, na przykład u Crumleya przy Pale. Mają tam Grotę Wiedźmikołaja. Niezmiernie popularną. Zawsze zatrudniają dobrego Wiedźmikołaja, jak słyszałem.

JEDŹMY WIĘC I ICH ROZJEDŹMY. HO. HO. HO.

– Jak każesz, panie.

TO BYŁ KALAMBOUR, CZYLI GRA SŁÓW, ALBERCIE. NIE WIEM, CZY ZAUWAŻYŁEŚ.

– W myślach wręcz płaczę ze śmiechu.

HO. HO. HO.

Nadrektor Ridcully uśmiechnął się.

Często się uśmiechał. Należał do tych ludzi, którzy uśmiechają się nawet wtedy, gdy są zirytowani. Teraz jednak uśmiechał się, gdyż był z siebie dumny. Może trochę obolały, ale dumny.

– Niezwykła łazienka, prawda? – powiedział. – Wiesz, chcieli ją zablokować. Całkiem niemądrze. Owszem, było może kilka drobnych problemów przy rozruchu... – Poruszył się ostrożnie. – Ale w końcu można

się tego spodziewać. Widzisz, ma tu wszystko. Brodzik w kształcie muszli do mycia stóp. I szafkę pełną szlafroków. A ta wanna, o tam, ma takie wielkie dmuchające coś, i można mieć kąpiel z bąbelkami, nawet nie jedząc mącznych potraw. A to małe tutaj, podtrzymywane przez syreny, to specjalny pojemnik na obcięte paznokcie u nóg. Niczego tu nie brakuje.

– Pojemnik na obcięte paznokcie? – zdziwił się Gnom Kurzajka.

– Nigdy dość ostrożności – wyjaśnił Ridcully. Uniósł pokrywkę ozdobnego słoja z napisem „Sole kąpielowe” i wyjął ze środka butelkę wina.
– Wystarczy znaleźć coś takiego jak czyjś obcięty paznokieć, a masz go w swojej władzy. To naprawdę prastara magia. Z początków czasu.

Uniósł butelkę do światła.

– Powinno już być dobrze wychłodzone – stwierdził i wyciągnął korek. – Kurzajki, co?

– Chciałbym wiedzieć dlaczego – westchnął gnom.

– Znaczą: nie wiesz?

– Nie. Budzę się nagle i jestem Gnomem Kurzajką.

– Dziwne – przyznał Ridcully. – Mój ojciec mawiał, że Gnom Kurzajka pojawia się, kiedy ktoś chodzi boso, ale nie miałem pojęcia, że istniejesz. Sądziłem, że zwyczajnie to sobie wymyślił. Owszem, Wróżki Zębuszki to co innego. Albo te małe dranie, co żyją w kwiatach, zbierałem je jako chłopak. Ale nic nie pamiętam na temat kurzajek. – W zadumie napił się wina. – Chociaż właściwie miałem dalekiego kuzyna, który się nazywał Kurzayka. Jak się wsłuchać, to całkiem ładnie brzmi.

Przyjrzał się gnomowi nad krawędzią kieliszka.

Człowiek nie zostawał nadrektorem, nie potrafiąc wyczuć tej subtelnej niewłaściwości sytuacji. No, może to nie do końca prawda. Ściślej mówiąc, taki człowiek nie zostawał nadrektorem na długo.

– To dobra praca? – zapytał.

– Łupież byłby lepszy – odparł gnom. – Przynajmniej przebywałbym na świeżym powietrzu.

– Myślę, że warto zbadać tę sprawę. Oczywiście, może się okazać, że to nic ważnego.

– Bardzo dziękuję – mruknął smętnie Gnom Kurzajka.

W tym roku Grota Wiedźmikołaja była naprawdę wspaniała, powtarzał sobie Vernon Crumley. Personel rzeczywiście się starał. Sanie Wiedźmikołaja same w sobie były dziełem sztuki, a świni miały kolor różowy rzeczywiście realistyczny i w przepięknym odcieniu.

Grota zajmowała prawie całe pierwsze piętro. Jednego ze skrzatów trzeba było ukarać dyscyplinarnie, bo palił ukryty za Magicznym Dzwoniącym Wodospadem, a nakręcane Lalki Wszystkich Narodów, pokazujące, że Wszyscy Możemy Żyć Razem, nie poruszały się płynnie i czasem sprawiały kłopoty, ale ogólnie, uznał, był to prawdziwy Widok Radujący Serca Wszystkich Dzieciaczków.

Dzieciaczki ustawiały się w kolejce wraz z rodzicami i wytrzeszczając oczy, wpatrywały się w dekorację z zachwytem.

A pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Och, jakim szerokim...

Aby personel nie doznawał Pokusy, pan Crumley przeciągnął linki pod sufitami, a pośrodku każdego piętra usadził kasjerkę w małej klatce. Sprzedawcy odbierali pieniądze od klientów, wkładali je do nakręczanych wagoników kolejki linowej i posyłali po linkach do kasjerki, która wydawała resztę i odsyłała wagonik z powrotem. Nie było więc żadnej możliwości wystąpienia Pokusy, a kolorowe wagoniki śmigały tam i z powrotem jak fajerwerki.

Pan Crumley kochał Strzeżenie Wiedźm. W końcu to wszystko robił dla Dzieciaczków.

Zaczeplił kciuki o kieszonki kamizelki i rozpromienił się.

– Dobrze idzie, panno Harding? – zapytał.

– Tak, panie Crumley – odpowiedziała pokornie kasjerka.

– To doskonale.

Spojrzał na stos monet.

Z trzaskiem wystrzelił z nich jaskrawy zygzak i uziemił się w metalowej kratce.

Pan Crumley zamrugął niepewnie. Zobaczył, jak ze stalowych oprawek okularów panny Harding strzelają iskry.

Dekoracja Groty Wiedźmikołaja zmieniła się nagle. Przez ułamek sekundy pan Crumley doznał wrażenia prędkości, jak gdyby to, co się pojawiło, zahamowało gwałtownie. Ale to przecież śmieszne...

Cztery różowe świnki z papier-mâché eksplodowały. Kartonowy ryjek odbił się od głowy pana Crumleya.

A w miejscu czterech małych świnek stały spocone i stękające... Uznał, że to świnie, bo hipopotamy nie mają spiczastych uszu ani kółek w nosie. Ale bestie były wielkie, szare, porośnięte gęstą szczeciną, a nad każdą z nich wisiał obłok gryzącej pary.

I nie wyglądały słodko. Nie miały w sobie ani odrobiny czaru. Jedna odwróciła łeb i spojrzała na niego małymi czerwonymi oczkami. Nie zachrumkała, co pan Crumley – urodzony i wychowany w mieście – zawsze kojarzył ze świniami. Ten głos brzmiał inaczej: „Ghnaaarrrwnnkhk?”.

Sanie także się zmieniły. Był bardzo zadowolony ze swoich sań; miały takie delikatne, zakręcone srebrne ornamenty. Osobiście pilnował naklejania każdej błyszczącej gwiazdki. Ale to piękno leżało teraz na podłodze jako połyskliwe odłamki rozrzucone wokół sań, które wyglądały, jakby zbudowano je z nierówno pociętych pni drzew, ułożonych na dwóch masywnych drewnianych płozach. Wydawały się stare, a w drewnie ktoś

wyrzeźbił twarze – paskudne, prymitywne, szczerzące zęby twarze, które były tu zupełnie nie na miejscu.

Rodzice krzyczeli i usiłowali wyprowadzić stamtąd dzieci, ale nie szło im łatwo. Dzieci ciągnęły do strasznych sań jak muchy do dżemu.

Pan Crumley podbiegł tam również, wymachując rękami.

– Przestańcie! Natychmiast przestańcie! – krzyczał. – Wystraszyście Dzieciaczki!

Usłyszał za sobą głos małego chłopca.

– Mają kły! Fajnie!

– Patrz, a tamten robi siusiu! – powiedziała jego siostra. W górę uniosła się wielka chmura żółtej pary. – Patrz, ścieka stąd aż na schody! Kto nie umie pływać, niech się łapie poręczy!

– One cię zjadają, jak byłaś niegrzeczna – oznajmiła mała dziewczynka z wyraźną aprobatą. – Całą. Razem z kośćmi. Chrupią je.

– Głuptas jesteś – zaopiniowało inne, starsze dziecko. – Nie są prawdziwe. W saniach mają maga, który to wyczarował. Albo to nakręcany mechanizm. Wszyscy wiedzą, że nie są naprawdę pra...

Jeden z dzików spojrzał na niego. Chłopiec schował się za plecy matki.

Pan Crumley, ze łzami gniewu ściekającymi po policzkach, przedzierał się przez tłum, aż dotarł do Groty Wiedźmikołaja. Złapał wystraszonego skrzata.

– Kampania Równego Wzrostu mi to zrobiła, tak?! – krzyknął. – Chcą mnie zrujnować! I rujnują cały nastrój Dzieciaczkom! Popatrz na te śliczne lalki!

Skrzat zawahał się. Mimo nieustających wysiłków matek, dzieci tłoczyły się wokół świń. Jakaś dziewczynka podawała którejś pomarańczę.

Natomiast animowana prezentacja Lalek Wszystkich Narodów wyraźnie przeżywała kryzys. Pozytywka pod spodem wciąż grała „Czy świat nie byłby miły, gdyby każdy był miły”, ale pokrzywiły się pręty poruszające lalkami, więc klatchiański chłopiec rytmicznie walił omniańską dziewczynkę po głowie ceremonialną włócznią, a dziewczynka w narodowym stroju agatejskim regularnie kopła w ucho małego llamedosjańskiego druida. Chór małych dzieci oklaskiwał wszystkie lalki sprawiedliwie.

– Jeszcze tego, no... Gorzej dzieje się w grocie, panie Cru... – zaczął skrzat.

Czerwono-biała postać przepchnęła się przez gapiów i wcisnęła panu Crumleyowi w ręce swoją sztuczną brodę.

– Dość tego – rzekł stanowczo starszy mężczyzna w kostiumie Wiedźmikołaja. – Mogę wytrzymać zapach pomarańczy i mokrych spodenek, ale tego już za wiele.

Tupiąc głośno, przebił się przez kolejkę.

– I nawet nie robi tego jak należy – dodał jeszcze na pożegnanie.

Pan Crumley ruszył dalej.

Ktoś siedział w wielkim fotelu, a na kolanach trzymał dziecko. Postać wyglądała... dziwnie. Wyraźnie miała na sobie coś w rodzaju stroju Wiedźmikołaja, ale wzrok pana Crumleya stale się ześlizgiwał, nie chciał się zogniskować, odsuwał się i usiłował umieścić postać na samym skraju pola widzenia. Przypominało to próbę spojrzenia na własne ucho.

– Co się tu dzieje? Co się tu dzieje? – zapytał pan Crumley groźnie.

Jakaś dłoń mocno chwyciła go za ramię. Odwrócił się i spojrzał w twarz Skrzata z Groty. A przynajmniej kogoś w kostiumie Skrzata z Groty, chociaż nieco przekrzywionym, jakby wkładanym w pośpiechu.

– Kim jesteś?

Skrzat wyjął z ust wilgotny niedopałek papierosa i wyszczerzył zęby.

– Mów mi wuju Ciężki – powiedział.

– Nie jesteś skrzatem!

– Nie, szefuniu. Jestem wróżką od obuwia.

Za plecami Crumleya odezwał się obcy głos.

A CZEGO TY BYŚ CHCIAŁ NA STRZEŻENIE WIEDŹM, MAŁY CZŁOWIEKU?

Pan Crumley obejrzał się ze zgrozą.

Przed tym... no cóż, musiał o nim myśleć jako o samozwańczym Wiedźmikołaju... siedziało dziecko nieokreślonej płci, które na pozór składało się wyłącznie z wełnianej czapki z pomponem.

Pan Crumley wiedział, jak powinna przebiegać taka rozmowa. Mianowicie tak: dziecko nigdy nie potrafi nawet słowa wykrztusić, ale stojąca blisko matka pochyla się, zerka porozumiewawczo na Wiedźmikołaja i mówi znacząco tym szczególnym tonem, jakiego używają dorośli, kiedy spiskują przeciw dzieciom: „Chcesz lalkę Małego Dzwoneczka, prawda, Doreen? I Komplet Kuchenny Całkiem Jak Mamy, który widzieliśmy na wystawie. I książkę kucharską z wycinankami. A co trzeba powiedzieć?”.

Oszołomione dziecko mruczy „...uję” i dostaje balona albo pomarańczę.

Tym razem jednak rozmowa potoczyła się inaczej.

Matka dotarła aż do:

– Chcesz...

DLACZEGO MASZ RĘCE NA SZNURKACH, DZIECKO?

Dziecko spojrzało na wiszące u rękawów rękawiczki. Podniosło je, by zademonstrować.

– Łapki – powiedziało.

ROZUMIEM. BARDZO PRAKTYCZNE.

– Jesteś plawdziwy? – upewniła się czapka z pomponem.

A JAK MYŚLISZ?

Czapka z pomponem parsknęła.

– Widziałam, jak twoja świnka lobi siusiu – oświadczyła, a ton głosu zawierał sugestię niewielkiego prawdopodobieństwa detronizacji tego zjawiska jako najbardziej emocjonującego, jakie czapka z pomponem oglądała.

OCH. HM... DOBRZE.

– I miała taki wielki...

A CO CHCESZ DOSTAĆ NA STRZEŻENIE WIEDŹM? – zapytał pospiesznie Wiedźmikołaj.

Matka podchwyciła ekonomiczny sygnał i znów zabrała głos.

– Ona chce...

Wiedźmikołaj niecierpliwie pstryknął palcami. Usta kobiety zamknęły się gwałtownie.

Dziecko wyczuło chyba, że ma okazję, jaka trafia się raz w życiu, więc wyrecytowało szybko:

– Ciem wojsko. Ciem taki duzi zamek ze szpicami. I ciem mniecz.

CO MÓWISZ? – zachęcił Wiedźmikołaj.

– Duzi mniecz – odparło dziecko po krótkiej przerwie poświęconej głębokiemu namysłowi.

TAK JEST.

Wuj Ciężki szturchnął Wiedźmikołaja dyskretnie.

– Powinni ci dziękować, panie – przypomniał.

JESTEŚ PEWIEN? LUDZIE ZWYKLE NIE DZIĘKUJĄ.

– Znaczy, mają dziękować Wiedźmikołajowi – szepnął Albert. – To znaczy tobie, zgadza się?

TAK, OCZYWIŚCIE. EHM. POWINNAŚ POWIEDZIEĆ „DZIĘKUJĘ”.

– ...kuję.

I BĄDŹ GRZECZNA. TO NALEŻY DO UKŁADU.

– ...ak.

NO TO ZAWARLIŚMY UMOWĘ. Wiedźmikołaj sięgnął do swego worka i wyjął...

...bardzo duży model zamku z – właściwie zinterpretowanymi – niebieskim spiczastymi stożkami dachów na wieżach, odpowiednich do zamykania w nich księżniczek...

...pudło z kilkoma setkami rozmaitych rycerzy i wojowników...

...oraz miecz. Miał cztery stopy długości i lśniąca klingę.

Matka nabrała tchu.

– Nie możesz jej tego dać! – wrzasnęła. – To niebezpieczne!

TO MIECZ, zauważył Wiedźmikołaj. ONE NIE MAJĄ BYĆ BEZPIECZNE.

– Przecież to dziecko! – krzyknął Crumley.

ZABAWKA JEST KSZTAŁCĄCA.

– A jeśli się skaleczy?

BĘDZIE TO WAŻNĄ LEKCJĄ.

Wuj Ciężki gorączkowo szepnął mu coś do ucha.

NAPRAWDĘ? NO CÓŻ, NIE MNIE O TYM DYSKUTOWAĆ, JAK SĄDZĘ.

Klinga stała się drewniana.

– I ona wcale nie chce tych innych zabawek – oświadczyła matka, wbrew wcześniejszym zeznaniom. – Jest dziewczynką! Zresztą nie stać mnie na takie duże i eleganckie prezenty.

MYŚLAŁEM, ŻE JE ROZDAJĘ, odparł zdziwiony Wiedźmikołaj.

– Rozdajesz? – Matka nie dowierzała.

– Rozdajesz? – powtórzył Crumley, który przysłuchiwał się ze zgrozą. – Nie masz prawa! To nasz towar! Nie możesz tego rozdawać! W Strzeżeniu Wiedźm nie chodzi o dawanie! To znaczy... tak, oczywiście, daje się prezenty – poprawił się szybko, gdy uświadomił sobie, że wokół są ludzie. – Ale najpierw trzeba je kupić, rozumiecie. To znaczy... cha, cha – zaśmiał się nerwowo, coraz mocniej wyczuwając własne osamotnienie w tłumie i niechętny wzrok wuja Ciężkiego. – W końcu takich zabawek nie robią małe elfy koło Osi, cha, cha...

– Racja jak demon – potwierdził z mądrą miną wuj Ciężki. – Trzeba być wariatem, żeby choćby pomyśleć o daniu elfowi dłuta w rękę, chyba że ktoś chce mieć jego inicjały wyrzeźbione na czole.

– To znaczy, że to wszystko jest za darmo? – Matka Doreen nie pozwoliła się odwieść od kwestii, którą uważała za zasadniczą.

Pan Crumley bezradnie przyjrzał się zabawkom. Na pewno nie przypominały żadnych, które miał na składzie.

Potem spróbował popatrzeć w skupieniu na Wiedźmikołaja. Każda komórka jego mózgu zapewniała, że siedzi tu gruby, wesoły mężczyzna w czerwono-białym kostiumie.

No... prawie każda komórka. Kilka co bardziej czujnych twierdziło, że oczy donoszą o czymś całkiem innym, ale nie mogły się dogadać, co to takiego. Parę wyłączyło się kompletnie.

Słowa z oporem przesączyły się przez zęby.

– No... chyba tak – powiedział.

Wprawdzie było Strzeżenie Wiedźm, jednak w budynkach uniwersytetu trwała krzątania. Magowie i tak nie kładą się wcześniej do łóżek*, a poza tym czekali na Strzeżeniowiedźmowy Bankiet, zaczynający się o północy.

Aby dać jakieś pojęcie o skali Strzeżeniowiedźmowego Bankietu, warto wspomnieć, że lekka przekąska na NU składała się ledwie z trzech czy czterech dań, nie licząc serów i orzechów.

Niektórzy z magów trenowali od tygodni. Dziekan na przykład potrafił już podnieść jednym widelcem całego dwudziestofuntowego indyka. Fakt, że musieli czekać do północy, jedynie zdrowo zaostrzał apetyty, już wcześniej profesjonalnie wyszlifowane.

W całym budynku panowała atmosfera radosnego wyczekiwania, ogólne skwierczenie gruczołów ślinowych oraz powszechne i staranne szykowanie pigułek i proszków na chwilę – oddaloną jeszcze o wiele godzin – kiedy osiemnaście dań połączy się razem gdzieś poniżej klatki piersiowej i wyprowadzi kontratak.

Ridcully wyszedł na śnieg i postawił kołnierz. W budynku Magii Wysokich Energii paliły się wszystkie światła.

– Nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem – mruczał. – Noc Strzeżenia Wiedźm, a oni ciągle pracują. To nie jest naturalne. Kiedy ja byłem

studentem, o tej porze już dwa razy miałem mdłości...

Tymczasem Myślak Stibbons i jego grupa studentów o zacięciu badawczym poczynili jednak pewne ustępstwa na rzecz nocy Strzeżenia Wiedźm. Ustroili całego HEX-a gałązkami ostrokrzewu i wsadzili papierowy kapelusz na szklaną kopułę, pod którą kryło się główne mrowisko.

Ridcully za każdym razem, kiedy tu przychodził, miał wrażenie, że coś nowego zrobiono przy... urządzeniu, maszynie myślącej czy co to tam było. Niektóre elementy pojawiały się z dnia na dzień. Niekiedy, jak twierdził Stibbons, sam HEX kreślił plany dodatkowych części, których potrzebował. Wszystko to budziło dreszcze – a kolejny dreszcz pojawił się teraz, gdy nadrektor zobaczył siedzącego przed machiną kwestora. Na chwilę zapomniał o kurczakach.

– Co tu robisz, stary przyjacielu? – zapytał. – Powinieneś teraz być w swoim pokoju i podskakiwać, żeby zrobić miejsce na wieczór.

– Niech żyje różowy, szary i zielony – odparł kwestor.

– Tego... Pomyśleliśmy, że HEX może... no, wie pan... może pomóc – wyjaśnił Myślak Stibbons, który lubił uważać siebie za uniwersytecki symbol normalności. – Z kłopotami kwestora. I że to będzie dla niego ładny strzeżeniowiedźmowy prezent.

– Na bogów, kwestor nie ma żadnych kłopotów – oświadczył Ridcully. Pogłodził uśmiechniętego bezmyślnie kolegę po głowie, jednocześnie mruczając pod nosem: „Totalnie zwariowany”. – Umysł czasem mu błądzi, to wszystko. Powiedziałem, że UMYŚŁ CZASEM BŁĄDZI, prawda? Trudno się dziwić, za dużo czasu spędza na dodawaniu liczb. Nie wychodzi na świeże powietrze. Powiedziałem, że NIE WYCHODZISZ NA ŚWIEŻE POWIETRZE, KOLEGO!

– Myśleliśmy, że... no, może chciałby z kimś porozmawiać – tłumaczył Myślak.

– Co? Co? Ależ ja z nim ciągle rozmawiam! Staram się jakoś go rozerwać. To ważne, żeby nie snuł się tak dookoła.

– Ehm... No tak. Oczywiście – zgodził się dyplomatycznie Myślak. Pamiętał jeszcze kwestora jako człowieka, którego pomysłem na świetną zabawę było jajko na miękko. – Dlatego, hm... może spróbujemy jeszcze raz, dobrze? Jest pan gotów, panie Dinwiddie?

– Tak, dziękuję, tę zieloną z cynamonem, jeśli to nie kłopot.

– Nie rozumiem, jak może rozmawiać z maszyną – oznajmił ponuro Ridcully. – Przecież ona nie ma uszu.

– Tego... no... właściwie to zrobiliśmy jej jedno ucho – odparł Myślak. – O, to... – Wskazał duży bęben w labiryncie rurek.

– Czy to nie trąbka starego Windle’a Poonsa tam sterczy z boku? – spytał podejrzliwie Ridcully.

– Tak, panie nadrektorze. – Myślak odchrząknął. – Głos, widzi pan, rozchodzi się jako fale...

Urwał. Magiczne przeczucia wezbrały w jego umyśle. Wiedział, po prostu wiedział, że nadrektor uzna, iż mówi o morzu. Nastąpi jedno z tych ogromnych, bezdennych nieporozumień, które zawsze miały miejsce, gdy ktoś usiłował coś nadrektorowi wytłumaczyć. Takie słowa jak „fala”, a prawdopodobnie również „lody” i „piasek”, były tylko...

– To działa poprzez magię, panie nadrektorze – wyjaśnił, kapitulując.

– Aha. No tak. – Ridcully wydawał się trochę rozzarowany. – Czyli bez żadnych komplikacji ze sprężynami, kółkami zębatymi, rurami i całą resztą?

– Zgadza się. Czysta magia. Oczywiście, magia dostatecznie zaawansowana.

– To rozumiem. A co to robi?

– HEX może słyszeć, co pan mówi, panie nadrektorze.

– Interesujące. Oszczędza człowiekowi tego dziurkowania kartoników i walenia w klawisze, co przecież wy tu bez przerwy robicie, chłopcy.

– Proszę obserwować, panie nadrektorze... W porządku, Adrian, zainicjalizuj WWD.

– A jak to się robi? – zapytał z tyłu Ridcully.

– Eee... To znaczy, że ma pociągnąć tę wielką, ważną dźwignię – wyjaśnił niechętnie Myślak.

– Aha. Szybciej się wymawia.

Myślak westchnął.

– Tak, rzeczywiście, panie nadrektorze.

Skinął na jednego ze studentów, który pociągnął dużą czerwoną dźwignię oznaczoną karteczką „Nie ciągnąć”. Gdzieś we wnętrzu HEX-a zakręciły się koła zębate. W mrówczych farmach otworzyły się maleńkie klapki i miliony mrówek ruszyły szklanymi rurkami. Myślak stuknął w dużą drewnianą klawiaturę.

– Pojęcia nie mam, jak pamiętacie to wszystko – stwierdził Ridcully, przyglądając się operacjom z wyrazem, jak uznał Myślak, rozbawionego zainteresowania.

– To w dużej mierze intuicyjne, panie nadrektorze – odparł. – Oczywiście na początku trzeba poświęcić sporo czasu na naukę. A teraz, panie kwestorze – dodał – gdyby zechciał pan coś powiedzieć...

– Mówi, ŻEBYŚ COŚ POWIEDZIAŁ, KWEESTOORZEEE! – wrzasnął Ridcully w samo ucho kwestora.

– Korkociąg? To problem, jak mawiała niania – oznajmił kwestor.

Jakieś elementy zawirowały we wnętrzu HEX-a. W głębi pomieszczenia ciężko ruszyło przerobione koło wodne, całe pokryte pustymi ramami.

A gęsie pióro w sieci sprężynek i dźwigni zaczęło pisać.

+++ Dlaczego Sądzisz, Że Sprawiasz Kłopoty? +++

Kwestor wahał się przez chwilę.

– Mam własną łyżeczkę, wiesz? – powiedział w końcu.

+++ Opowiedz Mi O Swojej Łyżeczce +++

– Ehm... To mała łyżeczka...

+++ Czy Twoja Łyżeczka Cię Niepokoi? +++

Kwestor zmarszczył czoło. A potem jakby zebrał siły.

– Patrzcie, idzie Pan Galaretką! – zawołał, ale chyba nie włożył w to serca.

+++Jak Dawno Jesteś Panem Galaretką? +++

Kwestor spojrzał na HEX-a z gniewem.

– Kpisz sobie ze mnie? – zapytał.

– Niesamowite! – westchnął Ridcully. – Zaskoczył go! Jest lepszy niż pigułki z suszonej żaby! Jak do tego doszliście?

– No... – zawahał się Myślak. – Jakoś samo się zdarzyło...

– Niesamowite – powtórzył nadrektor. Wytrząsnął popiół z fajki, stukając nią o obudowę HEX-a w miejscu, gdzie była nalepka „Mrowisko Inside”. Myślak skrzywił się nerwowo. – Czyli ta machina to coś w rodzaju wielkiego sztucznego mózgu?

– Można sobie ją tak wyobrażać – przyznał ostrożnie Myślak. – Oczywiście HEX tak naprawdę nie myśli. Nie w ścisłym sensie. Tylko wydaje się, że myśli.

– Aha. Jak dziekan. Czy można by umieścić taki mózg w głowie dziekana?

– Waży dziesięć ton, panie nadrektorze.

– Doprawdy? Hm... Zatem potrzebny byłby bardzo duży lewar... – Przerwał na chwilę, po czym sięgnął do kieszeni. – Wiedziałem, że chciałem coś załatwić – powiedział. – Ten mały tutaj to Gnom Kurzajka...

– Dobry wieczór – odezwał się Gnom Kurzajka zakłopotany.

– ...który, jak się zdaje, wskoczył w egzystencję, aby spędzić dzisiejszy wieczór z nami. I wiecie, pomyślałem sobie: to trochę dziwne. Oczywiście – ciągnął – w nocy Strzeżenia Wiedźm zawsze jest coś nierzeczywistego. Najkrótsza w roku i tak dalej. Wiedźmikołaj śmiga po świecie i w ogóle. Czas najgłębszych cieni i co tam jeszcze. Zbierają się wszystkie okultystyczne śmieci starego roku. Wszystko jest możliwe. Więc przyszło mi do głowy, że moglibyście to sprawdzić, chłopcy. Najpewniej nie ma powodu do obaw.

– Gnom... Kurzajka? – powtórzył Myślak.

Gnom odruchowo ścisnął mocniej swój worek.

– Ma tyle samo sensu, co wiele innych rzeczy, moim zdaniem – stwierdził Ridcully. – W końcu istnieje przecież Wróżka Zębuszka, prawda? Równie dobrze można by się zastanawiać, dlaczego istnieje bóg wina, a nie ma boga kaca...

Urwał.

– Ktoś słyszał ten dźwięk przed chwilą? – zapytał.

– Jaki dźwięk, panie nadrektorze?

– Takie jakby dzyń, dzyń, dzyń? Jak małych srebrnych dzwoneczków?

– Nie, nic takiego nie słyszałem, panie nadrektorze.

– Hm... – Ridcully wzruszył ramionami. – W każdym razie... co to ja mówiłem... a tak. Nikt nawet nie słyszał o Gnomie Kurzajce. Aż do dzisiejszego wieczoru.

– To prawda – potwierdził gnom. – Nawet ja nigdy o sobie nie słyszałem,

a przecież jestem mną.

– Zobaczymy, co da się zrobić, panie nadrektorze – obiecał dyplomatycznie Myślak.

– Zuchy. – Ridcully schował gnoma z powrotem do kieszeni i spojrzał na HEX-a. – Zadziwiające – powiedział znowu. – Tylko wygląda, jakby myślał, tak?

– No... tak.

– Ale naprawdę nie myśli?

– No... nie.

– Czyli... sprawia wrażenie, że myśli, ale to tylko na pokaz?

– No... tak.

– Czyli właściwie jak każdy.

Zanim usiadł na oficjalnym kolanie, chłopiec ocenił Wiedźmikołaja wzrokiem.

– Powiedzmy sobie całkiem jasno – rzekł. – Wiem, że jesteś kimś przebranym. Wiedźmikołaj jest niemożliwy biologicznie i temporalnie. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

AHA. CZYLI NIE ISTNIEJĘ?

– Zgadza się. Jesteś elementem zimowego wystroju, silnie skomercjalizowanym, jeśli wolno dodać. Mama kupiła mi już prezenty. Naturalnie udzieliłem jej wcześniej odpowiednich instrukcji. Często zdarza się jej coś pomylić.

Wiedźmikołaj zerknął przelotnie na stojący w pobliżu smutnie uśmiechnięty wizerunek macierzyńskiej nieskuteczności.

ILE MASZ LAT, CHŁOPCZE?

Dzieciak przewrócił oczami.

– Nie to powinienes powiedzieć. Wiesz, mam już za sobą takie rozmowy. Musisz na początek zapytać, jak mam na imię.

AARON WIERCIK, „POD SOSNAMİ”, DROGA KRAWĘDZIOWA, ANKH-MORPORK.

– Przypuszczam, że ktoś ci powiedział – stwierdził Aaron. – Podejrzewam, że ci ludzie przebrani za skrzaty odbierają informacje od matek.

I MASZ LAT OSIEM, JUŻ PRAWIE... OCH, JUŻ PRAWIE OKOŁO CZTERDZIESTU PIĘCIU, stwierdził Wiedźmikołaj.

– Jak sądzę, wypełniają formularze, kiedy płacą.

I CHCIAŁBYŚ „NIESZKODLIWE GADY RÓWNIN STO” ORZECHA, PRZESZKLONĄ SZAFKĘ NA OKAZY, ALBUM KOLEKCJONERA, SŁÓJ DO ZABIJANIA OKAZÓW I PRASĘ DO JASZCZUREK. CO TO JEST PRASA DO JASZCZUREK?

– Nie można ich wkleić, póki są jeszcze grube. Nie wiedziałeś? Przypuszczam, że powiedziała ci to wszystko, kiedy na moment moją uwagę zajęła wystawa ołówków. Słuchaj, może skończymy już tę zabawę? Daj mi moją pomarańczę i nie będziemy o tym więcej mówić.

MOGĘ DAWAĆ O WIELE WIĘCEJ NIŻ POMARAŃCZE.

– Tak, tak. Widziałem. To prawdopodobnie zmowa ze współnikami, a jej celem jest przyciągnięcie naiwnych klientów. O bogowie, masz nawet sztuczną brodę... A przy okazji, dziadku, czy wiesz, że twoja świnia...

TAK.

– Zrobione za pomocą luster, sznurka i rurek, jak przypuszczam. Dla mnie wyglądało to bardzo sztucznie.

Wiedźmikołaj pstryknął palcami.

– To zapewne umówiony sygnał, jak przypuszczam. – Chłopiec zszedł mu z kolan. – Bardzo dziękuję.

SZCZĘŚLIWEGO STRZEŻENIA WIEDŹM, rzucił jeszcze Wiedźmikołaj.

Wujo Ciężki poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, panie – pochwalił. – Niezwykła cierpliwość. Ja tam przyłożyłbym mu w ucho i tyle.

OCH, JESTEM PEWIEN, ŻE DOSTRZEŻĘ, JAK BARDZO ZBŁĄDZIŁ. Czerwony kaptur odwrócił się tak, że tylko Albert mógł zajrzeć w jego głębię. DOKŁADNIE W CHWILI, KIEDY OTWORZY TE PAKUNKI, KTÓRE NIOSŁA JEGO MATKA...

HO. HO. HO.

– Nie wiąż tak mocno! Nie tak mocno!

PIP.

Idąc wzdłuż półek, w kanionach między regałami, Susan słyszała za sobą sprzeczkę. Biblioteka Śmierci była tak ogromna, że w górze formowałyby się chmury – gdyby się odważyły.

– Dobrze, teraz dobrze – mówił głos, na który starała się nie zwracać uwagi. – Mniej więcej tak. Muszę przecież ruszać skrzydłami.

PIP.

– Aha... – mruknęła pod nosem. – Wiedźmikołaj.

Miał kilka półek, nie jedną książkę. Pierwszy tom był chyba zapisany na zwoju zwierzęcej skóry. Wiedźmikołaj naprawdę był stary...

– Dobra. Może być. Jak to wygląda?

PIP.

– Hej, panienko! – zawołał kruk, by uzyskać niezależną opinię.

Spojrzała w górę. Kruk przeskakał obok; pierś miał jaskrawoczerwoną.

– Ćwir, ćwir – powiedział. – Hop, hop, hyc, hyc. Skoku, skoku, skok...

– Nikogo nie oszukasz, najwyżej siebie – oceniła Susan. – Widać sznurek.

Rozwinęła skórę.

– Może powinienem usiąść na ośnieżonej gałęzi? – zastanawiał się kruk. – To chyba załatwi sprawę...

– Nie potrafię tego odczytać – poskarżyła się Susan. – Litery są... jakies dziwne.

– Eteryczne runy – wyjaśnił kruk. – Wiedźmikołaj nie jest przecież człowiekiem.

Przesunęła dłonią nad cienką skórą. Te... kształty popłynęły jej wokół palców.

Nie umiała ich przeczytać, ale czuła je. Czuła ostry zapach śniegu, tak wyraźny, że para jej oddechu kondensowała się w powietrzu. Słyszała dźwięki: stuk kopyt, trzask gałązek w skutym mrozem lesie...

Jaskrawa, błyszcząca kula...

Otrząsnęła się gwałtownie i odsunęła zwój. Rozwinęła następny, który wyglądał, jakby wykonano go z pasów kory. Znaki zawisły ponad powierzchnią. Czymkolwiek były, nie przeznaczono ich do czytania; można by niemal uwierzyć, że to alfabet Braille'a dla dotyku duszy. Obrazy płynęły przez jej zmysły – mokre futro, pot, sosna, sadza, lodowate powietrze, zapach wilgotnego popiołu, świńskie... świński nawóz, poprawił szybko jej umysł guwernantki. Była też krew... i posmak... fasoli? Tylko wizje, bez słów.

Niemal... zwierzęce.

– Przecież nic w tym się nie zgadza! – powiedziała głośno. – Wszyscy wiedzą, że to taki wesoły gruby staruszek, który przynosi dzieciom prezenty!

– Teraz tak. Teraz. Nie wtedy. Wiesz, jak to bywa – rzucił kruk.

– Wiem?

– To tak jakby... no... przekwalifikowanie. Nawet bogowie muszą iść z duchem czasu, mam rację? Tysiące lat temu był pewnie całkiem inny. Na przykład nikt wtedy nie nosił skarpet.

Poskrobał się po dziobie.

– No taaak... – podjął. – Wtedy był pewnie zwykłym zimowym demiurgiem. No wiesz... krew na śniegu, żeby weszło słońce. Zaczyna się od ofiar zwierzęcych, rozumiesz: zagonić jakieś duże i kosmate zwierzę na śmierć, takie rzeczy. Nie uwierzysz, ale w Ramtopach żyją ludzie, którzy na Strzeżenie Wiedźm zabijają strzyżyka, chodzą z nim od domu do domu i śpiewają o tym! Ze wszystkimi oj-diridi-dina-dana-uha! Bardzo folklorystyczne, bardzo mistyczne.

– Strzyżyka? Czemu?

– Nie wiem. Może ktoś powiedział: zaraz, po co właściwie mamy polować na tego wielkiego drania orła, z jego wielkim ostrym dziobem i wielkimi szarpiącymi szponami? Może zamiast tego zapolujemy na strzyżyka, który jest rozmiarów groszku i robi „ćwir”? No proszę, wybierajcie. W każdym razie potem schodzi to do poziomu religii, a wtedy zaczynają ten numer, że jakiś biedny palant znajduje w karmie specjalną fasolkę, a wszyscy mówią: oho, kolego, jesteś teraz królem, więc on myśli: no, to chyba nieźle – tylko nie uprzedzają, że raczej nie powinien się brać za pisanie grubych książek, bo zaraz potem przebiera nogami po śniegu, a z tuzin innych palantów goni go ze świętymi sierpami, żeby ziemia znowu odżyła, a śnieg stopniał. Bardzo, no wiesz... etniczne. A potem jakiś mądrala pomyślał: zaraz, patrzcie, przecież to przeklęte słońce i tak wschodzi, no to niby czemu mamy za darmo karmić tych wszystkich druidów? I od razu

zwalnia się stanowisko. Tak to jest z bogami. Zawsze znajdą sposób, żeby, wiesz... przeczekać.

– To przekłete słońce i tak wschodzi... – powtórzyła Susan. – Skąd to wiesz?

– Och, zwykła obserwacja. Zdarza się każdego ranka. Widziałem je.

– Chodzi mi o te święte sierpy i resztę.

Krukowi udało się przybrać na dziobie wyraz satysfakcji.

– Taki typowy kruk to ptak bardzo okultystyczny – wyjaśnił. – Ślepy Io, bóg gromu, miał kiedyś dwa mistyczne kruki, które latały wszędzie i opowiadały mu, co się dzieje.

– Kiedyś?

– Eee... Wiesz przecież, że on nie ma oczu na twarzy, tylko takie, no... takie swobodnie fruwające gałki oczne, które kręcą się po okolicy... – Kruk odchrząknął z gatunkowym zakłopotaniem. – Aż się prosi o wypadek, prawdę mówiąc.

– Czy ty w ogóle myślisz o czymkolwiek oprócz gałek ocznych?

– No... są też wnętrzności.

PIP.

– Ale ma rację – przyznała Susan. – Bogowie nie umierają. Nigdy całkiem nie umierają.

Zawsze zostaje jakieś miejsce, mówiła sobie. We wnętrzu kamienia, w słowach pieśni, w umyśle jakiegoś zwierzęcia czy może w szepcie wiatru. Nigdy do końca nie odchodzą, trzymają się świata czubkami palców, zawsze szukają drogi powrotnej. Kto raz był bogiem, zawsze nim pozostaje. Martwym być może, ale tylko tak, jak świat zimą...

– No dobrze – powiedziała. – Sprawdźmy, co się z nim stało.

Sięgnęła po ostatnią książkę i spróbowała ją otworzyć na dowolnej stronie...

Wrażenie uderzyło ją spomiędzy okładek niczym bat...

...kopyta, strach, krew, śnieg, zimno, noc...

Upuściła tom. Zamknął się z trzaskiem.

PIIP?

– Nic... Nic mi nie jest.

Spojrzała na książkę i zrozumiała, że udzielono jej przyjacielskiego ostrzeżenia, tak jak mógłby ostrzegać pokojowy zwierzak, oszalały z bólu, ale jednak na tyle oswojony, by nie drapać i nie gryźć ręki, która go karmi – tym razem. Gdziekolwiek znalazł się Wiedźmikołaj – martwy czy żywy, gdzieś przecież był – chciał, żeby zostawić go samego.

Spojrzała na Śmierć Szczurów. Jego małe oczodoły w niepokojąco znajomy sposób rozjarzyły się błękitem.

PIP. IIK?

– Szczur mówi, że gdyby to on chciał się czegoś dowiedzieć o Wiedźmikołaju, poszedłby do Zamku Kości.

– Przecież to tylko bajka – odparła Susan. – Niby tam podobno trafiają listy wysłane kominem. To tylko stara opowieść.

Odwróciła się. Szczur i kruk wpatrywali się w nią nieruchomo. Uświadomiła sobie, że była nazbyt normalna.

PIP?

– Szczur mówi: jak to „tylko”? – przetłumaczył kruk.

W ogrodzie Siata podszedł do Średniego Dave'a. Jeśli można to nazwać ogrodem. To był po prostu teren wokół... domu. Jeśli można to nazwać domem. Nikt o tym nie rozmawiał, ale od czasu do czasu zwyczajnie musieli wyjść na zewnątrz. W środku było jakoś... nienormalnie.

Zadrżał.

– Gdzie on jest? – zapytał.

– Pewnie na górze – odparł Średni Dave. – Wciąż próbuje otworzyć ten pokój.

– Ten ze wszystkimi zamkami?

– Tak.

Średni Dave skręcał papierosa. Wewnątrz domu... albo wieży, albo jednego i drugiego naraz, albo czegoś jeszcze... nie dało się palić. Nie tak, jak należy. Smakowało okropnie i robiło się potem niedobrze.

– Ale po co? Załatwiliśmy to, po cośmy tu przyszli. Nie? Staliśmy jak banda dzieciaków i patrzyliśmy, jak ten zasmarkany mag odśpiewuje te swoje zaklęcia. Ledwie wytrzymałem, żeby się nie zaśmiać. A czego on teraz chce?

– Powiedział, że jeśli są tak dobrze zamknięte, to chce zobaczyć, co jest w środku.

– Myślałem, że mamy tylko tu przyjść, załatwić co trzeba i wracać.

– Tak? To mu powiedz. Skręcisz sobie?

Siata wziął kapciuch z tytoniem i uspokoił się trochę.

– Widziałem już sporo paskudnych miejsc, ale to jest wyjątkowe.

– No.

– To ta słodycz człowieka wykańcza. No i musi być chyba coś innego niż

tylko jabłka do jedzenia.

– No.

– I to przekłęte niebo. To niebo naprawdę działa mi na nerwy.

– No.

Starali się nie patrzeć na przekłęte niebo. Z jakichś powodów człowiek stale miał wrażenie, że zaraz się na niego zawali. A jeszcze gorzej wyglądało, kiedy wzrok zabłądził w tę lukę, gdzie nie powinno być żadnej luki. Efekt był taki, jakby ból zęba dokuczał w oczach.

Kawałek dalej Banjo bujał się na huśtawce. To dziwne, pomyślał Dave, ale Banjo wygląda tu na całkiem zadowolonego.

– Wczoraj znalazł drzewo, na którym rosną lizaki – powiedział smętnie. – Znaczy, mówię: wczoraj, ale kto może wiedzieć? I łązi za tym... no, za nim łązi. Jak pies. Nikt jeszcze nie uderzył Banjo, odkąd umarła nasza mama. Jest jak małe dziecko, wiesz przecież. Znaczy, w środku. Zawsze taki był. Słuchał mnie we wszystkim. Wiesz, jak powiedziałem: „Przyłóż komuś”, on to robił.

– A tamten zostawał przyłożony.

– No. A teraz wszędzie chodzi za nim. Rzygać mi się chce od tego.

– No to dlaczego tu siedzisz?

– Dla dziesięciu tysięcy dolarów. A on mówi, że może nawet więcej. Więcej, niż potrafimy sobie wyobrazić.

„On” zawsze oznaczał Herbatkę.

– Jemu nie chodzi tylko o pieniądze.

– No nie, ale ja tam nie pisałem się do władzy nad światem – oświadczył Średni Dave. – Takie rzeczy to same kłopoty.

– Pamiętam, jak wasza mama coś takiego mówiła – powiedział Siata.

Średni Dave przewrócił oczami. Każdy pamiętał mamę Lilywhite. – Surowa kobieta. Twarda, ale sprawiedliwa.

– No... twarda.

– Kiedyś udusiła Błyszczącego Rona jego własną nogą... – ciągnął Siata.
– Paskudną miała tę swoją prawą rękę wasza mama.

– No. Paskudną.

– Ona by nie zniosła kogoś takiego jak Herbatka.

– No – zgodził się Średni Dave.

– I piękny pogrzeb jej wyprawiliście, chłopaki. Prawie całe Mroki się zjawily. Pełen szacunek. Te wszystkie kwiaty... I wszyscy wyglądali na takich... – Siata zawahał się. – Takich szczęśliwych. Oczywiście, na smutny sposób.

– No.

– Masz pojęcie, jak stąd wrócić do domu?

Średni Dave pokręcił głową.

– Ja też nie. Pewnie trzeba znaleźć to miejsce. – Siata zadrzał. – Znaczy, co on zrobił temu woźnicy... Znaczy, wiesz, ja tam nie potraktowałbym tak nawet własnego ojca.

– No.

– Zwyczajny świr, owszem, to mogę zrozumieć. Ale on potrafi mówić całkiem normalnie, a potem...

– No.

– Może gdybyśmy obaj zakradli się i...

– No... jasne. A jak długo byśmy pożyli? Sekundy.

– Gdybyśmy mieli szczęście... – zaczął Siata.

– Tak? Widziałeś go. To nie jeden z tych gości, co ci grożą. To jeden z tych gości, co cię zabiją, jak tylko cię zobaczą. I bez trudu. Musimy tu czekać, jasne? To jak w tym powiedzeniu o dosiadanu tygrysa.

– Jakim powiedzeniu o dosiadanu tygrysa? – spytał podejrzliwie Siata.

– No... – Średni Dave się zawahał. – Wiesz... kiedy dosiadłeś tygrysa i jedziesz, to gałęzie smagają cię po twarzy, pchły gryzą i takie tam. Więc musisz się trzymać. Myśl o pieniądzach. Są ich tam całe worki. Widziałeś przecież.

– Myślę o tym szklanym oku, które na mnie patrzy. I myślę, że może mi zajrzeć do głowy.

– Nie martw się, on cię o nic nie podejrzewa.

– A skąd wiesz?

– Jeszcze żyjesz, nie?

W grocie Wiedźmikołaja – małe dziecko z oczami okrągłymi z zachwytu.

WESOŁEGO STRZEŻENIA WIEDŹM. HO. HO. HO. NAZYWASZ SIĘ... EUFRAZJA KOZA, TAK?

– No, kochanie, odpowiedz miłemu panu.

– ...k.

I MASZ SZEŚĆ LAT.

– No powiedz, skarbie. W tym wieku one wszystkie są takie same, prawda?

– ...k.

I CHCESZ KUCYKA.

– ...k.

Mała rączka pociągnęła kaptur Wiedźmikołaja w dół, do poziomu ust. Wujo Ciężki usłyszał gorączkowy szept. Po chwili Wiedźmikołaj się wyprostował.

TAK, WIEM. CO ZA NIEGRZECZNA ŚWINKA, NAPRAWDĘ...

Jego sylwetka zamigotała przez krótką chwilę, a potem sięgnął do worka.

TUTAJ MASZ UPRZĄŻ DLA SWOJEGO KUCYKA, I SIODŁO, I DOŚĆ DZIWACZNĄ SZTYWNA CZAPKĘ ORAZ PARĘ SPODNI, W KTÓRYCH WYGLĄDA SIĘ, JAKBY SIĘ TRZYMAŁO W KAŻDEJ KIESZENI DUŻEGO KRÓLIKA.

– Ale nie możemy mieć kucyka, prawda, Effi? Bo przecież mieszkamy na trzecim piętrze...

ALEŻ TAK. JEST W KUCHNI.

– Na pewno tylko sobie żartujesz, Wiedźmikołaju – powiedziała ostro matka.

HO. HO. ALEŻ ZE MNIE ZABAWNY GRUBAS. W KUCHNI? DOBRY ŻART. LALKI I TYM PODOBNE BĘDĄ DOSTARCZONE PÓŹNIEJ, ZGODNIE Z LISTEM.

– Co się mówi, Effi?

– ...ujem.

– Zaraz, chyba nie wstawiłeś kucyka do kuchni, panie? – upewnił się Ciężki wujo Albert, gdy kolejka znów się przesunęła.

NIE BĄDŹ GŁUPI, ALBERCIE. POWIEDZIAŁEM TAK, ŻEBY BYŁO ZABAWNIE.

– To dobrze. Bo przez chwilę myślałem...

KUCYK JEST W SYPIALNI.

– Aha...

TO BARDZIEJ HIGIENICZNIE.

– No, przynajmniej jedno jest pewne. Na trzecim piętrze? Muszą teraz uwierzyć.

TAK. WIESZ, CHYBA ZACZYNAM NABIERAĆ WPRAWY. HO. HO. HO.

Niedaleko Osi Dysku śnieg płonął niebieskim i zielonym blaskiem. Na niebie wisiała aurora corealis: płachty bladego, zimnego płomienia otaczające centralne pasmo górskie i rzucające widmowe światło na lód. Wzdymały się, skręcały i rozciągały za poszarpanym łańcuchem, nad końcem którego poruszała się mała kropka. Powoli – kiedy oko wyobraźni zbliżało się coraz bardziej – nabierała kształtów Pimpusia.

Zwolnił i zatrzymał się w powietrzu. Susan spojrzała w dół.

Po chwili znalazła to, czego szukała. Na końcu doliny, wśród przysypanych śniegiem drzew, coś błyszczało jasno, odbijając niebo.

Zamek Kości.

Kiedy miała jakieś sześć czy siedem lat, rodzice usiedli z nią któregoś dnia i wytłumaczyli, że takie zjawiska jak Wiedźmikołaj naprawdę nie istnieją, że to tylko miłe opowiadki, że nie są rzeczywiste. A ona uwierzyła. Wszystkie te wróżki i strachy, wszystkie historie z samych korzeni człowieczeństwa nie były naprawdę prawdziwe.

Kłamali. Siedmiostopowej wysokości szkielet okazał się jej dziadkiem. Nie dziadkiem z ciała i krwi, naturalnie. Ale – można powiedzieć – dziadkiem aż do kości.

Pimpuś wylądował i pobiegł kłusem po śniegu.

Czy Wiedźmikołaj jest bogiem? Czemu nie, myślała Susan. Składano mu przecież ofiary: sherry i paszteciki. Dawał przykazania, nagradzał dobrych i wiedział, co kto robi. Jeśli człowiek wierzył, spotykały go różne przyjemności. Czasami można było znaleźć Wiedźmikołaja w grocie, czasami wysoko na niebie...

Zamek Kości wyrastał teraz przed nią. Z bliska wyraźnie widziała, że zasługuje na wielkie litery.

Oglądała go kiedyś na rysunku w książeczce dla dzieci. Mimo nazwy, drzeworytnik zdołał uczynić budowlę... prawie że wesołą.

Nie była wesoła. Kolumny przed wejściem wznosiły się na setki stóp. Każdy stopień był wyższy od człowieka. I wszystko miało szarozieloną barwę lodu.

Lodu... nie kości. W kolumnach dało się zauważyć mgliście znajome kształty, możliwą sugestię czaszki czy kości udowej, ale wszystko zbudowane było z lodu.

Pimpusiowi wysokie stopnie nie sprawiały kłopotu. Nie chodzi o to, że frunął, ale raczej chodził po gruncie, którego poziom sam wybierał.

Śnieg zasypał powierzchnię lodu. Susan patrzyła z góry na zaspy. Śmierć nie zostawił żadnych śladów, ale dostrzegła niewyraźne odciski butów. Skłonna była się założyć, że należały do Alberta. A tam, na wpół zamaskowane śniegiem... Wyglądało na to, że stały w tym miejscu sanie. Kręciły się zwierzęta. Jednak śnieg pokrył wszystko.

Zeskoczyła z konia. Z całą pewnością znalazła się w miejscu znanym z opisów, ale coś się nie zgadzało. Powinno tu być pełno świateł, gwaru i krzątanimy, a tymczasem miała wrażenie, że trafiła do ogromnego mauzoleum.

Kawałek za kolumnami leżał rozbity wielki blok lodu. Powyżej, w otworze, jaki wybił w stropie, widziała schody. Kiedy patrzyła, kilka małych

bryłek lodu spadło miękko w zaspę.

Kruk zmaterializował się nagle i zmęczony wylądował na grudzie w pobliżu.

– To miejsce jest jak grobowiec – powiedziała Susan.

– Będzie moim, jeśli... jeszcze gdzieś dzisiaj... polecę – wysapał kruk. Śmierć Szczurów zeskoczył mu z grzbietu. – Nie godziłem się na te długodystansowe, szybsze od czasu trasy. Powinienem teraz siedzieć gdzieś w lesie i tworzyć ekscytująco dekorowane konstrukcje, mające przywabić samice.

– Altanniki tak robią – stwierdziła Susan. – Kruki nie.

– Aha, czyli nie wolno wykraczać poza rolę, tak? A wiesz, że nie dostaję tu posiłków?

Kruk przewrócił swymi niezależnie poruszonymi oczami.

– No więc gdzie są te wszystkie światła? – zapytał. – Gdzie gwar? Gdzie te wesołe małe dranie w spiczastych kapeluszach, w zielonych i czerwonych ubrankach? Powinni tu niezbyt przekonująco, ale rytmicznie stukać młotkami w drewniane zabawki.

– To bardziej przypomina świątynię jakiegoś dawnego boga gromu.

PIP.

– Nie, mapę odczytałam poprawnie. Zresztą Albert tu był. Wszędzie jest pełno popiołu z papierosów.

Szczur poskakał chwilę i pobiegał wkoło, z kościstym pyszczkiem tuż przy ziemi. Po chwili zapisał i odbiegł w mrok.

Susan podążyła za nim. Kiedy oczy przyzwyczyły się do słabego niebieskozielonego światła, zauważyła coś wyrastającego z podłogi – stała przed piramidą stopni, z wielkim fotelem na szczycie.

Kolumna z tyłu zatrzeszczała i przechyliła się lekko.

PIP.

– Mówi, że to miejsce przypomina mu starą kopalnię – wyjaśnił kruk. – No wiesz, kiedy już została porzucona i nikt nie dba o stemple ani podpory. Często takie widzimy.

Przynajmniej stopnie mają ludzki wymiar, pomyślała Susan, nie zwracając uwagi na gadanie ptaka. Śnieg sypał przez jeszcze jeden otwór w stropie. Buty Alberta tupwały tu dość długo.

– A może stary Wiedźmikołaj rozbił swoje sanie? – zgadywał kruk.

PIIP?

– Przecież coś takiego mogło się zdarzyć. Świnie nie są przesadnie aerodynamiczne, prawda? Przy takim śniegu, no wiecie, słaba widoczność, ciemna chmura z przodu zbyt późno okazuje się szczytem, jakieś palanty w żółtych szatach patrzą z góry, biedak usiłuje sobie przypomnieć, czy powinien schować czyjąś głowę między nogi, potem BABAM, i po wszystkim. Tylko jacyś szczęśliwi wspinacze robią sobie mnóstwo kiełbasy i znajdują czarną skrzynkę.

PIP!

– Tak, ale przecież był stary. Pewnie już nie powinien latać w tym wieku.

Susan podniosła coś na wpół zakopanego w śniegu. To była czerwono-biała szklana laska z cukierkami.

Nogą rozkopała śnieg w innym miejscu i znalazła drewnianego żołnierza w mundurze, który nie rzucałby się w oczy tylko w nocnym klubie dla kameleonów na twardych prochach. Dalsze poszukiwania doprowadziły ją do zepsutej trąbki.

Coś stęknęło i zazgrzytało w mroku.

Kruk odchrząknął.

– Kiedy szczur mówił, że to miejsce przypomina mu kopalnię – rzekł – chodziło mu o to, że opuszczone kopanie zwykle w taki sam sposób zgrzytają i stękają. Rozumiesz? Nikt nie dba o podpory. Spadają kamienie. I zanim się zorientujesz, jesteś już tylko zygzakiem w piaskowcu. Usiłuję ci w ten sposób przekazać, że nie powinniśmy tu siedzieć za długo.

Susan szła dalej, zatopiona w myślach.

Nic się nie zgadzało. Zamek Kości wyglądał, jakby był porzucony od lat, a to przecież niemożliwe.

Kolumna obok zgrzytnęła i przekrzywiła się trochę. Z sufitu spłynęła chmura drobniutkich lodowych kryształków.

Oczywiście, to nie jest tak całkiem zwyczajne miejsce. Nie da się zbudować tak wielkiego pałacu z lodu. To trochę tak jak z domem Śmierci. Gdyby opuścił go na dłużej, wszystkie zjawiska, które uległy zawieszeniu – jak czas albo fizyka – wtargnęłyby z powrotem. Tak jakby pękła tama.

Odwróciła się, by wyjść, i znowu usłyszała stęknienie. Nie było znacząco inne od tych udręczonych dźwięków wydawanych przez lód, tyle że lód potem nie jęczał:

– O, ja...

W zaspie leżał jakiś człowiek. Niemal go przeoczyła, bo miał na sobie białą togę. Leżał na wznak, z rozłożonymi rękami, jakby zamierzał robić orły na śniegu, ale zrezygnował.

Nosił małą koronę, chyba z liści winorośli.

I ciągle stękał.

Spojrzała w górę. Tutaj dach też był dziurawy, ale nikt przecież nie mógłby spaść z tak wysoka i przeżyć.

W każdym razie nikt z ludzi.

A ten wydawał się człowiekiem, teoretycznie całkiem młodym. Ale tylko

teoretycznie, ponieważ – nawet w odbitym blasku lśniącego śniegu – jego twarz wyglądała, jakby ktoś nią wymiotował.

– Nic ci nie jest? – spytała.

Leżący otworzył oczy i popatrzył w górę.

– Chciałbym nie żyć – jęknął.

Kawał lodu rozmiarów domu runął gdzieś w głębi budowli i eksplodował deszczem ostrych, małych odłamków.

– Może trafiłeś we właściwie miejsce – mruknęła Susan. Chwyciła chłopaka pod pachy i wyciągnęła ze śniegu. – Wydaje mi się, że niezłym pomysłem byłoby wyjść stąd jak najszybciej. Co o tym sądzisz? Tu wszystko się rozsypuje.

– O, ja...

Udało jej się zarzucić sobie na ramię jego rękę.

– Możesz chodzić?

– O, ja...

– Pomogłoby, gdybyś przestał to powtarzać i spróbował iść.

– Przepraszam, ale mam chyba... za dużo nóg. Au.

Susan, jak mogła, starała się go podtrzymywać. Chwiejnie, ślizgając się, ruszyli do wyjścia.

– Moja głowa – powiedział chłopak. – Moja głowa. Moja głowa. Moja głowa. Okropnie łupie. Głowa. Jakby ktoś w nią walił. W moją głowę. Młotkiem.

Rzeczywiście tak było. Mały zielono-fioletowy chochlik siedział wśród jego mokrych włosów, trzymając w rękach duży drewniany młotek. Przyjaźnie skinął Susan głową, po czym uderzył znowu.

– O, ja...

– To nie było konieczne! – zawołała Susan.

– Chcesz mnie uczyć mojej pracy? – oburzył się chochlik. – I pewnie sama zrobiłabyś to lepiej, co?

– W ogóle bym tego nie zrobiła.

– No, ale ktoś musi...

– On jest. Częścią. Systemu – oznajmił chłopak.

– No właśnie – zgodził się chochlik. – Możesz mi potrzymać młotek? To zejść i pomaluję mu język żółtą mazią.

– Złóż natychmiast!

Susan próbowała złapać stworka, ale odskoczył, ciągle ściskając młotek, i złapał się kolumny.

– Jestem częścią systemu, wiesz?! – wrzasnął.

Chłopak ścisnął się za głowę.

– Czuję się potwornie – wyjęczał. – Masz może trochę lodu?

Po czym – ponieważ istnieją konwencje potężniejsze od zwykłej fizyki – budowla runęła.

Upadek Zamku Kości był stateczny, imponujący i wydawał się trwać bardzo długo. Przewracały się kolumny, zsuwały bloki dachu, rozpadał się i pękał lód. Powietrze nad walącą się ruiną wypełniła burza śniegu i lodowych kryształków.

Susan obserwowała to spod drzew. Chłopak, oparty o wygodny pień, otworzył oczy.

- Niesamowite – powiedział z wysiłkiem.
- Co takiego? Chodzi ci o to, że wszystko zmienia się w śnieg?
- To, jak mnie złapałeś i pobiegłeś. Ouć!
- Ach, to...

Zgrzyt lodu nie ustawał. Padające kolumny nie nieruchomiały, kiedy dotykały gruntu, ale dalej rozpadały się na proch.

Kiedy zadymka ustała, nie pozostało nic prócz śnieżnych zasp.

- Jakby go nigdy nie było – stwierdziła Susan. Zwróciła się do jęczącego przybysza. – No dobrze. Co tu robiłeś?
- Nie wiem. Właśnie otworzyłem. Oczy i byłem tutaj.
- A kim jesteś?
- Ja... Myślę, że mam na imię Bilious. Jestem... o, bogiem kaca.
- Istnieje bóg kaca?
- O, bóg – poprawił ją. – Kiedy ludzie wzywają moje imię, rozumiesz, trzymają się za głowę i mówią „O, boże...”. Ile was tam stoi?
- Co? Jestem tylko ja!
- Aha. To świetnie. Świetnie.
- Nigdy nie słyszałam o bogu kaca.
- A słyszałeś o Bibulousie, bogu wina? Auć.
- Tak.
- Wysoki, tęgi mężczyzna, nosi na głowie wieniec winorośli, zawsze przedstawiany jest z kielichem w ręku... Au. A wiesz, czemu jest taki

wesoły? On i ta jego wielka gęba? Bo wie, że rano będzie się czuł doskonale. Ponieważ to ja...

– ...cierpisz na kaca? – domyśliła się Susan.

– A przecież nawet nie piję! Au. A kto kończy co rano z głową w wychodku? Arrgh! – Urwał i ścisnął rękami głowę. – Czy powinienem mieć takie uczucie, że czaszka jest od środka porośnięta psią sierścią?

– Raczej nie.

– Aha. – Bilious zachwiał się. – Wiesz, jak ludzie czasem mówią: „Wypiłem wczoraj piętnaście kufli, a obudziłem się z głową czystą jak szkło”?

– Tak, wiem.

– Dranie! To dlatego, że ja zbudziłem się, jęcząc w zutylizowanym chilli. Raz, chociaż jeden raz chciałbym rano otworzyć oczy i nie czuć, że twarz mi się do czegoś lepi. – Zastanowił się. – Czy w tym lasku żyją żyrafy? – zapytał.

– W tym klimacie? Nie przypuszczam.

Spojrzał nerwowo powyżej jej głowy.

– Nawet takie w kolorze indygo? Takie jakby rozciągnięte i na przemian pojawiają się i znikają?

– Raczej niemożliwe.

– No to całe szczęście. – Kiwnął się w przód i w tył. – Przepraszam bardzo, ale chyba muszę zwrócić śniadanie.

– Jest już prawie wieczór!

– Naprawdę? W takim razie zwrócę obiad.

Osunął się łagodnie w śnieg za drzewem.

– Dużo w sobie mieści, co? – odezwał się głos z gałęzi. Należał do kruka.
– I ma szyję, co się zgina jak kolano.

O, bóg wrócił po dość hałaśliwej przerwie.

– Wiem, że muszę jeść – mamrotał. – Ale pamiętam to jedzenie tylko wtedy, kiedy przelatuje z powrotem...

– Co tam robiłeś? – spytała Susan.

– Ouć... Nie mam pojęcia. Prawdziwa łaska, że nie trzymałem znaku drogowego i nie nosiłem... – O, bóg skrzywił się. – Nie miałem przy sobie jakiegoś elementu damskiej bielizny. – Westchnął. – Ktoś gdzieś świetnie się bawił – stwierdził z żalem. – Szkoda, że to nie byłem ja.

– Najlepiej weź i się napij, dobrze ci radzę – oświadczył kruk. – Strzel sobie klina, którego zastrugał ktoś inny.

– Ale dlaczego właśnie tam? – nie ustępowała Susan.

O, bóg zaprzestał prób spiorunowania kruka wzrokiem.

– Nie wiem, gdzie niby było to „właśnie tam”.

Susan obejrzała się na miejsce, gdzie niedawno wznosił się Zamek Kości. Teraz nie było po nim śladu.

– Jeszcze przed chwilą stał tam bardzo ważny budynek – wyjaśniła.

O, bóg ostrożnie pokiwał głową.

– Często widzę rzeczy, których jeszcze przed chwilą nie było. I często nie ma ich w chwilę później. W większości przypadków to prawdziwe błogosławieństwo, możesz mi wierzyć. Dlatego zwykle specjalnie nie zwracam uwagi.

Zgiął się wpół i znowu wylądował na ziemi.

Jest już tylko śnieg, myślała Susan. Nic oprócz śniegu i wiatru. Nie

zostały nawet ruiny.

Ogarnęła ją dziwna pewność, że zamku Wiedźmikołaja nie tak po prostu już tu nie ma. Nie... jego nigdy nie było. Nie pozostał żaden ślad, żadne gruzy...

Był dziwny. Według legend, w nim właśnie mieszkał Wiedźmikołaj. A to zaskakujące, kiedy się zastanowić. Zamek nie wyglądał na miejsce, które wybrałby na mieszkanie wesoły staruszek wytwarzający zabawki.

Wiatr szeleścił wśród drzew. Śnieg zsuwał się z gałęzi. Gdzieś w ciemności mknęły kopyta.

Chuda figurka zeskoczyła z zasy i wylądowała o, bogu na głowie. Zerknęła paciorkowatym okiem na Susan.

– Nie przeszkadza ci? – upewnił się chochlik, wyciągając swój młotek. – Niektórzy z nas mają pracę do wykonania, rozumiesz, nawet jeśli jesteśmy metaforycznej, a raczej folklorystycznej proveniencji.

– Lepiej idź sobie.

– Jeśli myślisz, że to ja jestem zły, poczekaj, aż zobaczysz małe różowe słońce.

– Nie wierzę ci.

– Wyskakują mu z uszu i fruują dookoła głowy, ćwierkając przy tym.

– Aha – wtrącił kruk tonem znawcy. – To brzmi jak rudziki. Tak, one są zdolne do wszystkiego.

O, bóg jęknął tylko.

Susan poczuła nagle, że nie chce go tu zostawiać. Był człowiekiem. No, w każdym razie miał kształt człowieka. A przynajmniej dwie ręce i dwie nogi. Tutaj zamarznie na śmierć. Oczywiście, bogowie, a nawet o, bogowie, prawdopodobnie nie mogą zamarznąć, ale ludzie nie myślą w ten sposób. Nie można tak kogoś zostawić...

Była z siebie dumna za ten element normalnego myślenia.

Poza tym może od niego usłyszeć pewne odpowiedzi. Jeśli zdoła go doprowadzić do przytomności w stopniu wystarczającym, by zrozumiał pytania.

Ze skraju zaśniewzonego lasu zwierzęce oczy obserwowały, jak odchodzą.

Pan Crumley siedział na wilgotnych schodach i szlochał. Nie potrafił przedostać się bliżej, do działu zabawek. Przy każdej próbie tłum unosił go, a ludzkie prądy wypychały na zewnątrz.

– Miłego wieczoru, szefuniu – odezwał się ktoś.

Uniósł głowę i spojrzał załzawionymi oczami na niedużą, nieregularnie uformowaną postać, która w ten sposób się do niego zwracała.

– Czy jesteś jednym ze skrzatów? – zapytał, kiedy już w myślach wykluczył wszystkie inne możliwości.

– Nie, szefuniu. W istocie nie jestem skrzatem. W istocie jestem kapralem Nobbsem ze straży. A to funkcjonariusz Wizytuj. – Kreatura spojrzała na trzymany w rękę świstek papieru. – Pan Crummy?

– Crumley!

– Tak, zgadza się. Wysłał pan szanowny gońca na komisariat, a my niniejszym zareagowaliśmy z podziwu godną szybkością – wyjaśnił kapral Nobbs. – Mimo że jest Strzeżenie Wiedźm i że dzieje się wiele niezwykłych rzeczy, a co najważniejsze, panie szanowny, jest to okazja do naszej strzeżeniowiedźmowej popijawy. Ale to nie szkodzi, bo tu obecny Kocioł, to znaczy funkcjonariusz Wizytuj, i tak nie pije, bo to jest wbrew jego religii, pan szanowny rozumie, a ja, chociaż piję, zgłosiłem się na ochotnika do tej interwencji, ponieważ jest to moim obywatelskim obowiązkiem. – Nobby zasalutował, a przynajmniej wykonał gest, który uważał za salut. Nie dodał: „A w dodatku przyjdzie do takiego bogatego frajera jak pan szanowny musi

postawić na drodze przedstawiciela prawa jedną czy drugą świąteczną butelkę lub inny namacalny dowód wdzięczności”. Nie dodał, ponieważ cała jego postawa mówiła to za niego. Nawet uszy Nobby’ego potrafiły wyglądać sugestywnie.

Na nieszczęście, w obecnym stanie umysłu pan Crumley nie był spostrzegawczy. Wstał i drżącym palcem wskazał szczyt schodów.

– Chcę, żebyście poszli tam na górę – oznajmił. – I aresztowali go!

– Aresztowali kogo? – zdziwił się Nobby.

– Wiedźmikołaja!

– A za co, szefuniu?

– Bo siedzi beczelnie w swojej grocie i rozdaje prezenty!

Kapral Nobbs zastanowił się.

– Pan szanowny nie przesadził ze świątecznymi drinkami? – upewnił się z nadzieją.

– Nie piję!

– Bardzo rozsądnie, drogi panie – oświadczył funkcjonariusz Wizytuj. – Alkohol bruka duszę. Ossory, księga druga, wers dwudziesty czwarty.

– Nie całkiem zakumałem, szefuniu. – Kapral Nobbs był wyraźnie zdziwiony. – Wydawało mi się, że Wiedźmikołaj powinien rozdawać różne rzeczy, nie?

Tym razem pan Crumley poczuł, że musi trochę się uspokoić i zastanowić. Do tej chwili nie miał kiedy posortować w myślach i ocenić wydarzeń, poza rozpoznaniem ich zasadniczej niewłaściwości.

– To oszust! – oznajmił. – Tak, właśnie o to chodzi! Wdarł się tutaj!

– A wiesz pan, panie szanowny, zawsze tak podejrzewałem – rzekł

Nobby. – Myślałem sobie: co roku Wiedźmikołaj tkwi przez dwa tygodnie w drewnianej grocie, w sklepie w Ankh-Morpork? Kiedy ma tyle roboty? Ha! Trudno uwierzyć. Może to tylko jakiś staruszek z brodą? Tak sobie kombinowałem.

– Chodzi o to, że... no, że to nie jest Wiedźmikołaj, którego zwykle zatrudniamy. – Crumley poczuł pod nogami pewniejszy grunt. – On się tu wcisnął.

– Aha, czyli to inny oszust? A nie ten prawdziwy oszust?

– No... tak... nie...

– I zaczął rozdawać różne rzeczy?

– Tak przecież powiedziałem! To chyba musi być Przestępstwo, prawda?

Nobby potarł palcem nos.

– No, prawie... – przyznał, nie chcąc do końca poniechać szansy świątecznej nagrody. Nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy. – On rozdaje towar szanownego pana?

– Nie! Nie, przywiózł wszystko ze sobą.

– Hm... Rozdawanie rzeczy szanownego pana, gdyby to właśnie robił, to owszem, widzę w tym pewien kłopot. Towar, który znika, to pewna oznaka przestępstwa. Ale towar, który się pojawia, tak, to gorsza sprawa. Chyba że chodzi o taki towar jak czyjeś ręce i nogi, ma się rozumieć. I powiem panu szanownemu szczerze, że byłoby łatwiej, gdyby on ten towar podprowadzał.

– To jest sklep – rzekł pan Crumley, wreszcie docierając do korzeni całego problemu. – Nie rozdajemy tu artykułów. Jak możemy liczyć, że klienci coś kupią, skoro jakiś osobnik wszystko im daje za darmo? A teraz proszę się tam udać i wyprowadzić go.

– Aresztować Wiedźmikołaja, znaczy się?

– Tak!

– W wigilię Strzeżenia Wiedźm?

– Tak!

– W pańskim sklepie?

– Tak!

– Przy tych wszystkich dzieciakach?

– Ta... – Pan Crumley zawahał się. Uświadomił sobie ze zgrozą, że kapral Nobbs, wbrew wszelkim oczekiwaniom, ma rację. – Myślicie, kapralu, że to nie będzie dobrze wyglądać?

– Trudno sobie wyobrazić, panie szanowny, jak mogłoby wyglądać dobrze.

– A moglibyście to załatwić dyskretnie?

– No, dyskrecja, pewno, można spróbować – przyznał kapral Nobbs. Zdanie zawisło w powietrzu z wyciągniętą ręką.

– Przekonacie się, że nie należę do niewdzięczników – domyślił się w końcu Crumley.

– Pan szanowny może na nas polegać – obiecał Nobby, wielkoduszny w swym zwycięstwie. – Pan szanowny niech biegnie do gabinetu i łyknie sobie gorącej herbaty, a my sprawimy się raz-dwa. Będzie pan szanowny nam wdzięczny.

Crumley spojrzał na niego jak człowiek doświadczający poważnych wątpliwości, ale odszedł chwiejnym krokiem. Kapral Nobbs zatarł ręce.

– U was w domu, Kocioł, nie macie Strzeżenia Wiedźm? – zapytał, kiedy wspinali się na pierwsze piętro. – Popatrz no na ten chodnik, wygląda, jakby świnia na niego nasikała...

– Nazywamy to Postem świętego Ossory’ego – wyjaśnił Wizytuj, który pochodził z Omni. – Ale nie jest to okazja dla praktykowania zabobonów i

prymitywnego komercjalizmu. Spotykamy się tylko w grupach rodzinnych na modlitwie i poście.

– Znaczy, indyk, kurczaki i takie tam?

– To post, kapralu. Nie jemy niczego.

– No tak... Każdemu to, co lubi, jak to mówią. Przynajmniej nie musicie wstawać rano, żeby odkryć, że nic, co zostało, nie jest tak duże, żeby się nie zmieściło w piekarniku. Prezentów też nie dostajecie?

Odsunęli się szybko, gdy dwójka dzieci zbiegła po schodach, taszcząc między sobą dużą zabawkową łódź.

– Czasami właściwa jest wymiana nowych esejów religijnych, no i oczywiście są też egzemplarze „Księgi Ossory’ego” dla dzieci – odparł funkcjonariusz Wizytuj. – Bywa, że z... ilustracjami – dodał ostrożnie, jak człowiek mówiący o nieprzyzwoitych rozkoszach.

Obok przebiegła dziewczynka dźwigająca większego od siebie pluszowego misia. Był różowy.

– A mnie zawsze dają sole kąpielowe – poskarżył się Nobby. – I mydło kąpielowe, i płyn do kąpieli, i takie ziołowe kąpielowe dodatki i w ogóle całe tony kąpielowych różności. Nie mam pojęcia dlaczego, przecież w ogóle prawie nigdy się nie kąpię. Można by sądzić, że potrafią to zrozumieć, nie?

– Obrzydlistwo, moim zdaniem – stwierdził funkcjonariusz Wizytuj.

Na piętrze kłębił się tłum.

– Popatrz tylko na nich. Kiedy ja byłem dzieciakiem, pan Wiedźmikołaj nigdy mi jakoś nic nie przyniósł – oświadczył kapral Nobbs, spoglądając ponuro na dzieci. – Wieszaleń skarpetę na każde Strzeżenie Wiedźm, regularnie. A tyle z tego miałem, że mój tato kiedyś do niej narzygał.

Zdjął hełm.

Nobby w żadnym razie nie był bohaterem, ale teraz w jego oczach pojawił

się błysk kogoś, kto widział w życiu zbyt wiele pustych skarpet – plus jedną dość pełną i ciekącą. Strup został zdrapany z jakiejś rany w pomarszczonym organie jego duszy.

– Wchodzę – oznajmił.

Pomiędzy głównym holem Niewidocznego Uniwersytetu a frontowymi drzwiami znajduje się mniejsze, okrągłe pomieszczenie czy westybul, zwane Pamiątką Nadrektora Bowella, chociaż nikt nie wie dlaczego ani też czemu obowiązujący zapis nakazuje kupować jedną słodką bułeczkę, która wraz z jednym miedzianym pensum ma być położona na wysokiej kamiennej półce na ścianie w co drugą środę*. Ridcully stał na środku tego pomieszczenia i patrzył w górę.

– Proszę mi przypomnieć, pierwszy prymusie. Nigdy nie zapraszaliśmy kobiet na Strzeżeniowiedźmowy Bankiet, prawda?

– Oczywiście, że nie, nadrektorze – zgodził się pierwszy prymus. Spojrzał na zakurzone krokwie, niepewny, co zwróciło uwagę Ridcully'ego. – Wielkie nieba, nigdy w życiu. One wszystko by zepsuły. Zawsze to powtarzam.

– A wszystkie służące mają wolne do północy?

– Bardzo wielkoduszny obyczaj, zawsze to powtarzam – stwierdził pierwszy prymus, czując, że trzeszczy mu kark.

– Więc dlaczego co roku wieszamy pod sufitem taki wielki pęk jemioli?

Pierwszy prymus obrócił się dookoła, wciąż patrząc w górę.

– No, eee... To jest... tego... to symbol, nadrektorze.

– Tak?

Pierwszy prymus wyczuł, że oczekuje się od niego czegoś więcej. Po omacku szukał w zakurzonych zakamarkach swej edukacji.

– Ehem... Liście, widzi pan... one symbolizują... zielen, prawda, a za to jagody to symbol... symbol bieli. Biel i zielen. Bardzo ważny symbol.

Czekał. Niestety, nie rozczarował się.

– Czego?

Pierwszy prymus odchrząknął.

– Nie jestem pewien, czy koniecznie musi być czegoś, nadrektorze.

– Aha. Zatem – rzekł w zadumie Ridcully – można chyba stwierdzić, że biel i zielen symbolizują niewielką roślinę pasożytniczą.

– Istotnie – zgodził się pierwszy prymus.

– Czyli jemioła jest w rzeczywistości symbolem jemioły?

– W samej rzeczy – zgodził się pierwszy prymus, który w tej chwili starał się tylko przeczekać.

– Zabawne – mruknął Ridcully tym samym tonem zadumy. – To stwierdzenie jest albo tak głębokie, że całego życia trzeba, by pojąć każdą część jego znaczenia, albo to zwykła bzdura. Ciekawe, która z tych ewentualności jest prawdziwa.

– Może obie – zasugerował zdesperowany pierwszy prymus.

– A ten komentarz jest albo niezwykle wnikliwy, albo całkiem banalny.

– Może ob...

– Proszę nie przeciągać struny...

Ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

– To pewnie kolednicy – domyślił się pierwszy prymus, ucieszony szansą zmiany tematu. – Co roku się zjawiają. Osobiście bardzo lubię, jak śpiewają „Chłopaków Lilywhite”.

Nadrektor raz jeszcze spojrzał na jemiołę, obrzucił groźnym wzrokiem rozpromienionego pierwszego prymusa, po czym uchylił małą klapkę w drzwiach.

– No więc kolędowanie, chłopcy... – zaczął. – Och. No tak. Muszę stwierdzić, że można było wybrać lepszy moment...

Zakapturzona postać przeszła przez drewno drzwi, niosąc na ramieniu bezwładny pakunek.

Pierwszy prymus cofnął się pospiesznie.

– Och... nie! Nie dzisiaj!

I wtedy zobaczył, że to, co wziął za czarną szatę, obszyte jest u dołu koronką, a kaptur – choć niewątpliwie jest kapturem – wygląda bardziej stylowo od tamtego, z którym go początkowo pomylił.

– Zostawiasz czy zabierasz? – spytał Ridcully.

Susan zsunęła kaptur.

– Potrzebuję pomocy, panie Ridcully.

– Jesteś... Czy nie jesteś wnuczką Śmierci? Spotkaliśmy się chyba kilka...

– Tak – westchnęła Susan.

– I... pomagasz w pracy? – Ridcully poruszył znacząco brwiami i wskazał wzrokiem bezwładną postać na ramieniu dziewczyny.

– Chcę, żebyście go obudzili – wyjaśniła.

– Znaczy, coś w rodzaju cudu? – zapytał pierwszy prymus, który trochę nie nadążał.

– On nie umarł – zapewniła Susan. – Tylko odpoczywa.

– Zawsze się tak mówi – wyjąkał pierwszy prymus.

Ridcully, który był człowiekiem bardziej praktycznym, podniósł nieprzytomnemu głowę. Ten jęknął.

– Wygląda na to, że trochę przesadził...

– Jest bogiem kaca – wyjaśniła Susan. – O, bogiem kaca.

– Naprawdę? – zdziwił się Ridcully. – Ja tam nigdy nie mam kaca. To zabawne. Mogę pić całą noc, a rano budzę się świeży jak stokrotka.

O, bóg otworzył oczy, wzniosł się, zbliżył do nadrektora i zaczął okładać pięściami jego pierś.

– Ty draniu, ty wredny draniu! Nienawidzę cię! Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę...

Zamknął oczy i zsunął się na podłogę.

– O co mu chodziło? – zapytał niepewnie Ridcully.

– To chyba jakaś reakcja nerwowa – odparła dyplomatycznie Susan. – Coś niedobrego dzieje się dziś wieczorem. Mam nadzieję, że on mi wytłumaczy, co takiego. Ale najpierw musi zacząć normalnie myśleć.

– I przyniosłaś go tutaj? – zdumiał się Ridcully.

HO. HO. HO. TAK, RZECZYWIŚCIE, WITAJ, MAŁE DZIECKO ZWANE KURZAJKĄ LUMPY, CÓŻ ZA PIĘKNE IMIĘ. WIEK SIEDEM LAT, JAK SIĘ DOMYŚLAM? DOBRZE. TAK, WIEM, ŻE TO ZROBIŁA. PROSTO NA ŁADNĄ, CZYSTĄ PODŁOGĘ, TAK. ONE TAK ROBIĄ, WIESZ? TO COŚ, CO WARTO WIEDZIEĆ O PRAWDZIWYCH ŚWINIACH. TU MASZ, PROSZĘ. NIE, NIE MA ZA CO. SZCZĘŚLIWEGO STRZEŻENIA WIEDŹM I BĄDŹ GRZECZNY. BĘDĘ WIEDZIAŁ, CZY BYŁEŚ GRZECZNY, CZY NIE. PAMIĘTAJ. HO. HO. HO.

– Wprowadziłaś, panie, nieco magii do tego małego życia – pochwalił

Albert, kiedy odeszło kolejne dziecko.

LUBIĘ TEN WYRAZ NA ICH TWARZYCZKACH, oświadczył Wiedźmikołaj.

– Znaczy, ten rodzaj przerażenia i podziwu, i niepewności, czy mają się śmiać, czy płakać, czy siusiać w spodnie?

TAK TO JEST DOPIERO PRAWDZIWA WIARA.

O, bóg został przeniesiony do głównego holu i ułożony na ławie. Najstarsi magowie zebrali się wokół niego – zawsze gotowi pomóc tym mniej szczęśliwym od siebie w pozostaniu takimi.

– Wiem, co jest dobre na kaca – oznajmił dziekan, który był już w bankietowym nastroju.

Spojrzeli na niego pytająco.

– Ciężkie pijaństwo poprzedniej nocy! – Rozpromienił się. – To był dobry żart słowny – dodał po chwili, żeby jakoś przerwać milczenie.

Milczenie powróciło.

– Bardzo zabawne – stwierdził Ridcully. Popatrzył zamyślony na o, boga. – Surowe jajka są dobre... – zerknął gniewnie na dziekana. – To znaczy złe na kaca. I świeży sok pomarańczowy.

– Klatchiańska kawa – oświadczył stanowczo wykładowca run współczesnych.

– Ale ten chłopak nie ma po prostu swojego kaca – przypomniał Ridcully. – On ma kaca wszystkich.

– Próbowałem już – wymamrotał o, bóg. – Mam po niej nastroje samobójcze i mdłości.

– Mieszanka musztardy i chrzanu? – zaproponował kierownik Katedry Studiów Nieokreślonych. – Najlepiej ze śmietaną. I z anchois.

– Jogurt – dodał kwestor.

Ridcully spojrzał na niego zdziwiony.

– To brzmiało niemal sensownie – przyznał. – Dobra robota, kwestorze. Na twoim miejscu na tym bym poprzestał. Hm... Oczywiście, mój wujek zaklinał sos wow-wow.

– Zaklinał się na sos wow-wow, zapewne? – zapytał wykładowca run współczesnych.

– Może jedno i drugie. Wiem, że kiedyś wypił go całą butelkę jako lek na kaca, i rzeczywiście chyba go to wyleczyło. Wyglądał bardzo spokojnie, kiedy składaliśmy go do grobu.

– Kora wierzby – powiedział kwestor.

– Niezły pomysł – przyznał wykładowca run współczesnych. – To analgetyk.

– Naprawdę? No cóż, możliwe, ale lepiej będzie zaaplikować mu to doustnie – stwierdził Ridcully. – Czy aby dobrze się czujesz, kwestorze? Odezwał się tak jakby rozsądnie.

O, bóg otworzył przekrwione oczy.

– Czy to wszystko pomaga? – zapytał słabym głosem.

– Raczej cię zabije – stwierdziła Susan.

– Aha. To dobrze.

– Moglibyśmy dodać Wzmacniacz Winkelberta – zaproponował dziekan.
– Pamiętacie, kiedy Modo dodał trochę do groszku? Daliśmy radę zjeść tylko po jednym.

– Czy nie moglibyście zrobić czegoś bardziej, no... magicznego? – zniecierpliwiła się Susan. – Wyczarować z niego ten alkohol albo co...

– Owszem, ale teraz to już nie jest alkohol, prawda? – zauważył Ridcully.
– Zmienił się w mnóstwo paskudnych małych trucizn tańczących dookoła jego wątroby.

– Niemieszalny Podzielnik Spolda mógłby załatwić sprawę – wtrącił wykładowca run współczesnych. – Jest bardzo prosty. W rezultacie dostajemy garnek pełen wszystkich tych paskudztw. Wcale nietrudne, jeśli nie przeszkadzają komuś efekty uboczne.

– Proszę opowiedzieć o efektach ubocznych – poprosiła Susan, która już wcześniej spotykała magów.

– Główny polega na tym, że reszta z niego kończy w trochę większym garnku.

– Będzie żywy?

Wykładowca run współczesnych skrzywił się i zamachał rękami.

– W sensie ogólnym tak – zapewnił. – Żywe tkanki, bez wątplenia. I stanowczo trzeźwy.

– Chodzi nam chyba o coś, co pozostawi go w tym samym kształcie, i nadal oddychającego.

– No wiesz, mogłaś od razu powiedzieć...

I wtedy dziekan powtórzył mantrę, która w ciągu wieków wywarła tak znaczący wpływ na postęp wiedzy:

– A może zmieszamy wszystko razem i zobaczymy, co się stanie?

A Ridcully zareagował tradycyjną odpowiedzią:

– Chyba warto spróbować.

Przeznaczony na lekarstwo duży szklany dzban umieszczono na postumencie w samym środku sali. Magowie i tak kochali ceremonie, a tu dodatkowo uznali, że skoro mają uleczyć największego kaca na świecie, powinni brać się do tego w odpowiednim stylu.

Susan i Bilious przyglądali się dodawaniu kolejnych ingrediencji. Mniej więcej w połowie, kiedy mikstura miała barwę pomarańczowobrunatną, zrobiła „glup”.

– Niewielka poprawa, moim zdaniem – uznał wykładowca run współczesnych.

Wzmacniacz Winkelberta był przedostatnim składnikiem. Dziekan opuścił do naczynia zielonkawą kulę światła, która zanurzyła się pod powierzchnię. Jedynym widocznym efektem były fioletowe bąbelki, które po ścianach dzbanka sunęły w górę i kapąły na podłogę.

– To jest to? – zapytał o, bóg.

– Wydaje się, że jogurt nie był dobrym pomysłem – stwierdził dziekan.

– Ja tego nie wypiję – zapowiedział stanowczo Bilious i chwycił się za głowę.

– Przecież bogów właściwie nie da się zabić, prawda?

– No i świetnie. Dlaczego w takim razie od razu nie wsadzicie mi nóg w maszynkę do mięsa?

– Jeśli uważasz, że to pomoże...

– Przewidziałem pewien zakres oporu ze strony pacjenta – rzekł nadrektor. Zdjął kapelusz i z kieszonki w podszewce wyłowił niedużą kryształową kulę. – Może zobaczymy, co tam słychać u boga wina? W taką noc łatwo będzie odszukać takie rozrywkowe bóstwo...

Chuchnął i przetrął kryształ rękawem. Uśmiechnął się.

– No, tutaj jest ten łobuziak! W Dunmanifestin, jak przypuszczam. Tak... tak... Leży na sofie, otoczony przez nagie menady.

– Kogo? Maniaków? – nie zrozumiał dziekan.

– Jemu chodzi o... podniecające młode kobiety – wyjaśniła Susan.

Miała wrażenie, że jakiś ruch zaczął się pośród magów, nonszalancki spacer w stronę migoczącej kuli.

– Nie widzę dokładnie, co robi... – mówił Ridcully.

– Może ja się zorientuję – zaproponował z nadzieją kierownik studiów nieokreślonych.

Ridcully odwrócił się, by usunąć kulę z zasięgu jego rąk.

– A tak – powiedział. – Wygląda na to, że coś pije. Tak, to chyba piwo i czarna porzeczką, jeśli mogę zauważyć...

– O, ja... – jęknął o, bóg.

– A te młode kobiety... – zaczął wykładowca run współczesnych.

– Widzę sporo butelek na stole – ciągnął Ridcully. – Ta na przykład, tak, to chyba jabłkownik, który, jak wiesz, robi się z jabłek...

– Głównie z jabłek – wtrącił dziekan. – A co do tych biednych, obłąkanych dziewcząt...

O, bóg osunął się na kolana.

– I jeszcze... taki alkohol, no wiesz, z robakiem w butelce...

– O, ja...

– Stoi też pusta szklanka, duża, ale nie wiem, co zawierała. Jest w niej papierowa parasolka i parę wiśni na patyczku. Aha, i jeszcze taka malutka zabawna małpka.

– Oooo...

– Naturalnie, jest też wiele innych butelek – opowiadał wesołym głosem Ridcully. – Głównie kolorowe drinki. Takie robione z melonów, z kokosa, z czekolady i podobne; no wiesz. Zabawne, ale jedyne naczynia, jakie widzę, to duże kufle...

Bilious upadł na twarz.

– Dobrze – wymamrotał. – Wypiję to ohydne świństwo.

– Nie jest jeszcze gotowe. O, dziękuję, Modo.

Modo wszedł dyskretnie, pchając przed sobą wózek. Stała na nim duża metalowa misa, a w niej mała buteleczka umieszczona w stosie pokruszonego lodu.

– Właśnie przygotowałem na strzeżeniowiedźmową wieczerzę – wyjaśnił Ridcully. – Chyba jeszcze nie zdążył dojrzeć.

Odłożył kryształową kulę i wyjął z kapelusza parę grubych rękawic.

Magowie rozstąpili się, niby płatki rozwijającego się kwiatu. Przed chwilą otaczali Ridcully'ego, teraz stali w pobliżu różnych solidnych elementów umeblowania.

Susan miała wrażenie, że znalazła się na ważnej ceremonii, ale nie zna obowiązujących reguł.

– Co to jest? – zapytała, gdy nadrektor ostrożnie podniósł buteleczkę.

– Sos wow-wow – wyjaśnił. – Najwspanialsza przyprawa znana ludzkości. Wspaniały dodatek do mięsa, ryb, drobiu, jajek i wielu potraw warzywnych. Nie jest bezpieczny, póki para kondensuje się jeszcze na ściankach. – Przyjrzał się buteleczce, a następnie potarł ją palcem. Wydała szklisty, jękliwy dźwięk. – Z drugiej strony – dodał z zadowoleniem – jeśli to ma być lek typu „pomóż albo zabij”, a pacjent jest praktycznie nieśmiertelny, to chyba mamy tu niezawodny środek.

Przytrzymał korek kciukiem i energicznie potrząsnął buteleczką. Trzasnęło głośno, gdy kierownik studiów nieokreślonych i pierwszy prymus usiłowali wcisnąć się pod ten sam stół.

– Nie wiadomo, czemu oni wszyscy nie chcą tego docenić – westchnął Ridcully, pochodząc do dzbana.

– Osobiście wolę sosy, po których nie należy wstrzymywać się od gwałtownych ruchów przez pół godziny po posiłku – mruknął dziekan.

– I których nie można używać do rozdrabniania kamieni – dodał pierwszy prymus.

– Ani usuwania korzeni drzew – uzupełnił kierownik studiów nieokreślonych.

– I które nie są zakazane w trzech miastach – zakończył wykładowca run współczesnych.

Ridcully ostrożnie odkorkował buteleczkę. Syknęło wciągane przez zęby powietrze.

Przechylił ją i kilka kropel spadło do dzbana. Nic się nie stało.

Wlał większą porcję. Mikstura pozostała nieodmiennie obojętna.

Ridcully podejrzliwie powąchał buteleczkę.

– Może dodałem za mało startego wahooni? – zastanowił się, po czym odwrócił buteleczkę i wylał do dzbana całą zawartość.

Mikstura zareagowała cichym „glup”.

Magowie zaczęli podnosić się i otrząpywać szaty. Uśmiechali się do siebie z zakłopotaniem, jak ludzie, którzy wiedzą, że właśnie byli członkami zespołu synchronicznego robienia z siebie durniów.

– Wiem, że ta asafetida leżała w spiżarni dość długo – powiedział Ridcully.

Odwrócił buteleczkę i przyjrzał się jej ze smutkiem. Potem raz jeszcze przechylił szyjkę w dół i mocno stuknął w dno. Odrobina sosu pojawiła się na krawędzi i lśniła tam przez chwilę. Potem zaczęła formować kroplę.

Spojrzenia magów skierowały się ku niej niby ściągane niewidzialną siłą. Nie byłiby jednak magami, gdyby nie potrafili choć trochę zajrzeć w przyszłość. Dlatego, kiedy kropla nabrzmiała i zaczęła przybierać kształt gruszki, z szybkością zadziwiającą u ludzi tak zaawansowanych w latach i obwodzie talii zanurkowali na podłogę.

Kropla spadła.

Zrobiła „glup”.

I to wszystko.

Po chwili Ridcully, który stał w miejscu jak posąg, odetchnął z ulgą.

– Sam nie wiem – powiedział, odwracając się. – Wolałbym, żebyście okazali nieco więcej godności...

Ognista kula poderwała go w powietrze. Potem wzniosła się do sufitu, rozprysnęła szeroko i zniknęła z cichym puknięciem, pozostawiając idealną chryzantemę przypalonego tynku.

Czyste białe światło wypełniło salę. Zabrzmiął dźwięk.

DZYN. DZYN.

PSSSS.

Magowie zaryzykowali zerknięcie przez ramię.

Dzban się jarzył. Wypełniał go płynny blask, który bulgotał delikatnie i sypał iskrami niczym wirujący brylant.

– Coś takiego... – szepnął wykładowca run współczesnych.

Ridcully podniósł się z podłogi. Nie ucierpiał – magowie dość łatwo się

toczą, a poza tym mają powłokę zewnętrzną dostatecznie miękką, by się odbijać.

Wszyscy zbliżali się wolno do dzbana. Migotliwy blask rzucał na ściany ich długie cienie.

– Co to jest? – zapytał dziekan.

– Pamiętam, ojciec udzielił mi kiedyś cennych rad na temat alkoholu – rzekł Ridcully. – Powiedział: „Synu, nigdy nie pij drinków z papierową parasolką w szklance, nigdy nie pij drinków z zabawnymi nazwami i nigdy nie pij drinków, które zmieniają kolor po dodaniu ostatniego składnika. I nigdy, przenigdy nie rób tego...”.

Wsadził palec do dzbana.

Kiedy go wyjął, na końcu lśniła pojedyncza kropla.

– Ostrożnie, nadrektorze – ostrzegł dziekan. – To, co tam mamy, może reprezentować czystą trzeźwość.

Ridcully znieruchomiał z palcem w połowie drogi do ust.

– Słuszna uwaga – przyznał. – Nie chciałbym w moim wieku zacząć być trzeźwym. – Rozejrzał się. – Jak testujemy takie rzeczy?

– Zwykle szukamy ochotników wśród studentów – odparł dziekan.

– A jeśli żaden się nie znajdzie?

– Podajemy im to i tak.

– Czy nie jest to trochę nieetyczne?

– Nie, jeśli nic im nie mówimy, nadrektorze.

– No tak. Bardzo rozsądnie.

– Ja spróbuję – szepnął o, bóg.

– Czegoś, co wyszykowali ci klau... ci dżentelmeni? – obruszyła się Susan. – To cię może zabić.

– Przypuszczam, że nigdy nie miałaś kaca – odparł o, bóg. – Inaczej nie opowiadałabyś takich bzdur.

Zataczając się, podszedł do postumentu, za drugą próbą zdołał ująć dzban – i wypił całą zawartość.

– Teraz będą fajerwerki – oznajmił kruk siedzący Susan na ramieniu. – Płomienie wydobywające się z ust, krzyki, chwytanie się za gardło, leżenie pod kranem z zimną wodą i takie rzeczy...

Ku swemu zdumieniu, Śmierć odkrył, że załatwianie kolejki dzieci jest całkiem przyjemne. Do tej pory mało kto cieszył się na jego widok.

NASTĘPNY! JAK MASZ NA IMIĘ, MAŁA... Zawahał się, ale szybko nad sobą zapanował...OSOBO?

– Nobby Nobbs, Wiedźmikołaju – odparł Nobby.

Czy tylko mu się zdawało, czy kolano, na którym siedział, było o wiele bardziej kościste, niż być powinno? Pośladki usiłowały kłócić się z mózgiem, ale zostały przyciśnięte.

A BYŁEŚ GRZECZNYM KRAS... GRZECZNYM GNO... GRZECZNYM OSOBNIKIEM?

I nagle Nobby odkrył, że nie panuje nad własnym językiem, który całkiem samowolnie, pod wpływem strasznego przymusu, uformował krótkie:

– ...ak.

Gdy Nobby walczył o władzę nad własnym ciałem, potężny głos mówił dalej:

PRZYPUSZCZAM ZATEM, ŻE NALEŻY SIĘ JAKIŚ PREZENT DLA

GRZECZNEJ MAŁP... GRZECZNEGO CZŁO... GRZECZNEJ OSOBY PŁCI MĘSKIEJ?

Aha, teraz cię mam, teraz ci wygarnę, staruszk, pewno już nie pamiętasz tej sutereny na tyłach warsztatu przy Starej Szewskiej, co? Te wszystkie poranki Strzeżenia Wiedźm z maleńką dziurą w moim świecie...

Słowa wezbrały w Nobbym, ale zanim osiągnęły krtani, stłumiło je coś pradawnego... I ku zdumieniu Nobby'ego, zostały przełożone na:

– ...ak.

COŚ ŁADNEGO?

– ...ak.

W tej chwili niewiele pozostało w Nobbym świadomej woli. Cały świat składał się z jego obnażonej duszy i Wiedźmikołaja, który wypełniał sobą wszystko.

I OCZYWIŚCIE BĘDZIESZ GRZECZNY PRZEZ NASTĘPNY ROK?

Niewielka pozostała jeszcze cząstka nobbowatości chciała odpowiedzieć: Zaraz, a jak dokładnie pan szanowny definiuje „grzeczny”? Jakby, na przykład, zdarzył się jakiś towar, po którym nikt by nie tęsknił? Albo, na przykład, taki mój kolega był na patrolu, niby, i odkrył, że sklepikarz zostawił sklep na noc otwarty. No i każdy mógł tam wejść, nie? Ale przypuśćmy, że ten kolega zabrał jeden czy drugi drobiazg, taki jakby, no wie pan szanowny, taki napiwek, a potem wezwał sklepikarza, żeby zamknął drzwi, to dalej liczy się jako „grzeczny”, nie?

Dobro i zło były, według filozofii Nobby'ego, określeniami całkowicie względnymi – i blisko spokrewnionymi. A większość jego krewnych, na przykład, była przestępcami. Jednak to zaproszenie do debaty filozoficznej zostało przechwycone gdzieś w głębi mózgu przez czysty lęk przed wielką brodą na niebie.

– ...ak – pisnął.

ZASTANAWIAM SIĘ, CO CHCIAŁBYŚ DOSTAĆ...

Nobby zrezygnował i siedział jak niemy. Cokolwiek miało się teraz zdarzyć, na pewno się zdarzy i on nic na to nie poradzi... W tej chwili światełko na końcu psychicznego tunelu ukazywało tylko dalszy ciąg tunelu.

AHA. TAK.

Wiedźmikołaj sięgnął do worka i wydobył dziwnego kształtu prezent, opakowany w świąteczny papier, który – ze względu na pewną konfuzję myśli obecnego Wiedźmikołaja – pokryty był deseniem wesołych kruków. Kapral Nobbs chwycił go w drżące dłonie.

CO SIĘ MÓWI?

– ...uję.

A TERAZ BIEGNIJ.

Kapral Nobbs z wdzięcznością zsunął się z kolana i przecisnął przez tłum. Przystanął dopiero wtedy, kiedy drogę zastąpił mu funkcjonariusz Wizytuj.

– Co się działo? Co się działo? Nic nie widziałem!

– Nie wiem – wymamrotał Nobby. – Dał mi to...

– Co to takiego?

– Nie wiem.

Nerwowo rozrywał papier w kruki.

– Niesmaczna jest cała ta sprawa – stwierdził funkcjonariusz Wizytuj. – Oddawanie czci idolom...

– To prawdziwa samopowtarzalna kusza z potrójnym naciągami, Burleigh i Wręcemocny, z polerowaną orzechową kolbą inkrustowaną srebrem!

– ...wulgarna komercjalizacja dnia, który ma jedynie astronomiczne

znaczenie – ciągnął Wizytuj, który rzadko zwracał uwagę na cokolwiek, kiedy wygłaszał potępienie. – Jeśli już jakkolwiek ten dzień świętować, to...

– Widziałem ją w „Łukach i amunicji”! Miała „Wybór redakcji” w kategorii „Co kupić, jeśli umrze twój bogaty wuj Sidney”. Musieli recenzentowi złamać obie ręce, żeby ją wypuścić!

– ...powinien być upamiętniony krótkim nabożeństwem...

– Musi kosztować więcej niż roczne zarobki! Robią je tylko na zamówienie! Trzeba czekać całe lata!

– ...natury religijnej. – Funkcjonariusz Wizytuj zdał sobie nagle sprawę, że kogoś za nim brakuje. – Czy nie mieliśmy aresztować tego oszusta, kapralu? – zapytał.

Kapral Nobbs spojrzał na kolegę. Oczy zamgliła mu duma posiadacza.

– Cudzoziemiec z ciebie, Kocioł – oświadczył. – Trudno się spodziewać, żebyś zrozumiał, o co naprawdę chodzi w Strzeżeniu Wiedźm.

O, bóg zamrugął.

– Aha – powiedział. – Teraz mi lepiej. O tak. Zdecydowanie lepiej. Dziękuję.

Magowie, którzy dzielali wiarę kruka w kluczowe narracyjne konwencje życia, obserwowali go czujnie.

– Lada chwila – stwierdził pewnym tonem wykładowca run współczesnych. – Zacznie się jakimś bardzo zabawnym wrzaskiem...

– Wiecie – powiedział o, bóg – chyba ewentualnie mógłbym zjeść jajko na miękko.

– A może uszy zaczną mu się kręcić...

– Albo wypić szklankę mleka.

Ridcully był wyraźnie skonsternowany.

– Naprawdę czujesz się lepiej? – zapytał.

– Ależ tak – zapewnił o, bóg. – Wydaje mi się, że gdybym zaryzykował uśmiech, nie odpadłby mi czubek głowy.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował dziekan. – Tak być nie może. Wszyscy wiedzą, że dobre lekarstwo na kaca musi się łączyć z zabawnymi krzykami i tak dalej.

– Może mógłbym opowiedzieć dowcip – zaproponował niepewnie o, bóg.

– I nie odczuwasz przemożnej chęci, żeby wybiec na dwór i wsadzić głowę do beczki z wodą? – upewnił się Ridcully.

– Eee... niespecjalnie. Ale chętnie zjadłbym grzanekę, jeśli to coś pomoże.

Dziekan zdjął kapelusz i z czubka wydobył thaumometr.

– Coś się jednak stało – oznajmił. – Nastąpił potężny skok thaumiczny.

– A czy nie smakowało to choć trochę, no... pikantnie? – pytał Ridcully.

– Właściwie to nijak nie smakowało – odparł o, bóg.

– Przecież to oczywiste – odezwała się Susan. – Kiedy bóg wina pije, Bilious cierpi tego skutki. Więc kiedy bóg kaca wypija lekarstwo na kaca, skutki muszą przeskoczyć po tym samym łączy.

– To całkiem możliwe – zgodził się dziekan. – W końcu on jest przecież w zasadzie przewodnikiem.

– Zawsze myślałem o sobie raczej jak o rurze – wtrącił o, bóg.

– Nie, nie, ona ma rację – przyznał Ridcully. – Kiedy tamten pije, ten chłopak tutaj czuje się paskudnie. Czyli logiczne, że kiedy nasz przyjaciel

tutaj bierze lek na kaca, skutki uboczne przepływają tą samą drogą z powrotem...

– Ktoś tu niedawno wspominał o kryształowej kuli – rzekł o, bóg, a w jego głosie zadźwięczała mściwa nuta. – Chcę to zobaczyć...

To był duży drink – jeden z tych specjalnych koktajli, w których każdy z bardzo lepkich i bardzo mocnych składników nalewa się bardzo powoli, by warstwy się nie mieszały. Takie drinki mają zwykle nazwy w rodzaju „Światła drogowe” albo „Tęczowa zemsta”, a w miejscach, gdzie bardziej ceni się prawdę, „Witaj i żegnaj, komórko mózgowa”.

Dodatkowo w szklance pływał zielony listek. Plasterek cytryny i plasterk ananasa tkwiły zaczepione kokieteryjnie na krawędzi, a brzeg zdobiły kryształki cukru. Ze środka wystawały aż dwie papierowe parasolki, różowa i niebieska, a każda miała na końcu wisienkę.

Ktoś też zadał sobie trud, by zamrozić kostki lodu w kształcie małych słoników. Po czymś takim nie ma już żadnej nadziei. Równie dobrze można to pić w miejscu, które nazywa się Cococobana.

Bóg wina delikatnie ujął szklankę. Takie właśnie drinki lubił.

W tle grała rumba. Dwie młode damy tuliły się do niego. Zapowiadała się przyjemna noc. Noce zawsze były przyjemne.

– Szczęśliwego Strzeżenia Wiedźm dla wszystkich! – zawołał, wznosząc szklankę.

I dodał:

– Słyszeliście coś?

Ktoś dmuchnął na niego papierową świstawką.

– Nie, poważnie... Taka jakby opadająca nuta...

Ponieważ nikt nie zwracał uwagi, wzruszył tylko ramionami i szturchnął jedną z sąsiadek.

– Może wypijemy jeszcze parę, a potem wyrwiemy się do takiego miłego klubu? – zaproponował.

I wtedy...

Magowie odstąpili. Jeden czy drugi się skrzywił.

Tylko o, bóg tkwił jak przyklejony do kryształowej kuli, z okrutnym uśmiechem na twarzy.

– Cofnęła się treść żołądka! – krzyknął, boksując pięściami powietrze. – Tak! Tak! Tak! Teraz ciebie gryzie robak, co? Ha! I jak ci smakują te jabłka?

– No, głównie jabłka – zauważył dziekan.

– Mnie to wyglądało jak bardzo wiele innych rzeczy – stwierdził Ridcully.
– Wydaje się, że odwróciliśmy ciąg przyczynowo-skutkowy.

– Na stałe? – spytał z nadzieją o, bóg.

– Nie sądzę. W końcu jesteś przecież bogiem kaca. Wszystko pewnie znów się odwróci, kiedy ustanie działanie mikstury.

– No to nie mam wiele czasu. Przynieście mi... niech pomyślę... dwadzieścia kufli piwa, trochę pieprzówki i butelkę likieru kawowego! Z parasolką! Zobaczmy, jak ci się to spodoba, panie Masz Jeszcze Miejsce na Jednego!

Susan złapała go za rękę i pociągnęła na ławę.

– Nie po to cię otrzeźwiłam, żebyś się znowu uchlał! – oznajmiła.

Zamrugnął zdziwiony.

– Nie po to?

– Chcę, żebyś mi pomógł.

– W czym?

– Mówiłeś, że nigdy dotąd nie byłeś człowiekiem, tak?

– Eee... – O, bóg spojrzał na siebie. – To prawda – przyznał. – Nigdy.

– To twoja pierwsza inkarnacja? – zdziwił się Ridcully.

– To raczej osobiste pytanie, prawda? – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych.

– No... Zgadza się – potwierdził o, bóg. – Dziwne... Pamiętam, że zawsze mnie dręczył ból głowy... ale nie pamiętam, żebym miał głowę. Tak chyba być nie powinno.

– Istniałeś *in potentia* – domyślił się Ridcully.

– Istniałem?

– Istniał? – spytała Susan.

Ridcully zastanowił się.

– Och, jej – powiedział. – Chyba ja to zrobiłem, wiecie... Powiedziałem do młodego Stibbonsa coś o piciu i kacu, prawda...

– I stworzyłeś go, ot tak? – zadrwił dziekan. – Bardzo trudno mi w to uwierzyć, Mustrum. Ha! Tak z powietrza? I pewnie wszyscy możemy to robić, co? Ktoś ma ochotę wymyślić jakiegoś nowego skrzata?

– Może Wrózkę Wypadających Włosów? – zaproponował wykładowca run współczesnych.

Pozostali zaśmiali się głośno.

– Wcale mi nie wypadają włosy! – oburzył się dziekan. – Tylko pozostają w bardzo precyzyjnych odstępach.

– Połowa na głowie, połowa na szczotce – zakpił wykładowca run współczesnych.

– Nie ma co się wstydzić, że człowiek łysieje – stwierdził spokojnie Ridcully. – Zresztą wiecie przecież, co mówią o łysych mężczyznach.

– Tak. Mówią: „Patrzcie, on nie ma włosów” – powiedział wykładowca run współczesnych. Dziekan ostatnio go irytował.

– Po raz ostatni powtarzam! – krzyknął dziekan. – Wcale nie...

Urwał.

Zabrzmiało „dzyń, dzyń, dzyń”.

– Chciałbym wiedzieć, skąd to pochodzi – mruknął Ridcully.

– E... e... – wyjąkał dziekan. – Czy mam coś na głowie?

Pozostali patrzyli w milczeniu.

Coś ruszało się pod jego kapeluszem.

Dziekan bardzo ostrożnie uniósł rękę i zdjął kapelusz.

Siedzący mu na głowie bardzo mały gnom trzymał w obu dłoniach po kępce włosów. Zamrugął zmieszany, gdy znalazł się w świetle.

– Jakiś problem? – zapytał.

– Zdejmijcie to ze mnie! – wrzasnął dziekan.

Magowie zawahali się. Wszyscy z grubsza znali teorię, że bardzo małe stworzonka mogą przenosić choroby. Co prawda gnom znacznie przekraczał powszechnie uznawany rozmiar takich stworzonek, ale nikt nie chciał się zarazić chorobą rosnącej łysiny.

Susan chwyciła gнома mocno.

– Jesteś Wróżką Wypadających Włosów? – spytała.

– Najwyraźniej – przyznał, wijąc się w jej dłoni.

Zdesperowany dziekan przejechał palcami po głowie.

– Co robiłeś z moimi włosami? – zapytał groźnie.

– No... Część chyba zostawiam na szczotkach, ale czasem chyba splatam je w maty, żeby zatykać odpływ z wanny.

– Jak to „chyba”? – zdziwił się Ridcully.

– Chwileczkę – wtrąciła Susan. Zwróciła się do o, boga. – Gdzie właściwie byłeś, zanim znalazłam cię w śniegu?

– No... tak jakby... wszędzie – odparł. – Gdziekolwiek jakiś czas wcześniej był konsumowany alkohol w dużych ilościach, można powiedzieć.

– Aha! – zawołał Ridcully. – Byłeś immanentną siłą życiową, tak?

– Przypuszczam, że mogłem być – zgodził się o, bóg.

– A kiedy żartowaliśmy sobie na temat Wróżki Wpadających Włosów, ten gnom zogniskował się nagle na głowie dziekana, gdzie jego działalność w ostatnich miesiącach była widoczna dla nas wszystkich, ale oczywiście jesteśmy zbyt grzeczni, by wygłaszać komentarze na ten temat.

– Przywołujecie zjawiska do istnienia – podsumowała Susan.

– Takie jak na przykład Goblin Dawania Dziekanowi Wielkiego Wora Pieniędzy? – powiedział głośno dziekan, który czasami potrafił myśleć bardzo szybko. Rozejrzał się z nadzieją. – Ktoś słyszy te magiczne dzwonki?

– A często dostaje pan worki pieniędzy? – spytała Susan.

– Nie żeby codziennie, raczej nie. Ale jeśli...

– W takim razie prawdopodobnie brakuje okultystycznej przestrzeni dla Goblina Worków Pieniędzy.

– Osobiście zawsze się zastanawiałem, co się dzieje z moimi skarpetami – przyznał z uśmiechem kwestor. – Wiecie, zawsze jednej brakuje. Kiedy jeszcze byłem mały, myślałem, że coś je zabiera...

Magowie pomyśleli przez chwilę. A potem wszyscy usłyszeli cichy, dźwięczny głos dziejącej się magii.

Nadrektor dramatycznym gestem wskazał sufit.

– Na górę, do pralni! – zawołał.

– Pralnia jest na dole, Ridcully – zauważył dziekan.

– Na dół, do pralni!

– I wiesz, Ridcully, że pani Whitlow nie lubi, kiedy tam zaglądamy – przypomniał kierownik studiów nieokreślonych.

– A kto jest nadrektorem na tym uniwersytecie, jeśli wolno spytać? Czy może pani Whitlow? Nie wydaje mi się. A może ja? Niewiarygodne, ale chyba rzeczywiście!

– No tak, ale sam wiesz, jaka ona bywa...

– To prawda – przyznał Ridcully.

– O ile pamiętam, wyjechała na święta do siostry – wtrącił kwestor.

– Żadna gospodyni nie będzie nam wydawać rozkazów – oznajmił z mocą nadrektor. – Do pralni!

Magowie wybiegli szybko, pozostawiając tylko Susan, o, boga, Gnoma Kurzajkę i Wrózkę Wypadających Włosów.

– Wyłumacz mi jeszcze raz, co to za ludzie – poprosił o, bóg.

– Jedni z najbardziej inteligentnych na świecie – odpowiedziała Susan.

– A ja jestem trzeźwy, tak?

– Inteligentny to nie to samo co rozsądny. I jest takie powiedzenie, że kto chce kroczyć ścieżką mądrości, w pierwszym kroku musi się stać małym dzieckiem.

– Myślisz, że słyszeli kiedyś o drugim kroku?

Susan westchnęła.

– Raczej nie, ale czasami przewracają się przy nim, kiedy tak biegają w kółko i krzyczą.

– Aha. – O, bóg rozejrzał się. – Jak myślisz, mają tu jakieś soki?

Ścieżka mądrości rzeczywiście zaczyna się od pierwszego kroku.

Ludzie jednak zwykle błędzą, gdyż ignorują tysiące kolejnych kroków, które trzeba wykonać potem. Robią pierwszy, decydując stać się jednością z wszechświatem, ale z jakichś powodów zapominają, by zrobić kolejny logiczny krok i żyć przez siedemdziesiąt lat na szczycie góry, z dzienną dietą złożoną z miseczki ryżu i kubka herbaty z masłem z mleka jaka, a dopiero to nadałoby tej decyzji jakiś sens. Wprawdzie dowody potwierdzają, że droga do piekła jest wybrukowana dobrymi chęciami, jednak prawdopodobnie wszystkie znajdują się w pierwszych krokach.

Dziekan zawsze najlepiej sobie radził w takich chwilach. Szedł na czele pomiędzy wielkimi miedzianymi kadziami, wtykał laskę w ciemne kąty i powtarzał pod nosem: „Uch, uch, uch”.

– Dlaczego miałby się objawić właśnie tutaj? – szepnął wykładowca run współczesnych.

– Punkt niestabilności rzeczywistości – odparł Ridcully, stając na palcach, by zajrzeć do kotła z wybielaczem. – Wszystko trafia właśnie tutaj.

Powinieneś już to wiedzieć.

– Ale czemu akurat teraz? – dopytywał się kierownik studiów nieokreślonych.

– Nie gadać! – syknął dziekan i skoczył w następne przejście, wyciągając przed siebie laskę. – Ha! – wrzasnął, po czym zrobił zawiedzioną minę.

– Jak duże może być to coś, co kradnie skarpetki? – zainteresował się pierwszy prymus.

– Nie wiem – przyznał Ridcully. Zajrzał za stos desek do prania. – Kiedy tak o tym myślę, wydaje mi się, że przez lata straciłem chyba tonę skarpet.

– Ja też – mruknął wykładowca run współczesnych.

– A więc... powinniśmy szukać w ciasnych miejscach czy w obszernych miejscach? – ciągnął pierwszy prymus tonem człowieka, którego pociąg myśli wjechał właśnie do długiego i ciemnego tunelu.

– Rozsądne pytanie – zgodził się Ridcully. – Dziekanie, dlaczego wciąż zachęcasz nas do marszu?

– Mówię „uch”, Mustrumie – wyjaśnił dziekan. – Nie jest to skrót od ruchu, co oznacza... oznacza...

– Niepozostawanie na miejscu?

– Ruch owszem, zgoda, ale uch... No, czasami trzeba to powiedzieć.

– Ta skarpetkowa kreatura... – odezwał się znowu pierwszy prymus. – Ona je kradnie, czy pożera?

– Nieźle kombinuje ten facet – pochwalił Ridcully, rezygnując z dyskusji z dziekanem. – Przekażcie wszystkim: nikt nie powinien wyglądać jak skarpeta. Zrozumiano?

– Jak można... – zaczął dziekan.

I wtedy wszyscy usłyszeli:

...grnf, grnf, grnf...

Był to łakomy odgłos, dźwięk sugerujący coś obdarzonego dużym, trudnym do zaspokojenia apetytem.

– Pożeracz skarpet! – jęknął pierwszy prymus, zaciskając powieki.

– Ilu macek powinniśmy się u niego spodziewać? – zapytał wykładowca run współczesnych. – Tak mniej więcej...

– To bardzo... bardzo duży odgłos, prawda? – wtrącił kwestor.

– Powiedzmy, z dokładnością do tuzina... – Wykładowca run współczesnych zaczął się wycofywać.

...grnf, grnf, grnf...

– Pewnie jak tylko nas zobaczy, zedrze z nas skarpetki – jęknął pierwszy prymus.

– No... przynajmniej pięć albo sześć macek. Jak sądzicie? – pytał wykładowca run współczesnych.

– Wydaje mi się, że słyszać go gdzieś zza machin piorących – poinformował dziekan.

Machiny miały po dwa piętra wysokości i były zwykle używane tylko wtedy, gdy populacja uniwersytetu wzrastała gwałtownie w okresie zajęć. Potężny kołowrót łączył się w każdej kadzi z parą wielkich pobielających wioseł; pod kadziami umieszczono paleniska. Operując z pełną mocą, maszyny wymagały obsługi co najmniej sześciu ludzi, by wrzucać pranie, dokładać do ognia i smarować ramiona piorące. Ridcully widział raz, jak to wygląda – przypominały mu wizję bardzo czystego i higienicznego piekła, takiego, gdzie po śmierci mogłoby trafiać mydło.

Dziekan zatrzymał się przy drzwiach do bojlerów.

– Coś tam jest – szepnął. – Słuchajcie!

...grnf...

– Ucichło! Wie, że tu jesteśmy! – syknął. – Wszyscy gotowi? Uch!

– Nie! – pisnął wykładowca run współczesnych.

– Ja otworzę drzwi, a wy postaracie się to zatrzymać! Raz... dwa... trzy!
Och...

Sanie wzniosły się w zimowe niebo.

OGÓLNIIE RZECZ BIORĄC, UWAŻAM, ŻE POSZŁO CAŁKIEM DOBRZE. CO O TYM SĄDZISZ?

– Tak, panie – zgodził się Albert.

TROCHĘ MNIE JEDNAK ZDZIWIŁ TEN CHŁOPCZYK W KOLCZUDZE.

– To chyba był strażnik, panie.

NAPRAWDĘ? W KAŻDYM RAZIE ODSZEDŁ ZADOWOLONY, A TO PRZECIEŻ NAJWAŻNIEJSZE.

– Naprawdę, panie?

Albert trochę się martwił. Osmotyczna natura Śmierci powodowała, że aż nazbyt szybko przyswajał sobie nowe idee. Oczywiście Albert rozumiał, dlaczego muszą to wszystko robić, ale pan... No, panu brakowało czasami niezbędnego umysłowego wyposażenia, by rozróżnić, co powinno być prawdą, a co nie...

WYDAJE MI SIĘ RÓWNIEŻ, ŻE ŚMIECH WYCHODZI MI TERAZ O WIELE LEPIEJ. HO. HO. HO.

– Tak, panie. Bardzo wesoły. – Albert zerknął na listę. – Ale robota czeka, nieprawdaż... Następny klient jest całkiem niedaleko, panie, więc lepiej prowadzić sanie nisko.

ŚWIETNIE, ŚWIETNIE! HO. HO. HO.

– Sara, mała dziewczynka sprzedająca zapalki, przy wejściu sklepu Fajki i Tytoń Naparstka, aleja Forsołapka. Tak mam tu napisane.

A CZEGO ONA CHCIAŁABY NA STRZEŻENIE WIEDŹM?

– Nie wiem. Nigdy nie przysłała listu. A przy okazji, taka luźna uwaga, panie... Nie musisz przez cały czas mówić „Ho, ho, ho”. Sprawdźmy... Mam tu napisane... – Albert zaczął czytać, bezgłośnie poruszając wargami.

MYŚLĘ, ŻE LALKA ZAWSZE JEST DOBRZE WIDZIANA. ALBO JAKAŚ ODMIANA PLUSZOWEJ ZABAWKI. WOREK CHYBA WIE. CO DLA NIEJ MAMY, ALBERCIE? HO. HO. HO.

Coś małego znalazło się w jego dłoni.

– To – rzekł Albert.

OCH.

Na chwilę zapadła przerażająca cisza. Obaj wpatrywali się w życiomierz.

– Jesteś na całe życie, panie, nie tylko na Strzeżenie Wiedźm – odezwał się w końcu Albert. – A życie płynie dalej. W pewnym sensie.

PRZECIEŻ TO NOC STRZEŻENIA WIEDŹM.

– Tradycyjny okres dla takich spraw, jak rozumiem.

WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE TO CZAS RADOŚCI, powiedział Śmierć.

– No wiesz, panie, w zasadzie... Jedną z rzeczy, która daje ludziom jeszcze więcej radości, jest świadomość, że są tacy, którzy tej radości nie znają – wyjaśnił rzeczowo Albert. – Tak to już jest, panie.

NIE. Śmierć wstał. TAK TO BYĆ NIE POWINNO.

Główny hol był już przygotowany do Strzeżeniowiedźmowego Bankietu. Stoły ugiwały się pod ciężarem sztuców, a przecież miną jeszcze długie godziny, zanim trafią tu jakieś potrawy. Trudno było sobie wyobrazić, że znajdzie się dla nich miejsce pośród ozdobnych pater z owocami i lasu kieliszków do wina.

O, bóg sięgnął po menu i otworzył na czwartej stronie.

– „Danie czwarte: mięczaki i skorupiaki. Zestaw: homary, kraby, raki, krewetki zwykłe, krewetki olbrzymie, ostrygi, małże, małże olbrzymie, małże zielonowargie, małże wąskowargie, skałoczepy tygrysie z masłem i ziołami. Wino: Trzech Magów, Chardonnay, rok zbiorów: Żaba. Piwo: Winkle’a Specjalnie Warzone”. – Odłożył kartę. – To ma być jedno danie?

– To bardzo wybitne osoby, jeśli chodzi o jedzenie.

Odwrócił menu. Na okładce był herb Niewidzialnego Uniwersytetu i trzy duże litery starożytnego alfabetu:

$b^{\infty} \searrow \checkmark$

$\frac{3}{8}$ To jakaś magiczna formuła?

– Nie. – Susan westchnęła. – Zawsze wpisują to na menu. Można uznać, że to nieoficjalne motto Niewidzialnego Uniwersytetu.

– A co to znaczy?

– Eta ni pi.

Bilious spojrzał na nią wyczekująco.

– Tak?

– No... to taki skrót. E tam nie pij.

– To właśnie powiedziałaś, owszem.

– No... nie. Widzisz, litery pochodzą z alfabetu efebiańskiego i tylko brzmią podobnie do „e tam nie pij”. Że niby można pić, rozumiesz.

– Aha. – Bilious z mądrą miną pokiwał głową. – Widzę, że może to prowadzić do nieporozumień.

Susan poczuła się nieco bezradna wobec tego wyrazu uprzejmego niezrozumienia.

– Nie – odparła. – To znaczy, one z założenia powinny prowadzić do nieporozumień, a wtedy można się z tego śmiać. Nazywa się to kalambour albo gra słów. Eta ni pi. – Przyjrzała mu się z uwagą. – Śmiejesz się – dodała. – Ustami. Tylko tak naprawdę się nie śmiejesz, bo właściwie z takich rzeczy nie należy się śmiać.

– Może znajdę gdzieś szklankę mleka – powiedział bezradnie o, bóg, spoglądając na liczne baterie butelek i dzbanów. Wyraźnie zrezygnował z poczucia humoru.

– O ile wiem, nadrektor nie pozwala trzymać mleka na uniwersytecie – uprzedziła go Susan. – Mówi, że wie, skąd się je bierze, i że to niehigieniczne. I tak uważa człowiek, który codziennie zjada na śniadanie trzy jajka! A właściwie skąd wiesz o mleku?

– Mam... wspomnienia. Nie to, żeby o czymś konkretnym. Po prostu, wiesz, wspomnienia. Na przykład wiem, że drzewa zwykle rosną zielonym końcem do góry. I takie tam... Przypuszczam, że bogowie po prostu wiedzą różne rzeczy.

– Masz jakieś szczególne boskie moce?

– Potrafiłbym może zmienić wodę w napój odbierający siły. – Pomasażował palcami grzbiet nosa. – Czy to w czymś pomoże? Jest też możliwe, że umiem zsyłać na ludzi potworny ból głowy.

– Muszę się dowiedzieć, czemu mój dziadek... dziwnie się zachowuje.

– Nie możesz go spytać?

– Nie powie!

– Czy często wymiotuje?

– Nie sędzę. On w ogóle zbyt często nie jada. Czasem porcję curry, raz czy dwa razy w miesiącu.

– Musi być bardzo chudy.

– Nie wyobrażasz sobie nawet.

– W takim razie... Czy często patrzy na siebie w lustrze i mówi „Aargh”? Albo wystawia język i zastanawia się, czemu jest taki żółty? Widzisz, możliwe, że mam pewien wpływ na ludzi cierpiących na kaca. Gdyby dużo pił, może zdołałbym coś zdziałać.

– Nie wyobrażam sobie, żeby robił to, o czym mówiłeś. Może lepiej od razu ci powiem. Mój dziadek to... Śmierć.

– Przykro mi to słyszeć.

– Chodzi o to, że on jest Śmiercią.

– Słucham?

– Śmierć. No wiesz... Śmierć.

– Znaczy, czarna szata...

– ...Kosa, biały koń, kości... Tak. Śmierć.

– Chciałem tylko się upewnić, że dobrze rozumiem – oświadczył o, bóg uspokajającym tonem. – Uważasz, że twój dziadek jest Śmiercią i twierdzisz, że to on się dziwnie zachowuje?

Pożeracz skarpetek spojrzał czujnie na magów. Po chwili jego szczęki podjęły pracę.

...grnf, grnf...

– Zaraz, ta jest moja! – krzyknął kierownik studiów nieokreślonych i wyciągnął rękę.

Pożeracz skarpetek cofnął się szybko.

Wyglądał jak bardzo mały słoń z bardzo szeroką, rozszerzającą się trąbą, w której znikła właśnie jedna ze skarpetek kierownika studiów nieokreślonych.

– Zabawne stworzonko, co? – rzucił Ridcully, opierając łaskę o ścianę.

– Oddaj to, potworze jeden! – Kierownik studiów nieokreślonych nie rezygnował. – A kysz!

Pożeracz skarpetek usiłował się odsunąć, pozostając równocześnie na miejscu. Powinno to być niemożliwe, jednak w rzeczywistości wiele małych zwierzątek wykonuje identyczny manewr, kiedy zostaną przyłapane na jedzeniu czegoś zakazanego. Nogi przebierają wtedy gorączkowo, ale szyja i szczęki wyciągają się w stronę zdobyczy... Wreszcie skarpetka z cichym mlaśnięciem zniknęła wewnątrz trąby, a stwór poczłapał za bojler. Po chwili wysunął zza niego jedno oko i podejrzliwie obserwował magów.

– Były drogie, wiecie. Z piętą wzmacnianą lnianym włóknem – mruczał kierownik studiów nieokreślonych.

Wieczór rozwijał się nadspodziewanie interesująco. Ridcully wysunął szufladkę w swoim kapeluszu, by wydobyć stamtąd fajkę i kapciuch z ziołowym tytoniem. Potarł zapalną o maszynę piorącą.

– Musimy to jakoś załatwić – oświadczył, gdy po kilku pyknięciach halę pralni wypełnił aromat jesiennych ognisk. – Nie możemy pozwolić, żeby różne stwory tak sobie zaczynały istnieć, bo akurat ktoś o nich pomyślał. To niehigieniczne.

Sanie wyhamowały z poślizgiem przy końcu alei Forsołapki.

CHODŹMY, ALBERCIE.

– Sam wiesz, panie, że nie powinienes robić takich rzeczy. Pamiętasz, jak się to skończyło ostatnim razem.

WIEDŹMIKOŁAJ MOŻE.

– Ale... Mała dziewczynka z zapalkami, umierająca na śniegu, to ważny element samego ducha Strzeżenia Wiedźm, panie – tłumaczył zrozpaczony Albert. – Rozumiesz, ludzie słyszą o czymś takim i mówią: „Może i jesteśmy ubożsi niż kaleki banan i mamy do jedzenia tylko błoto i stare buty, ale i tak powodzi się nam lepiej niż tej biednej dziewczynce z zapalkami”. Dzięki temu czują się szczęśliwi, panie. I wdzięczni za to, co mają.

WIEM, CO JEST DUCHEM STRZEŻENIA WIEDŹM, ALBERCIE.

– Wybacz, panie, ale widzisz, to wszystko i tak się dobrze kończy, bo ona się budzi, widzi jasność, słyszy muzykę i przychodzą aniołowie, panie.

Śmierć zatrzymał się.

AHA. ZJAWIAJĄ SIĘ W OSTATNIEJ CHWILI Z CIEPŁYM UBRANIEM I CZYMŚ GORĄCYM DO PICIA?

No ładnie, pomyślał Albert. Pan naprawdę wpadł w ten swój dziwaczny nastrój.

– E... no nie. Nie dokładnie w ostatniej chwili, panie. Nie jako takiej.

TAK?

– Bardziej tak jakby już po ostatniej chwili. – Albert zakaszłał nerwowo.

CHCESZ POWIEDZIEĆ, ŻE KIEDY ONA JUŻ...

– Tak. Tak mówi ta opowieść, panie. To nie moja wina.

DLACZEGO NIE ZJAWIAJĄ SIĘ WCZEŚNIEJ? TAKI ANIOŁ MA CAŁKIEM SPORĄ ŁADOWNOŚĆ.

– Trudno powiedzieć, panie. Przypuszczam, że ludziom wydaje się to bardziej... no, bardziej satysfakcjonujące. – Albert zawahał się. Zmarszczył brwi. – A wiesz, panie, kiedy tak o tym opowiadam...

Śmierć spojrzał na niewielką postać pod padającym śniegiem. Potem ustawił życiometer w powietrzu i dotknął go palcem. Strzeliła iskra.

– Tak naprawdę, panie, to nie wolno ci tego robić.

WIEDŹMIKOŁAJ MOŻE. WIEDŹMIKOŁAJ DAJE PREZENTY A NIE MA LEPSZEGO PREZENTU NIŻ PRZYSZŁOŚĆ.

– Tak, ale..

ALBERCIE.

– Już dobrze, panie.

Śmierć podniósł dziewczynkę i ruszył do wylotu alei.

Płatki śniegu opadały niczym pióra aniołów. Śmierć wyszedł na ulicę i zastąpił drogę dwójce ludzi człapiących ciężko przez zaspy.

ZABIERZCIE JĄ GDZIEŚ DO CIEPŁA I DAJCIE DOBRĄ KOLACJĘ, rozkazał, wciskając dziecko w ręce jednemu z nich. I PAMIĘTAJCIE, ŻE PÓŹNIEJ MOGĘ TO SPRAWDZIĆ.

Odwrócił się i zniknął wśród wirujących płatków.

Funkcjonariusz Wizytuj popatrzył na trzymaną na rękach dziewczynkę, a potem na kaprala Nobbsa.

– O co tu chodzi, kapralu?

Nobby odsunął skrawek koca.

– Nie mam pojęcia. Wychodzi na to, że zostaliśmy wybrani do okazania dobroczynności.

– Moim zdaniem to niezbyt dobroczynne, takie wciskanie kogoś przypadkowym ludziom.

– Daj spokój. Na komendzie zostało jeszcze trochę jedzenia – odparł Nobby.

Wezbrało w nim silne wrażenie, że tego właśnie się ktoś się po nim spodziewa. Pamiętał tego grubego człowieka w grocie, chociaż nie mógł sobie przypomnieć jego twarzy. I nie bardzo mógł sobie przypomnieć twarz osoby, która oddała im dziewczynkę, co oznacza, że musiała to być ta sama twarz.

Wkrótce potem zadźwięczała muzyka, zapłonęło bardzo jasne światło, i dwaj urażeni aniołowie zjawili się u wylotu alei. Albert rzucał w nich śnieżkami, aż sobie poszli.

Myślak Stibbons niepokoił się HEX-em. Nie wiedział, jak działa, chociaż wszyscy uważali, że wie. Oczywiście, całkiem nieźle się orientował w niektórych elementach; był też pewien, że HEX myśli o problemach, przekształcając je w liczby i mieląc (wyżymaczka z pralni, czyli WZP, została zamontowana w tym właśnie celu), ale po co mu były te wszystkie małe religijne obrazki? I ta mysz... Chyba nie robiła zbyt wiele, ale kiedy tylko zapomnieli dać jej sera, HEX przestawał pracować. I puste ramy od obrazów. Mrówki wędrowały po nich od czasu do czasu, ale wydawało się, że nic nie robią.

Tak naprawdę Myślak martwił się, że oddaje się rytuałom kultu cargo. Czytał o nich. Ludzie niewykształceni* i łatwowierni*, których wyspę odwiedził kiedyś statek wędrownego kupca, wymieniając perły i kokosy na takie dobrodziejstwa cywilizacji jak szklane paciorki, lusterka, toporki i choroby weneryczne, później wykonywali modele tego statku z bambusa – w

nadziei że zdołają znowu przywołać magiczny ładunek. Oczywiście, byli zbyt niewykształceni i łatwowierni, by wiedzieć, że budując formę, nie uzyskuje się jeszcze treści...

Sam zbudował formę HEX-a. I przyszło mu do głowy, że zbudował ją na magicznym uniwersytecie, gdzie przesłona między rzeczywistym a nierzeczywistym jest tak cienka, że można niemal przez nią zajrzeć. Dręczyło go straszne podejrzenie, że w jakiś sposób realizują tylko schemat zawieszony gdzieś w powietrzu.

HEX sam wiedział, jaki powinien być.

Na przykład ta historia z elektrycznością. HEX rozpoczął ten temat pewnej nocy, wkrótce po tym, jak poprosił o mysz.

Myślak był dumny z tego, że wiedział prawie wszystko, co można wiedzieć o elektryczności. Próbowali więc pocierać balony i szklane pręty, aż mogli przyczepić Adriana do sufitu, ale nie miało to żadnego wpływu na HEX-a. Potem przywiązali mnóstwo kotów do koła, które obracało się, pocierając o kawałki bursztynu, i produkowało ogromne ilości elektryczności. Rozpływała się wszędzie i trzymała całymi dniami, nie było jednak sposobu, by załadować ją do HEX-a. Zresztą i tak nikt nie mógł wytrzymać tego hałasu.

Jak na razie nadrektor Ridcully postawił weto w kwestii piorunochronu.

Wszystko to wpędzało Myślaka w depresję. Był przekonany, że świat powinien funkcjonować bardziej efektywnie. A teraz nawet to, o czym zawsze myślał, że idzie dobrze, zaczynało iść źle.

Ponuro patrzył na pióro HEX-a w plątaniu sprężyn i linek.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Tylko jedna osoba potrafiła tak nimi trzasnąć. Myślak nawet się nie obejrzał.

– Witamy znowu, panie nadrektorze.

– Ta wasza myśląca maszyna działa? – zapytał Ridcully. – Jest taki

drobny, ale ciekawy...

– Nie działa – przerwał mu Myślak.

– Nie? Co jest, wzięła sobie połówkę wolnego dnia na Strzeżenie Wiedźm?

– Proszę spojrzeć.

HEX wypisał: +++ Hops! Oto Idzie Serek! +++ MELON MELON MELON +++ Błąd W Adresie: Ul. Kopalni Melasy 14, Ankh-Morpork +++ !!!!! +++ Jedenjedenjedenjedenjedenjeden +++ Zaczynij Z Początku +++

– Co się dzieje? – zdziwił się Ridcully. Inni magowie tłoczyli się za jego plecami.

– Wiem, że brzmi to niemądrze, panie nadrektorze, ale podejrzewamy, że mógł się czymś zarazić od kwestora.

– Świrem, znaczy?

– To przecież śmieszne, mój chłopcze! – zaprotestował dziekan. – Idiotyzm nie jest chorobą zakaźną.

Ridcully pyknął z fajki.

– Też tak kiedyś myślałem – oświadczył. – Ale teraz nie jestem już taki pewny. Zresztą mądrość można przecież złapać, prawda?

– Nie, nie można – oburzył się dziekan. – To nie grypa, Ridcully. Mądrość jest... tak jakby... wzbudzana.

– Przyjmujemy tu studentów i mamy nadzieję, że zarażą się od nas mądrością, prawda?

– No, metaforycznie...

– Jeśli trzymasz się bandy idiotów, to na pewno sam też zdurniejesz – ciągnął Ridcully.

– Przypuszczam, że tak, w pewnym sensie...

– I wystarczy ci pięć minut porozmawiać z biednym kwestorem, a czujesz, że ogarnia cię głupota. Mam rację?

Magowie kiwnęli głowami. Towarzystwo kwestora, choć całkiem nieszkodliwe, zwykle sprawiało, że mózg zaczynał skrzypieć.

– Czyli HEX złapał świra od kwestora – stwierdził Ridcully. – Proste. Prawdziwa głupota za każdym razem pokona sztuczną inteligencję. – Stuknął fajką o trąbkę słuchową HEX-a i krzyknął: – DOBRZE SIĘ CZUJESZ, PRZYJACIELU?!!

HEX odpisał: +++ Test Górnych Memuarów +++ MELON MELON MELON +++ Błąd: Brak Sera! +++!!!! +++ Panie Galaretka! Panie Galaretka! Panie Galaretka! +++

– HEX bez żadnych problemów rozwiązuje wszystko, co dotyczy wyłącznie liczb. Kiedy jednak spróbuje czegokolwiek innego, taki jest efekt – wyjaśnił Myślak.

– Widzicie? Choroba kwestora – stwierdził Ridcully. – Precyzyjny jak kolana pszczoły przy dodawaniu, ale niechlujny jak świńskie ucho przy całej reszcie. Próbowaliście mu podać pigułki z suszonej żaby?

– Przepraszam, panie nadrektorze, ale to niezbyt rozsądna propozycja. Nie można dawać leków maszynom.

– Nie rozumiem dlaczego. – Ridcully znowu postukał w trąbkę i ryknął: – JUŻ WKRÓTCE POSTAWIMY CIĘ NA... na... na to co trzeba, oczywiście! Gdzie jest ta deska z klawiszami literowymi i numerowymi, panie Stibbons? O, dobrze.

Usiadł i zaczął pisać powoli, jednym palcem, jak prezes firmy.

P-I-L-G-U-K-I-S-U-S-Z-O-N-E-J-“-Ý-A-B-Y

Rury HEX-a brzęknęły.

– To przecież nie może poskutkować, panie nadrektorze – powiedział Myślak.

– Powinno – zapewnił go Ridcully. – Jeśli potrafił zrozumieć ideę bycia chorym, to może zrozumieć ideę bycia leczonym.

Wystukał: D-Y-Z-O-P-I-L-G-U-L-K-Z-S-U-S-Z-O-N-E-J-Ý-L-B-Y

– Zdaje się – powiedział – że ta machina wierzy w to, co jej się mówi, tak?

– No, to prawda, że HEX nie dysponuje, jeśli chce pan to w ten sposób ująć, żadnym pojęciem nieprawdy.

– Dobrze. Więc właśnie jej powiedziałem, że zjadła bardzo dużo pigułek z suszonej żaby. Nie nazwie mnie kłamcą, zgadza się?

We wnętrzu struktury HEX-a zabrzmiały stukania i brzęki.

A potem pióro napisało: +++ Dobry Wieczór, Nadrektorze. Całkowicie Odzyskałem Zdolność Działania I Z Entuzjazmem Oczekuję Nowych Zadań +++

– Czyli już bez szaleństw?

+++ Zapewniam Pana, Że Jestem Równie Zdrowy Na Umyśle Jak Dowolny Stojący Obok Człowiek +++

– Kwestorze, proszę się odsunąć, dobrze? – rzucił Ridcully. – No cóż, to chyba najlepsze, co można osiągnąć. Dobrze, bierzmy się do rzeczy. Chcemy się dowiedzieć, co się dzieje.

– Gdzieś konkretnie czy ogólnie wszędzie? – mruknął Myślak nieco sarkastycznie.

Zaskrzypiało pióro HEX-a. Ridcully spojrzał na papier.

– Tu stoi napisane „Implikowana Kreacja Antropomorficznych Personifikacji”. Co to znaczy?

– No... myślę, że HEX próbował sformułować odpowiedź – wyjaśnił Myślak.

– Odpowiedź, na bogów?! Przecież ja nawet nie sformułowałem pytania!

– Słyszał, co pan mówi, panie nadrektorze.

Ridcully uniósł brwi. Potem nachylił się nad trąbką.

– SŁYSZYSZ MNIE TAM?!!

Pióro zaskrobało o papier.

+++ Tak +++

– DBAJĄ TU O CIEBIE JAK TRZEBA, CO?!!

– Nie musi pan krzyczeć, nadrektorze – powiedział Myślak.

– Więc co to jest ta Implikowana Kreacja?

– Chyba o czymś takim słyszałem, panie nadrektorze. To znaczy, że istnienie pewnych rzeczy automatycznie powoduje zaistnienie innych rzeczy. Jeśli pewne rzeczy istnieją, to inne rzeczy też muszą istnieć.

– Jak... zbrodnia i kara, na przykład? – domyślił się Ridcully. – Pijaństwo i kac... Oczywiście...

– Coś w tym rodzaju, panie nadrektorze.

– Czyli... jeśli istnieje Wróżka Zębuszka, to musi istnieć Gnom Kurzajka?
– Ridcully pogładził brodę. – To chyba ma sens. Ale właściwie dlaczego nie Goblin Zębów Mądrości? No wiecie, taki, co przynosi dodatkowe? Taki mały drań z workiem zębów?

Zapadła cisza. Ale w głębinach tej ciszy zabrzmiał cichy dźwięk czarodziejskich dzwoneczków.

– Tego... Myślicie, że mogłem teraz... – zaczął Ridcully.

– Dla mnie to logiczne – oświadczył pierwszy prymus. – Pamiętam, jak cierpiałem, kiedy wyrzynały mi się zęby mądrości.

– W zeszłym tygodniu? – uśmiechnął się drwiąco dziekan.

– Aha... – rzekł Ridcully.

Nie wyglądał na zakłopotanego, ponieważ tacy ludzie jak on nigdy, ale to nigdy nie są zakłopotani, z żadnego powodu. Chociaż często inni są zakłopotani zamiast nich. Pochylił się do trąbki słuchowej.

– JESTEŚ TAM JESZCZE?!!

Myślak Stibbons przewrócił oczami.

– MOŻESZ NAM POWIEDZIEĆ, JAKA JEST TUTAJ RZECZYWISTOŚĆ?!!

Pióro napisało: +++ W Skali Od Jednego Do Dziesięciu – Pytanie +++

– DOBRZE!!! – huknął Ridcully.

+++ Błąd Dzielenia Przez Ogórek. Zainstaluj Wszechświat Ponownie I Rebutuj +++

– Ciekawe... – mruknął nadrektor. – Ktoś wie, co to znaczy?

– Niech to demon! – Myślak machnął ręką. – Znowu się zawiesił.

Ridcully zdziwił się wyraźnie.

– Nie zauważyłem, żeby próbował się wieszać.

– Chodzi o to, że... tak jakby troszkę zwariował.

– Rozumiem. Ale w tej sprawie jesteśmy tu ekspertami.

Znowu stuknął w trąbkę.

– CHCESZ WIĘCEJ PIGUŁEK Z SUSZONEJ ŻABY?!! – wrzasnął.

– Może pozwoli pan, że my się tym zajmiemy, nadrektorze. – Myślak starał się odsunąć go od maszyny.

– Co to znaczy „dzielenie przez ogórek”? – dopytywał się Ridcully.

– HEX mówi tak, jeśli uzyskuje odpowiedź, o której wie, że w żaden sposób nie może być prawdziwa.

– A to rebutowanie? Traktujecie go z buta, co? Dajecie porządnego kopniaka?

– Ależ nie, skądże, my... to znaczy... No, właściwie to tak – przyznał Myślak. – Adrian obchodzi go z tyłu i... no... szturcha stopą. Ale w sposób techniczny – zastrzegł.

– Chyba zaczynam rozumieć, o co chodzi z tymi machinami myślącymi – ucieszył się nadrektor. – Ten wasz HEX uznał, że wszechświat potrzebuje solidnego kopa, tak?

Pióro HEX-a skrzypiało po papierze. Myślak spojrzał na wyniki.

– Musi potrzebować. Te liczby nie mogą być prawdziwe!

Ridcully znów się uśmiechnął.

– Chce pan powiedzieć, że albo cały świat się zepsuł, albo pańska maszyna się myli?

– Tak!

– W takim razie wydaje mi się, że odpowiedź jest całkiem oczywista, prawda?

– Tak. Z całą pewnością. HEX jest codziennie dokładnie testowany.

– Słuszna uwaga. – Ridcully raz jeszcze wałnął w urządzenie do słuchania. – HEJ, TY TAM!!!

– Naprawdę nie trzeba krzyczeć, panie nadrektorze – powtórzył Myślak.

– No więc co to są te Antropomorficzne Personifikacje?

+++ Ludzie Zawsze Przypisywali Przypadkowe, Okresowe, Naturalne Lub Niewyjaśnione Zdarzenia Istotom Człekokształtnym. Przykładami Są Mróz, Wiedźmikołaj, Wróżka Zębuszka I Śmierć +++

– Ach, oni... ale oni przecież istnieją – zdziwił się Ridcully. – Sam spotkałem kilkoro.

+++ Ludzie Nie Zawsze Się Mylą +++

– No dobrze. Ale jestem pewien, że nigdy nie było żadnego pożeracza skarpetek ani boga kaca.

+++Jednak Nie Ma Powodu, Dla Którego Nie Mogliby Istnieć +++

– To coś ma rację, wiecie – stwierdził wykładowca run współczesnych. – Kiedy się zastanowić, to mały człowieczek, który roznosi kurzajki, ma tyleż sensu co ktoś, kto za pieniądze zabiera dziecięce zęby.

– No tak, ale co z pożeraczem skarpetek? – zapytał kierownik studiów nieokreślonych. – Kwestor akurat mówił, jak to zawsze podejrzewał, że coś zjada mu skarpety, i bęc, już takie coś mamy.

– Bo wszyscy mu uwierzyliśmy, prawda? Ja na pewno. To chyba najlepsze możliwe wyjaśnienie dla tych wszystkich skarpet, jakie zgubiłem przez lata. Przecież gdyby spadały gdzieś za szufladę albo coś podobnego, zebrałaby się ich cała góra.

– Wiem, o co panu chodzi – zgodził się Myślak. – To jak z ołówkami. Przez lata pracy musiałem kupić chyba setki ołówków, a ile tak naprawdę wypisałem do końca? Sam nawet przyłapałem się na podejrzeniu, że coś się tu zakrada i je wyżera.

Zadźwięczało ciche „dzyń, dzyń, dzyń”. Myślak zamarł.

– Co to było? – zapytał. – Czy powinienem się odwrócić? Zobaczę coś

potwornego?

– Wygląda jak dość zaskoczony ptak – uspokoił go nadrektor.

– Z bardzo dziwacznie ukształtowanym dziobem – dodał wykładowca run współczesnych.

– Chciałbym wiedzieć, kto dzwoni tymi przekłętymi dzwoneczkami – mruknął Ridcully.

O, bóg słuchał uważnie. Susan była zdumiona. Wydawał się niczemu nie dziwić. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z nikim tak szczerze – i powiedziała mu to.

– To pewnie dlatego, że na początku niczego nie zakładałem – wyjaśnił. – Może dlatego, że nie byłem począty.

– W każdym razie tak to wygląda – podsumowała Susan. – Jak widzisz, nie odziedziczyłam żadnych... cech fizycznych. Przypuszczam, że tylko patrzę na świat w pewien szczególny sposób.

– Jaki sposób?

– No... nie zawsze istnieją w nim bariery. Jak z tym, na przykład.

Zamknęła oczy. Lepiej się czuła, kiedy nie widziała, co robi. Jakaś część jej umysłu upierała się, że to niemożliwe.

Poczuła tylko delikatny chłód i lekkie mrowienie.

– Co przed chwilą zrobiłam? – spytała, nie otwierając oczu.

– No... pomachałaś ręką przez stół.

– Sam widzisz.

– Hm... zakładam, że większość ludzi tego nie potrafi?

– Nie!

– Nie musisz krzyczeć. Nie mam doświadczenia w kwestiach ludzkich istot, prawda? Z wyjątkiem tej chwili, kiedy słońce świeci przez szczelinę w zasłonach. A wtedy na ogół pragnę, żeby rozstała się ziemia i je pochłonięła. To znaczy ludzkie istoty, nie zasłony.

Susan wyprostowała się na krześle. Wiedziała, że mała część mózgu powtarza, że tak, jest tutaj krzesło, całkiem realne, można na nim siedzieć.

– Są też inne sprawy – powiedziała. – Czasami pamiętam różne wydarzenia. Wydarzenia, które się jeszcze nie wydarzyły.

– To użyteczne?

– Nie! Bo nigdy nie wiem, jak... Rozumiesz, to jakby oglądać przyszłość przez dziurkę od klucza. Widzisz różne fragmenty, ale nigdy naprawdę nie wiesz, czym są, dopóki nie dotrzesz do odpowiedniej chwili i nie zobaczysz, jak pasują do całości.

– To może być pewien kłopot – zgodził się uprzejmie o, bóg.

– Możesz mi wierzyć. Zresztą najgorsze jest czekanie. Patrzysz, kiedy zdarzy się pierwszy fragment. Na ogół nigdy nie pamiętam z przyszłości niczego użytecznego, tylko takie pomieszane sugestie, które nie mają żadnego sensu do chwili, kiedy już jest za późno. Czy na pewno nie wiesz, czemu się pojawiłeś akurat w zamku Wiedźmikołaja?

– Nie. Pamiętam tylko, że byłem... no, czy rozumiesz, o co chodzi w określeniu „bezcieleśna jaźń”?

– O tak.

– Dobrze. Potrafisz zatem zrozumieć, o co chodzi z bezcieleśnym bólem głowy. A potem, całkiem nagle, leżałem na plecach, których wcześniej nie miałem, w takim czymś zimnym i białym, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Ale myślę, że jeśli masz już zaistnieć, w jakimś miejscu musi to nastąpić.

– Gdzieś, gdzie ktoś inny, kto powinien istnieć, nie istnieje – stwierdziła Susan, na wpół do siebie.

– Słucham?

– Nie było tam Wiedźmikołaja. I tak nie powinno go tam być, nie dziś w nocy, ale tym razem nie było go nie dlatego, że był gdzie indziej, tylko dlatego, że nigdzie już nie był. Nawet jego zamek zniknął.

– Pewnie z czasem lepiej zrozumieć, o co chodzi z tą inkarnacją – pocieszył ją o, bóg.

– Większość... – zaczęła Susan. I nagle zadrżała. – Och, nie! Co on robi? CO ON ROBI?

DOBRA ROBOTA, MOIM ZDANIEM.

Sanie pędziły po niebie. W dole przesuwały się ośnieżone pola.

– Hmmf – odparł Albert. Pociągnął nosem.

JAK NAZYWASZ TO WRAŻENIE CIEPŁA, KTÓRE CZUJESZ W ŚRODKU?

– Zgaga – burknął Albert.

CZYŻBYM WYCZUWAŁ NUTĘ NIEŚWIĄTECZNEGO ZRRZĘDZENIA? – zapytał Śmierć. OJ, NIE BĘDZIE DLA CIEBIE CUKROWEJ ŚWINKI, ALBERCIE.

– Nie chcę żadnych prezentów, panie. – Albert westchnął. – Może tylko tego, żeby się obudzić i odkryć, że wszystko znów jest normalne. Przecież wiesz, że kiedy zaczynasz coś zmieniać, zawsze się to źle kończy.

ALE WIEDŹMIKOŁAJ MOŻE WPROWADZAĆ ZMIANY. NIEWIELKIE CUDY TU I TAM, I DUŻO WESOŁEGO HO, HO, HO. TO UCZY LUDZI RZECZYWISTEGO ZNACZENIA STRZEŻENIA

WIEDŹM.

– Masz na myśli to znaczenie, panie, że świnie i bydło są pozarzynane, a przy odrobinie szczęścia dla wszystkich wystarczy jedzenia na zimę?

WIESZ, KIEDY MÓWIĘ O RZECZYWISTYM ZNACZENIU...

– O tym, że jakiemuś nieszczęsnemu biedakowi ucięli głowę w lesie, bo znalazł w obiedzie specjalną fasolę, więc teraz lato powróci?

NIE CAŁKIEM DOKŁADNIE TO, ALE...

– Ach, chodzi ci o to, panie, że zagonili na śmierć jakiegoś biednego zwierzaka, a potem strzelali z łuków do jabłoni, więc teraz cienie w końcu odejdą?

TO RZECZYWIŚCIE JEST JAKIEŚ ZNACZENIE, ALE...

– Aha, w takim razie chodzi ci o to, że rozpalali takie wielkie ognisko, żeby dać słońcu wskazówkę, bo powinno przestać się chować poniżej horyzontu i zabrać do normalnej pracy?

Śmierć milczał przez chwilę. Świnie przemknęły ponad pasmem wzgórz.

NIE POMAGASZ MI, ALBERCIE.

– To jedyne rzeczywiste znaczenia, o jakich wiem.

MYŚLĘ, ŻE MÓGLBYŚ NAD TYM TROCHĘ POPRACOWAĆ.

– Tu chodzi o słońce, panie. Biały śnieg, czerwona krew i słońce. Zawsze tak było.

NO WIĘC DOBRZE. WIEDŹMIKOŁAJ MOŻE NAUCZYĆ LUDZI NIERZECZYWISTEGO ZNACZENIA STRZEŻENIA WIEDŹM.

Albert splunął przez burtę sań.

– Tak? Czy świat nie byłby miły, gdyby każdy był miły, co?

ZNAM GORSZE OKRZYKI BOJOWE.

– Och jej, jej, jej...

PRZEPRASZAM NA MOMENT...

Śmierć sięgnął pod szatę i wyjął klepsydrę.

ZAWRÓĆ SANIE, ALBERCIE. OBOWIĄZEK WZYWA.

– A który?

BARDZIEJ POZYTYWNA POSTAWA BYŁABY OBECNIE WIELKĄ POMOCĄ, BARDZO UPRZEJMIE DZIĘKUJĘ.

– Fascynujące – stwierdził Ridcully. – Ktoś ma jeszcze ołówek?

– Zjadł już cztery – zauważył wykładowca run współczesnych. – Aż do ostatniego ogryzka. A wie pan, nadrektorze, że ostatnio sami kupujemy sobie ołówki.

Była to drażliwa kwestia. Jak większość ludzi, którzy nie mają żadnego pojęcia o ekonomii, Mustrum Ridcully uważał, że „właściwy nadzór finansowy” polega na liczeniu spinaczy. Nawet najpoważniejsi magowie musieli przedstawić mu ogryzek ołówka, zanim z zamkniętej szafki pod biurkiem otrzymali następny. Ponieważ jednak mało kto przechowywał prawie wypisane ołówki, byli zmuszeni wymykać się do miasta i sami kupować sobie nowe.

Powód niedostatku krótkich ołówków siedział teraz przed nimi i warczał cicho, przeżuwając HB aż do gumki na końcu – którą to gumkę splunął w kwestora.

Myślak Stibbons robił notatki.

– Myślę, że to działa tak – powiedział. – Mamy tu do czynienia z personifikacją mocy, tak jak mówił HEX. Ale działa ona tylko wtedy, kiedy

dany obiekt jest, hm... logiczny. – Nerwowo przełknął ślinę. Głęboko wierzył w logikę, zwłaszcza wobec wszelkich dowodów, ale nienawidził używać tego słowa w takim kontekście. – Nie twierdzę, że to logiczne, by istniał stwór zjadający skarpetki, ale, no... ma to pewien sens... Znaczy, to niezła hipoteza robocza.

– Trochę jak Wiedźmikołaj – dodał Ridcully. – Kiedy się jest dzieckiem, Wiedźmikołaj to wytłumaczenie nie gorsze od innych, prawda?

– To czemu nie jest logiczne, żeby istniał taki goblin, który przynosi mi worki pieniędzy? – nadąsał się dziekan.

Ridcully nakarmił złodzieja ołówków kolejnym ołówkiem.

– No więc, panie dziekanie... Po pierwsze, nigdy nie otrzymał pan w tajemniczy sposób worka pieniędzy, więc nie musiał pan tworzyć hipotez, by wyjaśnić ten fakt. Po drugie, nikt inny nie uznałby tego za prawdopodobne.

– Akurat...

– Ale dlaczego dzieje się to właśnie teraz? – spytał Ridcully. – Patrzcie, wskoczył mi na palec! Ktoś ma ołówek?

– Cóż, te... siły zawsze były obecne – odparł Myślak. – To znaczy, skarpety i ołówki zawsze w niewyjaśniony sposób znikają, prawda? Ale dlaczego te siły nagle uległy personifikacji? Obawiam się, że nie potrafię tego wyjaśnić.

– Lepiej to zbadajmy – rzekł Ridcully. – Nie możemy sobie pozwolić na takie rzeczy. Jacyś tępi antybogowie i różne takie nie wiadomo co, powstające tylko dlatego, że ktoś o nich pomyślał. Przecież w ten sposób wszystko może się zjawić. A jeśli jakiś idiota powie, na przykład, że powinien istnieć bóg niestrawności?

Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń...

– Ehm... Chyba ktoś właśnie powiedział, panie nadrektorze – zauważył Myślak.

– O co chodzi? O co chodzi? – dopytywał się o, bóg.

Chwycił Susan za ramiona. Pod palcami wydawały się bardzo kościste.

– DO LICHA – mruknęła Susan.

Odepchnęła go i oparła się o stół, pilnując, by nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Wreszcie, z samokontrolą, której nauczyła się przez ostatnie kilka lat, zdołała odzyskać własny głos.

– On wypada z roli – powiedziała, zwracając się ogólnie do całego holu. – Czuję to. A to wciąga na jego miejsce mnie. Ale po co on to robi?

– Nie mam pojęcia. – O, bóg cofnął się pospiesznie. – Eee... Przez chwilę... zanim odwróciłaś głowę... wyglądałaś, jakbyś używała bardzo ciemnych cieni do oczu. Ale nie używasz...

– To bardzo proste. – Susan odwróciła się do niego. Czuła, że włosy się jej przeczesują, jak zwykle, kiedy się zdenerwowała. – Wiesz, jak pewne cechy stale występują w rodzinach? Na przykład niebieskie oczy, sterczące zęby i temu podobne? No więc w mojej rodzinie występuje Śmierć.

– Eee... chyba w każdej rodzinie, prawda?

– Siedź cicho, dobrze? I przestań tyle gadać. Nie chodzi mi o śmierć, tylko o Śmierć, przez duże Ś. Pamiętam rzeczy, które się jeszcze nie wydarzyły, umiem TAK SIĘ ODZYWAĆ i umiem nagle przybywać... Kiedy on poświęca się czemuś innemu, ja muszę pracować za niego. A teraz naprawdę zajął się czymś innym. Nie wiem, co się stało z Wiedźmikołajem ani dlaczego dziadek wykonuje jego pracę, ale znam trochę jego sposób myślenia. On nie ma... nie ma tych psychicznych osłon, jakie my mamy. Nie potrafi niczego zapomnieć ani zignorować. Wszystko pojmuje dosłownie i logicznie, i nie wie, czemu nie zawsze to skutkuje...

Zauważyła jego zdziwione spojrzenie.

– Na przykład... jak byś zadbał o to, żeby nikt na świecie nie głodował? – spytała.

– Ja? No wiesz, ja... – O, bóg zastanowił się. – Pewnie trzeba by rozważyć powszechnie stosowane systemy polityczne, odpowiednią dystrybucję, kultywację ziemi uprawnej i...

– Tak, tak. Ale on po prostu dałby każdemu solidny posiłek.

– No tak, rozumiem. Bardzo niepraktyczne. Ha, to równie bzdurne jak stwierdzenie, że można przyrodzić nagich, dając im jakieś ubranie.

– Tak! To znaczy nie! Oczywiście, że nie! Przecież to jasne, że dałbyś... Och, wiesz przecież, o co mi chodzi.

– Tak, chyba tak.

– Ale on by nie zrozumiał.

Obok nich coś trzasnęło głośno.

Z palącego się wraku zawsze wytacza się płonące koło. Dwaj ludzie niosący wielką szklaną szybę zawsze przechodzą przez ulicę przed dowolnym aktorem komediowym zaangażowanym w szaleńczy pościg. Niektóre konwencje narracyjne są tak potężne, że ich realizacje zdarzają się nawet na planetach, gdzie w południe wrzą skały. I kiedy zastawiony stół upada, jeden cudownie ocalały talerz zawsze toczy się po podłodze i wiruje, nim wreszcie znieruchomieje.

Susan i o, bóg przyglądali mu się, po czym zwrócili uwagę na potężną figurę leżącą w czymś, co wyglądało na wielką dekorację stołową wykonaną z owoców.

– On przecież... pojawił się w powietrzu – szepnął o, bóg.

– Naprawdę? Nie stój tak. Pomóżmy mu wstać – powiedziała Susan, odciągając duży arbuz.

– Ale... przecież on ma za uchem kiść winogron...

– I co?

– Nie chcę nawet myśleć o winogronach.

– Nie przesadzaj...

Razem zdołali postawić nowo przybyłego na nogi.

– Toga, sandały... Trochę przypomina ciebie – stwierdziła Susan.

Ofiara owoców chwiała się na boki.

– Też miałem taki zielony kolor?

– Prawie.

– Czy... czy jest tu gdzieś wygodka? – wymamrotał ich ładunek wilgotnymi wargami.

– Chyba zaraz za tamtym łukiem – poinformowała Susan. – Ale słyszałam, że nie jest tam zbyt przyjemnie.

– To nie plotka, to przepowiednia – odparł tłusty osobnik i odszedł niepewnym krokiem. – A potem poproszę jeszcze szklanek wody i trochę węgla drzewnego.

Spoglądali za nim.

– Jakiś twój znajomy? – spytała Susan.

– To chyba bóg niestrawności. Ale wiesz... ja, no... myślę, że jednak coś pamiętam – powiedział o, bóg. – Tuż przed moją, no, inkarnacją. Tylko że to głupie...

– Tak?

– Zęby – oświadczył o, bóg.

Susan zawahała się.

– Nie chodzi ci o coś, co cię atakowało, prawda? – spytała obojętnie.

– Nie. Jedynie takie wrażenie... zębatości. Prawdopodobnie bez większego znaczenia. Jako bóg kaca widuję rzeczy o wiele gorsze, możesz mi wierzyć.

– Mnóstwo zębów. Ale nie przerażających. Po prostu masa, ogromna masa małych ząbków. Niemalże... smutnych?

– Tak! Skąd wiedziałaś?

– Och, może... Może pamiętam, jak mi to mówiłeś, zanim powiedziałeś. Nie wiem. A była tam duża, lśniąca czerwona kula?

O, bóg zastanowił się.

– Nie, tutaj ci chyba nie pomogę. Tylko zęby. Całe rzędy zębów.

– Nie pamiętam rzędów – przyznała Susan. – Czułam tylko, że... że te zęby są ważne.

– Zdziwiłabyś się, ile można dokonać dziobem – wtrącił kruk, który zbadał powalony stół i zdołał już podważyć pokrywkę słoika.

– Co tam znalazłeś? – spytała ze znużeniem Susan.

– Gałki oczne. Ci magowie tutaj wiedzą, jak się żyje, co? Niczego im nie brakuje, to widać.

– To oliwki...

– Ma pecha. Teraz są moje.

– To jest rodzaj owoców! Albo jarzyn czy czegoś w tym rodzaju!

– Jesteś pewna? – Kruk skierował do słoika pełne wątpliwości spojrzenie jednego oka.

– Tak.

Oczy przesunęły się.

– I tak nagle zostałam specjalistką od gałek ocznych?

– Przecież są zielone, głupi ptaku!

– To mogą bardzo stare gałki oczne – oświadczył wyzywająco kruk. – Czasem mają taki kolor...

PIP, rzucił Śmierć Szczurów, który przegryzł się przez połowę sera.

– I wcale nie taki głupi – oburzył się kruk. – Krukowate są wyjątkowo inteligentne, potrafią wyciągać wnioski, a w przypadku pewnych gatunków leśnych także używać narzędzi!

– Aha, czyli jesteś specjalistą od kruków, tak?

– Tak się składa, droga pani, że sam jestem...

PIP, odezwał się znowu Śmierć Szczurów.

Obejrzelili się oboje. Pokazywał na swoje szare zęby.

– Wróżka Zębuszka? – zdziwiła się Susan. – Co z nią?

PIP.

– Rzędy zębów – powtórzył o, bóg. – Takie jak... rzędy, no wiesz. Kto to jest Wróżka Zębuszka?

– Ostatnio często się ją widuje w okolicy – wyjaśniła Susan. – A raczej je się widuje. To taka jakby franszyza. Masz drabinę, pas z kieszonkami i kleszcze, możesz przystąpić do pracy.

– Kleszcze?

– Jeśli nie może wydać reszty, musi na to konto zabrać dodatkowy ząb.

Ale przecież Zębuszki są całkiem nieszkodliwe. Spotkałam jedną czy dwie. Zwyczajne pracujące dziewczyny. Nikomu nie zagrażają.

PIP.

– Mam nadzieję, że dziadkowi nie przyszło do głowy, by wykonywać także ich pracę. Wielkie nieba, kiedy sobie to wyobrażę...

– One zbierają zęby?

– Tak. Oczywiście.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? Taką mają pracę.

– Chciałem powiedzieć: po co? I gdzie niosą te zęby, kiedy je już zabiorą?

– Nie wiem! One tylko... No, zabierają zęby i zostawiają pieniądze. I w ogóle co to za pytanie: gdzie niosą zęby?

– Zastanawiałem się tylko, nic więcej. Prawdopodobnie wszyscy ludzie to wiedzą, prawdopodobnie pytając, wychodzę na głupca, prawdopodobnie jest to rzecz powszechnie znana...

Susan przyjrzała się z namysłem Śmierci Szczurów.

– A właściwie... Dokąd zabierają te zęby?

PIIP?

– Mówi, że nie ma pojęcia – przetłumaczył kruk. – Może je sprzedają? – Dziobnął inny słoik. – A co z tymi? Są tak ładnie pomarszczone...

– Marynowane orzechy – wyjaśniła odruchowo Susan. – Co one robią z zębami? Po co komu potrzebne tyle zębów? Ale... co złego może zrobić Wróżka Zębuszka?

– Czy mamy czas, żeby poszukać jakiejś i zapytać? – zainteresował się o,

bóg.

– Czas nie jest problemem – uspokoiła go Susan.

Są tacy, którzy wierzą, że wiedzę się zdobywa – niczym cenną rudę wykuwaną z szarych warstw ignorancji.

Są tacy, którzy wierzą, że wiedzę można sobie tylko przypomnieć, że w dalekiej przeszłości trwał jakiś Złoty Wiek, kiedy wszystko było wiadome, kamienie pasowały do siebie tak, że nie można by noża wcisnąć pomiędzy nie, no wiecie, i oczywiście mieli wtedy maszyny latające, bo te wykopy można obejrzeć tylko z góry, zgadza się? A w jednym takim muzeum, czytałem, znaleźli kalkulator pod ołtarzem starożytnej świątyni, wiecie, o czym mówię? Tylko że rząd wszystko zatuszował* ...

Mustrium Ridcully wierzył, że wiedzę można uzyskać, krzycząc na ludzi, i właśnie próbował tego dokonać. Magowie siedzieli w sali klubowej wokół stołu, na którym w wysokich stosach leżały książki.

– Mamy Strzeżenie Wiedźm, nadrektorze – zauważył z wyrzutem dziekan, przerzucając karty starożytnego tomu.

– Dopiero od północy – odparł Ridcully. – A zbadanie tej sprawy zaostriżę wam apetyt na kolację.

– Chyba coś znalazłem, nadrektorze – odezwał się kierownik studiów nieokreślonych. – Mam tu „Podstawowych bogów” Woddeleya. Píše o larach i penatach, które akurat pasują.

– Lary i penaty? A co to za jedne i czy z dobrych domów? – spytał Ridcully.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się kierownik studiów nieokreślonych.

– Co?

– Myślałem, że to żart, zresztą całkiem niezły, nadrektorze.

– Żartowałem? Nie chciałem żartować.

– To akurat nic nowego – mruknął dziekan.

– O co chodzi, dziekanie?

– Nic takiego, nadrektorze.

– Wydawało mi się, że wspomniał pan o „domu”, ponieważ są to rzeczywiście są bóstwa domowe – wyjaśnił kierownik studiów nieokreślonych. – A raczej były. Wydaje się, że znikły dawno temu. To takie... małe duszki domowe, jak na przykład...

Trzej inni magowie, myślący – jak na magów – całkiem szybko, równocześnie zatkali mu dłońmi usta.

– Ostrożnie! – przypomniał Ridcully. – Nieuważne słowa mogą stworzyć życie. Właśnie przez coś takiego uzyskaliśmy wielkiego i grubego boga niestrawności, który ma mdłości w wygodce. A przy okazji, gdzie jest kwestor?

– Był w wygodce, nadrektorze – poinformował wykładowca run współczesnych.

– Jak to? Kiedy ten...?

– Tak, nadrektorze.

– No cóż, jestem pewien, że jakoś sobie poradzi – rzekł Ridcully obojętnym tonem człowieka, który mówi o czymś paskudnym, co spotkało kogoś innego poza zasięgiem słuchu. – Ale wolelibyśmy więcej takich nie ściągać. Co to było, kierowniku?

– Lary i penaty, nadrektorze, ale nie sugerowałem...

– Dla mnie to jasne. Coś się zepsuło i te małe diabły wracają. Nam wystarczy tylko odkryć, co się zepsuło, i to naprawić.

– No tak. Cieszę się, że znaleźliśmy rozwiązanie – powiedział dziekan.

– Bóstwa domowe... – mruknął Ridcully. – Tym były, kierowniku?

Otworzył szufladkę w kapeluszu i wyjął fajkę.

– Tak, nadrektorze. Woddeley pisze, że zaczynały jako... lokalne duchy, jak rozumiem. Pilnowały, żeby chleb rósł i masło dobrze się ubijało.

– A zjadały ołówki? Jaką postawę prezentowały wobec skarpetek?

– To było w czasach pierwszego imperium – wyjaśnił kierownik studiów nieokreślonych. – Sandały, togi i tak dalej.

– Aha. Nie byli zbyt oskarpetkowani?

– Nie przesadnie, nadrektorze. I było to dziewięćset lat przed tym, jak Osric Ołówkinis pierwszy raz odkrył na bogatych w grafit piaskach dalekiej wyspy Sumtri pewien nieduży krzew, który staranną hodowlą skłonił do wypuszczania długich, prostych gałązek...

– Tak, tak, wszyscy widzimy, że ma pan pod stołem otwartą encyklopedię. Ale chciałbym zauważyć, że sytuacja się trochę zmieniła. Poszła z duchem czasu. Musiał nastąpić rozwój. Kiedyś duszki pilnowały, żeby ciasto na chleb urosło, a dzisiaj mamy stwory, które pożerają ołówki i skarpety, i pilnują, żeby nigdy pod ręką nie było czystego ręcznika, kiedy akurat jest potrzebny...

W oddali zabrzmiały dzwonki.

Ridcully urwał.

– Właśnie to powiedziałem, prawda? – upewnił się.

Magowie posępnie kiwnęli głowami.

– I to był pierwszy raz, kiedy ktoś o tym wspomniał?

Magowie kiwnęli głowami po raz drugi.

– No więc, do licha, to naprawdę dziwne, że nigdy nie można znaleźć

czystego ręcznika, kiedy...

Rozległo się coraz głośniejsze brzęczenie. Ręcznik przeleciał na wysokości ramion. Pojawiła się sugestia wielu małych skrzydełek.

– To był mój – stwierdził z wyrzutem wykładowca run współczesnych.

Ręcznik oddalił się w kierunku głównego holu.

– Ręcznikowe Osy – mruknął dziekan. – Dobra robota, nadrektorze.

– No przecież, u licha, to leży w ludzkiej naturze, nieprawda? – zirytował się Ridcully. – Coś źle pójdzie, coś zginie, to naturalne, że wymyśla się małe stworzonka, które... Dobrze już, dobrze, będę uważał. Chciałem tylko powiedzieć, że człowiek jest istotą z natury mythopoeiczną.

– A co to znaczy? – zainteresował się pierwszy prymus.

– To znaczy, że wymyślamy rzeczy mimochodem – wyjaśnił dziekan, nie podnosząc głowy.

– Hm... Przepraszam bardzo, panowie – odezwał się Myślak Stibbons, który pisał coś pracowicie przy swoim końcu stołu. – Czyżbyśmy sugerowali, że pewne istoty powracają? Czy to rozsądna hipoteza?

Magowie spojrzeli po sobie.

– Zdecydowanie rozsądna.

– Rozsądna, nie ma co.

– Tak, to coś, co można by przekazać wojsku.

– Niby co? Co takiego można przekazać wojsku?

– No... Żelazne racje? Porządną broń, solidne buty... Takie rzeczy.

– A co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Mnie nie pytaj. To nie ja zacząłem mówić o przekazywaniu czegoś wojsku.

– Może byście się zamknęli? Nikt tu niczego wojsku nie przekazuje!

– Ale oni też powinni coś dostać. W końcu mamy Strzeżenie Wiedźm.

– Słuchajcie, to tylko takie powiedzenie, jasne? Chodziło mi o to, że w pełni się zgadzam. Zwyczajny barwny język. Na miłość bogów, nie myślicie chyba, że naprawdę proponuję oddawać coś wojsku, w Strzeżenie Wiedźm czy kiedy indziej!

– Nie chcesz im nic dawać?

– Nie.

– To właściwie skąpstwo, nie sądzisz?

Myślak nie interweniował. To dlatego, tłumaczył sobie, że ich umysły często zajęte są kwestiami głębokimi i trudnymi, więc ich usta mogą działać samowolnie i być prawdziwym utrapieniem.

– Nie podoba mi się korzystanie z tej maszyny myślącej – oświadczył niespodziewanie dziekan. – Już to mówiłem. To majstrowanie przy kulcie. Mnie tam zawsze wystarczał okult. I nadal by wystarczył, ot co.

– Z drugiej strony – odparł Ridcully – HEX to jedyna tu osoba, która potrafi myśleć rozsądnie i która robi, co się jej każe.

Sanie ze świstem pędziły przez padający śnieg, zostawiając na niebie skłębione ślady.

– Ale zabawa – mruknął Albert, trzymając się mocno.

Płozy uderzyły o dach w pobliżu Niewidocznego Uniwersytetu i świny wyhamowały bieg.

Śmierć raz jeszcze przyjrzał się klepsydrze.

DZIWNE, stwierdził.

– Robota dla kosy? – upewnił się Albert. – Nie będziesz, panie, potrzebował sztucznej brody i rubasznego śmiechu? – Rozejrzał się i jego sarkazm ustąpił miejsca zdumieniu. – Zaraz... Jak ktoś może tutaj umrzeć?

Komuś się jednak udało. Zwłoki leżały w śniegu nieopodal.

Było jasne, że człowiek ten zmarł całkiem niedawno. Albert rzucił okiem na niebo.

– Przecież nie miał skąd spaść, a na śniegu nie widać żadnych śladów – powiedział, gdy Śmierć machnął kosą. – Więc skąd się tu wziął? Wygląda jak czyjś osobisty strażnik. Ktoś go zakłuł. Paskudna rana od noża, nie?

– Nie wygląda dobrze – zgodził się duch strażnika, spoglądając na swoje ciało.

Potem zobaczył Śmierć i Alberta. Wyraz jego widmowej twarzy zmienił się z zaskoczzonego na zatroskany.

– Mają zęby! Wszystkie! Weszli tam i... oni... nie, czekajcie...

Rozwiął się i zniknął.

– O co mu mogło chodzić? – zdziwił się Albert.

MAM SWOJE PODEJRZENIA, odparł Śmierć.

– Widzisz, panie, ten symbol na jego koszuli? Wygląda jak rysunek zęba.

TAK, RZECZYWIŚCIE.

– Skąd on się wziął?

Z MIEJSCA, GDZIE NIE MOGĘ DOTRZEĆ.

Albert raz jeszcze popatrzył na tajemnicze zwłoki, a potem na obojętną czaszkę Śmierci.

– Cały czas wydaje mi się zabawne, że wpadliśmy akurat na twoją wnuczkę, panie – powiedział.

TAK

Albert przechylił głowę na bok.

– Biorąc pod uwagę dużą liczbę kominów i dzieci na świecie, i tak dalej.

ISTOTNIE.

– Zadziwiający przypadek, prawdę mówiąc.

CZASEM TAK BYWA.

– Wręcz niewiarygodny, można by uznać.

ŻYCIE SPRAWIA CZASEM TAKIE NIESPODZIANKI.

– Nie tylko życie, pozwolę sobie zauważyć – rzekł Albert. – A ona naprawdę się wzburzyła, prawda? Aż iskry poszły. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęła zadawać pytania.

TACY JUŻ SĄ LUDZIE.

– Ale Szczur kręci się przy niej. Będzie ją miał na oczodole. Wskaże właściwą ścieżkę, zapewne.

MAŁY ŁOBUZ Z NIEGO, PRAWDA?

Albert wiedział, że nie może wygrać. Śmierć miał twarz pokerzysty doskonałego.

JESTEM PEWIEN, ŻE BĘDZIE SIĘ ZACHOWYWAŁA ROZSĄDNIE.

– Jasne – mruczał Albert, kiedy wracali do sań. – To rodzinne, takie

rozsądne zachowania.

Jak wielu barmanów, Igor trzymał pod barem pałkę. Pomagała radzić sobie z poirytowanymi klientami, jacy pojawiali się w porze zamykania lokalu. Co prawda w Katafalkach nigdy nie zamykano i nikt nie pamiętał, żeby Igor nie stał za barem. Mimo to sprawy czasem wymykały się z rąk. Albo łap. Albo szponów.

Broń Igora różniła się od zwykłych pałek. Była okuta srebrem (na wilkołaki), obwieszona czosnkiem (na wampiry) i owinięta paskiem oderwanym z kocyka (na strachy). Na wszystkich innych zwykle wystarczało stwierdzenie, że to dwie stopy solidnego dębu.

Patrzył w okno. Szybę z wolna pokrywał szron. Z jakiegoś nieznanego powodu zmrożone cząstki układały się w formę trzech małych piesków wyglądających z cholewy wysokiego buta.

I nagle ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się błyskawicznie, chwytając pałkę, ale uspokoił się zaraz.

– Och... to ty, panienko. Nie usłyszałem drzwi.

Nie było żadnych drzwi – Susan się spieszyła.

– Widziałeś ostatnio Violet, Igorze?

– Tę zębuszkową dziewczynę? – Barman w zadumie zmarszczył czoło. – Nie, nie było jej tu już z tydzień czy dwa.

Ściągnął brwi w zirytowane V, gdy zauważył kruka, który grzebał w napoczętym pudle orzeszków.

– Lepiej zabierz to stąd, panienko – poradził. – Znasz zasadę dotyczącą zwierząt i familiarów. Jeśli na żądanie nie potrafi się zmienić w człowieka, wynocha.

– Tak, niektórzy z nas mają więcej szarych komórek niż palców –

wymamrotał głos zza orzeszków.

– Gdzie ona mieszka?

– Przecież wiesz, panienko, że nigdy nie odpowiadam na takie pytania...

– GDZIE ONA MIESZKA, IGORZE?

– Przy Fałszonogiej, obok oprawiaczy obrazów – odparł Igor odruchowo. I zmarszczył brwi, kiedy zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział. – Chwila, panienko! Znasz zasady! Nikt mnie nie kąsa, nikt mi nie rozrywa gardła, nikt się nie chowa za moimi drzwiami. A ty nie próbuj na mnie głosu swojego dziadka. Za taki numer mogę ci zakazać wstępu.

– Przepraszam, ale to ważne – zapewniła Susan.

Kątem oka dostrzegła, że kruk przeskoczył na półkę i zaczął dziobać pokrywę słoja.

– No a gdyby jakiś wampir uznał, że to ważne, bo nie jadł jeszcze podwieczorku? – burczał Igor, odkładając pałkę.

Coś brzęknęło od strony słoja z marynowanymi jajami. Susan z całych sił starała się tam nie patrzeć.

– Możemy już iść? – poprosił o, bóg. – Cały ten alkohol działa mi na nerwy.

Skinęła głową i oboje wyszli.

Igor prychnął gniewnie. A ponieważ nigdy nie wymagał od życia zbyt wiele, wrócił do obserwacji szronu. Po chwili usłyszał stłumiony głos.

– Zapaem o! Zapaem o!

Głos był niewyraźny, ponieważ kruk nabił sobie jajko na dziób.

Igor westchnął i sięgnął po pałkę.

Źle by się to skończyło dla kruka, gdyby Śmierć Szczurów tej właśnie chwili nie wybrał, by ugryźć barmana w ucho.

TAM, W DOLE, powiedział Śmierć.

Szarpnął lejce tak mocno, że świnie skończyły hamowanie, stojąc łbami w przeciwną stronę.

Albert wygrzebał się ze stosu pluszowych misiów, gdzie urządził sobie legowisko.

– Co jest? Co się dzieje? Uderzyliśmy o coś? – pytał rozbudzony.

Śmierć wyciągnął rękę, wskazując leżącą w dole nieskończoną śnieżną równinę. Z rzadka tylko blask świecy w oknie czy na wpół przysypana chata sygnalizowały swą obecność w tym świecie ulotnej śmiertelności.

Albert zmrużył oczy i po chwili dostrzegł to, co zwróciło uwagę Śmierci.

– Jakiś typ brnie w śniegu – stwierdził. – Zbierał drewno, na oko sądząc. Marna noc na wyprawy poza dom. A ja też jestem poza domem, jeśli się dobrze zastanowić. Panie, dokonałeś już chyba dosyć, żeby mieć pewność...

COŚ SIĘ DZIEJE TAM W DOLE. HO. HO. HO.

– Chyba nic mu nie grozi – protestował Albert, chwytając się sań, które pomknęły w dół. Na krótko pojawił się jasny klin, kiedy zbieracz drewna otworzył drzwi do swej zasypanej śniegiem chaty. – A tam jest jakichś dwóch, obładowanych paczkami i czym tam jeszcze... Idą do niego. Wychodzi na to, że jednak będzie miał porządne Strzeżenie Wiedźm, nie ma problemu. Czy moglibyśmy...

Rozjarzone oczodoły Śmierci oceniły wszystkie detale rozgrywającej się w dole sceny.

TO NIEWŁAŚCIWE.

– No nie... Znowu się zaczyna...

O, bóg zawahał się.

– Jak to, nie możesz przejść przez drzwi? – zdziwiła się Susan. – W barze przeszedłeś.

– To co innego. W obecności alkoholu dysponuję pewnymi boskimi mocami. Poza tym zapukaliśmy, a ona nie odpowiedziała. Gdzie się podziały tak zwane maniere?

Susan wzruszyła ramionami i przeszła przez tanie drewno. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna. Za każdym razem, kiedy to robiła, wiedziała, że zużywa pewną ilość... hm... normalności. I wcześniej czy później całkiem zapomni, do czego służą klamki – jak dziadek.

Chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, on w ogóle nigdy nie odkrył, do czego służą klamki.

Otworzyła drzwi od środka. O, bóg przestąpił próg i rozejrzał się. Nie trwało to długo – pokój nie był duży. Stanowił wydzieloną część większego pomieszczenia, które od początku nie było zbyt wielkie.

– Tutaj mieszka Wróżka Zębuszka? – zdziwił się Bilius. – Trochę tu... ciasnawo, prawda? Rzeczy rozrzucone po podłodze... Co to jest, co wisi na sznurku?

– To... fragmenty damskiej odzieży – odparła Susan, przeszukując papiery na małym, rozchwanym stoliku.

– Nie są duże – zauważył o, bóg. – I trochę cienkie...

– Powiedz – rzuciła Susan, nie podnosząc głowy. – Te wspomnienia, z którymi się pojawiłeś... Nie były specjalnie szczegółowe, prawda? Aha...

Otworzyła czerwony notesik. O, bóg zajrzał jej przez ramię.

– Rozmawiałam z Violet najwyżej parę razy – powiedziała. – Wydaje mi się, że dostarcza gdzieś zęby i dostaje procent od pieniędzy. To nie jest wysoko płatna posada. Wiesz, zawsze obiecują, że możesz w wolnym czasie zarobić mnóstwo forsy, ale ona twierdziła, że więcej by miała jako kelnerka. O, to chyba tutaj.

– Co takiego?

– Mówiła, że co tydzień dostaje listę nazwisk.

– Czego? Dzieci, które stracą zęby?

– Tak. Nazwiska i adresy. – Susan przerzuciła kilka stron.

– Nie wydaje się to prawdopodobne.

– Przepraszam, ale czy nie jesteś przypadkiem bogiem kaca? O, tutaj jest ząb Twyli z zeszłego miesiąca. – Uśmiechnęła się, patrząc na równe, ciemne litery. – Praktycznie go sobie wybiła, bo potrzebowała pół dolara.

– Lubisz dzieci? – zainteresował się Bilious.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie na surowo – odparła. – Cudze mogą być. Zaczekaj...

Przerzuciła kilka kartek w przód i w tył.

– Tu są puste dni – zauważyła. – Popatrz, tych ostatnich w ogóle nie zaznaczyła. Nie ma żadnych wpisów. Ale jeśli się cofnąć o tydzień czy dwa, wszystkie są zaznaczone jak należy, a pieniądze podsumowane na dole strony. Widzisz? I jeszcze... nie, to nie może być prawda...

Pierwszej zaznaczonej nocy w zeszłym tygodniu wpisano tylko pięć nazwisk. Większość dzieci instynktownie wie, że nie należy przesadzać. Tylko te zachłanne albo stomatologicznie upośledzone wymagają wizyty Wróżki Zębuszki w okolicach Strzeżenia Wiedźm.

– Przeczytaj te nazwiska – powiedziała Susan.

– *William Wittles* zw. *Willy* (dom), *Rzucacz* (szkoła), 2 ptr. syp. w głębi, *Kicklebury* 68; *Sophie Langtree* zw. *Tatusiowa Księżniczka*, syp. na poddaszu, *Hipcio* 5; szan. *Jeffrey Bibbleton* zw. *Problem w Portkach* (dom), *Czterooki* (szkoła), 1 pt. od tyłu, rez. *Scrotańska*, al. *Parkowa*... – O, bóg przerwał. – To trochę niegrzeczne, prawda?

– To całkiem nowy świat – odparła Susan. – Jeszcze go nie poznałeś. Czytaj dalej.

– *Nuhakme Icta* zw. *Mały Klejnot*, suter., *Roześmiany Falafel*, klatchiański bar na wynos i całodobowy sklep spożywczy, róg *Przecieku* i *Przyćmionej*; *Reginald Lilywhite* zw. *Banjo*, *Chuligan z Parkowej*, *Czy Widziałeś Tego Człowieka*, *Rabuś z Gęsiej Bramy*, *Zaczajony z Nastroszonego Wzgórza*, pok. 17, YMPA. YMPA?

– Tak zwykle nazywamy schronisko Reformowanych-Kultystów-Ichor-Boga-Shamharotha Stowarzyszenia Młodych Mężczyzn. Czy twoim zdaniem ktoś taki mógłby oczekiwać wizyt Wróżki Zębuszki?

– Nie.

– Moim też. Taki ktoś raczej oczekuje wizyty straży.

Susan rozejrzała się. Pokoik był nędzny – taki często wynajmują osoby, które nie planują mieszkać w nim długo; w takim nocą przejściu po podłodze towarzyszy chrzęst karaluchów w śmiertelnym flamenco. Zdziwiające, jak wielu ludzi spędza całe życie w miejscach, gdzie nie planowali zatrzymywać się na dłużej.

Tanie, wąskie łóżko, popękany tynk, małe okno...

Otworzyła je i sięgnęła za parapet. Z satysfakcją trafiła palcami na kawałek sznurka przywiązany do ceratowego worka. Wciągnęła go.

– Co to takiego? – zapytał o, bóg, kiedy położyła worek na stole.

– Często się je widuje. – Susan wyjęła kilka pakunków owiniętych w pomięty woskowany papier. – Mieszkasz sam, myszy i karaluchy wyjadają

wszystko, nie ma gdzie przechowywać jedzenia... A za oknem jest chłodno i bezpiecznie. No, w miarę bezpiecznie. To stara sztuczka. Popatrz, zeschnięty bekon, pozieleniały bochenek chleba, ser, który można by ogolić... Nie była w domu już od dłuższego czasu, możesz mi wierzyć.

– Ojej... I co teraz?

– Dokąd zabierała zęby? – zwróciła się Susan do świata jako takiego, ale przede wszystkim do siebie. – Co, u licha, Wróżka Zębuszka robi z...

Ktoś zastukał do drzwi. Otworzyła.

Za progiem stał niski, łysy człowieczek w długim brązowym płaszczu. W ręku trzymał notatnik. Zamrugał nerwowo, widząc Susan.

– Eee... – zaczął.

– O co chodzi?

– No, tego... Zauważyłem światło i pomyślałem, że zastanę Violet – wyjaśnił. Stuknął ołówkiem przywiązany do notatnika kawałkiem sznurka. – Bo trochę się spóźnia z zębami i jest winna trochę pieniędzy, a wóz Erniego nie wrócił i muszę to wszystko napisać w raporcie, więc zajrzałem, bo jakby... No, jakby była chora albo co, bo nie jest miło chorować samotnie w Strzeżenie Wiedźm...

– Nie ma jej tutaj – poinformowała Susan.

Człowieczek popatrzył na nią i smętnie potrząsnął głową.

– Brakuje prawie trzynastu podpoduszkowych dolarów. Muszę o tym zameldować.

– Komu?

– To musi trafić wyżej, rozumiesz. Mam tylko nadzieję, że nie powtórzy się ta historia z Quirmu, gdzie dziewczyna zaczęła okradać domy. Ciągłe się o tym mówi...

– Zameldować komu?

– A jeszcze drabina i kleszcze – ciągnął człowieczek monotonną litanię przeciwko światu, który nie rozumiał, co to znaczy, kiedy ma się wypełnić formularz AF17 w trzech kopiach. – Jak mam rejestrować pobrania sprzętu, kiedy ludzie stale pobierają sprzęt? – Pokręcił głową. – Sam nie wiem. Biorą tę robotę, myślą, że przed nimi same suche i ciepłe noce, trafia się gorsza pogoda i już, żegnaj, Charlie, wolę być kelnerką pod dachem. I jeszcze ten Ernie... Znam go. Jeden łyk, żeby nie zmarznąć, potem następny, na drugą nogę, i jeszcze trzeci, gdyby tamte dwa gdzieś zabłądziły. Wszystko to muszę zapisać w raporcie, a do kogo potem będą mieli pretensje? Powiem szczerze...

– Na pewno do pana, prawda? – wtrąciła Susan.

Patrzyła jak zahipnotyzowana. Człowieczek miał nawet wianek zmartwionych włosów wokół łysiny oraz mały, zmartwiony wąsik. A głos sugerował jasno, że kiedy nadejdzie koniec świata, jego właściciel będzie się martwił, że do niego będą mieli o to pretensje.

– No właśnie – przyznał z odcieniem urazy. Nie miał zamiaru dopuszczać, by odrobina zrozumienia rozjaśniła mu życie. – W dodatku dziewczyny cały czas narzekają, a ja im tłumaczę, że i tak mają łatwo, w końcu tylko łożą po drabinie, nie muszą całych wieczorów tkwić po kolana w papierach i wyrównywać braków z własnych pieniędzy, warto dodać...

– Pan zatrudnia Wróżki Zębuszki? – spytała pośpiesznie Susan.

O, bóg wciąż zachowywał pozycję stojącą, ale oczy już mu się szkliły.

Człowieczek napuszył się z lekka.

– Tak jakby – przyznał. – Zasadniczo prowadzę dział Inkasa Hurtowego i Wysyłki...

– Dokąd?

Popatrzył na nią. Krótkie, bezpośrednie pytania nie należały do jego

mocnych stron.

– Pilnuję tylko, żeby załadować je na wóz – wymamrotał. – Kiedy już tam są, a Ernie podpisze pokwitowanie GV19, to sprawa jest załatwiona. Tylko że, jak mówiłem, nie zjawił się w zeszłym tygodniu i...

– Cały wóz dla garstki zębów?

– No, wozi jeszcze żywność dla strażników i... Zaraz, a kim ty właściwie jesteś? Co tutaj robisz?

Susan wyprostowała się.

– Nie muszę tego znosić – oświadczyła słodkim głosem, nie zwracając się do nikogo konkretnego. I pochyliła się znowu. – O JAKIM WOZIE ROZMAWIAMY, CHARLIE?

O, bóg odskoczył. Człowieczek w brązowym płaszczu odleciał w tył i rozpląszczył się na ścianie korytarza. Susan podchodziła krok za krokiem.

– Przyjeżdża we wtorki – wysapał. – Ale co...

– I DOKĄD JEDZIE?

– Nie wiem! Mówiłem, kiedy już...

– Podpisze pokwitowanie GV19, sprawa jest załatwiona – dokończyła Susan normalnym głosem. – Tak. Mówiłeś. Jak nazywa się Violet? O tym nie wspominałeś.

Człowieczek się zawahał.

– PYTAŁAM...

– Violet Bottler!

– Dziękuję.

– Ernie też gdzieś zniknął – podjął człowieczek, jak sterowany

autopilotem. – Uważam, że to podejrzanе. Znaczy, ma przecież żonę i w ogóle. Nie byłby pierwszy, któremu zawróci w głowie trzynaście dolarów i ładne nogi, i oczywiście nikt nawet nie pomyśli o tych biedakach, którzy dalej muszą dźwigać brzemie, znaczy, co by to było, gdyby wszystkim nam wpadło do głowy, żeby uciekać z młodymi kobietami?

Rzucił Susan spojrzenie mówiące wyraźnie, że gdyby nie to, iż świat go potrzebuje, już w tej chwili malowałby nagie młode damy na jakiejś tropikalnej wyspie daleko stąd.

– Co się dzieje z zębami? – spytała Susan.

Zamrugął.

Dręczyciel, pomyślała. Bardzo mały, słaby, straszliwie nudny dręczyciel, niezdolny do prawdziwego dręczenia, bo mało kto jest od niego mniejszy i słabszy, więc tylko stara się choć trochę utrudnić innym życie...

– A co to za pytanie? – odpowiedział pod ciężarem jej wzroku.

– Nigdy się nie zastanawiałeś? – zapytała Susan i dodała w myślach: Ja na przykład nie; ciekawe, czy ktokolwiek się zastanawiał.

– To do mnie nie należy – odparł. – Ja tylko...

– A tak. Mówiłeś przecież. Dziękuję. Bardzo nam pomogłeś. Bardzo dziękuję.

Człowieczek popatrzył na nią, po czym odwrócił się i pędem zbiegł po schodach.

– Psia kostka... – mruknęła Susan.

– Bardzo nietypowe przekleństwo – zauważył nerwowo o, bóg.

– To takie łatwe... Jeśli zechcę, mogę znaleźć każdego. Taka cecha rodzinna.

– Aha. To dobrze.

– Nie. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak trudno jest być normalną? O ilu rzeczach trzeba pamiętać? Jak kłaść się spać, do czego służyć kłamki, jak zapominać...

Po co go pytam? – myślała, obserwując jego zdumioną minę. Dla niego normalne jest tylko to, żeby wymiotować, kiedy ktoś inny się upije.

– Chodźmy już – rzuciła, ruszając na schody.

Tak łatwo było zsunąć się w nieśmiertelność, dosiąść konia, wiedzieć o wszystkim. A za każdym razem, kiedy to robiła, zbliżała się do dnia, kiedy nie będzie mogła się już wydostać, nie będzie mogła zapomnieć.

Śmierć jest dziedziczna.

Dostaje się ją po przodkach.

– Dokąd teraz idziemy? – zapytał o, bóg.

– Do YMPA.

Starzec w chacie spoglądał niepewnie na rozłożoną przed nim ucztę. Siedział na stołku skulony w sobie jak pajak w ogniu.

– Narobiłem się przy gotowaniu fasoli – wymamrotał, patrząc na gości zamglonymi oczami.

– Wielkie nieba, nie możesz przecież jeść fasoli w Noc Strzeżenia Wiedźm – stwierdził król z szerokim uśmiechem. – To przynosi pecha, taka fasola w Noc Strzeżenia Wiedźm. Słowo daję!

– Nie wiedziałem. – Starzec z desperacją wbił spojrzenie we własne kolana.

– Przynieśliśmy ci te wspaniałe potrawy, wspaniałe... Zgodzisz się chyba?

– Założę się, że jesteś niewiarygodnie wdzięczny – wtrącił ostrym tonem

paż.

– No, tego... Oczywiście, to bardzo miło z waszej strony, możni panowie – zapewnił starzec głosem mysich rozmiarów. Zamrugął, niepewny, co robić dalej.

– Indyk jest ledwie ruszony, zostało na nim jeszcze mnóstwo mięsa – zauważył król. – I spróbuj tej rewelacyjnej kaczki nadziewanej wątrobą łabędzia.

– Tylko że ja lubię zjeść miskę fasoli. I nigdy nikogo o nic nie prosiłem.

– Wielkie nieba, człeku, o to nie musisz się martwić – zapewnił serdecznie król. – To Strzeżenie Wiedźm! Wyglądałem akurat przez okno i zobaczyłem, jak brniesz po śniegu, więc powiedziałem do tego oto młodego Jermaina: „Kim jest ten człowiek?”, a on mi na to: „Och, to pewnie jakiś chłop, co mieszka pod lasem”, więc ja mówię: „Nie dam rady zjeść już więcej, a przecież mamy Strzeżenie Wiedźm”. No to zapakowaliśmy wszystko i jesteśmy.

– I spodziewam się, że jesteś nam wręcz niebotycznie wdzięczny – dodał paż. – Spodziewam się, że zapaliliśmy promyk światła w mrocznym tunelu twego życia, co?

– Tak, oczywiście, tylko że oszczędzałem tę fasolę całymi tygodniami, rozumiecie, możni panowie, a w popiele pieką mi się ziemniaki, co je znalazłem w piwnicy, myszy prawie ich nie ruszyły. – Starzec nie unosił wzroku powyżej poziomu kolan. – A tata mnie tak wychował, żebym nigdy nie prosił o...

– Posłuchaj no! – Król podniósł nieco głos. – Przeszedłem dziś całe mile i jestem pewien, że nigdy w życiu nie widziałeś takiej uczyty. Zgadza się?

Po policzkach starca pociekły łzy zakłopotania i poniżenia.

– No więc jestem pewien, że to bardzo uprzejmie z waszej strony, możni panowie, tylko nie jestem pewien, czy wiem, jak się je łabędzie i różne takie, ale gdybyście mieli ochotę na moją fasolę, wystarczy powiedzieć...

– Spróbuję wyrażać się absolutnie jasno – rzekł ostro król. – Chodzi nam o prawdziwą strzeżeniowiedźmową dobroczynność, rozumiano? I mamy zamiar siedzieć tu i obserwować uśmiech na twojej brudnej, ale szczerej gębie, rozumiano?

– A co się mówi dobremu władcy? – wtrącił paż.

Starzec zwiesił głowę.

– ...uję.

– No właśnie. – Król wyprostował się. – A teraz weź widelec...

Drzwi odskoczyły z trzaskiem. Do izby wkroczyła niewyraźna postać otoczona chmurą wirujących płatków śniegu.

CO SIĘ TU DZIEJE?!

Paż zaczął wstawać, sięgając po miecz. Nie potrafił odgadnąć, w jaki sposób zjawiała się za nim druga postać, ale stała tam i łagodnie przyciskała go do siedzenia.

– Witaj, synu. Mam na imię Albert – odezwał się głos przy jego uchu. – Może jednak schowasz ten miecz, bardzo powoli? Bo komuś może stać się krzywda.

Kościsty palec dźgnął króla, zbyt oszołomionego, by się poruszyć.

CO NIBY TUTAJ ROBISZ, SIRE?

Król starał się skupić wzrok na postaci. Miał wrażenie bieli i czerwieni, ale także czerni. Ku skrytemu zdumieniu Alberta, zdołał się jednak podnieść i wyprostować tak dumnie, jak tylko potrafił.

– Dzieje się tutaj, kimkolwiek jesteś, piękna strzeżeniowiedźmowa dobroczynność! A kim...

NIE, WCALE NIE.

– Co? Jak śmiesz...

CZY BYŁEŚ TU W ZESZŁYM MIESIĄCU? BĘDZIESZ TU W PRZYSZŁYM TYGODNIU? NIE. ALE DZISIAJ CHCIAŁEŚ POCZUĆ TO CIEPŁO WEWNĄTRZ. DZISIAJ CHCESZ, BY MÓWILI: JAKIMŻ JEST DOBRYM KRÓLEM.

– No nie, znów posuwa się za daleko... – mruknął pod nosem Albert. Raz jeszcze pchnął pazia na stołek. – Nie, synu, ty się nie ruszaj. Bo zostanie z ciebie paragraf.

– Cokolwiek mu daję, to więcej, niż miał dotąd – zirytował się król. – A wszystko, co on dał w zamian, to niewdzięczność...

TAK, TO TROCHĘ PSUJE EFEKT. PRAWDA? Śmierć pochylił się. ODEJDŹ STĄD!

Ku zdumieniu króla, jego ciało przejęło kontrolę i wyprowadziło go za drzwi.

Albert klepnął pazia w ramię.

– Ty też możesz uciekać – powiedział.

– ...Nikogo nie chciałem rozgniewać, tylko że nigdy o nic nie prosiłem... – mamrotał starzec, pogrążony we własnym małym, ubogim świecie. Nerwowo splatał palce.

– Lepiej ja się tym zajmę, panie, jeśli pozwolisz – rzucił Albert. – Za moment wracam.

Luźne końce, pomyślał. To moja praca. Związywać luźne końce. Pan nigdy wszystkiego dokładnie nie przemyśli.

Dogonił króla na dworze.

– Ach, tu jesteś, wasza wysokość – powiedział. – Zanim odejdiesz... To potrwa tylko chwilę, zwykły drobiazg... – Nachylił się do oszołomionego monarchy. – Gdyby ktoś planował popełnić jutro jakiś błąd, rozumiesz,

wasza wysokość, na przykład przysłać tu gwardzistów, wyrzucić tego staruszka z chaty, wpakować go do więzienia czy coś w tym rodzaju... No cóż... taki błąd powinien zachować w pamięci jak skarb, gdyż będzie ostatnim, jaki popełnił w życiu. Taka porada dla mądrych ludzi. – Konspiracyjnie stuknął palcem w boczną powierzchnię nosa. – Szczęśliwego Strzeżenia Wiedźm.

Wrócił do chaty.

Uczta zniknęła. Starzec wpatrywał się tępo w pusty stół.

NIEDOJEDZONE RESZTKI, oświadczył Śmierć. POTRAFIMY ZORGANIZOWAĆ COŚ LEPSZEGO.

Sięgnął do worka.

Albert chwycił go za ramię, zanim zdążył wyciągnąć rękę.

– Zechcesz wysłuchać pewnej rady, panie? Dorastałem w takim miejscu, jak to...

CZY ŁZY STAJĄ CI W OCZACH?

– Raczej zapalki wskakują w rękę. Posłuchaj...

Starzec niejasno zdawał sobie sprawę z cichego szeptu. Siedział przygarbiony i patrzył w pustkę.

NO, JEŚLI JESTEŚ PEWIEN...

– Bywałem w takich miejscach, załatwiałem takie rzeczy, wysysałem kości. Dobroczynność nie polega na dawaniu ludziom tego, co chcemy im dać, ale tego, co chcieliby dostać.

BARDZO DOBRZE.

Śmierć znowu sięgnął do worka.

SZCZĘŚLIWEGO STRZEŻENIA WIEDŹM. HO. HO. HO.

Wydobył sznur kielbas. Wydobył kawał bekonu. I niedużą brytfankę solonej wieprzowiny. I sporo flaków opakowanych w natłuszczony papier. Potem kaszanke. I jeszcze kilka brytfanek zawierających te obrzydliwe, ale smakowite świńskie przyległości, wysoko cenione w każdej gospodarce opartej na świniaach.

W końcu, ułożony na blacie z cichym kłaśnięciem...

– Świński łeb – szepnął starzec. – I to cały! Od lat takiego nie jadłem. I cała miska świńskich racic! I garnek smalcu!

HO. HO. HO.

– Niezwykłe – stwierdził Albert. – Jak ci się udało sprawić, by wyraz mordy świńskiego łba przypominał króla?

MYŚLĘ, ŻE TO ZWYKŁY PRZYPADEK.

Albert poklepał starca po plecach.

– Urządź sobie bal. Byle z jajem – poradził. – Albo nawet z dwoma. A teraz powinniśmy już iść, panie.

Zostawili starca wpatzonego w uginający się stół.

CZY NIE BYŁO MIŁO? – zapytał Śmierć, gdy świnie przyspieszyły.

– O tak. – Albert potrząsnął głową. – Biedaczysko. Fasola na Strzeżenie Wiedźm? To przynosi pecha. W taką noc żaden mężczyzna nie powinien znajdować w swojej misce fasoli.

WYDAJE MI SIĘ, WIESZ, ŻE ZOSTAŁEM STWORZONY DO TAKICH RZECZY.

– Naprawdę, panie?

TO PRZYJEMNA PRACA, A LUDZIE CZEKAJĄ NA MOJĄ WIZYTĘ.

– Aha – zgodził się ponuro Albert.

NORMALNIE NIE OCZEKUJĄ MNIE Z NIECIERPLIWOŚCIĄ...

– Raczej nie, rzeczywiście.

POZA PEWNYMI SZCZEGÓLNYMI I DOŚĆ NIESZCZĘŚLIWYMI OKAZJAMI.

– Tak, tak.

I RZADKO ZOSTAWIAJĄ KIELISZEK SHERRY

– Rzeczywiście nie zostawiają.

MÓGLBYM SIĘ WRĘCZ PRYZYWCZAĆ DO TAKICH FUNKCJI.

– Ale nie będziesz musiał, panie. Prawda? – upewnił się nerwowo Albert. Znow zaczęła go prześladować straszliwa perspektywa ponownego przyjęcia funkcji skrzata Alberta. – Ponieważ znowu sprowadzimy Wiedźmikołaja, prawda? Sam mówiłeś, że to chcemy zrobić, prawda? A młoda Susan już pewnie się krząta... Chociaż jej nie prosiłeś, ma się rozumieć.

TAK OCZYWIŚCIE.

Wyczulone uszy Alberta nie wykryły ani śladu entuzjazmu.

Ojej, pomyślał.

ZAWSZE WYBIERAŁEM ŚCIEŻKĘ OBOWIĄZKU.

– Zgadza się, panie.

Sanie pędziły po niebie.

CAŁKOWICIE PANUJĘ NAD SYTUACJĄ I Z DETERMINACJĄ ZMIERZAM DO CELU.

– A zatem nie ma żadnych problemów, panie.

NIE MA POWODÓW DO ZMARTWIENIA.

– Miło to słyszeć, panie.

GDYBYM MIAŁ PIERWSZE IMIĘ, DRUGIM BYŁBY „OBOWIĄZEK”.

– To dobrze.

MIMO TO...

Albert wytężył słuch i zdawało mu się, że dociera do niego – na samej granicy słyszalności – smutny głos, szepczący:

HO. HO. HO.

Trwało przyjęcie. Zdawało się, że trwa w całym budynku.

– Niewątpliwie to pełni energii młodzi ludzie – stwierdził ostrożnie o, bóg, przekraczając wilgotny ręcznik. – Czy wpuszczają tu kobiety?

– Nie – odparła Susan.

Przeszła przez ścianę do gabinetu kierownika.

Minęła ich grupka młodych ludzi dźwigających beczkę piwa.

– Rano będziecie się źle czuli z tego powodu – zwrócił im uwagę Bilious.
– Napoje alkoholowe oszukują.

Ustawili beczkę na stole i wybili czop.

– Komuś potem będzie bardzo niedobrze – oświadczył, wznosząc głos, by przekrzyczeć gwar. – Mam nadzieję, że jesteście tego świadomi. Pewnie wam się wydaje, że to sprytne, redukować samych siebie do poziomu zwierząt pociągowych... To znaczy do poziomu, do którego by się zniżyły, gdyby piły alkohol.

Odeszli, pozostawiając obok beczki jeden kufel piwa.

O, bóg przyjrzał mu się i powąchał.

– Fuj...

Susan wynurzyła się ze ściany.

– Nie wrócił tutaj od... Co ty robisz?

– Pomyślałem sobie, że sprawdzę, jak smakuje piwo – wyjaśnił o, bóg z zakłopotaniem.

– Nie wiesz, jak smakuje piwo?

– Nie w drodze do środka. Jest... zanim do mnie dotrze, jest zupełnie inne – odparł kwaśnym tonem. Wypił jeszcze łyk, a potem następny, większy. – Nie rozumiem, o co tyle zamieszania – dodał.

Wychylił kufel do końca.

– Mam wrażenie, że nalewa się je z tego kranika – stwierdził. – Wiesz, przynajmniej raz w czasie swej egzystencji chciałbym się upić.

– Tylko raz?

– Tak. Dotąd zawsze tylko byłem pijany. Tłumaczyłem przecież.

Susan myślała o czymś innym.

– Nie było go tutaj od kilku dni. To dziwne. I nie uprzedził, dokąd idzie. Ostatnia noc, którą tu spędził, to noc, kiedy był na liście Violet. Ale zapłacił za pokój za tydzień. Mam numer.

– A klucz? – spytał o, bóg.

– Dziwny pomysł.

Pokój pana Lilywhite okazał się malutki. Co nie zaskakiwało. Dziwiło raczej to, jak dokładnie jest uporządkowany, jak starannie posłane łóżko, jak zamieciona podłoga. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś tu naprawdę

mieszka, chociaż świadczyło o tym kilka znaków. Na małym stoliku obok łóżka stał nieduży, dość prymitywny portret buldoga w peruce – lecz po dokładniejszym przyjrzeniu się mogła to być kobieta. Tę hipotezę potwierdzała dedykacja na odwrotnej stronie: „Dla Grzecznego Chłopczyka od Mamusi”.

Obok leżała książka. Susan zastanowiła się, jakie lektury mógłby kupować ktoś o życiorysie pana Banjo.

Okazało się, że książka ma sześć kartek i należy do tych, które w teorii mają oczarować dzieci magią drukowanego słowa, pokazując im Asa, psa Ali.

Na każdej stronie mieściło się nie więcej niż dziesięć słów, a mimo to między czwartą i piątą tkwiła starannie umieszczona zakładka.

Spojrzała na okładkę. Książka miała tytuł „Wesołe historie”. Obrazek przedstawiał niebieskie niebo, drzewa i parę niemożliwie różowych dzieci bawiących się z wesolutkim pieskiem.

Książka wyglądała, jakby była czytana często, choć powoli.

I to wszystko.

Ślepy zaułek...

Nie, może jednak nie...

Na podłodze, jakby upuszczona przypadkiem, leżała niewielka, srebrzysta półdolarowa moneta.

Susan podniosła ją i odruchowo zaczęła podrzucać. Przyjrzała się z uwagą o, bogowi. Przelewał w ustach łyk piwa spod jednego policzka pod drugi i w zadumie wpatrywał się w sufit.

Zastanowiła się, jakie Bilious ma szanse przetrwania inkarnacji w Ankh-Morpork w okresie Strzeżenia Wiedźm, zwłaszcza kiedy lekarstwo przestanie działać. W końcu jedynym powodem jego istnienia było cierpieć na ból głowy i wymiotować. Niewiele znalazłoby się stanowisk, gdzie byłyby to

podstawowe kwalifikacje.

– Powiedz, jeździłeś kiedyś na koniu? – spytała.

– Nie wiem. A co to jest koń?

W głębi biblioteki Śmierci cichy zgrzyt...

Niezbyt głośny, ale wśród wszechobecnego szumu piszących się książek wydawał się głośniejszy, niż sugerowałyby zwykłe decybele.

Jest takie powiedzenie, że każdy nosi w swym wnętrzu książkę. W tej bibliotece każdy we wnętrzu książki istniał.

Zgrzyt zabrzmiał głośniej. Wydawał się rytmiczny, jakby kołowy.

Książka przy książce, półka przy półce... A w każdej z nich, na stronicy przesuwającego się bezustannie „teraz”, zygzaki pisma śledzące opowieść każdego życia...

Zgrzytanie zbliżyło się do rogu.

Jego źródłem okazała się wysoka na kilka pięter chybotliwa konstrukcja. Przypominała trochę otwartą po bokach wieżę obelężniczą. U podstawy, pomiędzy kołami, umieszczono dwa pedały, które poruszały cały mechanizm.

Susan trzymała się poręczy na najwyższej platformie.

– Możesz trochę szybciej?! – zawołała. – Dotarliśmy dopiero do B.

– Pedałuję już całe wieki! – poskarżył się o, bóg.

– Wiesz, A to bardzo popularna litera.

Spojrzała na półki. A oznaczało także „Anon”. Wszystkich ludzi, którzy z takich czy innych powodów nigdy oficjalnie nie otrzymali imienia.

Zwykle były to bardzo cienkie książki.

– Aha... Bo... Bod... Bog... Teraz w lewo.

Biblioteczna wieża zazgrzytała głośno na kolejnym zakręcie.

– Mam... Bo... A niech to, Bot jest przynajmniej dwanaście pólek w górę.

– Jak miło – mruknął posępnie o, bóg.

Pchnął dźwignię, przemieszczając łańcuch napędowy z jednej zębatki na drugą, i znów naparł na pedały.

Trzeszcząca wieża zaczęła się bardzo ciężko rozsuwać w górę.

– Dobrze, jestem! – krzyknęła Susan po kilku minutach wznoszenia. – Mam tu... chwileczkę... Abana Bottler.

– Violet jest zapewne o wiele dalej – stwierdził o, bóg z nutą ironii.

– Naprzód!

Chwiejąc się lekko, wieża ruszyła wzdłuż B, aż wreszcie:

– Stój!

Zakołysała się, kiedy o, bóg docisnął do koła klocek hamulcowy.

– To chyba ona – zabrzmiał głos z góry. – Dobrze, mam. Możesz opuszczać.

Wielkie koło z ogromnymi ołowianymi ciężarami zakręciło się z wolna, a wieża złożyła się ze zgrzytem i piskiem. Susan zbiegła ostatnie kilka stóp.

– Każdy tu jest? – zapytał o, bóg, gdy przerzucała kartki.

– Tak.

– Nawet bogowie?

– Wszystko, co jest żywe i samoświadome – odparła Susan, nie podnosząc głowy. – To... dziwne. Wygląda na to, że jest w jakimś więzieniu. Kto by chciał zamykać Wrózkę Zębuszkę?

– Ktoś, kto ma bardzo delikatne zęby?

Cofnęła się o kilka stron.

– To wszystko... Worek na głowie, niosący ją ludzie i tak dalej. Ale... – Przewróciła kartkę. – Tu jest napisane, że jej ostatnim zleceniem był Banjo i... Tak, znalazła ząb... Wtedy poczuła, że ktoś za nią stoi i... Jazda na wozie... Zdjęli worek... I była taka grobla... I...

– To wszystko jest w książce?

– To autobiografia. Każdy ma taką. Zapisuje twoje życie, kiedy się staje.

– Ja też mam?

– Tak sędzę.

– Oj... „Wstał, zwymiotował, chciał umrzeć”. Niezbyt porywająca lektura, podejrzewam.

Susan odwróciła kartkę.

– Wieża – powiedziała. – Siedzi w wieży. Z tego, co zauważyła, wieża jest wysoka i biała od wewnątrz... ale nie z zewnątrz? Nie wyglądała na rzeczywistą. Wokół rosły jabłonie, ale drzewa... Drzewa wydawały się nie takie, jak powinny być. Płynęła rzeka, ale też nie taka. Były w niej złote rybki... tylko że na powierzchni wody.

– Aha. Zatrucie środowiska – mruknął o, bóg.

– Raczej nie. Tutaj jest napisane, że widziała, jak pływają.

– Pływają po powierzchni wody?

– Wydaje się jej, że to właśnie zobaczyła.

– Naprawdę? Chyba nie myślisz, że jadła ten spleśniały ser?

– I było niebieskie niebo, ale... Musiała się pomylić. Stoi tutaj, że było tylko niebieskie niebo nad nią...

– Zgadza się. To najlepsze miejsce dla nieba. Niebo pod tobą na ogół zwiastuje kłopoty.

Susan zajrzała na późniejszą, potem na wcześniejszą stronę.

– Jej chodzi o... niebo nad głową, ale nie po bokach. Tak myślę. Bez nieba na horyzoncie.

– Przepraszam bardzo – rzekł o, bóg. – Nie przebywam w tym świecie zbyt długo, rozumiem to, ale wydaje mi się, że musisz mieć niebo na horyzoncie. W ten właśnie sposób poznajesz, że to horyzont.

Susan ogarnęło wrażenie, że rozpoznaje coś w tym opisie... Jednak to coś zachowywało się płochliwie i chowało szybko, gdy tylko próbowała się na nim skoncentrować.

– Widziałam już takie miejsce – stwierdziła, stukając palcem w kartkę. – Gdyby tylko lepiej się przyjrzała drzewom... Według niej miały brązowe pnie i zielone liście, i tutaj stoi, że wydawało jej się to dziwne. I jeszcze... – Przeczytała następny akapit. – Kwiaty. Rosnące wśród trawy. Z dużymi, okrągłymi płatkami.

Niewidzącym wzrokiem wpatrzyła się w o, boga.

– To nie jest normalny pejzaż – uznała.

– Dla mnie brzmi to całkiem realnie. Niebo. Drzewa. Kwiaty. Martwe ryby.

– Brązowe pnie drzew? Przecież naprawdę są raczej takie szarawe, mechowate. Tylko w jednym miejscu można zobaczyć brązowe. W tym samym, gdzie niebo jest tylko nad głową. Błękit nigdy nie sięga ziemi.

Uniosła głowę. Na końcu korytarza w ścianie tkwiło bardzo wysokie,

bardzo wąskie okno. Wychodziło na czarne ogrody. Czarne krzewy, czarna trawa, czarne drzewa. Szkielety ryb pływały w czarnych wodach sadzawki, pod czarnymi liliami wodnymi.

Był tam kolor – w pewnym sensie; kolor, jaki można uzyskać, przepuszczając przez pryzmat promień czerni. Istniały więc sugestie odcieni, tu i tam czerń, co do której człowiek zdołałby sam siebie przekonać, że widzi bardzo ciemny fiolet albo granat. Ale wszystko zasadniczo wyglądało czarno, pod czarnym niebem – ponieważ był to świat należący do Śmierci i to właściwie tyle, ile można na ten temat powiedzieć.

Kształt Śmierci był formą, jaką przez wieki stworzyli dla niego ludzie. Czemu szkielet? Bo kości są kojarzone ze śmiercią. Nosił kosę, bo ludzie żyjący z uprawy roli potrafili docenić przyzwoitą metaforę. Mieszkał w ponurej krainie, ponieważ ludzka wyobraźnia naprawdę musiałaby się wysilać, by pozwolić mu na mieszkanie w jakimś miłym miejscu z kwiatami.

Takie osoby jak Śmierć żyły w ludzkiej wyobraźni i tam zyskiwały swoją formę. Nie był zresztą jedynym...

...ale nie podobał mu się scenariusz. Zaczął interesować się ludźmi.

Czy to była myśl, czy wspomnienie czegoś, co się jeszcze nie wydarzyło?

O, bóg podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Możemy za nią pojechać? – zapytał. – Mówię „my”, bo myślę, że znalazłem się w niewłaściwym miejscu, więc właśnie się zaciągnąłem.

– Ona żyje. To znaczy, że jest śmiertelna – odparła Susan. – A to znaczy również, że mogę ją znaleźć.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia z biblioteki.

– Jeśli twierdzi, że niebo to tylko błękit u góry, to co jest między nim a horyzontem? – pytał o, bóg. Musiał biec, by dotrzymać jej kroku.

– Nie musisz iść ze mną. To nie jest twój problem.

– Owszem. Ale moim problemem, weź pod uwagę, jest to, że celem mojego życia jest czuć się obrzydliwie. W tej sytuacji każda zmiana będzie zmianą na lepsze.

– To może być niebezpieczne. Nie sądzę, żeby znalazła się tam z własnej woli. Dasz sobie radę w walce?

– Tak. Mogę wymiotować na ludzi.

Była to szopa gdzieś na peryferiach miasta Scrote na Równinach. Scrote miało wiele peryferii, rozciągających się tak szeroko – tu rozbity powóz, tam zdechły pies – że ludzie często wędrowali przez nie, nie wiedząc nawet, że tam są. Właściwie Scrote pojawiało się na mapach tylko dlatego, że duże puste przestrzenie wprawiają kartografów w zakłopotanie.

Strzeżenie Wiedźm przychodzi tu po ekscytacji kapuścianych żniw, kiedy w Scrote panuje spokój i nie ma na co czekać – aż do obchodów festiwalu kapuścianych kiełków.

Szopa miała żelazny piecyk z rurą wychodzącą na zewnątrz przez grubą strzechę z kapuścianych liści.

W tej rurze słabym echem odbijały się głosy.

TO NAPRAWDĘ, ALE TO NAPRAWDĘ GŁUPIE.

– Tradycja zaczęła się chyba, kiedy wszyscy mieli takie wielkie kominy, panie.

Ten głos brzmiał tak, jakby należał do kogoś stojącego na dachu i krzyczącego do rury.

DOPRAWDY? TO PRAWDZIWE SZCZĘŚCIE, ŻE NIKT NIE NAPALIŁ.

Rozległo się stłumione drapanie i stuki, a potem głucho uderzenie z wnętrza pieca.

DO LICHA!

– Co się dzieje, panie?

DRZWICZKI NIE MAJĄ KLAMKI OD ŚRODKA. UWAŻAM, ŻE TO NIEROZWAŻNE.

Znowu uderzenia, a potem zgrzyt, gdy fajerka pieca została uniesiona i zepchnięta na bok. Wysunęła się ręka; zaczęła obmacywać piec, aż wreszcie znalazła zamek. Męczyła się z nim przez chwilę i było oczywiste, że nie należy do osoby przyzwyczajonej do otwierania czegokolwiek.

Po chwili z piecyka wynurzył się Śmierć. Jak tego dokonał, trudno byłoby opisać bez zginania kartki. Przestrzeń i czas były – z jego punktu widzenia – jedynie rzeczami, które znał z opisów. Gdy chodziło o Śmierć, obie te rzeczy zaznaczały „Nie dotyczy”.

Może pomóc, jeśli ktoś wyobrazi sobie wszechświat jako gumową membranę. A może nie.

– Wpuść mnie, panie! – zawołał żałosny głos z dachu. – Zimno tu jak nie wiem.

Śmierć podszedł do drzwi i niepewnie przyjrzał się deskom. Wiatr nawiewał pod nimi śniegu. Za drzwiami coś uderzyło głucho i głos Alberta odezwał się znacznie bliżej.

– O co chodzi, panie?

Śmierć wysunął głowę przez drewno.

MAJĄ TU TAKIE METALOWE FRAGMENTY..

– Rygle, panie. Trzeba je odsunąć – wyjaśnił Albert, chowając dłonie pod pachy, żeby się rozgrzać.

AHA.

Głowa Śmierci zniknęła. Albert potupał nogami. Obserwował, jak jego

oddech zmienia się w parę, i słuchał nieporadnych chrobotów z drugiej strony drzwi.

Głowa Śmierci pojawiła się znowu.

EHM...

– Skobel, panie – poinformował zniechęcony Albert.

NO TAK. NO TAK.

– Kładzie się kciuk i naciska do dołu.

OCZYWIŚCIE.

Głowa zniknęła. Albert poskakał chwilę i czekał.

Głowa pojawiła się.

HM... WSZYSTKO ZROZUMIAŁEM AŻ DO KCIUKA...

– A potem naciskasz w dół i ciągniesz, panie.

AHA. JASNE. JUŻ WIEM.

Głowa zniknęła.

Och, jej... pomyślał Albert. On po prostu nie potrafi zrozumieć, o co w tym chodzi...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Śmierć stanął w nich, promieniejąc dumą. Albert wszedł chwiejnie do środka, w tumanach śniegu.

– A niech to... Robi się naprawdę zimno – stwierdził. – Jest sherry? – zapytał z nadzieją.

RACZEJ NIE.

Śmierć spojrzał na skarpetę przyczepioną z boku piecyka. Była dziurawa.

Przypięto do niej list wypisany nierównymi literami. Śmierć przeczytał:

CHŁOPIEC CHCE PARĘ SPODNI, KTÓRYCH BY NIE MUSIAŁ Z NIKIM DZIELIĆ, WIELKĄ ZAPIEKANKĘ Z MIĘSEM, CUKROWĄ MYSZ, „DUŻO ZABAWEK” I SZCZENIACZKA IMIENIEM KUDŁATEK.

– To słodkie – przyznał Albert. – Muszę otrzeć łzę, ponieważ to, co dostanie, widzisz, panie, to ta mała drewniana zabawka i jabłko.

PRZECIEŻ W LIŚCIE WYRAŹNIE...

– No tak, ale działają tu czynniki socjoekonomiczne, prawda? Gdyby każdy dostawał to, o co prosi, zapanowałby straszny bałagan.

W SKLEPIE DAWAŁEM IM TO, CO CHCIELI...

– Owszem, i wynikną z tego poważne kłopoty, panie. Wszystkie te „zabawkowe świnki, które naprawdę działają”. Nic nie mówiłem, bo dzięki temu wykonywaliśmy nasze zadanie, ale nie można ciągle tak postępować. Na co komu bóg, który daje wszystko, czego człowiek zapragnie?

TU MNIE MASZ...

– Nadzieja jest ważna. Nadzieja, istotna część wiary. Dać ludziom dzem dzisiaj, a siądną i zwyczajnie go zjedzą. Za to dzem jutro podtrzymuje ich bez końca.

I CHCESZ POWIEDZIEĆ, ŻE Z TEGO POWODU BIEDNI DOSTAJĄ BIEDNE PREZENTY, A BOGACI BOGATE?

– Zgadza się – przyznał Albert. – Taki jest sens Strzeżenia Wiedźm.

Śmierć niemal jęknął głośno.

ALE JA JESTEM WIEDŹMIKOŁAJEM! Urwał zakłopotany. NO, PRZYNAJMNIEJ W TEJ CHWILI.

– To bez znaczenia. – Albert wzruszył ramionami. – Pamiętam, kiedy

jeszcze byłem brzdącem, w Strzeżenie Wiedźm marzyłem o takim wielkim drewnianym koniu, którego mieli w sklepie. – Zmarszczył twarz w posępnym uśmiechu. – Całe godziny spędzałem... a dni były wtedy zimne jak dobroczynność... całe godziny z nosem przyciśniętym do szyby... W końcu usłyszeli moje krzyki i jakoś mnie odmrozili. Widziałem, jak zdejmują go z wystawy, ktoś go kupił i wiesz, panie, przez jedną chwilę myślałem, że to naprawdę dla mnie. Och, śniłem o tym koniu. Był czerwono-biały, miał prawdziwe siodło i w ogóle... I bieguny. Mógłbym zabić dla tego konia. – Znowu wzruszył ramionami. – Ale nie było żadnych szans. Nie mieliśmy nawet kibla, żeby do niego nasikać, a często musieliśmy pluć na chleb, żeby stał się dostatecznie miękki i dał się zjeść.

ZECHCESZ MNIE OŚWIECIĆ? DLACZEGO TAKIE WAŻNE JEST POSIADANIE KIBLA, ŻEBY DO NIEGO NASIKAĆ?

– To... to takie powiedzenie, panie. Oznacza, że ktoś jest biedny jak mysz kościelna.

A ONE SĄ BIEDNE?

– No... tak.

ALE Z PEWNOŚCIĄ NIE BIEDNIEJSZE OD INNYCH MYSZY? POZA TYM ZWYKLE W KOŚCIOŁACH SPORO JEST ŚWIEC I INNYCH RZECZY, KTÓRE MOGĄ JEŚĆ.

– To znów takie powiedzenie. Nie musi mieć sensu.

AHA. ROZUMIEM. MÓW DALEJ, PROSZĘ.

– Oczywiście w wigilię Strzeżenia Wiedźm i tak zawiesiłem swoją skarpetę, a rano wiesz co, panie? Nasz tato włożył do niej takiego małego konika, którego sam wyrzeźbił...

AHA, rzekł Śmierć. I ON BYŁ WART WIĘCEJ NIŻ WSZYSTKIE KOSZTOWNE DREWNIANE KONIE NA ŚWIECIE, TAK?

Albert wytrzeszczył oczy.

– Nie! – powiedział. – Wcale nie był. Mogłem myśleć tylko o tym wielkim koniu na wystawie.

Śmierć zdumiał się.

ALE O ILEŻ LEPIEJ JEST DOSTAĆ ZABAWKĘ WYRZEŻBIONĄ PRZEZ...

– Nie. Tylko dorośli tak uważają. Kiedy człowiek ma siedem lat, jest samolubnym draniem. Zresztą tato spił się po obiedzie i rozdeptał konia.

OBIEDZIE?

– No dobrze, może mieliśmy trochę smalcu do chleba...

MIMO TO JEDNAK DUCH STRZEŻENIA WIEDŹM...

Albert westchnął.

– Jak uważasz, panie. Jak uważasz.

ALE PRZYPUSĆMY, ŻE WIEDŹMIKOŁAJ PRZYNIÓSŁBY CI TEGO WSPANIAŁEGO DREWNIANEGO KONIA...

– Och, tato sprzedałby go za parę flaszek.

PRZECIEŻ BYWALIŚMY W DOMACH, GDZIE DZIECI MIAŁY DUŻO ZABAWEK, I PRZYNOSILIŚMY IM JESZCZE WIĘCEJ, A W DOMACH TAKICH JAK TEN DZIECI NIE DOSTAJĄ PRAKTYCZNIE NICZEGO.

– Ha, kiedy byłem dzieciakiem, oddalibyśmy wszystko, żeby dostać praktycznie nic – zapewnił Albert.

CIESZ SIĘ Z TEGO, CO MASZ. NA TYM TO POLEGA?

– Tak mniej więcej brzmi główna zasada, panie. I niezłe boskie hasło. Nie dawaj im za dużo i każ się tym cieszyć. Dżem jutro, rozumiesz.

TO NIEWŁAŚCIWE. Śmierć zawahał się. ZNACZY... OWSZEM, SŁUSZNIE JEST CIESZYĆ SIĘ Z TEGO, CO SIĘ MA. ALE TRZEBA NAJPIERW COŚ MIEĆ, ŻEBY MIEĆ SIĘ Z CZEGO CIESZYĆ. TO BEZ SENSU CIESZYĆ SIĘ, ŻE NIE MA SIĘ NICZEGO.

Albert poczuł, że nie nadąża za tą nową falą filozofii społecznej.

– Sam nie wiem – stwierdził. – Ludzie powiedzą, jak sędzę, że mają księżyc, gwiazdy i takie tam...

JESTEM PRZEKONANY, ŻE NIE ZDOŁAJĄ PRZEDSTAWIĆ ODPOWIEDNICH DOKUMENTÓW.

– Wiem tylko, że kiedy tato przyłapał nas kiedyś z wielkim workiem drogich zabawek, natarł nam uszu za to, że je ukradliśmy.

TO... NIESPRAWIEDLIWE.

– Takie jest życie, panie.

ALE NIE JA.

– Chodziło mi o to, że tak się wszystko powinno odbywać – wyjaśnił Albert.

NIE. CHODZIŁO CI O TO, ŻE TAK SIĘ WSZYSTKO ODBYWA.

Albert oparł się o piecyk i skrzył jednego z tych swoich okropnych, cienkich papierosów. Najlepiej pozwolić panu załatwiać sprawy po swojemu. W końcu mu przejdzie. Całkiem jak w tej historii ze skrzypcami. Przez trzy dni słyhać było tylko brzęki i pękające struny, a potem nigdy więcej nie dotknął instrumentu. Na tym polegał kłopot. Wszystko, co pan robił, tak właśnie wyglądało. Kiedy coś mu wpadło do głowy, można było tylko czekać, aż znowu wypadnie.

Uważał, że Strzeżenie Wiedźm to jedynie... puddingi, brandy, ho, ho, ho, a nie dysponował umysłem zdolnym do ignorowania całej reszty. Dlatego go to raniło.

MAMY STRZEŻENIE WIEDŹM, powiedział Śmierć. A LUDZIE UMIERAJĄ NA ULICACH. JEDNI UCZTUJĄ ZA OŚWIETLONYMI OKNAMI, A INNI NIE MAJĄ DOMÓW. CZY TO SPRAWIEDLIWE?

– No, oczywiście, to poważny problem...

CHŁOP MA GARŚĆ FASOLI, A KRÓL MA TYLE, ŻE NAWET NIE ZAUWAŻY TEGO, CO ODDA. CZY TO SPRAWIEDLIWE?

– No tak, ale gdyby wszystko oddać chłopu, to za rok czy dwa będzie tak samo zarozumiały jak król... – zaczął Albert, cyniczny obserwator ludzkiej natury.

GRZECZNY CZY NIEGRZECZNY? ALE PRZECIEŻ TAK ŁATWO BYĆ GRZECZNYM, KIEDY SIĘ JEST BOGATYM...

Albert miał chęć podyskutować. Chciał powiedzieć: Naprawdę? W takim razie jak to się dzieje, że tak wielu bogatych gnojek to sukinsyny? Zresztą bieda też nie powoduje, że człowiek jest niegrzeczny. Pamiętam, byliśmy biedni, ale uczciwi. No, prawdę mówiąc, bardziej głupi niż uczciwi, ale zasadniczo uczciwi.

Zrezygnował jednak. Pan nie miał nastroju do dyskusji. Zawsze robił to, co wymagało zrobienia.

– Mówiłeś przecież, panie, że zajmujemy się tym, żeby ludzie uwierzyli... – zaczął. Potem urwał i zaczął jeszcze raz: – Kiedy chodzi o sprawiedliwość, panie, to przecież sam...

ZAWSZE TAK SAMO TRAKTUJĘ I BIEDNYCH, I BOGATYCH, rzucił gniewnie Śmierć. ALE TEN CZAS NIE POWINIEN NIEŚĆ SMUTKU. TO POWINNA BYĆ PORA RADOŚCI. Owinął się czerwoną szatą. NIKT NIE POWINIEN DOSTAĆ SAMYCH KOŚCI, dodał.

– Nie ma klingi – zdziwił się o, bóg. – To sama rękojeść miecza.

Susan wyszła z kręgu światła i poruszyła dłonią. W powietrzu rozbłysła

roziskrzona niebieska linia, na jedną chwilę obrysowując ostrze zbyt cienkie, by można je zobaczyć.

O, bóg cofnął się nerwowo.

– Co to takiego?

– Och, ten miecz rozcina na połowy maleńkie cząsteczki powietrza. Może odciąć duszę od ciała, więc lepiej uważaj.

– Jasne, będę bardzo uważał.

Ze stojaka na parasole Susan wyłowiła pochwę.

Stojak na parasole! Chociaż deszcz nigdy tu nie padał, Śmierć miał stojak na parasole. Właściwie żadna z osób, które Susan poznała, nie trzymała w domu takiego stojaka. Stojak na parasole znajdował się zwykle na samym dole dowolnej listy przydatnych mebli.

Śmierć żył w czarnym świecie, gdzie nie istniało nic żywego, wszystko było ciemne, a w jego wielkiej bibliotece kurz i pajęczyny zjawiały się tylko dlatego, że stworzył je dla lepszego efektu. Nie świeciło słońce, powietrze nigdy się nie poruszało – a jednak miał stojak na parasole. A także parę srebrnych szczotek do włosów na stoliku przy łóżku. Chciał stać się czymś więcej niż szkieletowym widmem, usiłował stworzyć przebłyski osobowości, ale one jakoś same się zdradzały, próbowały zbyt mocno – jak nastoletni chłopak, który spryskuje się wodą kolońską „Lew salonów”.

Dziadek zawsze musiał coś pomylić. Obserwował życie z zewnątrz i nigdy go do końca nie zrozumiał.

– Wygląda groźnie – zauważył o, bóg.

– Mam nadzieję – odparła Susan i wsunęła miecz do pochwy.

– Eee... A dokąd właściwie ruszamy? Tak dokładnie?

– Gdzieś pod niebo zawieszone nad głowami. I... widziałam już takie. Niedawno. Znam to miejsce.

Przeszli przed stajnię. Pimpuś już czekał.

– Mówiłam, że nie musisz ze mną jechać. – Susan chwyciła lęk siodła. – W końcu jesteś, no... przypadkowym przechodniem.

– Ale jestem też bogiem kaca, który został uleczony z kaca – odparł o, bóg. – Właściwie nie mam teraz żadnej funkcji.

Wyglądał tak żałośnie, że ustąpiła.

– No dobrze, wskakuj. – Wciągnęła go za siebie na siodło. – Trzymaj się – poleciła. A po chwili dodała: – To znaczy trzymaj się może gdzie indziej.

– Przepraszam. Czy to jakiś kłopot? – zdziwił się o, bóg, przesuwając dłonie.

– Za długo trzeba by wyjaśniać, a pewnie i tak nie znasz wszystkich słów. W pasie, jeśli można.

Susan wyjęła klepsydrę Violet. Zostało w niej jeszcze dużo piasku, ale nie była pewna, czy to dobry znak.

Była pewna tylko jednego: że rumak Śmierci może dotrzeć wszędzie.

Odgłos pióra HEX-a, piszącego zawzięcie po papierze, przypominał dźwięk wydawany przez rozgorączkowanego pajaka schwytanego w pudełko od zapalek.

Mimo swej niechęci do tego, co się działo, jakaś część umysłu Myślaka Stibbonsa była pod wrażeniem.

W przeszłości, kiedy HEX był krnąbrny w obliczeniach, kiedy zapadał w mechaniczne dąsy i zaczynał wypisywać coś w rodzaju „+++ Błąd: Brak Sera +++” i „+++ Zacznij Z Początku +++”, Myślak starał się rozwiązywać problem spokojnie i logicznie. Nigdy, ale to nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby choćby rozważyć uderzenie HEX-a młotkiem. A tymczasem Ridcully właśnie tym zagroził.

Robił wrażenie, ale także bardziej niż trochę niepokoił fakt, że HEX najwyraźniej pojmował tę koncepcję.

– No dobrze. – Nadrektor odłożył młotek. – I skończmy już z tymi „niewystarczającymi daniami”, zgoda? W głównym holu szykuje się bankiet. Jeśli o mnie chodzi, możesz mieć tyle dań, ile tylko sobie życzysz...

– To dane, nie dania – odpowiedział Myślak.

– Co? Niby jaka różnica? Dodatkowo przyprawione?

– Nie, nie. Dane to słowo, którym HEX określa... no, fakty.

– Dziwaczne zachowanie – stwierdził szorstko Ridcully. – Jeśli nie może znaleźć odpowiedzi, dlaczego nie napisze „Tu mnie macie” albo „Niech mnie lichy, jeśli wiem”, czy w końcu „To jest problem, nie ma co”? Całe te „niewystarczające dane” to czysta przekora, moim zdaniem. Tak sobie gada. – Zwrócił się do HEX-a. – Słuchaj no, ty. Postaraj się zgadnąć.

Pióro zaczęło pisać „+++ Niewyst” i znieruchomiło. Drżało przez chwilę w miejscu, potem zjechało o linijkę niżej i zaczęło od nowa.

+++ To Tylko Głośne Myślenie, Rozumie Pan +++

– W porządku.

+++ Ilość Wiary Na Świecie Musi Podlegać Ograniczeniu Od Góry +++

– Dziwne stwierdzenie – uznał dziekan.

– Brzmi rozsądnie – sprzeciwił się Ridcully. – Przypuszczam, że ludzie po prostu... wierzą w różne rzeczy. I oczywiście musi być jakaś granica tego, w co można uwierzyć. Zawsze tak uważałem. Co dalej?

+++ Pojawiały Się Istoty, W Które Wierzono +++

– Tak. Można to tak określić.

+++ Znikały, Ponieważ Przystawano W Nie Wierzyć +++

– Sensowne – przyznał Ridcully.

+++ Ludzie Wierzyli W Coś Innego – Pytanie +++

Ridcully spojrzał na pozostałych magów. Wzruszyli ramionami.

– Możliwe – zgodził się ostrożnie. – Ludzie mogą wierzyć w ograniczoną liczbę rzeczy.

+++ Można Wnioskować, Że Jeśli Jedno Z Głównych Ognisk Wiary Zostaje Usunięte, Pojawia Się Wiara W Stanie Wolnym +++

Ridcully czytał słowa.

– Chcesz powiedzieć... że chlupie?

Wielkie koło z pustymi ramami zakreśliło się wolno. Mrówki biegające w szklanych rurach wyraźnie przyspieszyły.

– Co się dzieje? – spytał Ridcully głośnym szeptem.

– Myślę, że HEX sprawdza słowo „chlupie” – wyjaśnił Myślak. – Może je przechowywać w pamięci długotrwałej.

Z góry na sprężynie opuściła się duża klepsydra.

– A to po co?

– No... pokazuje, że HEX pracuje.

– Aha. A to brzęczenie? Dochodzi chyba zza ściany.

Myślak odkasznął.

– To właśnie jest pamięć długotrwała, nadrektorze.

– A jak działa?

– No... gdyby pan sobie wyobraził pamięć jako rząd małych półeczek,

albo... albo... albo otworków, nadrektorze, w które można wkładać różne rzeczy... No więc udało nam się znaleźć sposób konstrukcji takiej pamięci, która no... ma wydajny interfejs z mrówkami, ale co ważniejsze, może zwiększać swoją pojemność zależnie od tego, ile każemy jej pamiętać. Jest, hm... może nieco powolna, ale...

– To bardzo głośne brzęczenie – przerwał mu dziekan. – Coś się psuje?

– Nie, to dowodzi, że pracuje. Ta pamięć to, no... pszczele ule.

Odchrząknął.

– Różne odmiany pyłku, różne gęstości miodu, rozmieszczenie jajeczek... To zadziwiające, ile informacji można przechować w jednym plastrze miodu.

Obserwował ich twarze.

– I jest całkiem bezpieczna, bo gdyby ktokolwiek próbował przy niej majstrować, pszczoły zakłują go żądłami na śmierć. No i Adrian uważa, że kiedy zamykamy wydział na wakacje, możemy uzyskać sporo miodu. – Znów odchrząknął. – Do ka... na... pek – dokończył.

Pod ich spojrzeniami czuł się coraz mniejszy i coraz bardziej rozgrzany.

HEX przyszedł mu na ratunek. Klepsydra odskoczyła gdzieś, a pióro gwałtownie zanurzyło się w kałamarzu.

+++ Tak. Chlupie. Następuje Akrecja +++

– To oznacza formowanie się wokół nowych ośrodków, nadrektorze – wyjaśnił Myślak.

– To wiem – odparł Ridcully. – Niech to demon... Pamiętacie, jak mieliśmy tu wszędzie całą tę siłę życiową? Na własnych portkach nie można było polegać! Czyli ta... wiara w stanie wolnym chlupie dookoła, jak rozumiem, a te małe łobuzy to wykorzystują? Wracają? Domowe bóstwa?

+++ To Możliwe +++

– No dobrze, ale w co ludzie tak nagle przestali wierzyć?

+++ Błąd: Brak Sera +++ MELON MELON MELON +++ Zaczynij Z
Początku +++

– Dziękuję. Wystarczyłoby zwykłe „Nie wiem”. – Ridcully usiadł.

– Któryś z głównych bogów? – zgadywał kierownik Katedry Studiów Nieokreślonych.

– Ha... Szybko byśmy się dowiedzieli, gdyby jeden z nich nagle zniknął.

– Mamy Strzeżenie Wiedźm – przypomniał dziekan. – Przypuszczam, że Wiedźmikołaj krąży po świecie, co?

– Wierzysz w niego? – zdziwił się Ridcully.

– No, to ktoś dla dzieci. Ale jestem pewien, że one wszystkie wierzą. Ja wierzyłem. Kiedy byłem mały, Strzeżenie Wiedźm było nieważne bez poszwy z poduszki wiszącej przy kominku...

– Poszwy? – przerwał mu pierwszy prymus.

– Do skarpety wiele się nie zmieści...

– To fakt, ale cała poszwa?

– Tak. I co z tego?

– Czy tylko mnie się tak wydaje, czy to naprawdę zachowanie samolubne i chciwe? W mojej rodzinie wieszaliśmy bardzo małe skarpety – zapewnił pierwszy prymus. – Cukrowa świnka, żołnierzyk, ze dwie pomarańcze i tyle. Okazuje się, że to ludzie z poszwami monopolizowali rynek.

– Bądźcie obaj cicho i przestańcie się kłócić – uciął Ridcully. – Jak możemy sprawdzić, czy Wiedźmikołaj istnieje? Musi być jakaś prosta metoda.

– Ktoś wypija sherry, na dywanie są ślady sadzy, na dachu ślady płóz, a

poszwa jest pełna prezentów – stwierdził dziekan.

– Ha, poszwa! – rzekł mrocznym tonem pierwszy prymus. – Ha. I pewnie rodzina była z tych zadzierających nosa, co to otwierają prezenty dopiero po strzeżeniowiedźmowym obiedzie? Z takim wielkim, obwieszonym strzeżeniowiedźmowym drzewkiem w holu?

– A jeśli... – zaczął Ridcully, ale było już za późno.

– No? – rzekł dziekan. – Oczywiście, że czekaliśmy do obiadu...

– Wiecie, naprawdę mnie wkurzali tacy z wielkimi, obwieszonymi strzeżeniowiedźmowymi drzewkami. I mogę się założyć, że mieliście takiego luksusowego, fikuśnego dziadka do orzechów, który wygląda jak wielki zgniatacz kciuka – mówił pierwszy prymus. – Niektórzy musieli sobie radzić młotkiem do węgla z wygodki. I jedli obiad w środku dnia, zamiast takiego fiu-bździu-trala eleganckiego obiadu wieczorem.

– Nic nie poradzę, że moja rodzina miała pieniądze – odparł dziekan. Co mogłoby trochę uspokoić sytuację, gdyby zaraz nie dodał: – I maniery.

– I wielkie poszewki! – zawołał pierwszy prymus, podskakując ze złości.
– Założę się, że kupowaliście ostrokrzew, co?

Dziekan uniósł brwi.

– Oczywiście! Nie włóczyliśmy się po okolicy i nie zrywaliśmy go z cudzych żywopłotów, jak niektórzy.

– To tradycja! Element zabawy!

– Żeby uczcić Strzeżenie Wiedźm kradzioną roślinnością?

Ridcully zasłonił oczy rękami.

Określenie tego, jak słyszał, brzmiało „gorączka kabinowa”. Kiedy ludzie zbyt długo przebywają stłoczeni podczas mrocznych zimowych dni, zaczynają działać sobie na nerwy. Istniała prawdopodobnie szkoła filozoficzna, która twierdziła, że spędzanie czasu w budynkach uniwersytetu,

mającego ponad pięć tysięcy znanych pomieszczeń, potężną bibliotekę, najlepszą kuchnię w mieście, własny browar, mleczarnię, dobrze zaopatrzone piwnice z winem, pracownię cyrulika, krużganki i kręgielnię, jest naciąganiem definicji „stłoczenia” do granic wytrzymałości. Z drugiej strony jednak magowie potrafili działać sobie na nerwy, stojąc po przeciwnych końcach bardzo wielkiego pola.

– Zamknijcie się, co? – powiedział. – Mamy Strzeżenie Wiedźm. To nie pora na głupie spory, jasne?

– Ależ tak – stwierdził ponuro kierownik studiów nieokreślonych. – To właśnie pora na głupie spory. W naszej rodzinie mieliśmy szczęście, jeśli udało się przeżyć kolację bez powtórki „Jaka szkoda, że Henry nie rozkręcił interesu z naszym Ronem”. Albo „Dlaczego nikt nie nauczył tych dzieci używać noża?”. To drugi ulubiony numer.

– I te dasy – dodał Myślak Stibbons.

– Och, dasy... – zgodził się kierownik studiów nieokreślonych. – Strzeżenie Wiedźm nie liczyło się bez tego, żeby wszyscy nie siedzieli obrażeni i nie gapili się w różne ściany.

– Gry były gorsze – stwierdził Myślak.

– Gorsze niż dzieciaki tłukące się swoimi zabawkami? Tak myślicie? Porządne strzeżeniowiedźmowe popołudnie nie mogło się obejść bez latających na wszystkie strony kólek i kawałków połamanych lalek, a wszyscy wyli. Czynne napaści włączone w zestaw.

– Mieliśmy taką grę „Polowanie na kapcia” – powiedział Myślak. – Ktoś chował kapeć. Potem musieliśmy go znaleźć. A potem wszyscy się kłócili.

– To jeszcze nie takie złe – wtrącił wykładowca run współczesnych. – Nie tak naprawdę strzeżeniowiedźmowo złe, chyba że każdy nosił papierowy kapelusik. Zawsze przychodził taki moment, kiedy czyjaś straszliwa ciotka wkładała papierowy kapelusik i uśmiechała się z wyższością, że to niby taka bohema.

– Zapomniałem o papierowych kapelusikach – westchnął kierownik studiów nieokreślonych. – Och, bogowie...

– A potem ktoś proponował grę planszową – dodał Myślak.

– Właśnie. I nikt dokładnie nie pamiętał reguł.

– Co w niczym nie przeszkadzało. I zawsze ktoś sugerował, żeby grać na pensy.

– A pięć minut później z powodu dwupensówki dwójka ludzi przestawała ze sobą rozmawiać na resztę życia.

– A jakiś potworny dzieciak...

– Wiem, wiem! Jakiś dzieciak, któremu pozwolili zostać z dorosłymi, wygrywał wszystkie pieniądze, bo był wrednym, małym i bezwzględnym kujonem.

– Zgadza się!

– Ehm... – powiedział Myślak, który żywił silne podejrzenie, że to właśnie on był tym dzieciakiem.

– Nie zapominajcie o prezentach – uzupełnił litanie kierownik studiów nieokreślonych, jakby czytał z wewnętrznej listy smutków. – Jak... jak potencjalnie cudowne wydawały się owinięte w papier, jak ciężarne możliwościami... A potem człowiek je rozpakowywał i w zasadzie papier był ciekawszy od zawartości, ale trzeba było powiedzieć: „Świetne, na pewno mi się przyda”. Wcale nie jest lepiej dawać niż brać, ale moim zdaniem jest to mniej krępujące.

– Wyliczyłem sobie – oznajmił pierwszy prymus – że przez te lata byłem eksporterem netto strzeżeniowiedźmowych prezentów.

– Jak każdy – zauważył kierownik studiów nieokreślonych. – Wydajesz majątek na innych, a co dostajesz? Kiedy już zdejmie się papier, masz jeden papuś w nieodpowiednim kolorze i książkę o woskowinie.

Ridcully słuchał ich w zaleknionym zdumieniu. Sam zawsze lubił Strzeżenie Wiedźm, każdą świąteczną chwilę. Lubił spotykać starych krewnych, lubił jedzenie, był dobry w takich grach jak „Pogoń sąsiada przez korytarz” albo „Hurra, wesoły druciarzu”. Zawsze jako pierwszy wkładał papierowy kapelusz. Uważał, że takie kapelusze nadawały rodzinnym spotkaniom szczególny, radosny nastrój. Bardzo starannie czytał życzenia na strzeżeniowiedźmowych kartkach i zawsze znalazł czas, by pomyśleć ciepło o nadawcy.

Słuchając swoich magów, czuł się, jakby patrzył na kogoś, kto kopniakami rozbija domek dla lalek.

– Przynajmniej motta na strzeżeniowiedźmowych dekoracjach były zabawne... – spróbował.

Obejrżeli się, popatrzyli na niego i znowu się odwrócili.

– Jeśli ktoś ma poczucie humoru wieszaka... – mruknął pierwszy prymus.

– No tak – westchnął Ridcully. – Więc może naprawdę nie ma żadnego Wiedźmikołaja, skoro siedzicie tu wszyscy z takimi smętnymi gębami. On nie z tych, którzy pozwalają ludziom na takie ponuractwo.

– Ridcully, to przecież tylko pradowe zimowe bóstwo – oświadczył ze znużeniem pierwszy prymus. – Żadna tam Wróżka Radości czy coś podobnego.

Wykładowca run współczesnych uniósł głowę, którą opierał na dłoni.

– Co za Wróżka Radości?

– Och, babcia opowiadała nam o niej, kiedy padał deszcz i zaczynaliśmy ją denerwować – odparł pierwszy prymus. – Mówiła wtedy: „Zawołam Wróżkę Radości, więc lepiej zachowujcie...”.

Urwał z zakłopotaną miną.

Nadrektor przyłożył dłoń do ucha teatralnym gestem, który oznaczał: „Cisza! Słyszę coś dziwnego”.

– Ktoś zadzwonił – rzekł. – To ty, pierwszy prymusie?

– No nie... – jęknął pierwszy prymus. – Nie, nie, nie!

Nasłuchiwali przez chwilę.

– Może nam się uda – odezwał się Myślak. – Nic nie słyszałem.

– Tak. Ale jakoś potrafisz ją sobie wyobrazić, co? – zapytał dziekan. – W chwili, kiedy to powiedzieliście, w głowie pojawił mi się obraz. Przede wszystkim będzie miała cały wór zabaw słownych. Albo proponuje, żebyśmy dla zdrowia wyszli na świeże powietrze.

Magowie zadrżeli. Nie mieli nic przeciwko świeżemu powietrzu, kłopoty sprawiało im jedynie ich w nim miejsce.

– Radość zawsze mnie wprawia w zły nastrój – oświadczył dziekan.

– No więc jeśli zjawi się tu jakiś nędzny kłębek radości, to na mnie nie liczcie – stwierdził pierwszy prymus, zakładając ręce na piersi. – Znosiłem monstra i trolle, i wielkie zielone stwory z zębami, więc nie będę siedział spokojnie, kiedy jakaś...

– Witam!! Witam!!

Był to taki rodzaj głosu, który nadaje się do czytania historii odpowiednich dla dzieci. Każda samogłoska rozbrzmiewała pięknie zaokrąglona. Słyszeli, jak wskakują na miejsca dodatkowe wykrzykniki, zrodzone z desperackiej, rozpaczliwej radości.

Odwrócili się.

Wróżka Radości była niska i dość pulchna, miała na sobie tweedową spódnicę i buty tak praktyczne i rozsądne, że mogłyby same wypełniać swoje zeznania podatkowe. Przypominała pierwszą nauczycielkę w szkole – taką, która odbyła specjalne przeszkolenie, jak sobie radzić z nerwową niewydolnością pęcherza i z małymi chłopcami, których udział w cudownym świecie wspólnych zabaw ogranicza się głównie do wielokrotnego uderzania

drewnianym koniem w głowy małych dziewczynek. Podobieństwo potęgował jeszcze gwizdek wiszący jej na szyi oraz ogólne wrażenie, że lada moment zaklaszcze w ręce.

Nieduże, przejrzyste skrzydełka na plecach były prawdopodobnie tylko elementem dekoracyjnym, ale magowie i tak wciąż spoglądali jej na ramię.

– Witam... – powtórzyła bardziej niepewnie. Przyjrzała się im podejrzliwie. – Jesteście już dużymi chłopcami – stwierdziła, jak gdyby urosła jej na złość. Zamrugła. – Moim zadaniem jest przegnać stąd wszelkie smuteczki – oznajmiła, najwyraźniej realizując znany na pamięć scenariusz. Potem zmobilizowała się. – Więc wszyscy uszy do góry. Chcę tu zobaczyć dużo uśmiechniętych, rozpromienionych buziaczków.

Spojrzała na pierwszego prymusa, który chyba nigdy w życiu nie miał uśmiechniętego, rozpromienionego buziaczka. Specjalizował się raczej w ponurych i mrocznych. Ten, który demonstrował w tej chwili, mógłby zdobywać nagrody.

– Bardzo przepraszam, madame – odezwał się Ridcully. – Czy to na pani ramieniu to kura?

– To jest, eee... no... to... To Błękitny Ptak Szczęścia – odparła Wróżka Radości.

Jej głos drżał lekko jak u kogoś, kto nie do końca wierzy w to, co właśnie powiedział, ale zamierza powtarzać to konsekwentnie na wypadek, gdyby dzięki temu słowa stały się prawdą.

– Proszę o wybaczenie, ale to jednak kura. Żywa kura – upierał się Ridcully. – Właśnie zagdakała.

– Jest niebieski – powiedziała załamana Wróżka.

– No, to przynajmniej się zgadza – ustąpił Ridcully, tak łagodnie, jak tylko potrafił. – Sam z siebie pewnie wyobrażałbym sobie Błękitnego Ptaka Szczęścia nieco bardziej opływowego, ale trudno mieć o to pretensje akurat do pani.

Wróżka Radości chrząknęła zakłopotana i zaczęła się bawić guzikami swojego praktycznego wełnianego swetra.

– Może jakaś wesoła gra, żeby poprawić nam nastrój? – zaproponowała. – Zgadywanki? Albo konkurs rysunkowy? Może znajdzie się jakaś nagroda dla zwycięzcy.

– Madame, jesteśmy magami – rzekł pierwszy prymus. – Nie zajmujemy się radością.

– Przebieranki? – próbowała Wróżka. – A może już w to graliście? No to coś zaśpiewamy. Kto zna „Płonie ognisko w lesie”?

Jej wymuszony uśmiech trafił na grupowo zmarszczone czoła zebranych magów.

– Nie chcemy chyba zostać Panem Marudą, prawda? – dodała z nadzieją.

– Chcemy – odparł pierwszy prymus.

Wróżka Radości zgarbiła się. Poklepała się nerwowo po bezkształtnych rękawach, po czym z jednego wyjęła zwiniętą chusteczkę. Otarła oczy.

– Znowu wszystko idzie nie tak, jak powinno, prawda? – Broda jej drżała.
– Nikt już dzisiaj nie chce być radosny, a ja naprawdę się staram. Przygotowałam Księgę Żartów, mam trzy pudła kostiumów na przebieranki i... i... i kiedy tylko staram się poprawić ludziom nastrój, patrzą z takim... zakłopotaniem... A przecież naprawdę próbuję...

Głośno wytarła nos.

Nawet pierwszy prymus okazał na tyle uprzejmości, że wyglądał na zakłopotanego.

– Ehem... – zaczął.

– Czy komuś by zaszkodziło, gdyby od czasu do czasu spróbował być choć troszeczkę radosny?

– E... w jaki sposób? – spytał pierwszy prymus, czując się obrzydliwie.

– Przecież tak wiele jest miłych rzeczy, które mogą sprawiać radość. – Wróżka Radości znowu wytarła nos.

– No... deszcz i zachody słońca? – Pierwszy prymus zmusił się do sarkazmu, ale wszyscy widzieli, że serca w to nie wkłada. – E... może weźmie pani moją chusteczkę? Jest prawie czysta.

– A może ktoś poda pani kieliszek sherry? – zaproponował Ridcully. – I jakieś ziarno dla jej kury...

– Nigdy nie piję alkoholu – oświadczyła z oburzeniem Wróżka Radości.

– Doprawdy? Naszym zdaniem to coś, co naprawdę sprawia radość. Panie Stibbons, pozwoli pan tutaj na momencik...

Skinął na Myślaka.

– Bardzo dużo wiary musi chlupać dookoła, żeby pozwolić na stworzenie tej pani – szepnął. – Dobrze sto dziesięć funtów żywej wagi, jeśli mogę to ocenić. Gdybyśmy chcieli skontaktować się z Wiedźmikołajem, jak można się do tego zabrać? Wysłać list przez komin?

– Owszem, ale nie dziś wieczorem, panie nadrektorze. Dzisiaj rozwozi prezenty.

– Czyli nie wiadomo, gdzie jest w tej chwili. Niech to licha...

– Oczywiście, mógł jeszcze tutaj nie zajrzeć – zauważył Myślak.

– A po co miałyby do nas zaglądać? – zdziwił się nadrektor.

Bibliotekarz naciągnął na siebie koce i zwinął się w kłębek. Jako orangutan tęsknił za żarem lasów tropikalnych. Kłopot polegał na tym, że nigdy nawet lasu tropikalnego nie widział – zmienił się w orangutana już jako całkiem dojrzały osobnik ludzki. Wiedza o tropikach tkwiła jednak

gdzieś kościach; nie lubił zimowych chłodów. Jednak był też bibliotekarzem aż do – tych samych – kości i twardo odmawiał zgody na palenie ognia w bibliotece. W rezultacie z całego Niewidocznego Uniwersytetu znikwały poduszki i koce; trafiały do czegoś w rodzaju kokonu w dziale katalogów, gdzie małpolud ukrywał się w mroźne zimowe dni.

Przewrócił się na bok i owinał w zasłony kvestora.

Coś zatrzeszczało za jego gniazdem. Rozległ się szept.

– Nie, proszę nie zapalać lampy.

– Zastanawiałem się, gdzie się podziewa przez cały wieczór.

– W wigilię Strzeżenia Wiedźm kładzie się wcześniej, panie nadrektorze. No, jesteśmy.

Coś zaszeleściło.

– Mamy szczęście. Nie jest napełniona – stwierdził Myślak. – Wygląda na to, że wykorzystał skarpetę kvestora.

– Wiesza jakąś co roku?

– Najwyraźniej.

– Ale przecież nie jest dzieckiem. Owszem, przejawia pewną dziecięcą prostotę...

– U orangutanów może być inaczej, nadrektorze.

– Myśli pan, że w dżungli też to robią?

– Nie sądzę. Przede wszystkim nie znajdziesz tam komina.

– I mają krótkie nogi na dodatek. W zakresie skarpet takie orangutany są wyjątkowo słabo wyposażone. Dużo by zyskały, naturalnie, gdyby mogły wieszać rękawiczki. Wiedźmikołaj musiałyby pracować w nadgodzinach, gdyby wieszały rękawiczki, a to dlatego, że mają takie długie ręce.

– Dobrze, nadrektorze.

– Zaraz, a co to jest... Coś takiego, kieliszek sherry! Cóż, nie wolno marnować takich dóbr. – W ciemności rozległ się wilgotny bulgot.

– Myślę, że była przeznaczona dla Wiedźmikołaja, nadrektorze.

– I banan?

– Przypuszczam, że banana zostawił dla świń.

– Świń?

– No, wie pan... Kiel, Ryj, Dłubacz i Grzebacz. To znaczy... – Myślak urwał, zdając sobie nagle sprawę, że nie powinien pamiętać takich rzeczy. – Znaczy, dzieci w to wierzą.

– Banany dla świń? To chyba nie całkiem zgodne z tradycją. Ja bym przyniósł żółędzie. Albo jabłka. Albo brukiew.

– Tak, nadrektorze, ale bibliotekarz lubi banany.

– Bardzo pożywny owoc, panie Stibbons.

– Istotnie, nadrektorze. Chociaż, co zabawne, w rzeczywistości to nie jest owoc.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Botanicznie jest to odmiana ryby. Według mojej teorii, banany są kladystycznie spokrewnione z krulliańską iglicznią, która także jest żółta i pływa w pękach, czyli ławicach.

– I żyje na drzewach?

– Na ogół nie, nadrektorze. Banany najwyraźniej próbują zająć nową niszę.

– Wielkie nieba, naprawdę? To zabawne, ale nigdy specjalnie bananów

nie lubiłem i zawsze byłem podejrzliwy co do ryb. Teraz to by się wyjaśniło.

– Tak, nadrektorze.

– Czy atakują kąpiących się?

– Nic o tym nie słyszałem. Oczywiście mogą być chytre i atakować kąpiących się tylko wtedy, kiedy są daleko od ziemi.

– Jak to? Chodzi panu o... wysoko? Na drzewach, na przykład?

– To możliwe.

– Spryciarze, co?

– Tak, nadrektorze.

– Możemy się tu rozgościć, panie Stibbons.

– Oczywiście.

W ciemności zapłonęła zapalka. To Ridcully zapalił fajkę.

W Ankh-Morpork kolędnicy ćwiczyli całymi tygodniami.

Do zwyczaju tego sięgnęła Anaglypta Huggs, organizatorka najlepszej, doborowej grupy miejskich śpiewaków. Uznała, że to okazja do rozbudzenia poczucia wspólnoty i ogólnej radości.

Zawsze należy uważać na ludzi, którzy uparcie opowiadają o „poczuciu wspólnoty i ogólnej radości”, jakby było to coś, co można zaaplikować życiu niczym gorący kompres. Wystarczy się na chwilę odwrócić, a mogą zorganizować na przykład tańce wokół gaika – a wtedy, szczerze mówiąc, nie ma już innego wyjścia i trzeba jak najszybciej uciekać do lasu.

Śpiewacy byli już w połowie ulicy Parkowej i w połowie „Różanopiórej kwoki”*, śpiewanej w cudownej harmonii. Puszki na pieniądze pęczniały od

datków dla ubogich tego miasta – a przynajmniej tych spośród ubogich, którzy w opinii pani Huggs wyglądali dostatecznie malowniczo, nie cuchnęli za bardzo i można było liczyć, że powiedzą „dziękuję”. Ludzie podsłuchiwali czasem pod drzwiami... Żółty blask rozlewał się po śniegu. Świece w latarniach płonęły między padającymi płatkami. Gdyby dało się zdjąć z tej sceny przykrywkę, w środku byłyby czekoladki. A przynajmniej interesujący zestaw ciasteczek.

Pani Huggs słyszała kiedyś, że kolędowanie jest starym rytuałem, a nikomu chyba nie trzeba tłumaczyć, co to oznacza. Miała jednak wrażenie, że starannie usunęła wszystkie elementy grubiańskie, które czyniłyby afront wyrafinowanym uszom.

Stopniowo jednak śpiewacy zdawali sobie sprawę z pewnego dysonansu. Zza rogu, ślizgając się i brnąc w śniegu, wynurzyła się inna grupa kolędników.

Niektórzy ludzie maszerują w rytm wybijany przez inny werbel. Dobosz działający w tym przypadku musiał się szkolić daleko stąd, być może u istot innego gatunku, żyjących na innej planecie.

Na czele grupy poruszał się beznogi osobnik na małym wózku; śpiewał ile sił w płucach i bębnił dwoma rondlami. Nazywał się Arnold Boczny. Popychał go Kaszlak Henry, którego chrypliwe wykonanie całkiem innej pieśni przerywały ataki zupełnie nierytmicznego kaszlu. Towarzyszył mu człowiek z wyglądu całkiem normalny, w podartym, brudnym, ale niegdyś eleganckim ubraniu. Jego przyjemny tenor zagłuszało kwakanie kaczkę, którą nosił na głowie. Reagował na przezwisko „Kaczkoman”, choć zdawało się, że nie rozumie, dlaczego tak go wołają i dlaczego jest otoczony przez ludzi, którzy widzą kaczkę tam, gdzie żadnych kaczek być nie może. I wreszcie, holowany na sznurku przez małego szarego psa, szedł Paskudny Stary Ron, powszechnie uznawany w Ankh-Morpork za najbardziej obłąkanego żebraka ze wszystkich obłąkanych żebraków. Prawdopodobnie nie był zdolny do śpiewu, ale przynajmniej starał się kłąć w rytmie – czy raczej w rytmach.

Kolędnicy stanęli jak wryci i patrzyli ze zgrozą.

Żadna z grup nie zauważyła, że kiedy żebracy kuśtykają i suną po ulicy,

niewielkie smużki czerni i szarości unoszą się spiralami z rynsztoków i wypływają spod płytek bruku, by odfrunąć w noc. Od niepamiętnych czasów ludzi oganiała chęć, by śpiewać i hałasować w tym mrocznym końcu roku, kiedy wszelkie psychiczne paskudztwa wykorzystują szare dni i głębokie cienie, by mnożyć się i szukać ofiar. Ostatnio ludzie zaczęli śpiewać melodyjnie, co raczej nie wywiera odpowiednich efektów. Ci, którzy naprawdę to rozumieją, po prostu bębnią czymś i wrzeszczą.

Żebracy, prawdę rzekłszy, nie byli aż tak zaawansowani w praktykach folkloru. Po prostu hałasowali z dobrze umotywowaną nadzieją, że ludzie dadzą im pieniądze, byle tylko przestali.

Z pewnym wysiłkiem dało się w tym zgiełku usłyszeć consensus piosenki.

Już Strzeżenie Wiedźm się zbliża

I już rośnie świńska tusza.

Wrzuć dolara dobry człeku

Do starego kapelusza.

Jeśli dolara nie masz,

I pens na nogi postawi...

– A jeśli nie masz pensa... – zajadłował solo Paskudny Stary Ron – ...niech... fghfgh yffg mftnfmf...

Kaczroman wykazał się dużą przytomnością umysłu i zatkał mu dłonią usta.

– Przepraszam – powiedział – ale tym razem nie chciałbym, żeby ludzie zatrząskiwali przed nami drzwiami. Zresztą to i tak nie pasuje do melodii.

Pobliskie drzwi trzasnęły mimo wszystko. Druga grupa kołędników umknęła pospiesznie w przyjemniejsze otoczenie. „Dobra wola dla wszystkich ludzi” to hasło wymyślone przez kogoś, kto nigdy nie spotkał Paskudnego Starego Rona.

Żebracy przestali śpiewać – wszyscy prócz Arnolda Bocznego, który zwykle przebywał w swoim własnym małym świecie.

– ...Nikt nawet nie wie, jak dobrze się żyje, jedząc buty trzy razy na dzień...

I wtedy jakaś zmiana w powietrzu utorowała sobie drogę do ich świadomości.

Śnieg zsuwał się z gałęzi szarpniętych przeciwnym wiatrem. Zawirowały płatki i – ponieważ psychiczne kompasy żebraków nie zawsze wskazują Rzeczywistość – dał się słyszeć urywek rozmowy...

– To nie takie proste, panie. Tyle tylko chciałem powiedzieć.

LEPIEJ JEST DAWAĆ, NIŻ BRAĆ, ALBERCIE.

– Nie, panie. To tylko o wiele bardziej kosztowne. Nie możesz tak jeździć i...

Jakieś przedmioty posypały się z góry na śnieg.

Arnold Boczny ostrożnie podniósł cukrową świnkę i odgryzł jej ryjek. Paskudny Stary Ron podejrzliwie patrzył na paczuszkę z niespodzianką, która odbiła mu się od kapelusza. Potrząsnął nią przy uchu.

Kaczkoman otworzył torbę cukierków.

– Ach! Kukuły!

Kaszlak Henry odwinął z szyi sznur kielbas.

– Demoniszczesz? – rzucił Paskudny Stary Ron.

– To paczka – wyjaśnił pies, drapiąc się za uchem. – Trzefa ją otworzyć.

Ron pomachał nią gwałtownie.

– Dofra, daj tutaj. – Pies chwycił zębami za kokardkę.

– Coś podobnego – mówił Kaczkoman, grzebiąc oburącz w zaspie. – Tu jest cała pieczona świnia! I półmisek pieczonych ziemniaków, cudownie niepopękanych! I... patrzcie, czy to nie słoik kawioru? Szparagi! Krewetki! Na bogów! Co planowaliśmy na strzeżeniowiedźmową wieczerzę, Arnoldzie?

– Stare buty. – Arnold Boczny otworzył znalezione pudełko cygar i polizał jedno.

– Tylko stare buty?

– Nie, skąd. Faszzerowane błotem, i do tego pieczone błoto. Dobre błoto, naprawdę. Oszczędzałem je na święta.

– Teraz możemy mieć całą ucztę z pieczoną gęsią!

– Dobra. Można ją nadziać starymi butami?

Coś zatrzeszczało od strony paczki-niespodzianki. Usłyszeli warczenie psa – myślącego mózgu Paskudnego Starego Rona.

– Nie, nie, nie! Kapelusik zakładasz na głowę, a potem czytasz zafawne motto.

– Tysiącletnia wskazówka i krewetki? – rzekł Ron, przekazując karteczkę Kaczkomanowi. Kaczkoman był uznawany za grupowego intelektualistę.

Przyjrzał się napisowi.

– Tak, cóż tu mamy... Jest napisane „Ratunku ratunku wpadłem do maszyny niespodziankowej nie mogę tak biec po taśmie błagam wyciągni...”.
– Przez chwilę obracał karteczkę na wszystkie strony. – Wydaje się, że to już wszystko, jeśli nie liczyć plam.

– Zawsze te same stare motta – stwierdził pies. – Niech ktoś klepnie Rona w plecy, co? Jeśli fędzie się tak śmiał, to... A nie mówiłem? Co tam, nie ma o czym gadać.

Żebracy jeszcze przez kilka minut zbierali szynki, słoje i flaszki, które spadły na śnieg. Ułożyli je na wózku dookoła Arnolda, po czym ruszyli dalej.

- Skąd się to wszystko wzięło?
- Strzeżenie Wiedźm jest, nie?
- Tak, ale kto zawiesił skarpety?
- Chyba nie mamy skarpet...
- Ja powiesiłem stary but.
- To się liczy?
- Nie wiem. Ron go zjadł.

Czekam na Wiedźmikołaja, myślał Myślak Stibbons. Siedzę w ciemności i czekam na Wiedźmikołaja. Ja. Wyznawca Filozofii Naturalnej. Potrafię obliczyć w pamięci pierwiastek kwadratowy z dwudziestu siedem koma cztery*. Nie powinienem.

I przecież nie zawiesiłem skarpety. Byłby w tym jakiś sens, gdybym...

Przez chwilę siedział nieruchomo, po czym zdjął spiczasty sandał i zaczął zwijać skarpetę. Pomagało, kiedy myślał o tym jak o naukowym eksperymencie sprawdzającym interesującą hipotezę.

- Długo jeszcze? – zapytał w ciemności Ridcully. – Jak pan sądzi?
- Powszechnie uznaje się, że dostawy są zakończone dobrze przed północą – odparł Myślak i szarpnął mocno.

– Dobrze się pan czuje, panie Stibbons?

– Świetnie, nadrektorze. Naprawdę świetnie. Eee... Ma pan może przy sobie pinezkę? Albo jakiś mały gwoździak?

– Nie wydaje mi się.

– Zresztą nieważne. Znalazłem scyzoryk.

Po chwili Ridcully usłyszał w ciemności ciche skrzypienie.

– Jak się pisze „elektryczność”, nadrektorze? – zapytał Myślak.

Ridcully zastanowił się.

– A wie pan, chyba nigdy nie próbowałem.

Znowu zapadła cisza. Po chwili przerwał ją brzęk. Bibliotekarz stęknął przez sen.

– Co pan robi?

– Nic, przewróciłem łopatkę do węgla.

– Ale czego pan tam szuka przy kominku?

– Ja tylko... no wie pan... rozglądam się. Drobny... eksperyment. W końcu nigdy nie wiadomo...

– Czego nigdy nie wiadomo?

– No... nic. Nigdy nic nie wiadomo, wie pan.

– Niekiedy wiadomo – odpowiedział Ridcully. – Ja na przykład. Wydaje mi się, że wiem całkiem sporo, czego kiedyś nie wiedziałem. Tak sobie myślę, że to zadziwiające, czego człowiek się czasem dowiaduje. I często się zastanawiam, czego nowego się jeszcze dowiem.

– Nigdy nie wiadomo, nadrektorze.

– To fakt.

Wysoko nad miastem Śmierć starał się unikać wzroku Alberta.

– Nie wyjąłeś tego wszystkiego z worka, panie! Nie te cygara, brzoskwinie w brandy i jedzenie z takimi dziwacznymi zagranicznymi nazwami!

OWSZEM, POCHODZĄ Z WORKA.

Albert przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Ale najpierw sam je do worka włożyłeś, prawda?

NIE.

– Włożyłeś, panie – upierał się Albert.

NIE.

– Włożyłeś to wszystko do worka.

NIE.

– Zabrałeś skądś i włożyłeś do worka.

NIE.

– Sam włożyłeś te rzeczy do worka.

NIE.

– Włożyłeś.

TAK

– Wiedziałem, że to ty, panie. Skąd je wziąłeś?

LEŻAŁY SOBIE.

– Cała pieczona świnia, o ile mi wiadomo, na ogół tak sobie nie leży.

NIKT Z NICH NIE KORZYSTAŁ, ALBERCIE.

– Parę kominów temu odwiedziliśmy modną restaurację...

DOPRAWDY? NIE PRZYPOMINAM SOBIE.

– I miałem wrażenie, że przebywałeś tam nieco dłużej niż zazwyczaj, jeśli wolno mi zauważyć.

NAPRAWDĘ?

– A jak właściwie to wszystko otworzyć cudzysłów leżało sobie zamknąć cudzysłów?

NO... PO PROSTU SOBIE LEŻAŁO. WIESZ, W STANIE SPOCZYNKU.

– W kuchni?

ISTOTNIE, MIEJSCE TO ZDRADZAŁO NIEJAKĄ KULINARNOŚĆ, O ILE PAMIĘTAM.

Albert oskarżycielsko wskazał Śmierć drżącym palcem.

– Ukradłeś czyjaś strzeżeniowiedźmową wieczerzę, panie!

BĘDZIE ZJEDZONA, tłumaczył się Śmierć. ZRESZTĄ TOBIE TEŻ SIĘ SPODOBAŁO, JAK POKAZAŁEM DRZWI TEMU KRÓLOWI.

– Niby tak, ale to była trochę inna sytuacja – odparł Albert, zniżając głos.
– Znaczy, przecież Wiedźmikołaj nie powinien wpadać przez komin, żeby wynosić cudze jedzenie!

ŻEBRACY UCIESZĄ SIĘ Z NIEGO, ALBERCIE.

– No tak, ale...

TO NIE BYŁA KRADZIEŻ, TYLKO... REDYSTRYBUCJA. DOBRY UCZYNEK W TYM NIEDOBRYM ŚWIECIE.

– Nie, wcale nie.

A ZATEM TO NIEDOBRY UCZYNEK W NIEDOBRYM ŚWIECIE I JAKO TAKI POZOSTANIE CAŁKOWICIE NIEZAUWAŻALNY.

– Tak, panie, ale mogłeś przynajmniej pomyśleć o tych ludziach, którym zwinąłeś jedzenie.

ZOSTALI ZAOPATRZENI, ALBERCIE. NIE JESTEM CAŁKIEM POZBAWIONY SERCA. W METAFORYCZNYM SENSIE, OCZYWIŚCIE. A TERAZ... DALEJ I WYŻEJ!

– Kierujemy się w dół, panie.

DALEJ I NIŻEJ, W TAKIM RAZIE.

Były... wiry. Pimpuś galopował wśród nich swobodnie, tyle że zdawał się nie poruszać. Równie dobrze mógł wisieć w powietrzu.

– O, ja... – odezwał się słabo o, bóg.

– Co? – zdziwiła się Susan.

– Spróbuj zamknąć oczy.

Susan zamknęła. Po chwili uniosła dłoń i dotknęła swojej twarzy.

– Nadal widzę...

– Myślałem, że to tylko ja. Zwykle to tylko ja.

Wiry zniknęły. W dole zobaczyli zieleni.

I to było dziwne – ta roślinność pod nimi. Susan leciała już kilka razy nad polami, a nawet bagnami i dżunglą, ale nigdy jeszcze nie widziała zieleni tak zielonej jak tutaj. Gdyby zieleń mogła być kolorem podstawowym, tak właśnie by wyglądała.

I jeszcze wąski zygzak.

– To nie rzeka! – oświadczyła.

– Dlaczego?

– Jest niebieska!

O, bóg zaryzykował spojrzenie w dół.

– Woda jest niebieska – zauważył.

– Oczywiście, że nie!

– Trawa jest zielona, a woda niebieska... Pamiętam. To jedna z tych rzeczy, które po prostu wiem.

– No, w pewnym sensie...

Susan zawahała się. Każdy wie, że trawa jest zielona, a woda niebieska. Często nie jest to prawda, ale wszyscy o tym wiedzą – tak jak wiedzą, że niebo jest niebieskie.

Popełniła błąd i spojrzała w górę.

Było tam niebo. Rzeczywiście, miało niebieski kolor. W dole leżała ziemia. Była zielona.

A pomiędzy nimi – nic. Nie biała przestrzeń. Nie czerń nocy. Po prostu... nic wokół krawędzi świata. Tam, gdzie mózg podpowiadał, że powinny się znaleźć, no... ziemia i niebo, stykające się gładko na horyzoncie, tutaj widziała pustkę zasysającą wzrok niczym dziurawy ząb.

Było też słońce. Sunęło pod niebem i ponad ziemią.

Było żółte.

Żółte jak kaczeńce.

Pimpuś wylądował na trawie nad rzeką. A w każdym razie na tym zielonym czymś, co w dotyku przypominało raczej gąbkę albo mech. Trącił to pyskiem.

Susan zsunęła się z siodła. Starła się nie podnosić wzroku. A to oznaczało, że patrzyła na jaskrawy błękit wody.

Były w niej pomarańczowe ryby. Wyglądały niezwykle – jakby zostały stworzone przez kogoś, kto naprawdę wierzy, że ryba to dwie łukowate linie, kropka i trójkątny ogon. Przypominały jej szkieletowe ryby w nieruchomej sadzawce Śmierci. Ryby, które... pasują do otoczenia. Widziała je, chociaż woda była blokiem koloru, a część jej umysłu upierała się, że powinien być nieprzezroczysty.

Przyklęknęła i zanurzyła dłoń. W dotyku przypominało to wodę, choć między palcami przelewał się tylko płynny błękit.

Nareszcie zrozumiała, gdzie się znalazła. Ostatni fragment łamigłówki wskoczył na miejsce i wewnątrz umysłu rozkwitła wiedza. Gdyby zobaczyła dom, wiedziała, jak będą umieszczone okna i jak będzie się unosił dym z komina.

Na drzewach prawie na pewno rosną tu jabłka. Będą czerwone, bo przecież wszyscy wiedzą, że jabłka są czerwone. A słońce żółte. Niebo niebieskie. A trawa zielona.

Istniał jednak inny świat, nazywany rzeczywistym przez ludzi, którzy w niego wierzyli. W tym świecie niebo mogło mieć dowolną barwę, od niemal bieli przez czerwień zachodu słońca po żółć w czasie burzy. Drzewa mogły być całkiem nagie, jak czarne zygzaki na tle nieba, albo – przed zimą – czerwone jak płomień. A słońce bywało białe, żółte albo pomarańczowe, woda – brązowa, szara, zielona...

Kolory tutaj były barwami wiosny, ale nie wiosny z rzeczywistego świata.

To były barwy wiosny oka.

– To dziecięcy obrazek – oznajmiła.

O, bóg osunął się na zieleni.

– Za każdym razem, kiedy patrzę na tę przerwę, oczy mi łzawią – poskarżył się. – Okropnie się czuję.

– Powiedziałaś, że to obrazek dziecka – powtórzyła Susan.

– O, ja... Chyba ten wywar magów przestaje działać.

– Widziałam dziesiątki takich obrazków – ciągnęła Susan, nie zwracając na niego uwagi. – Rysujesz niebo u góry, bo przecież zawsze jest nad tobą, a kiedy masz parę stóp wzrostu, i tak po bokach za dużo nieba nie zobaczysz. Wszyscy ci mówią, że trawa jest zielona, a woda niebieska. Taki pejzaż malujesz. Twyla tak maluje. Ja tak malowałam. Dziadek zachował niektóre moje...

Urwała.

– Zresztą wszystkie dzieci tak malują – dokończyła. – Chodź, poszukamy domu.

– Jakiego domu? – jęknął o, bóg. – Czy mogłabyś mówić trochę ciszej?

– Będzie tu dom. Zawsze jest. Z czterema oknami. A dym unosi się z komina skrzyżny w sprężynę. Widzisz, to miejsce przypomina krainę dzia... Śmierci. To nie jest rzeczywista geografia.

O, bóg podszedł do najbliższego drzewa i kilka razy uderzył głową o pień, jakby miał nadzieję, że go to zaboli.

– Na dotyk całkiem jak geografia – mruknął.

– A widziałeś kiedyś takie drzewa? Wielki zielony kleks na brązowym patyku? Przypomina lizaka. – Susan pociągnęła o, boga za sobą.

– Nie wiem. Pierwszy raz widzę drzewo. Auć! Coś mi spadło na głowę. – Zamrugał, wytrzeszczając oczy jak sowa. – Jest czerwone.

– To jabłko – wyjaśniła. – Wszyscy wiedzą, że jabłka są czerwone.

Nie było żadnych krzaków – za to były kwiaty, każdy z parą zielonych liści. Rosły pojedynczo, rozrzucone wśród zieleni.

Aż nagle drzewa się skończyły i w zakolu rzeki zobaczyli dom.

Nie wydawał się duży. Miał cztery okna i drzwi. Nad kominem wiała się smużka dymu w kształcie korkociągu.

– Wiesz, to zabawne – stwierdziła Susan. – Twyla rysuje takie domy, a przecież mieszka w rezydencji. Ja rysowałam takie domy, a urodziłam się w pałacu. Dlaczego?

– Może u wszystkich to ten sam dom... – wymamrotał żałośnie o, bóg.

– Co? Tak sądzisz? Wszystkie dziecięce obrazki przedstawiają to miejsce? Tkwi w naszych głowach?

– Nie pytaj, ja tylko podtrzymuję rozmowę.

Susan zawahała się. Słowa „co teraz?” uniosły się ponad umysłem. Czy powinna podejść i zapukać?

Uświadomiła sobie, że to normalne myślenie...

W migotliwej, gwarnej, rozgadanej atmosferze kierownik sali przeżywał ciężkie chwile. Mieli wielu klientów, więc personel powinien zwijać się jak w ukropie, dosypując sody oczyszczanej do białego wina, by powstały bardzo drogie bąbelki, i siekając warzywa na bardzo małe kawałeczki, żeby więcej kosztowały.

Zamiast tego stali przygnębieni w kuchni.

– Gdzie się wszystko podziało?! – krzyczał właściciel. – Ktoś opróżnił też piwnicę!

– William mówi, że poczuł zimny wicher – odparł kierownik sali.

Cofając się, oparł się o płytę podgrzewacza – i teraz zrozumiał, czemu nazywa się to podgrzewaczem. Zrozumiał w sposób o wiele głębszy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ja mu dam lodowaty wicher! Czy w ogóle cokolwiek zostało?

– Różne końcówki i ścinki...

– Nie chodzi ci o końcówki i ścinki. Miałeś na myśli *des curieux et des bouts* – poprawił go właściciel.

– Tak, rzeczywiście, tak. I tego... no, te...

– Coś jeszcze?

– No... Stare buty. Ubłocone stare buty.

– Stare...?

– Buty. Bardzo dużo – tłumaczył kierownik sali. Czuł, że zaczyna się przypalać.

– Jak weszliśmy w posiadanie tego... leżakowanego obuwia z niewątpliwie dobrych roczników?

– Nie wiem. Zwyczajnie się pojawiło, proszę pana. Piekarnik jest pełen starych butów. Spiżarnia tak samo.

– Przynajmniej setka ludzi zarezerwowała miejsca. Sklepy są już zamknięte. Gdzie jest szef kuchni?

– William usiłuje wyciągnąć go z wychodka, proszę pana. Zamknął się tam i ma jedną z tych swoich Chwil.

– Coś się przypieka. Czuję!

– To ja, proszę pana.

– Stare buty – mrucał właściciel. – Stare buty, stare buty... Ze skóry, prawda? Żadne drewno, guma czy coś takiego?

– Wyglądają jak...jak buty. I dużo błota.

Właściciel zdjął marynarkę.

– Dobra. Mamy chyba trochę śmietany? Cebulę? Czosnek? Masło? Jakies stare wołowe kości? Trochę ciasta?

– No... tak.

Właściciel zatarł ręce.

– W porządku – rzekł, zdejmując z gwoździa fartuch. – Ty tam, zagotuj wodę! Dużo wody! I znajdź mi jakiś solidny, duży młotek! A ty bierz się do siekania cebuli! Reszta niech zacznie sortować buty. Mają wycinać języki i odrywać podeszwy. Przygotujemy im... co by tu... *Mousse de la Boue dans une Panier de la Pâte de Chaussures...*

– A skąd to weźmiemy, proszę pana?

– Mus z błota i kosz butów w cieście. Łapiesz? To w końcu nie nasza wina, że nawet Quirmianie nie rozumieją restauracyjnego quirmiańskiego. Przecież ich nie okłamujemy.

– No, to trochę podobne... – zaczął kierownik sali. Od najmłodszych lat żył z klątwą uczciwości.

– Jest jeszcze *Brodequin rôti Façon Ombres...*

Właściciel westchnął tylko, widząc panikę kierownika sali.

– But żołnierski w stylu Mroków – przetłumaczył.

– E... w stylu Mroków?

– W błocie. Ale jeśli ugotujemy języki osobno, proponujemy też *Langquette braisée*.

– Są też damskie buty, proszę pana – poinformował kuchcik.

– Dobrze. Dopiszcie je do menu. Chwileczkę... *Sole d'une Bonne Femme...* i... tak... *Servis dans un Coulis de Terre en l'Eau*. To znaczy błoto.

– A co ze sznurówkami, proszę pana? – wtrącił inny kuchcik.

– Dobrze kombinujesz. Poszukaj tego przepisu na spaghetti carbonara.

– Proszę pana... – odezwał się kierownik sali.

– Zaczynałem jako kucharz – wyjaśnił właściciel, sięgając po nóż. – Myślisz, że z czego było mnie stać na ten lokal? Tak się to robi. Jeśli trafisz z wyglądem i sosem, jesteś już w trzech czwartych drogi do celu.

– Ale to wszystko będą tylko stare buty! – nie ustępował kelner.

– Pierwszorzędna leżakowana wołowina. Raz-dwa ją zmiękczyć.

– Poza tym... poza tym... Nie mamy żadnej zupy!

– Błoto. I dużo cebuli.

– Desery...

– Błoto. Sprawdźmy, czy można je skarmelizować. Nigdy nie wiadomo.

– Nie mogę nawet znaleźć kawy... Chociaż pewnie nie dotrwią aż do kawy.

– Błoto. *Café de Terre* – odparł stanowczo kierownik. – Prawdziwa drobno mielona.

– Zauważą to, proszę pana.

– Jak dotąd nie zauważyli – odparł ponuro właściciel.

– To się nam nigdy nie uda, proszę pana. Nigdy.

W krainie z niebem u góry Średni Dave Lilywhite zwałókl po schodach kolejny wór pieniędzy.

– Tu są chyba tysiące – stwierdził Siata.

– Setki tysięcy – poprawił go Średni Dave.

– A co jest tutaj? – spytał Kocie Oko, otwierając szkatułkę. – E, tylko papier.

Odrzucił ją.

Średni Dave westchnął. Całym sercem popierał ideę solidarności klasowej, ale czasami Kocie Oko działał mu na nerwy.

– To są tytuły własności – wyjaśnił. – Lepsze niż pieniądze.

– Papier jest lepszy od pieniędzy? – zdziwił się Kocie Oko. – Ha! Jak możesz coś spalić, to nie możesz wydać, zawsze to powtarzam.

– Czekaj no – wtrącił Siata. – Słyszałem o takich. Wróżka Zębuszka ma nieruchomości?

– Skądś musi brać pieniądze. Wszystkie te półdolarówki pod poduszkę.

– A jak je ukradniemy, czy będą nasze?

– To ma być podchwytliwe pytanie? – Kocie Oko uśmiechnął się pogardliwie.

– Niby... Ale wiecie, dziesięć tysięcy na głowę to niedużo, kiedy człowiek widzi to wszystko tutaj.

– On nawet nie zauważy...

– Panowie...

Obejrżeli się. Herbatka stał w drzwiach.

– My tu tylko... tylko sortowaliśmy towar – wyjaśnił pośpiesznie Siata.

– Tak. Wiem. Kazałem wam to robić.

– Właśnie. Zgadza się. Kazał pan – przyznał Siata z wyraźną ulgą.

– I tyle tego jest... – dodał Herbatka.

Uśmiechnął się. Kocie Oko zakaszało.

– Grube tysiące – stwierdził Średni Dave. – A co z tymi tytułami własności i resztą? Proszę, tutaj jest akt sklepu z fajkami z Miodowej Alei! W Ankh-Morpork! Sam kupuję tam tytoń! A stary Naparstek ciągle narzeka na czynsz!

– Aha. Czyli otworzyliście sejfy – stwierdził uprzejmie Herbatka.

– No... tak.

– Świetnie, świetnie. Nie prosiłem o to, ale doskonale. A myśleliście, że skąd Wróżka Zębuszka bierze pieniądze? Małe gnomy je gdzieś wydobywają? Czy raczej magiczne złoto? Ale takie o świcie zmienia się w śmieci.

Zaśmiał się. Siata też się zaśmiał. Nawet Średni Dave się zaśmiał. I nagle Herbatka znalazł się przy nim i pchnął, aż Średni Dave oparł się plecami o ścianę.

Coś zamigotało, a kiedy spróbował mrugnąć, lewa powieka zmieniła się w kwiat bólu.

Zdrowe oko Herbatki spoglądało na niego z bardzo bliska – jeśli można nazwać je zdrowym. Źrenica była czarną kropką. Średni Dave ledwie mógł

dostrzec jego dłoń, tuż przy własnej twarzy.

Ta dłoń trzymała nóż. Czubek ostrza znalazł się o ułamek cala od prawego oka Średniego Dave'a.

– Ludzie mówią, jak słyszałem, że mógłbym ich zabić, gdy tylko na nich spojrzę – szepnął Herbatka. – A tak naprawdę wolałbym raczej pana zabić, niż na pana patrzeć, panie Lilywhite. Stoi pan w zamku ze złota, a usiłuje ukraść jakieś miedziaki. Niewiarygodne. I co ja mam z panem zrobić?

Trochę rozluźnił ucisk, ale wciąż trzymał nóż przy niemrugającym oku Średniego Dave'a.

– Myśli pan pewnie, że Banjo panu pomoże – mówił Herbatka. – Tak przecież zawsze było, prawda? Ale Banjo mnie lubi. Naprawdę. Banjo jest teraz moim przyjacielem. Moim...

Średni Dave zdołał jakoś skupić wzrok poza uchem Herbatki. Jego brat stał nieruchomo z obojętną twarzą – taką zwykle miał, kiedy czekał na kolejne polecenie albo na pojawienie się kolejnej myśli.

– Gdybym uznał, że źle pan o mnie myśli, byłbym załamany – powiedział Herbatka. – Niewielu przyjaciół mi pozostało, panie Lilywhite.

Odstąpił i uśmiechnął się promiennie.

– Jesteśmy znów przyjaciółmi? – zapytał. Średni Dave osunął się na podłogę. – Pomóż mu, Banjo.

Na ten sygnał Banjo ruszył ciężko.

– Banjo ma serce małego dziecka – stwierdził Herbatka. Nóż zniknął gdzieś w fałdach jego ubrania. – Wydaje mi się, że ja także.

Inni stali jak skamieniali. Nawet nie drgnęli od chwili ataku. Średni Dave był mocno zbudowanym mężczyzną, a Herbatka przypominał ludzika z patyczków, jednak uniósł Dave'a niczym piórko.

– Jeżeli chodzi o pieniądze, nie są mi potrzebne – oświadczył Herbatka,

siadając na worku srebra. – To drobniaki. Możecie podzielić je między siebie, przy czym bez wątpienia zaczniecie się kłócić i oszukiwać w niezwykle nużącym stylu. Och, jakie to straszne, gdy pękają więzy przyjaźni.

Kopnął worek, który się rozpruł. Srebro i miedź popłynęły kosztowną strugą.

– Będziecie się tym przechwalać i przepuście wszystko na pijaństwo i kobiety – stwierdził, gdy oni patrzyli, jak monety toczą się we wszystkie strony. – Myśl o inwestycjach nawet nie przemknij przez te wasze skażone, małe umysły...

Od strony Banjo zahuczało. Nawet Herbatka czekał cierpliwie, aż wielkolud ułoży zdanie. Rezultat brzmiał:

– Ja mam świnkę. Skarbonkę.

– A co byś zrobił z milionem dolarów, Banjo?

Znowu grzmot. Banjo wykrzywił się z wysiłku.

– Bym... kupił... większą świnkę.

– Brawo. – Skrytobójca wstał. – Chodźmy sprawdzić, jak sobie radzi nasz mag.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Po krótkiej chwili ruszył za nim Banjo.

Pozostali usiłowali nie patrzeć na siebie nawzajem.

– Czy on powiedział, że możemy zabrać pieniądze i iść stąd? – upewnił się Siata.

– Nie bądź durniem, nie przejdziesz nawet pięciu sążni. – Średni Dave wciąż przyciskał dłoń do twarzy. – Rany, to boli! Chyba mi przeciął powiekę...

– No to zostawmy wszystko i znikajmy! Nie pisałem się do jazdy na

tygrysie.

– A co zrobisz, kiedy on pójdzie za tobą?

– Czemu miałby się przejmować kimś takim jak my?

– Zawsze ma czas dla swoich przyjaciół – odparł Średni Dave. – Na miłość bogów, ktoś ma jakąś czystą szmatę albo co?

– No dobra, ale przecież... przecież nie może patrzeć wszędzie!

Średni Dave potrząsnął głową. Uczęszczał na ankhmorporski uniwersytet uliczny i ukończył go, zachowując życie i inteligencję, wyostrzoną od ciągłej pracy. Wystarczyło choć raz spojrzeć w niedopasowane oczy Herbatki, by wiedzieć, że jeśli on zechce kogoś znaleźć, nie będzie patrzył wszędzie. Zajrzy tylko w jedno miejsce, właśnie to, gdzie człowiek się ukrył.

– A czemu twój brat tak go lubi?

Średni Dave skrzywił się. Banjo zawsze robił to, co się mu powiedziało, po prostu dlatego, że to Średni Dave mówił. Przynajmniej do niedawna.

To pewnie przez ten cios... Średni Dave nie lubił o tym myśleć. Obiecał mamie, że będzie się Banjo opiekował*, a Banjo w barze zwał się ze stolika jak podcięte drzewo. I kiedy Średni Dave poderwał się, żeby stłuc tego wariata Herbatkę, odkrył, że skrytobójca stoi za nim i trzyma nóż. Przy wszystkich... To było poniżające.

A potem Banjo usiadł ze zdziwioną miną i wypluł ząb.

– Gdyby nie to, że Banjo wszędzie z nim łązi, moglibyśmy się na niego rzucić – powiedział Kocie Oko.

Średni Dave uniósł głowę, przyciskając chusteczkę do oka.

– Rzucić się?

– Tak. To wszystko twoja wina – oświadczył Siata.

– Moja? Czyli to nie ty powiedziałaś: „Rany, dziesięć tysięcy dolców, możesz mnie wliczyć”?

Siata cofnął się.

– Nie wiedziałem, że tu będzie tak straszno! Chcę do domu!

Mimo bólu i wściekłości Średni Dave wahał się. Siata zwykle nie mówił w taki sposób, chociaż często marudził i narzekał. Znaleźli się w dziwnym miejscu, trudno zaprzeczyć, a cała ta sprawa z zębami była... no, dreszcz człowieka przechodził. Ale przecież wykonywali już z Siatą takie roboty, kiedy wszystko się sypało, kiedy goniła ich i straż, i Gildia Złodziei, a przecież nawet wtedy Siata zachowywał spokój. Gdyby Gildia Złodziei ich złapała, przybiliby im uszy do stóp i wrzucili do rzeki. W księdze życiowych mądrości Średniego Dave’a – która była prostą księgą, w większej części zapisaną myślowymi kredkami – sytuacja nie może już być straszniejsza.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Z wami wszystkimi? Zachowujecie się jak małe dzieci.

– Czy dostawa dla człekokształtnych następuje wcześniej niż dla ludzi?

– Interesujący problem, nadrektorze. Być może odwołuje się pan do mojej teorii, że ludzie mogą pochodzić od małych człekokształtnych – odparł Myślak.

– To śmiała hipoteza, która powinna zmieść ignorancję stuleci, jeśli tylko komitet grantów zrozumie potrzebę wynajęcia przeze mnie statku i pożeglowania na wyspy...

– Pomyślałem sobie, że może dostarczać prezenty alfabetycznie – wyjaśnił Ridcully.

Płatki sadzy plasnęły o zimne palenisko.

– To zapewne on, nie sądzi pan? – ciągnął Ridcully. – Warto sprawdzić...

Coś wylądowało ciężko. Obaj magowie stali nieruchomo w ciemności, czekając, aż przybysz się pozbiera. Zaszleścił papier.

CO MY TU MAMY...

Stuknęło głośno, gdy fajka wypadła nadrektorowi z ust.

– Kim ty jesteś, u demona? Panie Stibbons, proszę zapalić świecę!

Śmierć cofnął się.

JESTEM WIEDŹMIKOŁAJEM, OCZYWIŚCIE. EHM... HO. HO. HO. A SPODZIEWALIŚCIE SIĘ, ŻE KTO ZEJDZIE PRZEZ KOMIN W TAKĄ NOC JAK DZISIAJ, JEŚLI WOLNO SPYTAĆ?

– Nie, nie jesteś nim!

JESTEM. NIE WIDZICIE? MAM BRODĘ. I PODUSZKĘ, I WSZYSTKO.

– Wydaje się, że masz też niezwykle chudą twarz.

JA... NO... NIE CZUJĘ SIĘ NAJLEPIEJ. TO PRZEZ... ACH, TA SHERRY. I TEN POŚPIECH. JESTEM TROCHĘ CHORY.

– Śmiertelnie chory, powiedziałbym nawet. – Ridcully chwycił Śmierć za brodę. Brzęknęło, gdy pękł sznurek. – To sztuczna broda!

NIE, WCALE NIE, zaprzeczył zdesperowany Śmierć.

– Tu są haczyki na uszy, co musiało ci sprawić niejake kłopoty!

Ridcully machnął dowodem oskarżenia.

– Niby po co spadłeś tu przez komin? – zapytał. – Nie było to w dobrym tonie, muszę zaznaczyć.

Śmierć zasłonił się brudnym świstkiem papieru.

TO OFICJALNY LIST DO WIEDŹMIKOŁAJA. NADAWCA PISZE... – zaczął i raz jeszcze spojrzał na papier. NO, CAŁKIEM SPORO PISZE,

MUSZĘ ZAUWAŻYĆ. TO DŁUGA LISTA. STEMPLE BIBLIOTECZNE, KSIĘGI KATALOGOWE, OŁÓWKI, BANANY...

– Bibliotekarz prosił Wiedźmikołaja o to wszystko? – zdziwił się Ridcully. – Dlaczego?

NIE WIEM, odparł Śmierć. Była to dyplomatyczna odpowiedź. Zasłaniał palcem wzmiankę o nadrektorze. Nawiasem mówiąc, „kaczy kuper” po orangutańsku był całkiem interesującym zygzakiem.

– Mam u siebie w biurku pełno ołówków – zastanawiał się Ridcully. – I chętnie je wydaję, jakkolwiek trzeba najpierw wykazać, że zużyło się stary ołówek.

MUSZĄ UDOWODNIĆ NIEOBECNOŚĆ OŁÓWKA?

– Oczywiście. Jeśli tylko potrzebował materiałów biurowych, wystarczyło, żeby przyszedł z tym do mnie. Nikt nie może powiedzieć, że jestem człowiekiem nierozsądnym.

Śmierć uważnie sprawdził listę.

TO CAŁKOWICIE POPRAWNE STWIERDZENIE, oświadczył z antropologiczną precyzją.

– Oprócz bananów, naturalnie. Nie będę przecież trzymał w szufladzie ryb.

Śmierć spojrzał na listę, a potem znów na nadrektora.

TO DOBRZE? – odpowiedział w nadziei, że to właściwa reakcja.

Magowie wiedzą, kiedy mają umrzeć*. Ridcully nie miał takich przeczuć i ku przerażeniu Myślaka, dźgnął Śmierć palcem w poduszkę.

– Dlaczego ty? – zapytał. – Co się stało z tym drugim?

CHYBA MUSZĘ WAM TO POWIEDZIEĆ.

W domu Śmierci szeptał przesypującego się piasku i najdelikatniejszy brzęk pokruszonego szkła, gdzieś w mroku na podłodze...

A w martwych cieniach ostry zapach śniegu i stukot kopyt...

Sideney niemal połknął własny język, kiedy Herbatka stanął nagle obok.

– Robimy jakieś postępy? – zapytał.

– Gnk...

– Słucham? – spytał uprzejmie Herbatka.

Sideney opanował się.

– Eee... pewne – odparł. – Chyba rozpracowaliśmy, no... jeden zamek.

Światło błysnęło w oku Herbatki.

– O ile wiem, jest ich siedem...

– Tak, ale... są w połowie magiczne, w połowie rzeczywiste, a w połowie gdzie indziej... to znaczy... niektóre ich części nie istnieją przez cały czas.

Pan Brown, który pracował nad jednym z zamków, odłożył wytrych.

– To na nic, drogi panie – stwierdził. – Nawet łomem nie ma o co zahaczyć. Może gdybym wrócił do miasta i ściągnął tu ze dwa smoki, dałoby się coś zrobić. Ze smokami można przetopić i stal, jeśli dać im dużo węgla i odpowiednio wykręcić szyje.

– Mówiono mi, że jest pan najlepszym ślusarzem w mieście – przypomniał Herbatka.

Za jego plecami Banjo zmienił pozycję.

Pan Brown wyglądał na zirytowanego.

– No tak – zgodził się. – Ale zamki na ogół nie zmieniają się, kiedy nad nimi pracuję. To tylko chciałem powiedzieć.

– A ja myślałem, że potrafi pan otworzyć każdy zamek, niezależnie od tego, kto go zrobił.

– Wykonany przez ludzi. I większość krasnoludów. Nie wiem, co zrobiło te zamki. Nie wspominał pan nic o magii.

– To smutne. – Herbatka westchnął. – W tej sytuacji pańskie usługi nie są mi dłużej potrzebne. Może pan wracać do domu.

– Nie będzie mi przykro. – Pan Brown zaczął pakować do torby swoje narzędzia. – Co z pieniędzmi?

– Czy jestem panu coś dłużny?

– Przyjechałem tu z wami. To przecież nie moja wina, że chodziło o magiczny interes. Coś mi się chyba należy.

– Tak, rozumiem pański punkt widzenia – zgodził się skrytobójca. – Oczywiście, powinien pan dostać to, na co zasłużył. Banjo?

Banjo ruszył do przodu, ale się zatrzymał.

Pan Brown wysunął z torby rękę. Ścisnął w niej łom.

– Myślisz chyba, że się wczoraj urodziłem, ty oślizły dupku! Znam takich jak ty. Uważasz, że wszystko to jest grą. Robisz takie żarciki sam dla siebie i wydaje ci się, że jesteś taki sprytny i że nikt nie zauważa. No więc, panie Filiżanko, odchodzę teraz, jasne? Natychmiast. Z tym, co mi się należy. Ty mnie nie zatrzymasz. A już Banjo na pewno nie. Znałem starą mamę Lilywhite jeszcze za dobrych czasów. Myślisz, że jesteś groźny? Myślisz, że jesteś twardy? Mama Lilywhite odgryzłaby ci uszy i napluła nimi w oko, zarozumiałały głupku. A ja z nią pracowałem, więc mnie nie przestraszysz ani ty, ani mały Banjo, biedaczysko.

Pan Brown spoglądał na nich po kolei, kołysząc groźnie łomem. Sideney skulił się przed drzwiami.

Zauważył, że Herbatka uprzejmie kiwa głową, jak gdyby wysłuchał krótkiej mowy dziękczynnej.

– Rozumiem pańskie poglądy – zapewnił. – Ale muszę powtórzyć, moje nazwisko wymawia się Herr-bat-ká. Teraz proszę, Banjo.

Banjo pochylił się, wyciągnął rękę i podniósł pana Browna za łom tak gwałtownie, że wyrwał mu stopy z butów.

– Czekaj, Banjo, przecież mnie znasz – stęknął pan Brown, szarpiąc się w powietrzu. – Pamiętam cię, jak jeszcze byłeś malutki, siadałeś mi na kolanach, często pracowałem dla twojej ma...

– Lubi pan jabłka? – zahuczał Banjo.

Pan Brown starał się wywinąć.

– Musi pan powiedzieć, że tak – poinformował Banjo.

– Tak.

– A śliwki? Musi pan powiedzieć tak.

– No dobrze, tak!

– A lubi pan spadać ze schodów?

Średni Dave uniósł ręce, nakazując milczenie.

Przyjrzał się kolegom.

– To miejsce zaczyna na was działać, nie? Ale przecież bywaliśmy już w różnych paskudnych miejscach, nie?

– Nie aż tak – odparł Siata. – Nigdy jeszcze nie byłem tam, gdzie głowa boli od patrzenia na niebo. Ciarki od tego przechodzą.

– Siata to małe dzidzi, plum, plum, plum... – zaśpiewał Kocie Oko.

Spojrzeli na niego. Odchrząknął nerwowo.

– Przepraszam... Nie wiem, czemu to powiedziałem...

– Trzymajmy się razem, a wszystko będzie...

– Ene due rike fa... – wymamrotał Kocie Oko.

– Co? O czym ty gadasz?

– Przepraszam. Jakoś tak mi się wypsnęło...

– Próbowałem właśnie powiedzieć – kontynuował Średni Dave – że jeśli...

– Brzoskwinia robi do mnie głupie miny!

– Wcale nie!

– Kłamczuch, kłamczuch, spodnie mu się palą!

W tym samym momencie Średni Dave stracił cierpliwość, a Brzoskwinia wrzasnęła. Z jego spodni uniosła się wąska smużka dymu; zaczął podskakiwać i gorączkowo klepać się po siedzeniu.

– Kto to zrobił? No kto?! – zapytał groźnie Średni Dave.

– Nikogo nie widziałem – zapewnił Siata. – Znaczy, nikogo nie było w pobliżu Brzoskwini. Kocie Oko powiedział „spodnie mu się palą”, a zaraz potem...

– A teraz ssie kciuka! – krzyknął tryumfalnie Kocie Oko. – Cha, cha, cha! Płacze za mamusią! A wiesz, co się dzieje z dziećmi, które ssą palce? Przychodzi taki potwór, co ma wszędzie nożyce...

– Przestań gadać! – huknął Średni Dave. – Do licha, jakbym miał do czynienia z bandą...

Ktoś wrzasnął wysoko nad nimi. Wrzask trwał przez jakiś czas i zdawał się zbliżać, ale potem ucichł, zastąpiony przez serię głuchych uderzeń i od czasu do czasu stuk, jak gdyby od kamiennej posadzki odbijał się orzech kokosowy.

Średni Dave dobiegł do drzwi akurat na czas, by zobaczyć, jak ciało pana Browna, ślusarza, przetacza się obok – całkiem szybko i wcale nie elegancko. W chwilę później po łuku schodów przemknęła jego torba. Otworzyła się przy którymś odbiciu; narzędzia i wytrychy zabrzęczały głośno, podążając za swym byłym właścicielem.

Poruszał się szybko. Prawdopodobnie dotrze w tym tempie na sam dół.

Średni Dave uniósł wzrok. Dwa piętra wyżej, z przeciwnej strony klatki schodowej, przyglądał mu się Banjo.

Banjo nigdy nie odróżniał dobra od zła. Takie rozstrzygnięcia zawsze zostawiał bratu.

– Eee... Biedak musiał się pośliznąć – powiedział Średni Dave.

– Jasne. Pośliznął się – mruknął Brzoskwinia.

On także spojrzał w górę.

Zabawne, ale wcześniej nic nie zauważył. Biała wieża wydawała się jarzyć od wewnątrz. Teraz jednak jakieś cienie przesuwają się po kamieniach. A raczej w kamieniach...

– Co to było? – spytał. – Ten dźwięk...

– Jaki dźwięk?

– Brzmiał... jakby zgrzytały noże. Całkiem blisko.

– Nie ma tu nikogo poza nami! – oznajmił Średni Dave. – Czego się

boisz? Stokrotki cię napadną? Chodź. Trzeba mu pomóc.

Susan nie mogła przejść przez drzwi. Opierały się kolejnym próbom. Poobijała się tylko i w końcu zwyczajnie nacisnęła klamkę.

Usłyszała, jak o, bóg wciąga przez zęby powietrze. Ona jednak była przyzwyczajona do budynków, które od wewnątrz są większe niż z zewnątrz. Dziadek nie potrafił jakoś zrozumieć, o co chodzi z wymiarami.

Drugą rzeczą, która od razu zwracała uwagę, były schody. Zaczynały się naprzeciw siebie pod ścianami tego, co stało się wielką, okrągłą wieżą ze stropem ginącym we mgle. Spirale stopni krążyły wokół w nieskończoność.

Susan wróciła spojrzeniem do pierwszej rzeczy.

Była to wysoka, stożkowata pryzma na środku podłogi. Biała. Lśniła w chłodnym świetle padającym z mgiełki u góry.

– To zęby! – powiedziała.

– Chyba zaraz zwymiotuję – oznajmił żalosnym głosem o, bóg.

– W zębach nie ma przecież nic strasznego – uspokoiła go Susan. Sama w to nie wierzyła. Ten stos był rzeczywiście okropny.

– Mówiłem, że się boję? Nie, po prostu znowu mam kaca. O, ja...

Susan podeszła ostrożnie.

To były małe ząbki. Dziecięce. Ktokolwiek je tu zebrał, nie zachował specjalnej staranności – kilka rozsypało się po posadzce. Wiedziała, bo nadepnęła na jeden, a zgrzytliwy, chrupiący odgłos sprawił, że rozpaczliwie zapragnęła nie nadeptywać już na kolejne.

Ktokolwiek je tu zebrał, był zapewne tym, kto wokół obscenicznego wzgórka nakreślił kredą znaki.

– Strasznie ich dużo... – szepnął Bilious.

– Przynajmniej dwadzieścia milionów, jeśli wziąć pod uwagę rozmiar przeciętnego mlecznego zęba – odparła Susan. Ze zdumieniem odkryła, że wynik ten podała automatycznie, bez zastanowienia.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Objętość stożka – wyjaśniła. – Pi razy kwadrat promienia razy wysokość podzielić przez trzy. Pani Butts nie podejrzewała nawet, mogę się założyć, że ta informacja przyda mi się w takim miejscu.

– Niesamowite. Policzyłaś to w głowie?

– Coś tu nie pasuje – powiedziała spokojnie. – Nie przypuszczam, żeby Wróżka Zębuszka to właśnie chciała osiągnąć. Tyle wysiłku, żeby zdobyć te zęby, a potem miałyby je tak po prostu tutaj zrzucić? Nie. Zresztą na podłodze leży niedopałek papierosa. Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby Wróżka Zębuszka robiła sobie skręty.

Przyglądała się kredowym znakom.

Jakieś głosy z góry sprawiły, że uniosła wzrok. Miała wrażenie, że nad poręczą schodów widzi głowę, która zaraz się cofnęła. Nie dostrzegła rysów, ale twarz nie wyglądała wróżkowato.

Zauważyła kredowe koło wokół zębów. Ktoś chciał je zebrać w jednym miejscu i narysował to koło, żeby pokazać, gdzie mają trafić.

Wokół widniało kilka symboli.

Miała dobrą pamięć do szczegółów. To kolejna cecha rodzinna. Teraz drobny szczegół poruszył się w jej pamięci jak senna pszczoła.

– Och, nie – szepnęła. – Przecież nikt by nie próbował...

Ktoś krzyknął w górze, wśród bieli.

Ciało stoczyło się z bliższych jej schodów. Było kiedyś chudym

człowieczkiem w średnim wieku. Formalnie było nim nadal, ale długie, spiralne schody nie obeszły się z nim delikatnie.

Przeturlało się po białym marmurze, przejechało kawałek i wyhamowało jak pozbawiony kości worek.

Po czym, kiedy biegła już w jego stronę, rozplynęło się. Nie pozostało nic prócz plamy krwi.

Obejrzała się, słysząc głośnie brzęki. Wirując i skacząc niczym łosoś, łom odbił się od ostatnich stopni i wylądował na posadzce pionowo, wibrując lekko.

Zdyszany Siata dotarł do szczytu schodów.

– Jacyś ludzie są na dole, panie Herbatka – wysapał. – Dave i reszta poszli ich złapać.

– Herr-bat-ká – poprawił Herbatka, nie odrywając wzroku od maga.

– Tak jest, proszę pana.

– I co? Zwyczajnie... pozbądźcie się ich.

– Eee... Jeden z nich jest dziewczyną, proszę pana.

Herbatka wciąż nie odwracał głowy. Machnął tylko ręką.

– No to pozbądźcie się ich... uprzejmie.

– Tak, proszę pana. Tak, jasne. – Siata odchrząknął. – Nie chce pan się dowiedzieć, po co tu przyszli?

– Wielkie nieba, nie. Po co mi to wiedzieć? A teraz idź już.

Siata stał przez chwilę nieruchomo, po czym ruszył na dół. A kiedy zbiegał po schodach, zdawało mu się, że słyszy głos – jak gdyby skrzypienie

starych drewnianych drzwi.

Zbladł.

To przecież tylko drzwi, tłumaczyła rozsądna część jego umysłu. Są ich tu setki, chociaż – jeśli się zastanowić – żadne nie skrzypią.

Druga część, ta, która tkwiła w mroku niemal na szczycie jego rdzenia kręgowego, mówiła: Ale to żadne z nich i wiesz o tym dobrze, ponieważ wiesz, co to za drzwi...

Tego skrzypienia nie słyszał od trzydziestu lat.

Pisnął cicho i zaczął przeskakiwać po cztery stopnie naraz.

We wnękach i w kątach cienie pociemniały.

Susan biegła po schodach, ciągnąc za sobą o, boga.

– Wiesz, co oni robili? – powtarzała. – Wiesz, czemu zebrali w kręgu te wszystkie zęby? Ta moc... o, bogowie...

– Nie zgadzam się – oświadczył stanowczo kierownik sali.

– Przecież po Strzeżeniu Wiedźm kupię ci lepsze...

– Jeszcze dwa razy but w cieście, porcja *Purée de la Terre* i trzy dodatkowe *Tourte à la Boue!* – zawołał kelner, wbiegając do kuchni.

– Placki z błota! – jęknął jego szef. – Nie mogę uwierzyć, że podajemy placki z błota. A teraz chce pan zabrać moje buty!

– Ze śmietanką i cukrem, pamiętaj. Prawdziwy smak Ankh-Morpork. A te buty wystarczą na co najmniej cztery porcje. Bądźmy sprawiedliwi. Wszyscy już biegamy w skarpetkach...

– Stolik siódmy mówi, że steki były znakomite, ale odrobinę twarde – rzucił kelner, przebiegając obok.

– Rozumiem. Następnym razem weźcie większy młotek i gotujcie dłużej.
– Właściciel wrócił do nieszczęśliwego kierownika sali. – Posłuchaj mnie, Bill – rzekł, obejmując go ramieniem. – Przecież to nie jest jedzenie. Nikt się tu nie spodziewa jedzenia. Gdyby ludzie chcieli tylko jeść, to zostaliby w domu, prawda? Przychodzą tu dla nastroju. Żeby przeżyć coś specjalnego. Tu nie chodzi o gotowanie, Bill. To jest *cuisine*. Rozumiesz? A potem wracają i chcą jeszcze.

– No tak... Ale stare buty...

– Krasnoludy jedzą szczury – tłumaczył właściciel. – A trolle jedzą kamienie. Jest taki lud z Howondalandu, który zjada owady, a ludzie na Kontynencie Przeciwwagi jedzą zupę zrobioną z ptasiej śliny. Buty przynajmniej były kiedyś na krowie.

– A błoto? – spytał ponuro kierownik sali.

– Czy stare przysłowie nie mówi, że zanim człowiek umrze, powinien zjeść beczkę mułu?

– Może. Ale nie naraz.

– Bill – powiedział łagodnym tonem kierownik, ujmując w dłoń chochlę.

– Tak, szefie?

– Zdejmuj te swoje buty, ale już, dobrze?

Kiedy Siata dotarł na sam dół, drżał cały. Nie tylko z wysiłku. Biegł prosto do drzwi wyjściowych, dopóki nie pochwycił go Średni Dave.

– Puszczaj! Goni mnie!

– Popatrz na jego twarz – wtrącił Kocie Oko. – Wygląda, jakby zobaczył

ducha.

– Nie, to nie był duch – wybełkotał Siata. – To gorsze od ducha.

Średni Dave trzasnął go w policzek.

– Weź się w garść, chłopie! Nic cię nie ściga! Zresztą przecież potrafimy walczyć, nie?

Groza miała dość czasu, by nieco opaść. Siata obejrzał się na schody – niczego tam nie było.

– Dobrze. – Średni Dave bacznie obserwował jego twarz. – A teraz... Co się stało?

Siata spuścił głowę.

– Myślałem, że to szafa – wymruczał. – No dalej, śmieJCie się...

Nikt się nie roześmiał.

– Jaka szafa? – zapytał Kocie Oko.

– Wiesz, kiedy byłem mały... – Siata zamachał rękami. – Mieliśmy taką wielką starą szafę. Dębową. I miała takie... takie... Na drzwiach była... jak gdyby... twarz. – Spojrzał na ich twarze o równie drewnianych wyrazach. – Wiecie, nie taka prawdziwa twarz, raczej... cała ta... dekoracja wokół dziurki od klucza, niby takie kwiaty, liście i reszta. Ale kiedy się spojrzało... odpowiednio... to była twarz. Wstawili ją do mojego pokoju, bo taka była wielka, a nocą... nocą... nocą...

Byli dorosłymi ludźmi, a przynajmniej żyli już na świecie od kilku dziesięcioleci, co w niektórych społeczeństwach uznawane jest za to samo. Ale kiedy patrzyli na człowieka tak porażonego strachem...

– Tak? – zachęcił go chrapliwie Kocie Oko.

– ...szeptała do mnie – dokończył Siata cichutkim, słabym głosem, jak nornica w lochu.

– Co szeptała? – zapytał Średni Dave.

– Nie wiem! Chowałem głowę pod poduszką! Zresztą to przecież takie wspomnienie z czasów, kiedy byłem mały, prawda? Nasz tato w końcu się jej pozbył. Spalił ją. A ja na to patrzyłem.

Otrząsnęli się psychicznie, jak ludzie, których umysły powracają nagle do światła.

– Tak samo jest ze mną i z ciemnością – oświadczył Kocie Oko.

– Och, nie zaczynaj – rzucił Średni Dave. – Zresztą przecież nie boisz się ciemności. Jesteś z tego znany. Pracowałem z tobą w różnych piwnicach i w ogóle. W ten sposób dostałeś swoje imię. Kocie Oko, bo widzisz jak kot.

– Człowiek stara się jakoś to pokonać, nie? Bo kiedy już dorośniesz, to wiesz, że to tylko cienie i takie tam... Poza tym to nie jest taka ciemność, jaką mieliśmy u nas w piwnicy.

– Aha, więc jak byłeś mały, mieli specjalną odmianę ciemności, co? Dzisiaj już takiej nie robią?

Ironia nie odniosła skutku.

– Nie – odparł spokojnie Kocie Oko. – W naszej piwnicy była inna.

– Mama tłukła nas, kiedy schodziliśmy do piwnicy – przypomniał sobie Średni Dave. – Pędziła tam bimber.

– Tak? – odpowiedział Kocie Oko jakby z oddali. – A nas tato tłukł, kiedy próbowaliśmy wyjść. No, dość już gadania na ten temat.

Dotarli do stóp schodów.

I odkryli nieobecność kogokolwiek. Cieleśną.

– Przecież nie mógł tego przeżyć – zdziwił się Średni Dave.

– Widziałem, jak obok przelatywał – oświadczył Kocie Oko. – Karki nie

zginają się w taki sposób.

Zerknął w górę.

– Kto się tam rusza? Jacyś ludzie!

– A jak się zginają ich karki? – jęknął Siata.

– Rozdzielimy się – polecił Średni Dave. – Tym razem pójdziemy schodami z obu stron, żeby nie mogli zejść.

– Kim oni są? Po co tu przyszli?

– A po co my tu przyszliśmy? – spytał Brzaskwinia. Drgnął nagle i rozejrzał się zalekniony.

– Chcą zabrać nasze pieniądze? – rzekł groźnie Siata. – Po tym, co z nim przeszliśmy?!

– No... – Brzaskwinia powlókł się za pozostałymi. – Czy... słyszeliście przed chwilą taki odgłos?

– Jaki odgłos?

– Tak jakby cięcie, przycinanie...

– Nie.

– Nie.

– Nie. Musiało ci się wydawać.

Brzaskwinia żałośnie pokiwał głową.

A kiedy wspinał się po schodach, niewielkie cienie mknęły w kamieniu i podążały za jego stopami.

Susan odsunęła się od poręczy i pociągnęła o, boga w korytarz z rzędem białych drzwi.

– Chyba nas zauważyli – powiedziała. – A jeśli to Wróżki Zębuszki, to mamy do czynienia z naprawdę idiotyczną polityką wyrównywania szans.

Otworzyła jakieś drzwi.

W pokoju za nimi nie było okna, ale całkiem wystarczało światło padające ze ścian. Pośrodku stało coś w rodzaju gabloty wystawowej z otwartą pokrywą. Podłogę zaścielały kawałki kartonu.

Podniosła jeden i przeczytała: „Thomas Ague, wiek 4 i prawie trzy czwarte, Widok Zamkowy 9, Sto Lat”. Pismo było staranne, zaokrąglone.

Przeszła do sąsiedniego pokoju i znalazła w nim taki sam obraz zniszczenia.

– Teraz wiemy, że zęby były tutaj. Musieli pozbierać je i znieść na dół.

– Po co? – zdziwił się o, bóg.

Westchnęła.

– To magia tak stara, że właściwie nie jest już magią. Jeśli zdobędziesz kosmyk czyichś włosów, obcięty paznokieć albo ząb, możesz nad nim zapanować.

O, bóg usiłował skupić myśli.

– Ten stos na dole ma władzę nad milionami dzieci?

– Tak. I dorosłych również, po latach.

– I można te dzieci zmusić, żeby myślały, co zechcesz, i robiły, co zechcesz?

Skinęła głową.

– Tak.

– Można im kazać, żeby przeszukały tatusiowi portfel i wysłały zawartość pod wskazany adres?

– Wiesz, o tym nie pomyślałam, ale chyba można...

– Albo żeby zeszyły do salonu, rozbiły wszystkie butelki w barku i obiecały, że nigdy nie będą pić alkoholu, kiedy dorosną? – zapytał z nadzieją o, bóg.

– O czym ty mówisz?

– Nie zrozumiesz. Ty nie budzisz się co rano i nie widzisz, jak całe twoje życie ścieka ci przed oczami...

Średni Dave i Kocie Oko przebiegli korytarzem i zatrzymali się na rozwidleniu.

– Ty pójdziesz tędy, a ja...

– Lepiej trzymajmy się razem – zaproponował Kocie Oko.

– Co tu we wszystkich wstępuje? Widziałem, jak przegryzasz gardła parze psów strażniczych, kiedy załatwialiśmy tę robotę w Quirmie! Mam cię trzymać za rączkę? Sprawdź tamte drzwi, a ja sprawdzę tutaj.

Odszedł.

Kocie Oko zajrzał w boczny korytarz.

Drzwi nie było zbyt wiele. Korytarz nie był zbyt długi. Poza tym, jak mówił Herbatka, nie było tu nic groźnego, czego sami ze sobą nie przynieśli.

Usłyszał dobiegające z pokoju głosy i odetchnął z ulgą.

Z ludźmi sobie poradzi.

Kiedy już zbliżał się do drzwi, usłyszał za plecami jakiś szelest. Obejrzał się.

Cienie mknęły za nim wzdłuż korytarza. Spływały kaskadami ze ścian i zalewały sufit.

Tam, gdzie się spotykały, stawały się ciemniejsze. I jeszcze ciemniejsze.

I uniosły się. I skoczyły.

– Co to było? – spytała Susan.

– Brzmiało jak początek krzyku – stwierdził Bilious.

Susan otworzyła drzwi.

Na zewnątrz nie było nikogo.

Zauważyła jednak ruch. Plama ciemności w kącie zmaląa i rozplynęła się, skrawek cienia zniknął za zakrętem korytarza.

A na samym środku podłogi stała para butów.

Nie pamiętała w tym miejscu żadnych butów.

Pociągnęła nosem. Powietrze pachniało szczurami, wilgocią i pleśnią.

– Chodźmy stąd – powiedziała.

– Jak w tych wszystkich pokojach znajdziemy Violet?

– Nie wiem. Powinnam ją... wyczuwać.

Wyjrzała za róg. Słyszała dobiegające z daleka męskie krzyki.

Przemknęli z powrotem na schody i wspięli się na kolejne piętro. Tutaj też znaleźli pokoje, a w każdym rozbityą gablotę.

Cienie przesuwają się w zakamarkach. Wyglądało to tak, jakby niewidzialne źródło światła przemieszczało się wolno.

– Przypomina mi to dom... no, twojego dziadka – powiedział o, bóg.

– Wiem – zgodziła się Susan. – Nie ma żadnych reguł prócz tych, które on sam tworzy po drodze. Nie wyobrażam sobie, żeby był zadowolony, gdyby ktoś wdarł się do środka i zaczął demolować bibliotekę.

Urwała. Kiedy znowu się odezwała, jej głos brzmiał inaczej.

– To jest dziecięce miejsce – oznajmiła. – Reguły są takie, w jakie wierzą dzieci.

– Co za ulga...

– Tak sądzisz? To nie będzie normalne. W krainie Duchociastnej Kaczki kaczki naprawdę znoszą czekoladowe jaja. W krainie Śmierci wszystko jest czarne i ponure, bo ludzie w to wierzą. On w takich sprawach mocno trzyma się konwencji. Wszędzie ma takie dekoracyjne motywy czaszki i kości... Tutaj natomiast...

– Ładne kwiatki i dziwaczne niebo.

– Wydaje mi się, że będzie o wiele gorzej niż teraz. I przy tym bardzo dziwnie.

– Bardziej niż teraz?

– Nie sądzę, żeby można było tutaj umrzeć.

– Ten człowiek, który spadł ze schodów, wyglądał na całkiem martwego.

– Och, umierasz, oczywiście. Ale nie tutaj. Raczej... chwileczkę... tak. Przenosisz się gdzie indziej. Daleko. Tutaj nie jesteś już widziany. Mniej więcej tyle rozumiesz na ten temat, kiedy masz trzy lata. Dziadek mówił, że pięćdziesiąt lat temu było inaczej. Czasem nie widział łoża z za ludzi, którzy płakali nad umierającym. Teraz tłumaczą tylko dziecku, że babcia odeszła. Twyla przez trzy tygodnie wierzyła, że jej wujek został pochowany za szopą

w ogrodzie, obok Bustera, Mipa i trzech Bulgich.

– Trzech Bulgich?

– Chomiki. Często zdychają – wyjaśniła Susan. – Sztuka polega na tym, żeby wymieniać je na nowe, kiedy ona nie widzi. Ty naprawdę nic nie wiesz, co?

– Hej tam!

Głos dobiegał z korytarza.

Wyszli, skręcili i zajrzeli do sąsiedniego pokoju.

Na podłodze, przywiązana do nogi białej gabloty, siedziała Violet. Spojrzała na nich z lękiem, potem ze zdumieniem, wreszcie z błyskiem w oczach.

– Czy ty...

– Tak, tak. Widujemy się czasem w Katafalkach, a kiedy ostatnim razem przyszedł po ząb Twyli, byłaś zaszokowana, że cię widzę. Musiałam dać ci wody, żebyś się uspokoiła. – Susan szarpnęła sznury. – Nie mamy za wiele czasu.

– A kto to jest?

O, bóg próbował ułożyć jakoś swoje wiszące w strąkach włosy.

– On? Jest zwykłym bogiem – odparła Susan. – Ma na imię Biliious.

– Pijesz czasem? – zapytał o, bóg.

– Co to za py...

– Chce to wiedzieć, zanim zdecyduje, czy cię nienawidzi – wyjaśniła Susan. – Boskie sprawy.

– Nie, skąd! – obruszyła się Violet. – Cóż za pomysł! Noszę niebieską

wstążeczkę!

O, bóg zerknął na Susan, pytająco unosząc brew.

– To znaczy, że należy do Ligi Wstrzemięźliwości pod Wezwaniem Offlera. Podpisują zobowiązanie, że nie tkną alkoholu. Nie mam pojęcia dlaczego. Oczywiście, Offler jest krokodylem. One nieczęsto odwiedzają bary. Wolą raczej wodę.

– Nie tykasz nawet alkoholu? – upewnił się o, bóg.

– Nigdy! – zapewniła Violet. – Mój tato był bardzo surowy pod tym względem.

Po chwili Susan uznała, że powinna pomachać dłonią między ich wpatrzonymi wzajemnie w siebie oczami.

– Możemy kontynuować? – spytała. – Dobrze. Kto cię tu sprowadził?

– Nie wiem. Załatwiałam odbiór, jak zwykle. Nagle odniosłam wrażenie, że ktoś za mną stoi, potem zrobiło się ciemno, a kiedy przyszłam do siebie, byliśmy... Widziałaś, jak tu jest na dworze?

– Tak.

– No więc tam byliśmy. Ten wielki mnie niósł. Ten, którego nazywają Banjo. Nie jest taki zły, lecz... dziwny. Jakby... powolny. Patrzy na mnie tylko. Pozostali to zbiry. Uważajcie na tego ze szklanym okiem. Wszyscy się go boją. Z wyjątkiem Banjo.

– Szklane oko?

– Ubiera się jak skrytobójca. Nazywają go Herbatką. Wydaje mi się, że próbują coś ukraść... Całe wieki wynosili stąd zęby. Wszędzie małe zęby... To było okropne. Dziękuję – rzuciła w stronę o, boga, który pomógł jej wstać.

– Zebrali je wszystkie na dole, w magicznym kręgu – poinformowała Susan.

Oczy i usta Violet uformowały trzy O. Wyglądała jak różowa kula do kręgli.

– Po co?

– Myślę, że używają ich do panowania nad dziećmi. Magicznego.

Usta Violet otworzyły się szerzej.

– To obrzydliwe.

Obrzydliwe, powtórzyła w myślach Susan. Powinna raczej powiedzieć „okropne” albo „straszne”. Jeśli mogę wyrazić własne zdanie, „obrzydliwe” to słowo wybrane, by zrobić na pobliskich osobnikach płci męskiej wrażenie delikatności.

Wiedziała, że jest niedobra, myśląc w taki sposób. Wiedziała też, że jej obserwacja odpowiada chyba prawdzie, co tylko pogarszało samopoczucie.

– Tak – zgodziła się.

– Był też mag! Miał spiczasty kapelusz!

– Myślę, że powinniśmy ją stąd zabrać – oświadczył o, bóg głosem, który Susan uznała za przesadnie dramatyczny.

– Dobry pomysł – przyznała. – Idziemy.

Buty Kociego Oka miały pozrywane sznurowadła. Całkiem jakby coś porwało go do góry tak szybko, że nie nadążyły.

Niepokoilo to Średniego Dave’a. To – i zapach. W całej wieży nic nie pachniało, ale tutaj wyczuwał... grzyby?

Zmarszczył czoło.

Był złodziejem i mordercą, a zatem miał również wysoko rozwinięty

zmysł moralny. Starał się nie okradać biedaków, nie tylko dlatego, że zwykle nie posiadali niczego wartego kradzieży. Jeśli konieczność zmuszała go do skrzywdzenia kogoś, starał się zadawać rany, które się goją. A kiedy w ramach swych działań musiał zabijać, podejmował trud robienia tego w taki sposób, by ofiara zbytnio nie cierpiała, a przynajmniej robiła możliwie mało hałasu.

Cała ta sprawa nadwreżyła mu nerwy. A przecież zwykle nawet nie zauważał, że je ma. We wszystkim było coś niewłaściwego, co zdawało się wręcz zgrzytać w zębach.

I teraz ta para butów – wszystko, co zostało po starym Kocim Oku.

Susan dotarła do klatki schodowej, wychyliła się za róg... i spojrzała prosto w grot umieszczonego w kuszy bełtu.

– A teraz wyjdźcie wszyscy i stańcie tak, żebym was widział – zaproponował uprzejmie Brzoskwinia. – I lepiej nie dotykaj tego miecza, panienko. Jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

Susan usiłowała stać się niewidzialna, ale bezskutecznie. Zwykle było to tak łatwe, że zdarzało się wręcz automatycznie, zazwyczaj z krępującymi efektami. Mogła na przykład czytać książkę, gdy ludzie szukali jej w całym pokoju. Jednak tutaj, mimo prób, wciąż pozostawała uporczywie widoczna.

– Nie jesteś tu właścicielem – oświadczyła, cofając się o krok.

– Nie. Ale widzisz tę kuszę? Tej kuszy jestem właścicielem. Dlatego pójdziecie teraz przodem, prosto na spotkanie z panem Herbatką.

– Przepraszam bardzo, ale chciałem coś sprawdzić – wtrącił Bilious.

Ku zdumieniu Susan, pochylił się i dotknął czubka grotu.

– Zaraz! – zawołał Brzoskwinia i cofnął się nerwowo. – Po coś to zrobił?

– Poczułem. Chociaż oczywiście niejake wrażenie bólu jest zapewne

elementem normalnych reakcji zmysłowych. Ostrzegam cię, istnieje spora szansa na to, że jestem nieśmiertelny.

– Owszem, ale my prawdopodobnie nie jesteśmy – zauważyła Susan.

– Nieśmiertelny, tak? – zapytał Brzoskwinia. – Znaczy, jak ci strzelę w łeb, to nie umrzesz?

– No, jeśli w ten sposób to ujmujesz... Wiem, że czuję ból...

– Właśnie. No to ruszaj grzecznie.

– Kiedy coś się wydarzy – szepnęła Susan samym kącikiem ust – wy dwoje spróbujcie przedostać się na dół, jasne? Gdyby nastąpiło najgorsze, koń was stąd zabierze.

– Jeśli coś się wydarzy – szepnął o, bóg.

– Kiedy – poprawiła go Susan.

Idący za nimi Brzoskwinia obejrzał się niespokojnie. Czułby się o wiele lepiej, gdyby zjawili się pozostali. Schwytanie jeńców sprawiło mu niemal ulgę.

Kątem oka Susan dostrzegła jakiś ruch na schodach po przeciwnej stronie wieży. Przez moment miała wrażenie, że widzi kilka błysków, jakby stalowe ostrza odbijały światło.

Za sobą usłyszała syknięcie.

Mężczyzna z kuszą stał nieruchomo, wpatrzony w przeciwległe schody.

– Och, nie... – szepnął.

– Co to było? – spytała.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Też to widzisz?

– To coś z masą ostrzy, które klikają o siebie?

– Och, nieeeeeeee...

– Było tam tylko przez chwilę. Teraz zniknęło... Jest gdzie indziej.

– To Nożycoręki...

– Kto to taki? – zdziwił się o, bóg.

– Nikt! – Brzaskwinia próbował wziąć się w garść. – Nie ma czegoś takiego jak Nożycoręki, jasne?

– Ach... rozumiem. Kiedy byłeś mały, ssąłeś kciuk – domyśliła się Susan.
– Bo jedyny Nożycoręki, jakiego znam, to ten, którego dorośli wykorzystują do straszenia dzieci. Opowiadają, że przyjdzie i...

– Zamknij się, ale już! – Brzaskwinia pchnął ją kuszą. – Dzieciaki wierzą w różne bzdury! Ale ja jestem dorosły, jasne? Potrafię otwierać butelki cudzymi zębami i... O, bogowie...

Susan usłyszała wymowne „ciach, ciach!”. Wydawało się o wiele bliższe.

Brzaskwinia zacisnął powieki.

– Czy coś za mną stoi? – zapytał przerażony.

Susan pchnęła Violet i Biliousa w bok, gorączkowo wskazując ręką schody.

– Nie – powiedziała, kiedy odbiegli na palcach.

– Czy cokolwiek stoi gdzieś na schodach?

– Nie.

– Dobrze! Jeśli spotkasz tego jednookiego skurwiela, powiedz mu, że może sobie zatrzymać pieniądze!

Rzucił się do ucieczki.

Kiedy Susan odwróciła się, by podążyć schodami w górę, stanął przed nią Nożycoręki.

Nie miał ludzkich kształtów. Przypominał trochę strusia, trochę jaszczurkę na tylnych łapach, ale najbardziej coś zbudowanego z samych ostrzy. Przy każdym ruchu tysiące tych ostrzy robiło „ciach, ciach!”.

Długa srebrna szyja wygięła się, a zbudowana z nożyc głowa spojrzała groźnie.

– Nie mnie szukasz – powiedziała Susan. – Nie jesteś moim koszmarem.

Ostrza kołysały się na boki – stwór próbował myśleć.

– Pamiętam, jak przyszedłeś do Twyli. – Susan zrobiła krok naprzód. – Ta przeklęta guwernantka powiedziała jej, co spotyka dzieci, które ssą kciuki. Przypominasz sobie? A przypominasz sobie pogrzebac? Założę się, że potem długo musiałeś się ostrzyć...

Stwór pochylił głowę i wyminął ją ostrożnie, tak uprzejmie, jak tylko potrafił. A potem, stukając, ruszył w dół za Brzoskwinią.

Susan pobiegła na szczyt wieży.

Sideney założył zielony filtr na latarnię i wcisnął w zamek nieduży srebrny pręt ze szmaragdem na czubku. Jakaś część zamka się poruszyła. Wewnątrz drzwi coś zawarczało i kliknęło.

Odetchnął z ulgą. Podobno perspektywa stryczka doskonale wpływa na zdolność koncentracji, ale byłaby niczym środkiem uspokajającym w porównaniu z byciem obserwowanym przez pana Herbatkę.

– Ja, no... To już trzeci zamek. Otwiera go zielone światło. Pamiętam legendarny zamek w Hali Murgli, który mógł się otworzyć tylko przy wietrze od Osi, chociaż to...

– Podziwiam pańską wiedzę – przerwał mu Herbatka. – Co z następnymi czterema?

Sideney zerknął lękliwie na nieruchomy masyw wielkiego Banjo i nerwowo oblizał wargi.

– No więc, naturalnie, jeśli się nie mylę i zamki można otworzyć tylko w pewnych szczególnych warunkach, może to potrwać lata... – powiedział. – Przypuśćmy na przykład, że musi to zrobić małe dziecko o jasnych włosach, trzymające mysz. We wtorek. W deszczu.

– Potrafi pan rozszyfrować naturę czaru, prawda?

– Tak, tak, oczywiście, tak... – Sideney zamachał rękami. – Tak udało mi się pokonać ten tutaj. Thaumaturgia rewersyjna, naturalnie. Ehm... z czasem.

– Mamy mnóstwo czasu – zapewnił Herbatka.

– Być może zajmie to trochę więcej czasu, niż pan ma na myśli – odparł drżącym głosem mag. – Procesy są bardzo, bardzo... trudne.

– Och, rozumiem. Jeśli to zbyt wiele dla pana, wystarczy powiedzieć.

– Nie! – jęknął Sideney, ale zdołał się jakoś opanować. – Nie. Nie. Nie. Potrafię... Jestem pewien, że wkrótce sobie z nimi poradzę.

– To świetnie. – Herbatka uśmiechnął się.

Student magii spojrzał w dół. Strużka mgły sączyła się ze szczeliny pod drzwiami.

– Wie pan, co jest tam w środku, panie Herbatka?

– Nie.

– Aha. No tak. – Sideney popatrzył smętnie na czwarty zamek. Zadziwiające, ile można sobie przypomnieć, kiedy obok stoi ktoś taki jak Herbatka. Obejrzał się niespokojnie. – Nie będzie więcej gwałtownych zgonów, prawda? Po prostu nie wytrzymuję widoku gwałtownych zgonów!

Herbatka pocieszająco objął go ramieniem.

– Proszę się nie martwić. Jestem po pańskiej stronie. Gwałtowna śmierć to ostatnia rzecz, jaka może się panu przydarzyć.

– Panie Herbatka?

Skrytobójca obejrzał się. Średni Dave wszedł na podest.

– W wieży jest ktoś jeszcze – oznajmił. – Dorwał Kocie Oko. Nie wiem jak. Kazałem Brzoskwini pilnować schodów i nie jestem pewien, gdzie się podział Siata.

Herbatka zerknął na Sideneya, który znów dłubał przy czwartym zamku w rozpaczliwiej próbie nieumierania.

– Dlaczego pan mi to mówi? Myślałem, że za to płacę wam spore pieniądze... wam, dużym i silnym mężczyznom... żebyście rozwiązywali tego rodzaju problemy.

Wargi Średniego Dave'a uformowały bezgłośnie kilka słów, ale kiedy się odezwał, zapytał tylko:

– No dobrze, ale z czym mamy tu walczyć? Co? Ze Starym Biedą, strachem czy czym?

Herbatka westchnął.

– Z grupą pracowników Wróżki Zębuszki, jak przypuszczam.

– Nie, jeśli są podobni do tych, którzy się pojawili. To zwykli cywile. A tam wyglądało, jakby ziemia się rozstała i pochłonęła Kocie Oko. – Pomyślał chwilę. – Nie ziemia, raczej sufit – poprawił się.

Straszliwa wizja przemknęła właśnie przez jego rzadko używaną wyobraźnię.

Herbatka podszedł do klatki schodowej i spojrzał w dół. Stos zębów wyglądał jak białe koło.

– I dziewczyna zniknęła – dodał Średni Dave.

– Doprawdy? Zdawało mi się, że kazałem ją zabić.

Średni Dave zawahał się. Razem z Banjo byli wychowani przez mamę Lilywhite, która nauczyła ich, że kobiety należy traktować z szacunkiem, bo to istoty delikatne i kruche. Dostawali solidne baty, gdy tylko jej niewiarygodnie czuły radar wykrył jakiekolwiek obraźliwe tendencje. A był naprawdę niewiarygodnie czuły – mama słyszała, co człowiek robi kilka pokoi dalej; rzecz straszna dla dorastającego chłopca.

Takie sprawy zostawiają swój ślad. Mama Lilywhite na pewno go zostawiła. Co do pozostałych, nie mieli żadnych obiekcji w kwestii zabicia kogokolwiek, kto stanął między nimi a dużą sumą pieniędzy. Wszyscy jednak odczuwali niechęć do wykonywania rozkazów Herbatki, by zabić kogoś tylko z tego powodu, że nie jest już przydatny. Nie dlatego, że to nieprofesjonalne – jedynie skrytobójcy myślą w ten sposób. Po prostu tego się nie robi.

– Pomyśleliśmy... Nigdy nic nie wiadomo...

– Nie była niezbędna – stwierdził Herbatka. – Niewielu jest.

Sideney nerwowo przerzucał stronicę swoich notatek.

– Poza tym tutaj jest jak w labiryncie... – dodał Średni Dave.

– Niestety, to prawda – zgodził się Herbatka. – Ale jestem pewien, że uda im się nas znaleźć. Prawdopodobnie zbytnim optymizmem byłaby nadzieja, że zamierzają przedsięwziąć coś bohaterskiego.

Violet i o, bóg biegli schodami w dół.

– Wiesz, jak stąd wrócić? – spytała Violet.

– A ty nie?

– Wydaje mi się, że jest takie... no, jakby miękkie miejsce. Jeśli na nie ruszysz, wiedząc, że tam jest, przechodzisz na drugą stronę.

– A wiesz, gdzie jest?

– Nie! Nigdy tu nie byłam! Kiedy przyjechaliśmy, miałam worek na głowie! Ja tylko odbierałam zęby spod poduszek! – Violet zaczęła szlochać. – Dostajesz listę, jakieś pięć minut przeszkolenia, a potem potracają ci nawet dziesięć pensów tygodniowo za drabinę. Wiem, że się pomyliłam z tym małym Williamem Rubinem, ale powinni uprzedzić, przecież normalnie mam zabierać wszystkie zęby, jakie...

– Pomyliłaś się? Jak to? – spytał Biliou, starając się ją popędzić.

– Bo on spał z głową pod poduszką, a przecież i tak dają ci kleszcze, i nikt nie mówił, że nie wolno...

Ma miły głos, powtarzał sobie Biliou. Ale w jakiś zabawny sposób także drażniący. Sprawia wrażenie, że słucha się gadającego fletu.

– Chyba lepiej wyjdźmy z tej wieży – powiedział. – Bo jeszcze nas usłyszą – dodał znacząco.

– A jakim bogowaniem się zajmujesz? – spytała Violet.

– Eee... no wiesz... tym i tamtym... Ja... – Biliou starał się myśleć mimo dudnienia w głowie. I wtedy wpadł na jeden z takich pomysłów, które wydają się sensowne tylko po dużej ilości alkoholu. Ktoś inny wprawdzie wypijał drinki, ale jemu udało się wyrwać myśl. – Właściwie to jestem bogiem niezależnym – oświadczył tak rześkim głosem, na jaki tylko było go stać.

– Jak można być niezależnym bogiem?

– No wiesz, kiedy któryś z pozostałych bogów ma ochotę na wakacje czy coś w tym rodzaju, ja ich zastępuję. Tak. To właśnie robię.

Niezbyt rozsądnie w tych okolicznościach pozwolił, by zachwyciła go własna pomysłowość.

– Tak. Mam mnóstwo pracy. Ani dnia odpoczynku. Stale mnie zatrudniają. Nie masz pojęcia. Nie zastanowią się nawet, a już znikają na miesiąc jako biały byk, łabędź czy co tam jeszcze. I stale tylko: „Bilious, stary kumplu, zajmij się tu wszystkim, kiedy mnie nie będzie, co? Odpowiadaj na modły i tak dalej”. Nie mam nawet chwili dla siebie, ale czasy są ciężkie i nie można odrzucać zleceń.

Violet patrzyła na niego zafascynowana, szeroko otwierając oczy.

– Teraz też kogoś zastępujesz?

– No tak. Właściwie... boga kaca.

– Boga kaca? To okropne!

Bilious spojrzał na swoją poplamioną, pogniecioną togę.

– Chyba tak – mruknął.

– Nie idzie ci to najlepiej.

– Nie musisz mi mówić.

– Bardziej byś się nadawał na któreś z ważnych bóstw – stwierdziła z podziwem. – Wyobrażam sobie ciebie jako Io albo Los... któregoś z nich.

Bilious spojrzał na nią z rozdziawionymi ustami.

– Od razu zauważyłam, że do tego nie pasujesz – ciągnęła. – Nie nadajesz się na jakiegoś okropnego, nieważnego boga. Z takimi kostkami mógłbyś nawet zostać Offlerem.

– Mógłbym? To znaczy... no tak. Czasami. Oczywiście, muszę wtedy nosić kły...

I nagle ktoś przystawił mu miecz do gardła.

– Co to takiego? – odezwał się Siata. – Aleja zakochanych?

– Zostaw go w spokoju! – krzyknęła Violet. – Bo pożałujesz! On jest bogiem!

Bilious przełknął ślinę, ale bardzo ostrożnie. Miecz był ostry.

– Bóg, co? – burknął Siata. – A czego?

Bilious znów spróbował przełknąć.

– No, trochę tego, trochę tamtego... – wykrztusił.

– No, no... jestem pod wrażeniem. Widzę, że muszę być straszliwie ostrożny, co? Nie chciałbym przecież, żebyś poraził mnie gromem, co? Takie coś może cały dzień zepsuć...

Bilious nie śmiał nawet ruszyć głową. Ale kątem oka – był tego pewien – widział cienie mknące bardzo szybko po ścianach.

– Co za pech, gromy się skończyły... – parsknął Siata. – A wiesz, nigdy w życiu...

Coś zatrzęszczało.

Twarz Siaty znalazła się o kilka cali od oczu Biliousa. O, bóg zobaczył więc, jak się zmienia.

Siata przewrócił oczami. Wargi wyszeptały „Łoj”.

Bilious zaryzykował krok do tyłu. Miecz się nie poruszył. Siata stał drżący, jak człowiek, który chce się obejrzeć i zobaczyć, co stoi za nim, ale boi się, bo mógłby rzeczywiście zobaczyć.

Z punktu widzenia Biliousa było to zwykłe trzeszczenie.

Spojrzał na obiekt na podeście powyżej.

– Kto ją tam wstawił? – zdziwiła się Violet.

To była szafa. Ciemny dąb i trochę przyklejonych do drzwi wymyślnych

ornamentów, mających maskować fakt, że to przecież zwykłe, postawione na sztorc pudło. Szafa...

– A może, no wiesz, może próbowałeś cisnąć piorun i zatrzymałeś się o parę liter za daleko? – spytała.

– He? – Bilius nie zrozumiał. Spoglądał to na przerażonego mężczyznę, to na szafę. Była tak zwyczajna, że aż... dziwna.

– No bo pioruny zaczynają się na P, a szafy...

Wargi dziewczyny poruszyły się bezgłośnie. Część umysłu Biliusa pomyślała: pociąga mnie dziewczyna, która musi wyłączyć wszystkie pozostałe funkcje mózgu, żeby przypomnieć sobie kolejność liter w alfabecie. Z drugiej strony jednak ją pociąga ktoś w todze, która wygląda, jakby rodzina łasic urządziła sobie w niej imprezę. Więc lepiej zakończę tę myśl w tym miejscu.

Jednak zasadnicza część umysłu zastanawiała się: Dlaczego ten człowiek wydaje z siebie taki cichy bulgot? Przecież to tylko szafa, na moją miłość!

– Nie, nie – bełkotał Siata. – Nie chcę...

Miecz brzęknął o podłogę.

Siata zrobił krok w tył, na schody, ale bardzo powoli, jakby stało się to mimo oporu całej siły mięśni, jaką zdołał przywołać.

– Czego nie chcesz? – spytała Violet.

Siata odwrócił się. Bilius nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział. Ludzie obracają się szybko, owszem, ale Siata zawirował, jak gdyby potężna ręka chwyciła go za głowę i przekręciła o sto osiemdziesiąt stopni.

– Nie, nie, nie! – skamlał Siata. – Nie...

Zataczając się, ruszył po schodach.

– Pomóżcie mi – wyszeptał chrapliwie.

– Ale o co chodzi? – zdziwił się Bilious. – To przecież tylko szafa, prawda? Służy do chowania w niej starych ubrań, tak żeby nie było już miejsca na nowe.

Rozwarły się drzwi.

Siata zdołał wyciągnąć ręce, chwycić za boki szafy i na chwilę stanąć nieruchomo. Potem został jednym szarpnięciem wessany do środka i drzwi się zatrzasnęły.

Mały mosiężny kluczyk przekręcił się z cichym kliknięciem.

– Powinniśmy go stamtąd wyciągnąć! – zawołał o, bóg, wbiegając na schody.

– Czemu? – spytała Violet. – To nie byli sympatyczni ludzie! A tego zapamiętałam. Kiedy przynosił mi jedzenie, wygłaszał... dwuznaczne komentarze.

– Tak, ale...

Bilious nigdy nie widział takiej twarzy – poza lustrem. Siata wyglądał na człowieka bardzo, ale to bardzo chorego.

Przekręcił kluczyk i otworzył drzwi.

– Oj...

– Nie chcę tego widzieć! Nie chcę tego widzieć! – zawołała Violet, zaglądając mu przez ramię.

Bilious schylił się i podniósł parę butów stojących równo na środku dna szafy.

Odstawił je ostrożnie i obszedł mebel dookoła. Tył był zrobiony ze sklejki. W rogu, odbite wyblakłym tuszem, widoczne były słowa „Dratley i Synowie, Droga Fedry, Ankh-Morpork”.

– Jest magiczna? – dopytywała się nerwowo Violet.

– Nie sędzę, żeby coś magicznego miało znak producenta.

– Istnieją magiczne szafy – przekonywała. – Jeśli ktoś do nich wejdzie, wychodzi w czarodziejskiej krainie.

Bilious raz jeszcze spojrzał na buty.

– Ehm... No tak – mruknął.

CHYBA MUSZĘ WAM COŚ WYJAŚNIĆ, powiedział Śmierć.

– Tak, chyba powinienes – zgodził się Ridcully. – Jakieś małe diabliki biegają mi po budynku, wyjadają skarpety i ołówki, wcześniej, wieczorem otrzeźwiliśmy kogoś, kto uważa się za boga kaca, a połowa moich magów stara się jakoś pocieszyć Wrózkę Radości. Myśleliśmy, że coś się stało z Wiedźmikołajem. Mieliśmy rację, prawda?

– HEX miał rację, nadrektorze – poprawił go Myślak.

HEX? CO TO JEST HEX?

– No... HEX myśli... to znaczy obliczył... że ostatnio nastąpiła znacząca przemiana natury wierzeń – wyjaśnił Myślak. Czuł, choć nie wiedział dlaczego, że Śmierć raczej nie będzie przychylnie nastawiony do martwych obiektów, które myślą.

PAN HEX ROZUMOWAŁ WYJĄTKOWO TRAFNIE. WIEDŹMIKOŁAJ JEST... Śmierć zastanowił się. NIE MA NA TO ODPOWIEDNIEGO LUDZKIEGO SŁOWA. MARTWY, W PEWNYM SENSIE. ALE NIEDOKŁADNIE... BOGA NIE DA SIĘ ZABIĆ. NIGDY CAŁKOWICIE. ZOSTAŁ, TAK TO NAZWIJMY, ZNACZĄCO ZREDUKOWANY.

– Na bogów! – zawołał Ridcully. – A kto chciałby zabić staruszka?

MA SWOICH WROGÓW.

– Co takiego zrobił? Pomiął jakiś komin?

KAŻDA ŻYWA ISTOTA MA WROGÓW.

– Jak to? Każda?

TAK. WSZYSTKIE. POTĘŻNYCH WROGÓW. ALE TYM RAZEM
POSUNĘLI SIĘ ZA DALEKO. WYKORZYSTUJĄ LUDZI.

– Kto taki?

CI, KTÓRZY UWAŻAJĄ, ŻE WSZECHŚWIAT POWINIEN BYĆ
MASĄ SKAŁ PORUSZAJĄCYCH SIĘ WKOŁO. CZY SŁYSZELIŚCIE O
AUDYTORACH?

– Kwestor mógł słyszeć...

NIE AUDYTORACH FINANSÓW. AUDYTORACH
RZECZYWISTOŚCI. WEDŁUG NICH ŻYCIE JEST SKAZĄ NA
WSZECHŚWIECIE. ZARAŻĄ. NIEPORZĄDKIEM. WCHODZI W
DROGĘ.

– W drogę czego?

SPRAWNEGO KIEROWANIA WSZECHŚWIATEM.

– Myślałem, że jest kierowany dla nas... Właściwie to dla profesora
antropii stosowanej, ale pozwala nam się ze sobą zabrać. – Ridcully
poskrobał się po brodzie. – Chociaż, kiedy się zastanowić, z pewnością
mógłbym prowadzić znacznie lepszy uniwersytet, gdyby nie ci przekłeci
studenci, którzy bez przerwy płaczą się pod nogami.

OTÓŻ TO.

– I oni chcą się nas pozbyć?

CHCĄ, ŻEBYŚCIE BYLI... MNIEJ... DO LICHA, ZAPOMNIAŁEM
SŁOWA. NIETRZYMAJĄCY SIĘ PRAWDY? WIEDŹMIKOŁAJ JEST
TEGO SYMBOLEM... Śmierć pstryknął palcami, aż echa odbiły się od

murów. TĘSKNIĄCY DO KŁAMSTWA?

– Nie trzymamy się prawdy? Ja przecież jestem tak szczery, jak dzień jest długi! Tak? O co znowu chodzi?

Myślak, który pociągnął go za szatę, teraz wyszeptał mu do ucha kilka słów. Ridcully odchrząknął.

– Przypomniano mi, że mamy dziś najkrótszy dzień roku – powiedział. – Jednakże nie podważa to tezy, którą przed chwilą wygłosiłem, choć dziękuję swojemu koledze za jego nieocenioną pomoc i stałą gotowość korygowania drobnych, jeśli nie wręcz trywialnych pomyłek. Jestem niezwykle prawdomównym człowiekiem, zapewniam. Wypowiedzi na senacie uniwersytetu się nie liczą.

CHODZI MI O LUDZKOŚĆ JAKO CAŁOŚĆ. EHM... AKT MÓWIENIA WSZECHŚWIATOWI, ŻE JEST INNY, NIŻ JEST?

– Tutaj mnie masz. Ale właściwie dlaczego ty przejąłeś tę robotę?

KTOŚ MUSI. TO SPRAWA NAJWYŻSZEJ WAGI. ON MUSI BYĆ WIDZIANY I LUDZIE MUSZĄ W NIEGO WIERZYĆ. PRZED ŚWITEM MUSI ZAISTNIEĆ DOŚĆ WIARY W WIEDŹMIKOŁAJA.

– Dlaczego? – zdziwił się Ridcully.

ŻEBY WZESZŁO SŁOŃCE.

Obaj magowie patrzyli na niego, nie rozumiejąc.

NIECZĘSTO ŻARTUJĘ, zapewnił Śmierć.

W tej właśnie chwili rozległ się krzyk grozy.

– To kwestor – stwierdził Ridcully. – A tak dobrze sobie radził...

Przyczyna wrzasku kwestora leżała na podłodze w jego sypialni.

Był nią człowiek. Martwy. Nikt żywy nie mógłby mieć takiego wyrazu twarzy.

Niektórzy magowie dotarli tu wcześniej. Ridcully precisiwał się między nimi.

– Na bogów! – wykrzyknął. – Co za twarz! Wygląda, jakby umarł ze strachu. Co się stało?

– No więc – zabrał głos dziekan – o ile wiem, kwestor otworzył szafę i znalazł w środku człowieka.

– Doprawdy? Nie sądziłem, że nasz biedny stary kwestor jest aż tak przerażający.

– Nie, nadrektorze. To już był trup. Wypadł na niego. Kwestor stał w kącie ze swą zwykłą, dobrze znaną miną dobrodusznego szoku.

– Dobrze się czujesz, przyjacielu? – zapytał troskliwie Ridcully. – Ile to będzie jedenaście procent z tysiąca dwustu siedemdziesięciu sześciu?

– Sto czterdzieści przecinek trzy sześć – odpowiedział natychmiast kwestor.

– No tak, wszystko w porządku.

– Nie rozumiem dlaczego – wtrącił kierownik studiów nieokreślonych. – To, że radzi sobie z liczbami, nie znaczy jeszcze, że wszystko inne jest jak trzeba.

– Nie musi – odparł Ridcully. – Ma się zajmować liczbami. Biedaczysko może być trochę szurnięty, ale czytałem już o takich. Nazywają się sekundanci.

– Sawanci – poprawił go dziekan cierpliwie. – To słowo brzmi „sawanci”, Ridcully.

– Wszystko jedno. Tacy, co potrafią powiedzieć, jaki był dzień tygodnia pierwszego grune’a sto lat temu...

– Wtorek – wtrącił kwestor.

– ...ale nie potrafią sobie zawiązać sznurówek. Co robił ten trup w szafie? I niech nikt nie próbuje nawet mówić „Niewiele” czy czegoś równie niesmacznego. Nie mieliśmy tu trupa w szafie od tej historii z nadrektorem Buckleby.

– Wszyscy Buckleby’ego ostrzegaliśmy, że zamek za ciężko chodzi – przypomniał dziekan.

– A tak z ciekawości, po co kwestor bawił się z szafą o tej porze? – zainteresował się Ridcully.

Magowie się zmieszali.

– My... graliśmy w sardynki, nadrektorze – wyjaśnił dziekan.

– Co to takiego?

– To tak jak w chowanego, ale kiedy się kogoś znajdzie, trzeba się wcisnąć obok niego.

– Chcę mieć pewność, że dobrze zrozumiałem – rzekł Ridcully. – Moi najstarsi magowie spędzali wieczór na zabawie w chowanego?

– Ale nie cały wieczór – zapewnił kierownik studiów nieokreślonych. – Dość długo graliśmy też w „Idź za babcią” i w zgadywanki. Dopóki pierwszy prymus nie zrobił sceny, bo nie chcieliśmy się zgodzić, żeby żyrandol pisał się przez rz.

– Zabawy towarzyskie? Wy?!

Dziekan zbliżył się dyskretnie.

– Chodzi o pannę Smith – szepnął. – Kiedy nie chcemy brać udziału, wybucha płaczem.

– Kto to jest panna Smith?

– Wróżka Radości – wyjaśnił ponuro wykładowca run współczesnych. – Jeśli człowiek nie godzi się na wszystko, warga jej drży jak miska galaretki. To nie do wytrzymania.

– Bawiliśmy się, żeby przestała płakać – dodał dziekan. – Zadziwiające, jak jedna kobieta może mieć w sobie tyle wilgoci.

– Kiedy nie jesteśmy weseli, zalewa się łzami – ciągnął kierownik studiów nieokreślonych. – Pierwszy prymus właśnie dla niej żongluje.

– Przecież nie umie żonglować!

– Wydaje mi się, że to ją trochę pociesza.

– Chcecie mi powiedzieć, że moi magowie paradują w kółko i bawią się w dziecięce gry, żeby pocieszyć jakąś przygnębianą wróżkę?

– No... tak.

– Myślałem, że wystarczy klasnąć w ręce i powiedzieć, że się w nie wierzy. Poprawcie mnie, gdybym się mylił.

– To działa tylko na te małe i błyszczące – wyjaśnił wykładowca run współczesnych. – Nie na takie w obwisłych swetrach, z upchniętą w rękawie masą chusteczek do nosa.

Nadrektor raz jeszcze przyjrzał się zwłokom.

– Ktoś poznaje tego typu? Wygląda mi na opryszka. I gdzie są jego buty, jeśli wolno spytać?

Dzekan wyjął z kieszeni szklaną kostkę i przesunął nią nad ciałem.

– Mam dość wysoki odczyt thaumiczny, panowie – oznajmił. – Sądzę, że dostał się tu drogą magiczną.

Przeszukał kieszenie trupa. W jednej znalazł garść niedużych białych obiektów.

– Błeee – powiedział.

– Zęby? – zdziwił się Ridcully. – Kto chodzi z kieszeniami pełnymi zębów?

– Bardzo marny bokser? – zgadywał kierownik studiów nieokreślonych. – Sprowadzę Moda, żeby wyniósł tego biedaka, dobrze?

– Jeśli uzyskaliśmy odczyt na thaumometrze, może HEX... – zaczął nadrektor.

– Daj spokój, Ridcully – zaprotestował dziekan. – Naprawdę muszą istnieć jakieś problemy, które można rozwiązać, nie pytając tego przekłętego myślącego młyna.

Śmierć przyjrzał się HEX-owi.

MASZYNA DO MYŚLENIA?

– Eee... Tak, proszę pana – potwierdził Myślak Stibbons. – Widzi pan, kiedy pan wspomniał... bo HEX wierzy praktycznie we wszystko... ale przecież słońce wszędzie, prawda? To jego praca.

ZOSTAW NAS.

Myślak cofnął się do drzwi i wybiegł z sali.

Mrówki sunęły rurami. Wirowały koła zębate. Wielki krąg z pustymi ramkami obrazów kręcił się powoli i zgrzytał. Gdzieś we wnętrzu mechanizmu piszczała mysz.

NO? – powiedział Śmierć.

Po chwili pióro zaczęło pisać.

+++ Czas Wielkiej Czerwonej Dźwigni +++ Pytanie +++

NIE. MÓWIĄ, ŻE JESTEŚ MYŚLICIELEM. ROZWIŃ LOGICZNIE REZULTAT UTRATY PRZEZ RASĘ LUDZKĄ WIARY W WIEDŹMIKOŁAJA. CZY SŁOŃCE WZEJDZIE? ODPOWIEDZ.

Trwało to kilka minut. Kręciły się koła. Biegały mrówki. Piszcząca mysz. Klepsydra zjechała na sprężynie, kołysała się bezsensownie przez jakiś czas, po czym znowu zniknęła w górze.

HEX napisał: +++ Słońce Nie Wzejdzie +++

POPRAWNIE. JAK MOŻNA TEMU ZAPOBIEC? ODPOWIEDZ.

+++ Regularna I Konsekwentna Wiara +++

DOBRCZE. MAM DLA CIEBIE ZADANIE, MASZYNO MYŚLĄCA.

+++ Tak. Przygotowuję Obszar Pamięci Tylko-Do-Zapisu +++

CO TO TAKIEGO?

+++ Ty Byś Powiedział: Być Pewnym Do Szpiku Kości +++

DOBRCZE. OTO TWOJA INSTRUKCJA. WIERZ W WIEDŹMIKOŁAJA.

+++ Tak +++

CZY WIERZYSZ? ODPOWIEDZ.

+++ Tak +++

CZY... W NIEGO... WIERZYSZ? ODPOWIEDZ.

+++ **TAK** +++

Nastąpiła zmiana w nierówno skleconym stosie rur i rurek, który był HEX-em. Wielkie koło ustawiło się w nowej pozycji. Zza ściany dobiegło brzęczenie zapracowanych pszczoł.

DOBRZE.

Śmierć odwrócił się i chciał wyjść, ale przystanął, gdy HEX zaczął pisać gorączkowo. Wrócił i spojrzał na wysuwający się spod pióra papier.

+++ Kochany Wiedźmikołaju, Na Strzeżenie Wiedźm Chciałbym...

OCH, NIE! NIE MOŻESZ PISAĆ LISTÓW... Śmierć urwał na moment, nim dokończył: MOŻESZ. PRAWDA?

+++Jestem Uprawniony +++

Śmierć zaczekał, aż pióro przestanie się ruszać, i podniósł wstęgę papieru.

PRZECIEŻ JESTEŚ MASZYNĄ. PRZEDMIOTY NIE MAJĄ ŻADNYCH PRAGNIENÍ. KLAMKA NIE CHCE NICZEGO, CHOĆ TO ZŁOŻONY MECHANIZM.

+++ Wszystko Do Czegoś Dąży +++

COŚ W TYM JEST, przyznał Śmierć. Pomyślał o drobnych czerwonych płatkach w czarnej głębi i przeczytał listę do samego końca.

NIE WIEM, CZYM JEST WIĘKSZOŚĆ TYCH RZECZY NIE SĄDZĘ, ŻEBY WIEDZIAŁ WOREK.

+++ Żałuję +++

ALE ZROBIMY, CO SIĘ DA. SZCZERZE POWIEM, ŻE BĘDĘ ZADOWOLONY, KIEDY TEN WIECZÓR SIĘ SKOŃCZY. O WIELE TRUDNIEJ JEST DAWAĆ NIŻ DOSTAWAĆ. Sięgnął do worka. POMYŚLMY.. ILE MASZ LAT?

Susan skradała się po schodach z dłonią na rękojeści miecza. Myślał Stibbons zaniepokoił się, odkrywszy, że – jako mag – czeka na przybycie Wiedźmikołaja. Zadziwiające, w jaki sposób ludzie definiują swoje role, jak nakładają kajdanki na realne doświadczenia i są bezustannie zaskakiwani

tym, co wypada dla nich na ruletce wszechświata. Oto ja, mówią, zwykły hurtowy sprzedawca ryb, siedzę za sterami wielkiego odrzutowca, ponieważ okazuje się, że cała załoga jadła kurczaka w sosie curry. Kto by pomyślał? Oto ja, gospodyni domowa, która tylko wyszła rano, by wpłacić do banku wpływy z wyprzedaży organizowanej przez komitet rodzicielski przedszkola, uciekłam ze skradzionym milionem w gotówce i przystojnym mężczyzną z Organizacji Wyzwolenia Kurcząt Hodowlanych. Nie do wiary! Oto ja, całkiem zwyczajny hokeista, nagle uświadamiam sobie, że jestem Synem Bożym z pięciuset oddanymi wyznawcami w miłej, niewielkiej komunie w Strefie Rozwoju Społeczności w południowej Kalifornii. Niesamowite!

Oto ja, myślała Susan, praktyczna i rozsądna guwernantka, która potrafi dodawać liczby zapisane do góry nogami szybciej, niż większość ludzi normalne, wspinałam się po schodach w zębokształtnej wieży należącej do Wróżki Zębuszki, uzbrojona w miecz należący do Śmierci...

Znowu! Chciałabym, żeby chociaż miesiąc, jeden nędzny miesiąc mógł przeminąć i nie przytrafiło mi się coś takiego.

Słyszała nad sobą głosy. Jeden z nich mówił coś o zamku.

Wyjrzała ponad krawędź schodów.

Wyglądało, jakby ktoś tam obozował. Na podłodze leżały śpiwory, stały jakieś pudła. Dwóch ludzi siedziało na skrzynkach i obserwowało trzeciego, który pracował przy drzwiach w zaokrąglonej ścianie. Jeden z tej dwójki był największym mężczyzną, jakiego Susan w życiu widziała – jednym z tych tłustych wielkoludów, którzy potrafią jakoś zasugerować, że duża część tłuszczu pod bezkształtnym ubraniem to mięśnie. Ten drugi...

– Witam – odezwał się miły głos za jej uchem. – Jak ci na imię?

Zmusiła się, by powoli odwrócić głowę.

Najpierw zobaczyła szare, połyskujące oko. Potem w polu widzenia pojawiło się drugie, bladożółte, z maleńką kropką źrenicy.

Otaczała je przyjazna, różowa twarz zwieńczona kędzierzawą czupryną.

Była całkiem ładna, w chłopięcym stylu – tylko te patrzące z niej niedopasowane oczy sprawiały wrażenie, że została skradziona komuś innemu.

Susan poruszyła ręką, ale chłopak był szybszy i zerwał jej z pasa pochwę z mieczem.

– Ach, ach! – zakpił, odwrócił się i odepchnął jej rękę, kiedy usiłowała mu ją odebrać. – No, no. Coś podobnego. Biała rękojeść z kości, mało gustowna dekoracja z motywem czaszki i pieszczeli... Druga ulubiona broń samego Śmierci, nieprawdaż? Coś takiego! To chyba Strzeżenie Wiedźm! A to oznacza, że jesteś Susan Sto-Helit. Arystokratka. Pokłoniłbym się... – dodał, odstępując tanecznym krokiem – ale boję się, że zrobiłabyś wtedy coś okropnego...

Szczęknięło i mag przy drzwiach syknął z podniecenia.

– Tak! – zawołał. – Tak! Lewą ręką, używając drewnianego wytrycha! To proste!

Zauważył, że nawet Susan na niego patrzy. Odchrząknął z zakłopotaniem.

– No więc... otworzyłem piąty zamek, panie Herbatka! Żaden problem! Opierają się na Sekwencji Okultystycznej Woddeleya! Każdy dureń sobie poradzi, jeśli ją zna!

– Ja znam – rzucił Herbatka, nie odrywając wzroku od Susan.

– Aha...

Formalnie nie było to możliwe, ale Susan niemal słyszała tupanie, gdy umysł maga cofał się nerwowo. Przed nim bowiem wznosiła się konkluzja, że Herbatka nie ma czasu dla ludzi, których nie potrzebuje.

– ...Z pewnymi... inter... esującymi subtelnościami – powiedział mag. – Tak. Bardzo skomplikowanymi. To może, tego, obejrzę teraz numer sześć.

– Skąd wiesz, kim jestem? – zapytała Susan.

– To łatwe – odparł Herbatka. – „Herbarz Niemóznego”. Rodowa dewiza: *Non temetis messor*. Musieliśmy to czytać. Wiesz, jako lekturę. Ha, stary Mercier nazywał go „przewodnikiem po terenach złotonośnych”. Nikt się nie śmiał prócz niego, naturalnie. Tak, wiem o tobie sporo. Całkiem sporo. Twój ojciec był dobrze znany. Bardzo szybko dotarł bardzo wysoko. Co do dziadka... Prawdę mówiąc, ta wasza dewiza... Czy to w dobrym guście? Oczywiście, ty nie musisz się go obawiać, prawda? A może?

Susan próbowała zniknąć. Nie udało się. Czuła, że ciągle pozostaje krępująco widoczna.

– Nie wiem, o czym mówisz – oświadczyła. – A w ogóle to kim jesteś?

– Proszę o wybaczenie. Nazywam się Herbatka, Jonathan Herbatka. Do usług.

Susan ustawiła w myślach ciąg sylab.

– Znaczy... Taka około czwartej po południu?

– Nie. Powiedziałem Herr-bat-ká. Mówiłem bardzo wyraźnie. Proszę, nie staraj się rozproszyć mojej uwagi, próbując mnie zirytować. Irytują mnie tylko rzeczy ważne. Jak panu idzie, panie Sideney? Jeśli to działa według ciągu Woddeleya, numer sześć powinna otwierać miedź i błękitnozielone światło. Chyba że, naturalnie, wystąpią jakieś... subtelności...

– Właśnie próbuję, panie Herbatka.

– Czy myślisz, że dziadek spróbuje cię ratować? Tak sądzisz? Ale teraz, widzisz, mam jego miecz. Zastanawiam się...

Znów coś szcękneło.

– Szósty zamek, panie Herbatka!

– Doprawdy?

– Nie chce pan, żebym zaczął pracę z siódmym?

– Jeśli ma pan ochotę... Kluczem będzie czyste białe światło. – Herbatka ciągle wpatrywał się w Susan. – Ale to może już nie być takie ważne. W każdym razie dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

– Eee...

– Tak, może pan iść.

Susan zauważyła, że Sideney nie tracił czasu, by zebrać swoje narzędzia i książki, ale pognął schodami w dół – jakby spodziewał się, że zawołają go z powrotem, więc usiłował biec prędzej niż dźwięk.

– Czy tylko po to przyszedłeś? – spytała. – Żeby kraść?

Ubrany był w końcu jak skrytobójca, a istniał przecież niezawodny sposób zdenerwowania każdego skrytobójcy.

– Jak złodziej?

Herkatka zatańczył z irytacją.

– Złodziej? Ja? Nie jestem złodziejem, panienko. A gdyby nawet, byłbym takim, który kradnie bogom ogień.

– Ale my już mamy ogień.

– Do tej pory na pewno powstała nowa wersja. Nie. Ci panowie natomiast to faktycznie złodzieje. Zwykli rabusie. Porządni ludzie, choć może niekoniecznie chciałabyś patrzeć, jak jedzą. Tamten to Średni Dave, a eksponat B to Banjo. Umie mówić.

Średni Dave skinął Susan głową. Dostrzegła jego spojrzenie. Może jest w nim coś, co zdoła wykorzystać...

Czegoś potrzebowała. Nawet włosy miała w nieładzie. Nie potrafiła odstąpić poza czas, nie potrafiła wtopić się w tło, a teraz nawet włosy ją zawiodły.

Była normalna. Tutaj, w tym miejscu, stała się tym, czym zawsze

pragnęła.

Niech to demony! Niech to...

Sideney modlił się w duchu, zbiegając po schodach. Nie wierzył w żadnych bogów, ponieważ większość magów zwykle nie chce ich zachęcać. Powtarzał jednak w myślach gorące modlitwy ateisty, który ma nadzieję, że jest w błędzie.

Nikt go nie zawołał z powrotem. Nikt za nim nie pobiegł.

Zatem, będąc człowiekiem rozsądnym, choć obecnie w stanie subkrytycznej trwogi, zwolnił – by się nie potknąć.

Wtedy właśnie zauważył, że stopnie pod nogami nie są już gładkie i białe, jak w całej wieży. Zmieniły się w wielkie, nierówne płyty. Zmieniło się również światło, a potem to już nie były schody; zachwiał się, natrafiając na płaski grunt w miejscu, gdzie spodziewał się stopni.

Wyciągnięta ręka napotkała pokruszoną cegłę.

Upiory przeszłości nadpłynęły i nagle wiedział, gdzie się znalazł. Był na dziedzińcu szkoły babuni Wimblestone. Matka chciała, żeby nauczył się liter i został magiem, ale uważała również, że u pięciolatka świetnie wyglądają długie loki.

Ten dziedziniec był terenem łowieckim Ronniego Jenksa.

Dorośla pamięć i rozum podpowiadały, że Ronnie był tylko mało inteligentnym i tępym siedmioletnim łobuzem z mięśniami zamiast mózgu. Oko dzieciństwa o wiele rozsądniej postrzegało go jako moc w rodzaju personifikacji trzęsienia ziemi, z jednym nozdrzem permanentnie zatkanym i zasmarkanym, odrapanymi kolanami, zaciśniętymi pięściami i wszystkimi pięcioma neuronami skoncentrowanymi na czymś podobnym do mózgowego stęknienia.

O, bogowie! Tam stoi drzewo, za którym Ronnie zwykle się chował.

Wydawało się tak samo wielkie i groźne jak wtedy.

Ale... jeśli nawet znowu tu trafił, bogowie wiedzą jak, no cóż, może i jest dość chudy, ale przecież i tak o wiele większy niż tamten Ronnie Jenks. Na bogów, tak! Skopie mu tyłek...

Cień przesłonił słońce i Sideney uświadomił sobie, że nosi loki.

Herbatka popatrzył na drzwi.

– Chyba powinienem je otworzyć. Skoro dotarłem aż tutaj...

– Masz władzę nad dziećmi, bo masz ich zęby – stwierdziła Susan.

– Dziwnie brzmi, kiedy tak to ujmujesz. Taka już jest współczulna magia. Myślisz, że twój dziadek spróbuje cię uratować? Ale nie, chyba nie może... Nie tutaj. Wydaje mi się, że nie zdołałby się tu dostać. Dlatego wysłał ciebie, prawda?

– Ależ skąd! On nawet... – Susan urwała nagle. Owszem, wysłał, powiedziała sobie, czując się jak idiotka. Oczywiście. Sporo się nauczył o ludziach, trzeba przyznać. Jak na chodzący szkielet, potrafi być bardzo sprytny...

A jak sprytny jest Herbatka? Trochę za bardzo się podnieca swoim sprytem, by zdać sobie sprawę, że jeśli Śmierć... Spróbowała natychmiast usunąć tę myśl, żeby Herbatka nic nie wyczytał z jej oczu.

– Chyba nie będzie próbował – powiedziała. – Nie jest taki sprytny jak pan, panie Herbatka.

– Herr-bat-ká – poprawił ją odruchowo. – Szkoda.

– Myślisz, że ujdzie ci to na sucho?

– Ależ moja droga... Ludzie naprawdę tak mówią? – I nagle Herbatka znalazł się o wiele bliżej. – Już mi to uszło. Nie ma Wiedźmikołaja. A to

dopiero początek. Oczywiście, nadal będziemy tu dostarczać zęby. Możliwości...

Rozległ się łoskot, jakby gdzieś daleko ruszała lawina. Uśpiony Banjo przebudził się, wzbudzając drżenia na dolnych zboczach. Jego ogromne dłonie, dotąd spoczywające na kolanach, zaczęły się zaciskać.

– Co to znaczy? – spytał.

Herbatka znieruchomiał na chwilę, zaskoczony.

– Co to znaczy co?

– Powiedział żeś, że nie ma Wiedźmikołaja. – Banjo powstał niby górski łańcuch wypychany łagodnie między dwoma płytami kontynentalnymi. Dłonie pozostały w okolicach kolan.

Herbatka przyjrzał mu się, po czym zerknął na Średniego Dave’a.

– On wie, co tu robimy, prawda? Powiedziałeś mu?

Średni Dave wzruszył ramionami.

– Przecie musi być Wiedźmikołaj – oznajmił Banjo. – Zawsze jest Wiedźmikołaj.

Susan spojrzała pod nogi. Szare plamy mknęły przez biały marmur. Stała w kałuży szarości. Banjo też. Wokół Herbatki plamki przyskakiwały i odbijały się jak pszczoły od słoika dżemu.

Szukają czegoś, pomyślała.

– Chyba nie wierzysz w Wiedźmikołaja, co? – spytał Herbatka. – Taki duży chłopak jak ty...

– Wierzę – zapewnił Banjo. – I o co chodzi z tym „nie ma Wiedźmikołaja”?

Herbatka wskazał Susan.

– To jej вина – oświadczył. – Ona go zabiła.

Ten podwórkowy tupet ją zaszokował.

– Wcale nie – zaprotestowała. – On...

– Zabiła!

– Wcale nie!

– Tak!

Banjo zwrócił ku niej wielką łysą głowę.

– Co z Wiedźmikołajem?

– Nie przypuszczam, żeby był martwy. Ale Herbatka bardzo mu zaszkodził...

– A kogo to obchodzi? – Herbatka odtańczył kilka kroków. – Kiedy to wszystko się skończy, Banjo, będziesz miał tyle prezentów, ile zechcesz. Zaufaj mi!

– Musi być Wiedźmikołaj – zahuczał Banjo. – Bo nie będzie Strzeżenia Wiedźm.

– To tylko zwykły festiwal związany ze słońcem – tłumaczył Herbatka. – Przecież...

Średni Dave wstał. Oparł dłoń na rękojeści miecza.

– Odchodzimy, Herbatka – oznajmił. – Ja i Banjo odchodzimy. Nie podoba mi się to wszystko. Kradzież mi nie przeszkadza, ale to tutaj nie jest uczciwe. Banjo! Pójdiesz teraz ze mną.

– A co z Wiedźmikołajem? – pytał Banjo.

Herbatka wskazał Susan.

– Łap ją, Banjo! To jej wina!

Banjo zrobił kilka ciężkich kroków w stronę Susan, ale zaraz się zatrzymał.

– Nasza mama mówiła, że nie wolno bić dziewczyn. Ani ich ciągnąć za włosy...

Herbatka przewrócił zdrowym okiem. Wokół jego stóp szarość zdawała się wrzeć w kamieniu, podążając za nim przy każdym ruchu. Otaczała także nogi wielkoluda.

Sprawdza, pomyślała Susan. Szuka drogi wejścia.

– Chyba cię znam, Herbatka – powiedziała słodkim głosem, ze względu na wielkiego Banjo. – Byłeś tym obłąkanym dzieciakiem, którego wszyscy się bali, co?

– Banjo! – warknął skrytobójca. – Powiedziałem: łap ją...

– Nasza mama mówiła...

– Takim chichoczącym, nerwowym, którego nawet chuligani nie zaczepiali, bo dostawał szału, kopał i gryzł. Dzieciakiem, który nie widział różnicy między rzuceniem w kota kamieniem a podpaleniem mu sierści.

Z satysfakcją zauważyła, że patrzy na nią wściekle.

– Zamknij się – powiedział.

– Nikt nie chciał się z tobą bawić – ciągnęła. – Nie miałeś żadnych kolegów. Dzieci potrafią rozpoznać taki umysł jak twój, chociaż nie znają właściwych określeń...

– Kazałem ci się zamknąć! Bierz ją, Banjo!

Trafiła. Usłyszała coś w głosie Herbatki – ślad wibracji, której wcześniej nie było.

– Mały chłopczyk – mówiła dalej – który zagląda lalkom pod sukienki...

– Wcale nie!

Banjo się zaniepokoił.

– Nasza mama mówiła...

– Niech szlag trafi waszą mamę!

Zaszeleściła stal, gdy Średni Dave dobył miecza.

– Co powiedziałeś o naszej mamie? – syknął.

Teraz musi uważać na troje ludzi, pomyślała Susan.

– Założę się, że w ogóle nikt się nigdy z tobą nie bawił – powiedziała. – Założę się, że były sprawy, które musieli tuszować. Prawda?

– Banjo! Rób, co mówię! – wrzasnął Herbatka.

Ogromny mężczyzna znalazł się tuż obok. Widziała jego twarz wykrzywioną grymasem niezdecydowania. Potężne pięści zaciskały się i rozluźniały, a wargi poruszały bezgłośnie, gdy w głowie trwała zacięta dyskusja.

– Nasza... Nasza mama... Nasza mama mówiła...

Szare plamki popłynęły w kamieniu i utworzyły kałużę cienia, który mroczniał błyskawicznie. Wzniósł się ponad trójką mężczyzn i nabrał kształtu.

– Byłeś niegrzecznym chłopcem, mały łobuzie?

Ogromna kobieta pochyliła się nad nimi. W wielkiej dłoni ścisnęła wiązkę brzoźowych witek, grubą jak męskie ramię.

Warknęła.

Średni Dave spojrzał na gigantyczne oblicze mamy Lilywhite. Każdy por skóry był jak nisza. Każdy brunatny ząb jak nagrobek.

– Pozwoliłeś, żeby wpakował się w kłopoty, Davey? Tak było?

Cofał się krok za krokiem.

– Nie, mamoo... nie, mamoo...

– Trzeba ci spuścić lanie, Banjo? Znowu zaczepiałeś dziewczęta?

Banjo osunął się na kolana. Łzy spływały mu po twarzy.

– Przepraszam mamoo przepraszam przepraszam mamoo nie nieeeee mamoo przepraszam mamoo przepraszam przepraszam...

Kobieca postać znowu zwróciła się do Średniego Dave’a.

Miecz wypadł mu z dłoni. Twarz zdawała się rozpływać.

Wybuchnął płaczem.

– Nie mamoo nie mamoo nie mamoo nieeeeeeee mamoo...

Zabulgotał nagle i upadł, chwytając się za pierś. I zniknął.

Herbatka wybuchnął śmiechem.

Susan klepnęła go w ramię, a kiedy się odwracał, z całej siły uderzyła w twarz.

Przynajmniej taki miała plan. Ale on był szybszy i chwycił ją za przegub. Miała wrażenie, że uderzyła w żelazny pręt.

– O nie – powiedział. – Ze mną nie pójdzie tak łatwo.

Kątem oka Susan zauważyła, jak Banjo pełźnie po podłodze do miejsca, gdzie przed chwilą był jego brat. Mama Lilywhite zniknęła.

– To miejsce wdziera się do głowy, prawda? – rzekł Herbatka. – Grzebie w niej, żeby odkryć, jak sobie z tobą poradzić. No cóż, ja utrzymuję związek z wewnętrznym dzieckiem.

Sięgnął drugą ręką, chwycił ją za włosy i szarpnął w dół.

Krzyknęła.

– Poza tym to o wiele zabawniejsze – szepnął.

Poczuła, że jego chwyt słabnie. Usłyszała wilgotne plaśnięcie, jakby kawał mięsa uderzył o ladę – a potem Herbatka przefrunął obok niej, na wznak.

– Nie wolno ciągnąć dziewczyn za włosy – zahuczał Banjo. – To niegrzeczne.

Hербatka odbił się jak akrobata i odzyskał równowagę, oparty o poręcz.

Wtedy wyciągnął miecz.

Ostrze było niewidzialne w jasnym świetle w wieży.

– A więc to prawda, co opowiadają – rzekł. – Tak cienkie, że go nie widać. Naprawdę będę miał świetną zabawę. – Machnął w ich stronę. – Jaki lekki...

– Nie ośmielisz się go użyć. Mój dziadek przyjdzie po ciebie. – Susan ruszyła ku niemu.

Zauważyła, że drgnęło mu oko.

– Przychodzi po każdego. Ale ja będę przygotowany.

– Jest bardzo uparty – dodała Susan, już bliżej.

– Ach, jest w tym podobny do mnie.

– Możliwe, panie Herbatka.

Ciął mieczem. Nie miała nawet czasu, by się uchylić.

I nawet nie próbowała, kiedy machnął nim w drugą stronę.

– On tutaj nie działa – wyjaśniła, kiedy osłupiały wpatrywał się w broń. – Ostrze nie istnieje. Tu nie ma Śmierci!

Uderzyła go w twarz.

– Hej! – powiedziała wesoło. – Jestem wewnętrzną opiekunką.

Nie zadała ciosu. Wyciągnęła tylko rękę, dłonią naprzód, ujęła go pod brodę i uniosła, spychając tyłem za poręcz.

Wykręcił salto. Nie miała pojęcia, w jaki sposób. Zdołał jakoś znaleźć w powietrzu punkt oparcia.

Wolną dłonią chwycił jej rękę.

Czuła, że stopy odrywają się jej od podłogi i że przelatuje przez poręcz. Chwyciła ją drugą ręką – choć później zastanawiała się, czy to raczej poręcz jej nie chwyciła.

Herbatka wisiał na jej ręce i w zadumie spoglądał w górę. Zobaczyła, że chwyta rękojeść miecza w zęby, sięga do pasa...

Pytanie „Czy ten człowiek jest dostatecznie obłąkany, żeby próbować zabić kogoś, kto go trzyma?” zostało zadane i uzyskało odpowiedź bardzo, ale to bardzo szybko... Susan kopnęła mocno i trafiła skrytobójcę za uchem.

Materiał rękawa zaczął puszczać. Herbatka chciał poprawić chwyt, ale kopnęła go jeszcze raz. Sukienka się rozdarła. Przez jedną chwilę trzymał się pustki, a potem – wciąż z wyrazem twarzy człowieka, który usiłuje rozwiązać jakiś złożony problem – runął w dół, wirując, coraz mniejszy...

Trafił w stos zębów, rozsypując je na wszystkie strony. Podrygiwał jeszcze chwilę...

I zniknął.

Dłoń jak kiść bananów wciągnęła Susan z powrotem na podest.

– Można mieć kłopoty, jak się bije dziewczyny – oświadczył Banjo. – Nie ma takich zabaw z dziewczynami.

Coś szcęknięło za jego plecami.

Drzwi się otworzyły. Zimna biała mgła popłynęła nad podłogą.

– Nasza mama... – Banjo usiłował zrozumieć, co zaszło. – Nasza mama tu była...

– Tak – przyznała Susan.

– Ale to nie była nasza mama, bo naszą mamę żeśmy pochowali...

– Tak.

– Patrzyliśmy, jak zasypują grób i w ogóle.

– Tak – zgodziła się Susan i w myślach dodała: Na pewno patrzyliście.

– A gdzie się podział nasz Dave?

– On... odszedł, Banjo.

– W miłe miejsce? – zapytał z wahaniem.

Susan z ulgą powitała szansę, by powiedzieć prawdę, a w każdym razie nie całkiem skłamać.

– To możliwe.

– Lepsze niż tutaj?

– Nigdy nie wiadomo. Niektórzy twierdzą, że ma spore szanse.

Banjo skierował na nią swe świńskie oczka. I przez moment trzydziestopięcioletni mężczyzna spoglądał na nią zza różowej twarzy

pięciolatka.

– To dobrze – powiedział. – Będzie mógł znowu spotkać naszą mamę.

Tak długa rozmowa musiała go zmęczyć. Przygarbił się.

– Chcę do domu – oznajmił.

Popatrzyła na jego szeroką, zabrudzoną twarz, bezradnie wzruszyła ramionami, wyjęła z kieszeni chusteczkę i podsunęła mu do ust.

– Pośliń – poleciła.

Usłuchał. Przetarła chusteczką najgorsze fragmenty, po czym wcisnęła mu ją w rękę.

– Wydmuchaj nos – zaproponowała, po czym przezornie odchyliła się poza zasięg, dopóki nie ucichły echa podmuchu. – Możesz zatrzymać chusteczkę. Proszę – dodała z całkowitą szczerością. – A teraz popraw koszulę.

– Tak, psze pani.

– Dobrze. Zejdiesz na dół i wymieciesz wszystkie zęby z kręgu. Dasz sobie radę?

Banjo skinął głową.

– Z czym sobie dasz radę? – zapytała na wszelki wypadek Susan.

Banjo skupił się.

– Wymiotę wszystkie zęby z kręgu, psze pani.

– Bardzo dobrze. No, ruszaj.

Popatrzyła, jak kołysze się ciężko na schodach, a potem zbliżyła się do białych drzwi. Była pewna, że mag dotarł tylko do szóstego zamka.

Pokój za drzwiami był całkiem biały, a kłębiąca się na poziomie kolan mgła tłumiła odgłos kroków.

Na środku stało łóżko. Wielkie, z czterema kolumnkami i baldachimem. Stare i zakurzone. Zdawało się, że jest puste, ale po chwili dostrzegła kogoś leżącego wśród stosów poduszek. Wyglądał jak krucha staruszka w czepku z koronkami.

Staruszka uniosła głowę i uśmiechnęła się do Susan.

– Witaj, kochanie.

Susan nie pamiętała swojej babci. Matka ojca umarła w młodym wieku, a druga gałąź rodziny... Cóż, nigdy nie miała babci. Ale taką właśnie chciałaby mieć.

Taką, wtrącił złośliwy i realistyczny fragment jej umysłu, która przecież nigdy nie istniała.

Susan zdawało się, że słyszy dziecięcy śmiech. I znowu. Gdzieś – niemal poza zasięgiem słuchu – bawiły się dzieci. Odgłosy takiej zabawy zawsze są miłe i kojące.

Pod warunkiem, oczywiście, że nie słyszy się słów.

– Nie – stwierdziła Susan.

– Słucham, kochanie? – zdziwiła się staruszka.

– Nie jesteś Wrózką Zębuszką.

Niesamowite... Miała nawet pikowany pled...

– Ależ jestem nią, skarbie.

– Babciu, masz takie wielkie zęby... Bogowie, masz nawet szal, niewiarygodne.

– Nie rozumiem, złotko...

– Zapomniałaś o fotelu na biegunach – zauważyła Susan. – Zawsze myślałam, że powinien być fotel na biegunach...

Coś puknęło z tyłu, a potem usłyszała cichutkie „zgrzyt, zgrzyt!”. Nawet się nie obejrzała.

– Gdybyś dołączyła jeszcze kociaka bawiącego się kłębkami wełny, źle by się to dla ciebie skończyło – powiedziała surowo.

Chwyciła stojący przy łóżku lichtarz. Wydawał się dostatecznie ciężki.

– Nie wydaje mi się, żebyś była prawdziwa – oświadczyła spokojnie. – To nie drobna staruszka z szalem kieruje tym przedsięwzięciem. Pochodzisz z mojej głowy. W taki sposób się bronisz: grzebiesz ludziom w umysłach i sprawdzasz, co na nich podział...

Machnęła lichtarzem. Przeniknął przez postać na łóżku.

– Widzisz? Nawet nie jesteś rzeczywista.

– Ależ jestem rzeczywista, moja droga – odparła staruszka. Jej sylwetka zmieniła się. – To lichtarz nie był prawdziwy.

Susan przyjrzała się nowej postaci.

– Nie – uznała. – Jest okropny, ale mnie nie przeraża. Nie, to też nie. – Istota na łóżku zmieniła się znowu. I znowu. – Nie, ani mój ojciec. Wielkie nieba, wykrobujesz już z samego dna, co? Lubię pająki. Węże mi nie przeszkadzają. Psy? Nie. Szczury są całkiem miłe; lubię szczury. Przepraszam, ale czy ktokolwiek przestraszyłby się... tego?

Chwyciła stwora i tym razem jego forma się nie zmieniła. Wyglądał jak mała, pomarszczona małpka, ale z wielkimi, smutnymi oczami pod czołem wysuniętym jak balkon. Sierść miał siwą i splątą. Szarpał się słabo w jej uchwycie i rzeził.

– Niełatwo wpadam w przerażenie – powiedziała. – Natomiast zdziwiłbyś się, jak łatwo wpadam w gniew.

Stwórz zwisł jej w dłoni.

– Ja... ja... – mamrotał.

Wypuściła go.

– Jesteś strachem, prawda?

Padł bezwładnie, gdy cofnęła rękę.

– Nie strachem... ale Strachem... Tym Strachem...

– Jak to „tym strachem”?

– Strachem... Przez duże S – odparł strach.

Zwróciła uwagę, jak bardzo jest wychudzony, jak gęsto na jego sierści widoczne są pasma siwizny i szarości, jak skóra napina się na kościach...

– Pierwszym strachem? – spytała.

– Pamiętam, kiedy ziemia była inna. Lód. Wiele czasów... lodu. I te... jak je nazywacie? – Stwór zakaszłał. – Ziemia, wielkie wyspy... całkiem inne...

Susan usiadła na łóżku.

– Chodzi ci o kontynenty?

– ...Całkiem inne. – Czarne, zapadnięte oczy błysnęły. Nagle stwór poderwał się i zamachał rękami. – Byłem ciemnością w jaskini! Byłem cieniem wśród drzew! Słyszałaś o... pierwotnym krzyku? To było... na mnie. Byłem... – Zgiął się wpół i zakrztusił. – A potem... to coś, no wiesz, ta rzecz... cała ciepła i jasna... błyskawica, którą możesz nosić ze sobą, gorąca, małe słońce... I wtedy nie było już ciemności, tylko cienie, a wy zaczęliście robić siekiery, siekiery w lasach, i wtedy... wtedy...

Susan przesunęła się trochę.

– Wciąż żyje wiele strachów – zauważyła.

– Chowają się pod łózkami! Kryją po szafach! Ale... – Z trudem łapał oddech. – Gdybyś mnie zobaczyła... za dawnych dni... kiedy przychodzili do głębokich jaskiń, żeby malować te swoje obrazki z łowów... Potrafiłem ryczeć w ich głowach... aż żołądki wypadały im z tyłków...

– Wszystkie dawne umiejętności zanikają – zgodziła się posępnie Susan.

– ...Inni przyszedli później... Nigdy nie znali tej pierwotnej, wspaniałej grozy. Znali tylko... – nawet szepcząc, strach zdołał wyrazić głosem drwinę – ...ciemne kąty. A ja byłem ciemnością! Byłem... pierwszy! A teraz stałem się taki jak oni... Mogłem nastraszyć pokojówkę, mogłem zwarzyć śmietanę... kryć się w cieniach pod koniec roku... Aż pewnej nocy pomyślałem... czemu?

Susan kiwnęła głową. Strachy nie były zbyt błyskotliwe. Moment egzystencjalnej niepewności trwał prawdopodobnie o wiele dłużej w głowach, gdzie komórki mózgowe odbijały się bardzo powoli z jednej strony czaszki na drugą. Ale... dziadek też myślał w taki sposób. Jeśli ktoś dostatecznie długo obraca się wśród ludzi, przestaje być taki, jakiego sobie go wyobrażają, a chce się stać kimś własnym.

Parasole i srebrne szczotki do włosów...

– Pomyślałeś: jaki to wszystko ma sens?

– ...Straszenie dzieci... czajenie się... I wtedy zacząłem je obserwować. Za czasów lodu właściwie nie było dzieci... tylko duzi ludzie i mali ludzie, nie dzieci... I... w ich głowach znalazłem całkiem inny świat... W ich głowach dawne czasy istniały teraz. Dawne dni. Kiedy wszystko było młode.

– Wyszedłeś spod łóżka...

– Opiekowałem się nimi... żeby były bezpieczne...

Susan udało się nie otrząsnąć.

– A zęby?

– Och, nie można zostawiać zębów, każdy mógłby je zabrać, robić straszne rzeczy. Lubiłem dzieci, nie chciałem, żeby ktoś coś im zrobił... –

bełkotał strach. – Nie chciałem ich krzywdzić. Patrzyłem tylko, pilnowałem tych zębów... i czasem po prostu siedzę sobie tutaj i słucham...

Mamrotał dalej. Susan słuchała z zakłopotaniem i zdumieniem, nie wiedząc, czy litować się nad stworem, czy – pojawiła się taka opcja – rozdeptać go.

– ...A zęby... one pamiętają... – Strach zaczął dygotać.

– Co z pieniędzmi? – zainteresowała się. – Nie widuje się zbyt wielu bogatych strachów.

– ...Pieniądze są wszędzie... zakopane w ziemi... dawne skarby... za kanapami... zbierałem je... inwestycje... pieniądze za zęby, bardzo ważne, część magii, tak jest bezpiecznie, tak jest uczciwie, inaczej to kradzież... Opisywałem zęby i trzymałem w bezpiecznym miejscu, i... A potem byłem już stary, ale znalazłem ludzi... – Wróżka Zębuszka parsknęła i przez moment Susan zrobiło się bardzo żal tych ludzi w prehistorycznych jaskiniach. – Nie zadają pytań, prawda? Dajesz im pieniądze, a oni wykonują swoją pracę i o nic nie pytają...

– To więcej, niż ta praca jest warta – stwierdziła.

– ...Aż kiedyś... przyszli oni... kraść...

Susan zrezygnowała. Dawni bogowie, nowe funkcje.

– Wyglądasz okropnie.

– Bardzo dziękuję.

– To znaczy na ciężko chorego.

– ...Bardzo stary... Wszyscy ci ludzie, duży wysiłek... – Strach jęknął. – ...Tutaj... nie umierasz... – wysapał. – Tylko się starzejesz, słuchając śmiechów...

Skinęła głową. Ten śmiech unosił się w powietrzu. Nie rozróżniała słów, tylko dalekie głosy, jakby z końca długiego korytarza.

– A to miejsce... wyrastało wokół mnie...

– Drzewa – powiedziała Susan. – I niebo. Z ich umysłów.

– ...Umieram... Dzieci... Musisz...

Stwór rozwiął się.

Susan siedziała przez chwilę nieruchomo, zasłuchana w dalekie głosy.

Świat wierzeń, myślała. Całkiem jak ostrygi. Jakiś śmieć wpada do środka, a potem wokół narasta perła.

Wstała i zeszła na dół.

Banjo znalazł gdzieś miotłę i mop. Krąg na podłodze był pusty, a on – dowodząc zaskakującej inicjatywy – starannie zmywał ślady kredy.

– Banjo...

– Tak, psze pani?

– Podoba ci się tutaj?

– Są drzewa, psze pani.

To chyba liczy się jako „tak”, uznała.

– Niebo ci nie przeszkadza?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie, psze pani.

– Umiesz liczyć, Banjo?

Zrobił dumną minę.

– Tak, psze pani. Na palcach.

– Czyli umiesz liczyć do...?

– Do trzynastu, psze pani – rzekł z satysfakcją.

Przyjrzała się jego wielkim dłoniom.

– Wielkie nieba...

Właściwie, pomyślała, dlaczego nie? Jest duży, można mu zaufać, a jakie inne życie go czeka?

– Wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyś przejął obowiązki Wróżki Zębuszki, Banjo.

– Ale czy tak można, psze pani? Czy Wróżka Zębuszka nie będzie zła?

– No to... Tylko dopóki nie wróci.

– Dobrze, psze pani.

– Ja, tego... przyślę kogoś, żeby się tobą zajął, dopóki się tu nie urządzisz. Myślę, że jedzenie dociera wozem. Nie pozwalaj ludziom się oszukiwać. – Znowu spojrzała na jego dłonie, potem wyżej, wzdłuż dolnych zboczy, aż zobaczyła szczyt Mount Banjo i dodała: – Chociaż nie sądzę, żeby próbowali.

– Tak, psze pani. Będę pilnował porządku, psze pani. I...

Szeroka, różowa twarz pochyliła się.

– Tak, Banjo?

– Czy mógłbym tu mieć pieska, psze pani? Miałem kiedyś kotka, ale nasza mama go utopiła, bo brudził.

Pamięć Susan podpowiedziała imię.

– Asa?

– Tak, psze pani. Asa, psze pani.

– Mylę, że pojawi się tu już wkrótce.

Zdawało się, że uwierzył jej bez zastrzeżeń.

– Dziękuję, psze pani.

– A teraz muszę już iść.

– Dobrze, psze pani.

Spojrzała jeszcze w górę wieży. Kraina Śmierci jest mroczna, owszem, ale kiedy człowiek tam trafi, nie pomyśli nawet, że może mu się przydarzyć coś złego. Znajduje się poza miejscami, gdzie to możliwe. Tutaj zaś...

Kiedy człowiek jest dorosły, obawia się tylko, no... rzeczy logicznych. Ubóstwa. Chorób. Że go wykryją. Ale nie szaleje ze zgrozy, ponieważ coś czai się pod schodami. Przestrzeni nie wypełniają całkowicie dowolne światła i cienie. Cudowny świat dzieciństwa? Na pewno nie jest przyciętą wersją świata dorosłych. Już raczej jest światem dorosłych wypisanym wielkimi, pogrubionymi literami. Wszystko w nim jest... bardziej. Bardziej wszystko.

Zostawiła Banjo zamiatającego podłogę i wyszła na niezmiennie słoneczny świat.

Bilious i Violet szli pospiesznie w jej stronę. O, bóg wymachiwał gałęzią jak maczugą.

– Nie będzie ci potrzebna – powiedziała Susan. Miała ochotę się przespać.

– Rozmawialiśmy o tym i uznaliśmy, że powinniśmy wrócić i pomóc – wyjaśnił Bilious.

– Aha. Demokratyczna odwaga. Ale oni wszyscy odeszli. Tam gdzie zwykle odchodzą.

O, bóg z ulgą opuścił gałąź.

– Nie na tym nam zależało... – zaczął.

– Słuchajcie, możecie się na coś przydać – przerwała mu Susan. – W środku jest straszny bałagan. Idźcie pomóc Banjo.

– Banjo?

– On... no, właściwie on tu teraz wszystkim kieruje.

Violet się zaśmiała.

– Przecież on...

– On tu kieruje – powtórzyła Susan ze znużeniem.

– Dobrze – zgodził się Bilious. – Zresztą na pewno możemy mu powiedzieć, co ma robić.

– Nie! Już zbyt wielu ludzi mówiło mu, co ma robić. On wie, co ma robić. Pomóżcie mu tylko wszystko rozkręcić, dobrze? Ale...

Jeśli Wiedźmikołaj wróci, ty znikniesz, prawda? Nie wiedziała, jak sformułować pytanie.

– Bo wiesz, ja... No, rzucam starą pracę – oświadczył o, bóg. – Tego... Mam zamiar... nadal pracować... jako wakacyjne zastępstwo dla innych bóstw... – Spojrzał na Susan błagalnie.

– Naprawdę?

Zerknęła na Violet. Właściwie... jeśli choć ona w niego uwierzy... może się udać. Nigdy nie wiadomo.

– To świetnie – rzekła. – Bawcie się dobrze. Ja wracam do domu. To nie był najlepszy sposób spędzania Strzeżenia Wiedźm.

Znalazła Pimpusia czekającego nad strumieniem.

Audytorzy trzepotali nerwowo. I jak zawsze się to dzieje w ich rasie,

kiedy coś pójdzie dramatycznie źle i wymaga natychmiastowej korekty, zajęli się szukaniem kogoś, na kogo można zrzucić winę.

Jeden powiedział, To był...

I przerwał. Audytorzy działają jednomyślnie, co sprawia, że wybranie kozła ofiarnego staje się nieco problematyczne. Rozpogodził się jednak. Przecież jeśli wina spada na wszystkich, nie można nikogo oskarżyć. Na tym właśnie polega odpowiedzialność zbiorowa. Niepowodzenie to raczej pech albo coś w tym rodzaju.

Inny powiedział, Niestety, ludzie mogą źle to zrozumieć. Mogą paść pytania.

Jeden powiedział, A co ze Śmiercią? Przecież się wtrącał.

Jeden powiedział, Właściwie to nie.

Jeden powiedział, Nie, no dajmy spokój. Przecież wciągnął w to dziewczynę.

Jeden powiedział, Eee... nie. Ona sama się wciągnęła.

Jeden powiedział, No ale przecież mówił jej...

Jeden powiedział, Nie. Nie mówił. Więcej nawet, specjalnie jej nie mówił...

Urwał na chwilę, po czym rzucił, Do licha!

Jeden powiedział, Z drugiej strony jednak...

Szaty zwróciły się w jego stronę.

Tak?

Jeden powiedział, Nie ma żadnych dowodów. Nic nie zostało zapisane. Jacyś ludzie w chwili szaleństwa próbowali zaatakować krainę Wróżki Zębuszki. To nieszczęśliwy przypadek, ale nie ma nic wspólnego z nami.

Jesteśmy wstrząśnięci, oczywiście.

Jeden powiedział, Nadal pozostaje Wiedźmikołaj. Sprawy będą zauważone. Padną pytania.

Przez chwilę unosili się w milczeniu.

W końcu jeden powiedział, Może trzeba będzie podjąć...

Przerwał, nie chcąc nawet pomyśleć tego słowa. Po chwili jednak zdołał dokończyć.

...ryzyko.

Łóżko, myślała Susan, gdy wokół kłębiły się mgły. A rankiem porządne, ludzkie rzeczy, takie jak kawa i owsianka. I łóżko. Prawdziwe rzeczy...

Pimpus się zatrzymał. Przez chwilę patrzyła na jego uszy, po czym ponagliła go do biegu. Zarżał, ale się nie ruszył.

Szkieletowa dłoń chwyciła uzdę. Śmierć zmaterializował się obok.

TO NIE KONIEC. TRZEBA DOKONAĆ CZEGOŚ WIĘCEJ. NADAL GO DRĘCZAĆ.

Susan przygarbiła się.

– Co takiego? Kto?

PRZESUŃ SIĘ. JA POPROWADZĘ. Śmierć wspiął się na siodło za Susan i sięgnął z boków po wodze.

– Posłuchaj, byłam...

TAK WIEM. KONTROLA WIERZEŃ, powiedział Śmierć, gdy koń znów ruszył naprzód. TYLKO BARDZO PROSTY UMYŚŁ MÓGŁ O TYM POMYŚLEĆ. MAGIA TAK STARA, ŻE WŁAŚCIWIE PRZESTAŁA BYĆ

MAGIĄ. JAKIŻ SPRYTNY SPOSÓB, ŻEBY SKŁONIĆ MILIONY DZIECI DO ZAPRZESTANIA WIARY W WIEDŹMIKOŁAJA.

– A co ty robiłeś? – dopytywała się Susan.

JA TAKŻE UCZYNIŁEM TO, CO ZAMIERZYŁEM. ZACHOWAŁEM MIEJSCE. MILIONY DYWANÓW ZE ŚLADAMI SADZY, MILIONY NAPEŁNIONYCH SKARPET, DACHY POZNACZONE PŁOZAMI... NIEWIARA BĘDZIE MIAŁA TRUDNE ZADANIE WOBEC TYCH FAKTÓW. ALBERT MÓWI, ŻE NA CAŁE DŁUGIE DNI MA DOSYĆ SHERRY. WIEDŹMIKOŁAJ BĘDZIE MIAŁ DO CZEGO WRACAĆ.

– A co ja mam teraz zrobić?

MUSISZ SPROWADZIĆ GO Z POWROTEM.

– Muszę? Dla pokoju, dobrej woli i dźwięku magicznych dzwonków? Kogo to obchodzi? To przecież tylko stary, gruby klaun, dzięki któremu ludzie w Strzeżenie Wiedźm czują się lepsi! Przeszłam to wszystko dla jakiegoś starucha, który łązi nocą po dziecięcych sypialniach?

NIE. ŻEBY WZESZŁO SŁOŃCE.

– A co astronomia ma wspólnego z Wiedźmikołajem?

DAWNI BOGOWIE OBEJMUJĄ NOWE FUNKCJE.

Pierwszy prymus nie brał udziału w bankiecie. Służąca przyniosła tacę do pokojów, gdzie Przyjmował Gościa i robił wszystko to, co robi mężczyzna, który nieoczekiwanie znajdzie się tęte-ń-tęte z płcią przeciwną. Na przykład usiłował wyglansować buty o spodnie i wyczyścić paznokcie innymi paznokciami.

– Jeszcze trochę wina, Gwendolino? Prawie nie zawiera alkoholu – proponował.

– Nie odmówię, panie Prymusie.

– Proszę mnie nazywać Horacym, naprawdę. A może odrobina czegoś dla twojej kury?

– Obawiam się, że gdzieś sobie poszła – stwierdziła Wróżka Radości. – Jestem chyba nieciekawym towarzystwem...

Hałaśliwie wytarła nos.

– Och, tego bym nie powiedział, nigdy w życiu – zapewnił pierwszy prymus.

Żałował, że nie miał więcej czasu, by sprzątnąć w pokoju, a przynajmniej usunąć pewne krępujące części garderoby z wypchanego nosorożca.

– Wszyscy są tacy mili... – Wróżka Radości otarła załzawione oczy. – Kto to był ten chudy, który stale robił do mnie śmieszne miny?

– To kwestor. Może...

– On przynajmniej wydawał się całkiem wesoły.

– To przez pigułki z suszonej żaby. Zjada je garściami – rzucił lekceważąco pierwszy prymus. – Mówilem, że może...

– Ojej... Mam nadzieję, że nie są uzależniające.

– Na pewno by ich tyle nie jadł, gdyby uzależniały. A teraz może wypijesz jeszcze kieliszek wina, a potem... potem... – Do głowy wpadła mu świetna myśl. – A potem może pokażę ci Pamiątkę Nadrektora Bowella? Ma bardzo... bardzo interesujące sklepienie. Słowo daję, tak.

– Będzie mi bardzo miło. Myślisz, że mnie to pocieszy?

– Och, mogłoby, mogłoby – uspokoił ją pierwszy prymus. – Na pewno! Doskonale. W takim razie, tego, pójdę i... pójdę i... – Wskazał drzwi garderoby. Przesępował nerwowo z nogi na nogę. – Pójdę i... i zaraz... tylko...

Wybiegł i zatrzasnął za sobą drzwi. Obląkanym wzrokiem zlustrował

półki i wieszaki.

– Czysta szata – mruczał do siebie. – Uczesać twarz, wyczyścić skarpetki, odświeżyć włosy, gdzie ten płyn zamiast golenia...

Z drugiej strony drzwi dobiegł zachwycający odgłos wycierania nosa. Z tej strony rozległ się stłumiony krzyk pierwszego prymusa, gdy – nieuważny w pośpiechu i obdarzony niezbyt czułym węchem – omyłkowo spryskał sobie twarz terpentyną, której używał do smarowania stóp.

Gdzieś w górze bardzo mały pulchny dzieciak z łukiem, strzałami i wręcz śmiesznie nieaerodynamicznymi skrzydełkami obijał się bezskutecznie o zamknięte okno, na którym szron kreślił sylwetkę pięknej aorientalnej damy. Drugie okno miało lodowy obrazek wazonu słoneczników.

W głównym holu stoły już się ugiwały. Jednym ze zwyczajów bankietu było, że choć podawano wiele dań, każdy mag jadł we własnym tempie. Tradycja ta powstała, by ci wolniejsi nie hamowali pozostałych. Poza tym mogli, jeśli chcieli, brać dokładki, więc gdy jakiś mag szczególnie lubił zupę, mógł jeść kolejne porcje przez godzinę, zanim rozpoczął wstępne etapy dań rybnych.

– Jak się teraz czujesz, kolego? – zapytał dziekan siedzący obok kwestora.
– Znowu na pigułkach z suszonej żaby?

– Ja, no, ja, no... nie jest tak źle – odparł kwestor. – Pewnie, to był taki dość, taki dość silny wstrząs, kiedy...

– To szkoda, bo mam dla ciebie strzeżeniowiedźmowy prezent. – Dziekan wręczył mu małą paczuszkę. Grzechotała. – Możesz go teraz otworzyć, jeśli chcesz.

– No... Jak miło...

– To ode mnie – zapewnił dziekan.

– Jaki piękny...

– Kupiłem go za własne pieniądze, rozumiesz. – Dziekan machnął nogą indyka.

– Bardzo ładnie zapakowany...

– Ponad dolara, muszę dodać.

– Coś takiego...

Kwestor zdjął ozdobny papier.

– To pudełko do trzymania pigułek z suszonej żaby – rzekł dziekan. – Widzisz? Ma na pokrywce napisane „Pigułki z suszonej żaby”.

Kwestor potrząsnął pudełkiem.

– Jak to miło – powiedział bez przekonania. – I nawet są już w środku pigułki. Bardzo przewidująco. Na pewno się przyda.

– Pewnie. Wziąłem je z twojej toaletki. I tak wydałem dolara, nawet bez nich.

Kwestor z wdzięcznością pokiwał głową i starannie ułożył pudełko obok talerza. Dziś wieczorem pozwolili mu używać noża. Dziś wieczorem pozwolili mu też jeść inne rzeczy niż te, które da się wyskrobać drewnianą łyżką.

Z nerwowym podnieceniem popatrzył na najbliższe pieczone prosię i stanowczym gestem umieścił pod szyją serwetkę.

– Przepraszam, panie Stibbons – odezwał się drżącym głosem. – Czy zechciałby pan podać mi sos jabłkowy...

Rozległ się dźwięk, jakby gdzieś w powietrzu darła się szorstka tkanina – a potem trzask, gdy coś wylądowało na pieczonym prosięciu. Pieczone ziemniaki i sos rozprysnęły się na wszystkie strony. Jabłko, które prosię trzymało w pysku, wystrzeliło gwałtownie i trafiło kwestora w czoło.

Kwestor zamrugał, spojrzał na stół i odkrył, że właśnie zamierzał wbić widelec w ludzką głowę.

– Aha – wymruczał i oczy mu się zaszklily.

Magowie odepchnęli na bok przewrócone półmiski i strzaskane talerze.

– Pojawił się w powietrzu!

– Czy to skrytobójca? Chyba nie żaden dowcip studentów?

– Dlaczego trzyma miecz bez tego ostrego kawałka?

– Nie żyje?

– Raczej nie!

– Nawet nie jadłem musu z łososia! Patrzcie tylko! Jego but wpadł do wazy! Mus się rozchlapał się po całym stole! Ktoś ma ochotę?

Myślak Stibbons przecisnął się przez tłum magów. Wiedział, jak zachowują się jego starsi koledzy, kiedy próbują udzielić pomocy. Byli jak szklanka wody dla tonącego.

– Dajcie mu powietrza!

– A skąd wiadomo, że go potrzebuje? – zapytał dziekan.

Myślak przyłożył ucho do piersi leżącego młodzieńca.

– Nie oddycha!

– Zakłęcie oddechowe, zakłęcie oddechowe... – mrucał kierownik studiów nieokreślonych. – Co by tu... Może Bezpośredni Respirator Spolta? Chyba miałem go gdzieś zapisany...

Ridcully sięgnął między magami i podniósł czarno odzianego człowieka za nogę. Przytrzymał go głową w dół i mocno trzepnął po plecach.

Zauważył ich zdumione spojrzenia.

– Tak to załatwialiśmy na farmie – wyjaśnił. – Doskonale działało na młode kozy.

– Nie, naprawdę... – powiedział dziekan. – Nie wydaje...

Ciało wydało z siebie dźwięk – coś pośredniego między dławieniem się a kaszlem.

– Zróbcie no trochę miejsca! – huknął nadrektor i jednym ruchem wolnej ręki oczyścił stół.

– Hej, nawet nie spróbowałem escoffé z krewetek! – poskarżył się wykładowca run współczesnych.

– A ja nawet nie wiedziałem, że je podali – odparł kierownik studiów nieokreślonych. – Ktoś, ale nikogo nie pokazuję palcem, dziekanie, wepchnął je za kraby, żeby zachować tylko dla siebie. Uważam, że to prymitywna zagrywka.

Herbatka otworzył oczy. Trzeba przyznać, że wykazał nadzwyczajne opanowanie, skoro przetrwało nawet widok nosa Ridcully'ego w wielkim zbliżeniu. Nos wypełniał najbliższe regiony wszechświata niby wielka różowa planeta.

– Przepraszam, bardzo przepraszam. – Myślak pochylił się z otwartym notesem w dłoni. – To niezwykle istotne dla rozwoju filozofii naturalnej. Czy widział pan jakieś jaskrawe światła? Czy pojawił się lśniący tunel? Czy jacyś zmarli krewni próbowali z panem rozmawiać? Jakie słowo najlepiej opisuje...

Ridcully odciągnął go na bok.

– O co tu chodzi, panie Stibbons?

– Naprawdę powinienem z nim porozmawiać, nadrektorze. Przetrwał incydent, w którym otarł się o śmierć.

– Jak my wszyscy. To się nazywa „życie” – rzucił krótko nadrektor. –

Proszę nalać temu biedakowi kieliszek czegoś mocniejszego. I niech pan odłoży ten przeklęty ołówek.

– Ehm... To musi być Niewidoczny Uniwersytet – odezwał się Herbatka.
– A wy wszyscy jesteście magami?

– Proszę leżeć spokojnie – polecił Ridcully, ale Herbatka uniósł się już na łokciach.

– Był tu miecz – wymamrotał.

– Był. Upadł na podłogę. – Dziekan schylił się. – Ale wygląda, jakby... Oj! Czy to ja zrobiłem?

Magowie patrzyli, jak przewraca się duży, zakrzywiony plaster stołu. Coś przecięło wszystko – drewno, materiał, talerze, sztucce, jedzenie. Dziekan przysiągłby, że świeca, która stała na drodze niewidzialnego ostrza, przez chwilę świeciła tylko połową płomienia, nim wreszcie knot uświadomił sobie, że nie jest to właściwe zachowanie.

Dziekan podniósł rękę. Magowie odskoczyli.

– Wygląda jak cienka niebieska linia w powietrzu – stwierdził zaniepokojony.

– Przepraszam pana. – Herbatka odebrał mu miecz. – Ale naprawdę muszę już iść.

Wybiegł z sali.

– Daleko nie zajdzie – stwierdził wykładowca run współczesnych. – Główne drzwi są zamknięte zgodnie z regułą nadrektora Spode’a.

– Daleko nie zajdzie, mając miecz, który najwyraźniej potrafi rozciąć wszystko? – upewnił się Ridcully do wtóru stukającego drewna.

– Ciekawe, o co w tym wszystkim chodziło – zastanowił się kierownik studiów nieokreślonych, po czym wrócił do resztek bankietu. – W każdym razie przynajmniej sztuka mięsa jest równo pokrojona...

– Bu-bu-bu...

Obejrzeni się wszyscy. Kwestor wyciągał przed siebie rękę. W jego dłoni błyszczała na magów powierzchnia rozciętego widelca.

– Dobrze wiedzieć, że jego nowy prezent się przydał – stwierdził dziekan.
– Liczy się pamięć.

Pod stołem Błękitna Kura Szczęścia ulżyła sobie na but kwestora.

SĄ... WROGOWIE, powiedział Śmierć, gdy Pimpuś galopował nad pokrytymi lodem górami.

– Oni wszyscy nie żyją...

INNI WROGOWIE. WŁAŚCIWIE MOŻESZ SIĘ TEGO DOWIEDZIEĆ. W NAJGŁĘBSZYCH KRAINACH MORZA, GDZIE NIE DOCIERA ŚWIATŁO, ISTNIEJE GATUNEK ISTOT NIE MAJĄCYCH ANI MÓZGU, ANI OCZU, ANI UST. NIE ROBIĄ NICZEGO, TYLKO ŻYJĄ I WYPUSZCZAJĄ PŁATKI DOSKONAŁEJ CZERWIENI TAM, GDZIE NIE MA NIKOGO, KTO BY JE ZOBACZYŁ. SĄ NICZYM, TYLKO MALEŃKIM „TAK” WŚRÓD NOCY. A JEDNAK.. A JEDNAK... ONE TEŻ MAJĄ WROGÓW, KTÓRZY KIERUJĄ KU NIM SWĄ WŚCIEKŁĄ, NIEUSTAJĄCĄ ZJADLIWOŚĆ, KTÓRZY CHCIELIBY NIE TYLKO, BY TO MALEŃKIE ŻYCIE USTAŁO, ALE ŻEBY GO NIGDY NIE BYŁO. NADAŻASZ ZA MNĄ DO TEJ PORY?

– No tak, ale...

DOBRZE. WIĘC WYOBRAŹ SOBIE, CO ONI MYŚLĄ O LUDZKOŚCI.

Susan była wstrząśnięta. Nigdy jeszcze nie słyszała, by dziadek mówił tonem innym niż całkowicie spokojny. Teraz w jego słowach pojawił się zgrzyt ostrza.

– Czym oni są? – spytała.

MUSIMY SIĘ SPIESZYĆ. NIE MAMY WIELE CZASU.

– Myślałam, że zawsze masz czas. To znaczy... Czemukolwiek chciałbyś zapobiec, możesz przecież cofnąć się w czasie i...

I WTRĄCIĆ SIĘ?

– Już to przecież robiłeś...

TYM RAZEM TO INNI SIĘ WTRĄCILI. A NIE MIELI PRAWA.

– Jacy inni?

NIE MAJĄ IMION. NAZYWAJ ICH AUDYTORAMI. KIERUJĄ WSZECHŚWIATEM. DBAJĄ O TO, BY DZIAŁAŁA GRAWITACJA, A ATOMY WIROWAŁY, CZY CO TAM ATOMY ROBIĄ. I NIENAWIDZĄ ŻYCIA.

– Dlaczego?

JEST... NIEREGULARNE. NIE POWINNO SIĘ ZDARZYĆ. ONI LUBIĄ TYLKO KAMIENIE PORUSZAJĄCE SIĘ PO OKRĘGACH. A NAJBARDZIEJ ZE WSZYSTKIEGO NIENAWIDZĄ LUDZI. Śmierć westchnął. POD WIELOMA WZGLĘDAMI BRAK IM POCZUCIA HUMORU.

– Ale czemu Wiedź...

TO RZECZY, W KTÓRE WIERZYSZ, CZYNIAĆ CIĘ CZŁOWIEKIEM. DOBRE RZECZY CZY ZŁE, NIE MA ZNACZENIA.

Mgły się rozstały. Wokół wyrastały białe szczyty rozjaśnione blaskiem śniegu.

– Wyglądają jak te góry, gdzie stał Zamek Kości – zauważyła.

BO TO ONE, przyznał Śmierć. W PEWNYM SENSIE. WRÓCIŁ DO MIEJSCA, KTÓRE ZNA. WCZESNEGO MIEJSCA...

Pimpuś kłusował nisko nad śniegiem.

– Czego szukamy? – zainteresowała się Susan.

BĘDZIESZ WIEDZIAŁA, KIEDY TO ZOBACZYSZ.

– Śniegu? Drzew? Możesz mi dać jakąś wskazówkę? Po co tu jesteśmy?

MÓWIŁEM JUŻ. MAMY ZADBAĆ, BY WZESZŁO SŁOŃCE.

– Oczywiście, że wszędzie słońce!

NIE.

– Żadna magia nie może powstrzymać wschodu słońca!

CHCIAŁBYM BYĆ TAKI MĄDRY JAK TY.

Susan z czystej irytacji popatrzyła w dół i zobaczyła coś.

Niewielkie ciemne kształty poruszały się po białej płaszczyźnie. Biegły, jakby coś ścigały.

– Tam... trwa jakaś pogoń – powiedziała. – Widzę jakieś zwierzęta, ale nie widzę, co gonią.

I wtedy dostrzegła ruch na śniegu, jakiś rozmazany cień uskakujący, ślizgający się, ani przez moment wyraźny. Mknący Pimpuś opadł niżej, aż kopytami muskał szczyty drzew, które pochylały się od podmuchu jego pędu. Grzmot ścigał go przez las, podrywał w powietrze opadłe gałęzie i kłęby śniegu.

Teraz, gdy byli niżej, mogła wyraźnie zobaczyć łowców. To były duże psy. Zwierzyna wciąż uciekała między zaspami, chowała się za ośnieżone krzaki...

Zaspa eksplodowała nagle. Coś wielkiego, długiego i błękitno-czarnego uniosło się wśród kurzawy niczym wieloryb.

– To świnia!

DZIK. ZAGANIAJĄ GO DO URWISKA. SĄ ZDESPEROWANI.

Słyszała dyszenie zwierzęcia. Psy nie wydawały żadnych odgłosów.

Krew spływała na śnieg z ran, które zdążyły już zadać.

– Ten... dzik... – odezwała się Susan. – To...

TAK.

– Chcą zabić Wiedź...

NIE ZABIĆ. ON WIE, JAK UMIERAĆ. O TAK.. W TEJ FORMIE POTRAFI GINAĆ. MA DUŻO DOŚWIADCZENIA. NIE, ONI CHCĄ MU ODEBRAĆ PRAWDZIWE ŻYCIE, ODEBRAĆ DUSZĘ, ODEBRAĆ WSZYSTKO. NIE WOLNO POZWOLIĆ, ŻEBY GO POWALILI.

– Więc ich powstrzymaj!

TY MUSISZ ICH POWSTRZYMAĆ. TO LUDZKA SPRAWA.

Psy biegły dość dziwacznie. Właściwie nie biegły, ale płynęły, pokonywały śnieżną równinę szybciej, niż sugerowałyby to ruchy ich łap.

– Nie wyglądają na zwykłe psy.

NIE.

– Co mogę zrobić?

Śmierć wskazał jej dzika. Pimpus zrównał się z nim, oddalony ledwie o kilka stóp.

Zrozumiała.

– Nie mogę na nim jechać!

DLACZEGO NIE? ODEBRAŁŚ WYKSZTAŁCENIE.

– Dostateczne, by wiedzieć, że dziki nie pozwalają ludziom się dosiadać!

ZWYKŁA AKUMULACJA DANYCH OBSERWACYJNYCH NIE STANOWI JESZCZE DOWODU.

Susan spojrzała przed siebie. Śnieżna równina wyglądała jak odcięta.

MUSISZ, odezwał się jej w myślach głos dziadka. KIEDY DOTRZE DO KRAWĘDZI, ZNAJDZIE SIĘ W PUŁAPCE. NIE MOŻNA DO TEGO DOPUŚCIĆ. ROZUMIESZ? TO NIE SĄ RZECZYWISTE PSY. JEŚLI GO DOPADNĄ, ON NIE TYLKO ZGINIE. JEGO... NIGDY NIE BĘDZIE...

Susan skoczyła. Przez moment płynęła w powietrzu, wyciągała ręce, suknia powiewała za nią...

Lądowanie na grzbiecie zwierza przypominało uderzenie w bardzo, bardzo twardy fotel. Dzik zachwiał się, ale natychmiast wyprostował.

Susan objęła go rękami za kark, zanurzając twarz w ostrą szczecinę. Czuła pod sobą ciepło. Miała wrażenie, że jedzie na piecu. Cuchnął potem, krwią i świnia. Wielką świnia.

A przed nią roztaczał się brak krajobrazu.

Dzik wrył się w śnieg na krawędzi urwiska, niemal zrzucając ją z grzbietu. I odwrócił się, by stanąć pyskiem w pysk z psami.

Było ich dużo. Susan знаła się na psach. Mieli je w domu, tak jak w innych rodzinach ludzie mieli dywany. Te tutaj nie należały do odmiany wielkiej i kudłatej.

Wbiła pięty w boki dzika i chwyciła go oburącz za uszy. Miała wrażenie, że ściska parę włochatych łopat.

– W lewo! – wrzasnęła i szarpnęła.

Włożyła w ten krzyk wszystkie siły. Obiecywał płacz przed spaniem, jeśli

rozkaz nie zostanie wykonany.

Ku jej zaskoczeniu, dzik stęknął, zatańczył na brzegu przepaści i pobiegł. Psy plątały się, próbując skrócić za nim.

Byli na płaskowyżu. Z jej miejsca zdawało się, że wokół jest skarpa, bez żadnej drogi w dół z wyjątkiem tej bardzo prostej i ostatecznej.

Psy znów pędziły przy nogach dzika.

Susan rozejrzała się w szarym, pozbawionym światła powietrzu. Musi być jakiś szlak...

Był.

Skalne ramię, jak gigantyczne ostrze noża, łączyło tę równinę ze wzgórzami. Było wąskie i ostre, cienka linia śniegu z lodową otchłanią po obu stronach.

Lepsze to niż nic... To było nic przysypane śniegiem.

Dzik dotarł do krawędzi i zawahał się. Susan uderzyła go piętami.

Z ryjem przy śniegu, z nogami jak tłoki, zwierzę ruszył po skalnym grzbiecie. Śnieg fruwał na boki, gdy racice szukały oparcia. Brak wdzięku nadrabiał czystym, obląkańczym wysiłkiem; nogi poruszały się jak u tancerza, który stepuje w górę po ruchomych schodach zjeżdżających w dół.

Racica się ześliznęła. Przez moment dzik zdawał się stać tylko na dwóch nogach, gdy dwie pozostałe skrobały o obludzoną skałę. Susan poczuła, jak przepaść ciągnie ją w dół.

Pod nią była pustka.

Powiedziała sobie: Złapie mnie, jeśli spadnę, złapie mnie, jeśli spadnę, złapie mnie, jeśli spadnę...

Lodowy pył kłuł w oczy. Niewiele brakowało, by racica trafiła ją w głowę.

Starszy, mądrzejszy głos odpowiedział: Nie, nie złapie; jeśli teraz spadnę, to nie zasługuję na to, by mnie łapać.

Ślepia zwierza znalazły się o kilka cali od jej twarzy...

W głębi oczu wszystkich prócz najbardziej niezwykłych zwierząt widać odbicie. Z głębi ciemnego oka przed Susan ktoś ją obserwował...

Stopa trafiła na kamień i Susan skoncentrowała na niej całą swą energię, z całych sił odpychając się w górę. Kobieta i dzik kołysali się przez chwilę, po czym racica znalazła oparcie i zwierz pognął dalej po wąskim skalnym grzbiecie.

Susan zaryzykowała i obejrzała się szybko.

Psy nadal poruszały się dziwnie, jak gdyby przepływały z miejsca na miejsce, a nie przebiegały z pomocą zwyczajnych mięśni.

To nie psy, pomyślała. To formy psów.

Znowu skała zadrżała pod nogami. Wzniósł się kłęb śniegu. Świat przekrzywił się na bok. Czuła, jak dzik zmienia kształt, gdy napiął mięśnie, sprężając cielsko do skoku. Blok lodu i skały oderwał się za nimi i rozpoczął długi zjazd w ciemność.

Dzik wylądował. Susan spadła i potoczyła się w głęboki śnieg. Rozpaczliwie machała rękami, w każdej chwili oczekując uderzenia o twardą skałę.

Zamiast tego natrafiła na pokrytą śniegiem gałąź. Kilka stóp dalej dzik leżał na śniegu, parował i sapał.

Podniosła się z trudem. Skalna ostroga rozszerzyła się w niewielkie wzgórze; rosło na nim kilka oszronionych drzew.

Psy dotarły do szczeliny i kręciły się przy niej. Usiłowały ratować się przed ześlizgnięciem.

Łatwo mogły przeskoczyć na drugą stronę – była tego pewna. Przecież

udało się to nawet dzikowi z nią na grzbiecie. Chwyciła oburącz i szarpnęła zmrożoną gałąź, która złamała się z trzaskiem niczym sopel lodu. Susan machnęła nią jak maczugą.

– No, chodźcie! – krzyknęła. – Skaczcie! Spróbujcie tylko! Już!

Jeden spróbował. Gałąź trafiła go w chwili lądowania, potem Susan uderzyła z półobrotu w górę, a cios poderwał oszołomione zwierzę z ziemi i strącił w przepaść.

Pies zafalował w powietrzu, po czym z wyciem zniknął za krawędzią.

Susan odtańczyła kilka kroków z wściekłością i tryumfem.

– Tak! Tak! Ktoś chce jeszcze? Są chętni?

Pozostałe psy spojrzały jej w oczy; uznały, że żaden nie chce i chętnych nie ma. Wreszcie, po jednej czy dwóch nerwowych próbach, zdołały jakoś zawrócić, wciąż się ślizgając. Usiłowały dotrzeć z powrotem na płaskowyż.

Jakaś postać zagrodziła im drogę.

Jeszcze przed chwilą jej nie było, ale teraz wyglądała na trwałą. Zdawało się, że jest zbudowana ze śniegu – trzy śnieżne kule ustawione jedna na drugiej. Miała czarne kropki zamiast oczu, półokrąg kropek tworzył coś na podobieństwo ust, marchewka służyła za nos.

A za ramiona – dwie gałązki.

Przynajmniej z tej odległości.

Jedna z nich trzymała zakrzywiony kij.

Kruk, noszący na szyi kawałek mokrego czerwonego papieru, wylądował na śniegowym ramieniu.

– Hop, hop, hop? – zaproponował. – Wesołego Przesilenia? Ćwir, ćwir? Na co czekacie? Na Strzeżenie Wiedźm?

Psy się cofnęły.

Śnieg zaczął bryłami odpadać z figury bałwana, odsłaniając chudą sylwetkę w trzepoczącym czarnym płaszczu.

Śmierć wypuł marchewkę.

HO. HO. HO.

Psy rozmazały się i zafalowały, gdy rozpaczliwie usiłowały zmienić formę.

NIE MOGLIŚCIE SIĘ POWSTRZYMAĆ? NA SAM KONIEC? TO BŁĄD, JAK MI SIĘ ZDAJE.

Dotknął kosi. Pstryknęło głośno; błysnęło wysunięte ostrze.

WDZIERA SIĘ POD SKÓRĘ TO ŻYCIE, stwierdził Śmierć. METAFORYCZNIE RZECZ UJMUJĄC, NATURALNIE. TO NAŁÓG, KTÓRY TRUDNO JEST RZUCIĆ. JEDEN ODDECH NIGDY NIE WYSTARCZA. ODKRYWASZ, ŻE CHCESZ ZACZERPNĄĆ NASTĘPNY

Pies zaczął zjeżdżać po śniegu; rozpaczliwie drapał pazurami, by uratować się przed długim i zimnym upadkiem.

I, JAK SAMI WIDZICIE, IM BARDZIEJ WALCZYCIE O KAŻDY MOMENT, TYM BARDZIEJ JESTEŚCIE ŻYWI... I WTEDY WŁAŚNIE WKRACZAM JA, PRAWDĘ MÓWIĄC.

Prowadzący pies zdołał na jedną chwilę zmienić się w szarą sylwetkę w kapturze, nim został znowu wciągnięty do poprzedniej formy.

STRACH TAKŻE MOŻE STANOWIĆ KOTWICĘ, mówił Śmierć. WSZYSTKIE TE ZMYŚLY, CHŁONĄCE SZEROKO KAŻDY FRAGMENT ŚWIATA. TO BIJĄCE SERCE. TA PŁYNĄCA SZYBKO KREW. NIE CZUJECIE, JAK WAS POWSTRZYMUJE?

Raz jeszcze Audytor zdołał utrzymać swój kształt przez kilka sekund. Zdążył powiedzieć: Nie możesz tego robić, obowiązują reguły!

TAK. OBOWIĄZUJĄ REGUŁY. ALE WYŚCIE JE ZŁAMALI. JAK ŚMIELIŚCIE? JAK ŻEŚCIE ŚMIELI?!

Ostrze kosi było ciekim błękitnym konturem w szarym świetle przedświtu.

Śmierć uniósł kościsty palec do miejsca, gdzie znalazłyby się jego wargi, i spojrział w zadumie.

A TERAZ POZOSTAJE TYLKO JEDNO, OSTATNIE PYTANIE, rzekł.

Uniósł ręce i zdawało się, że rośnie. Światło błysnęło mu w oczodołach. Kiedy znowu przemówił, w górach runęły lawiny.

BYLIŚCIE GRZECZNI... CZY NIE?

HO. HO. HO.

Susan słyszała, jak cichną skowyty.

Dzik leżał na białym śniegu, teraz czerwonym od krwi. Przykłęknęła obok i spróbowała unieść mu łeb.

Był martwy. Jedno oko patrzyło w nicość. Język zwisał z pyska.

Wezbrał w niej szloch. Małenka część Susan, która to obserwowała, ta wewnętrzna opiekunka, tłumaczyła, że to tylko wyczerpanie i podniecenie, nagły odpływ adrenaliny. Nie może przecież płakać nad martwą świnią.

Cała reszta Susan bębniła pięściami o bok zwierzęcia.

– Nie możesz teraz! Uratowaliśmy cię! To się nie może tak skończyć!

Dmuchał wiatr.

Coś poruszyło się w zimowym pejzażu – coś pod śniegiem. Gałęzie starego drzewa zadrżały, zrzucając małe igielki lodu.

Wzeszło słońce.

Blask płynął wokół Susan niczym bezgłośna wichura. Oślepiął. Przykucnęła, osłaniając oczy ramieniem. Wielka czerwona kula zmieniła szron na ośnieżonych gałęziach w płomień. Złoty blask uderzył w górskie szczyty, przekształcając każdy z nich w oślepiający, cichy wulkan. Światło toczyło się dalej, wlewało w doliny, niepowstrzymaną falą spływało po zboczach...

Ktoś jęknął.

W miejscu, gdzie przed chwilą był dzik, na śniegu leżał człowiek.

Był nagi, tylko w skórzanej przepasce biodrowej. Włosy miał długie, kiedyś splecione w gruby warkocz na plecach, teraz tak zbity, tak brudny od potu i krwi, że wyglądał jak filc.

Krwawił wszędzie tam, gdzie szarpały go psy.

Susan przyglądała mu się przez chwilę, a potem – słuchając chyba czegoś innego niż własny trzeźwy umysł – zaczęła metodycznie odrywać pasy ze swojej halki, by zabandażować najgorsze rany.

Opanowanie, powiedziała małeńka cząstka jej umysłu. Zdolność zachowania chłodnego umysłu w trudnych sytuacjach.

Chłodnego czegoś...

To pewnie jakaś skaza charakteru.

Mężczyzna był wytatuowany. Błękitne wiry i spirale znaczyły jego skórę pod zaschniętą krwią.

Otworzył oczy i spojrzał na niebo.

– Możesz wstać?

Mężczyzna przesunął wzrok ku niej. Spróbował się poruszyć, ale padł na śnieg.

W końcu zdołała podciągnąć go do pozycji siedzącej. Chwiał się, gdy

zarzuciła sobie jego rękę na ramiona i podniosła go na nogi. Starła się nie zwracać uwagi na odór, oddziałujący z niemal fizyczną siłą.

Zejsście w dół wydawało się najlepszą z możliwości. Nawet jeśli jego mózg nie działał poprawnie, stopy chyba zrozumiały, w czym rzecz.

Chwiejąc się, szli przez zamarznięty las; śnieg lśnił pomarańczowo w blasku słońca. Zimny, błękitny półmrok czaił się w zagłębieniach niby niewielkie kubki zimy.

Obok niej wytatuowany mężczyzna wydał bulgoczący odgłos. Wyśliznął się jej i wylądował na kolanach na śniegu. Chwytał się za gardło i kaszłał. Jego oddech przypominał dźwięk piły.

– Co znowu? Co się dzieje? Co się stało?

Przewrócił oczami i znowu chwycił się za gardło.

– Coś utknęło? – Uderzyła go w plecy z całej siły, ale znów był na czworakach i walczył o oddech.

Chwyciła go pod pachy, podciągnęła do pionu, po czym objęła w talii. Bogowie, jak się to robiło, przecież przerabiali to na lekcjach, zaraz, trzeba zacisnąć pięść, chwycić ją drugą ręką, a potem szarpnąć do siebie i w górę, o tak...

Mężczyzna zakaszłał; coś odbiło się od pnia drzewa i wylądowało w śniegu.

Przyklęknęła, żeby to obejrzeć.

Było to małe czarne ziarno fasoli.

Wysoko na drzewie zaćwierkał ptak. Uniosła głowę. Strzyżyk podskoczył i przefrunął na sąsiednią gałąź.

Kiedy znów spojrzała na mężczyznę, wyglądał inaczej. Teraz miał ubranie – ciężkie futra z futrzanym kapturem, futrzane buty. Opierał się na włóczni z kamiennym grotem i wydawał się o wiele silniejszy.

Coś przebiegło między drzewami, ledwie widoczne, gdyby nie jego cień. Przez moment widziała białego zająca; potem znikł jej z oczu.

Popatrzyła znowu na mężczyznę. Futra zniknęły; wydawał się starszy, choć wciąż miał te same oczy. Nosił obfite białe szaty i wyglądał bardziej jak kapłan.

Kiedy ptak zaćwierkał znowu, nie odwróciła wzroku. I uświadomiła sobie, że się myliła – mężczyzna nie zmieniał się, jak kolejne stronic książki. Wszystkie te wizerunki były w nim jednocześnie, a także wiele innych. To, co widziała, zależało od tego, jak patrzyła.

Tak... Dobrze się składa, że jestem spokojna i przyzwyczajona do takich rzeczy. W przeciwnym razie bardzo bym się zmartwiła...

Znaleźli się na skraju lasu.

Kawałek dalej stały cztery potężne dziki, okryte kłębami pary, zaprzężone do sań, które wyglądały, jakby ktoś pozbijał je z grubo ociosanych pni. W poczerniałym drewnie widoczne były twarze, być może wycięte kamiennymi ostrzami, być może wyrzeźbione przez deszcz i wiatr.

Wiedźmikołaj wspiał się na nie i usiadł. Przybrał na wadze i teraz można było w nim zobaczyć jedynie potężnego, ubranego w czerwień mężczyznę; lód krystalizował się tu i tam na jego szatach. I tylko w rzadkich błyskach szronu pojawiała się sugestia szczeciny czy kła.

Kręcił się przez chwilę na koźle, po czym sięgnął pod siebie i wydobył sztuczną brodę. Podniósł ją pytająco.

PRZEPRASZAM, odezwał się głos obok Susan. TO MOJA.

Wiedźmikołaj skinął Śmierci głową – jak jeden fachowiec drugiemu. Potem skinął też Susan. Nie była pewna, czy jej dziękuje – był to raczej gest uznania, potwierdzenia, że coś, co należało zrobić, zostało zrobione. Ale nie podziękowanie.

Potrząsnął lejcam, cmoknął i sanie ruszyły.

Patrzyli, jak się oddalają.

– Słyszałam kiedyś – powiedziała w zadumie Susan – że idea czerwonego stroju Wiedźmikołaja powstała stosunkowo niedawno.

NIE. BYŁA PAMIĘTANA.

Wiedźmikołaj stał się już tylko czerwoną kropką po drugiej stronie doliny.

– No, dla tej mojej sukienki to ostatni występ – stwierdziła Susan – Chciałabym spytać, wiesz, taka akademicka ciekawość... Byłeś pewien, że to przeżyję?

ŻYWIŁEM SILNE PRZEKONANIE.

– To dobrze.

ODWIOŻĘ CIĘ Z POWROTEM, zaproponował po chwili Śmierć.

– Dzięki. Powiedz mi...

CO BY SIĘ STAŁO, GDYBYŚ GO NIE URATOWAŁA?

– Tak. Słońce i tak by wzeszło, prawda?

NIE.

– Przestań. Nie sądzisz chyba, że uwierzę. To przecież fakt astronomiczny!

SŁOŃCE BY NIE WZESZŁO.

Stanęła przed nim.

– Mam za sobą ciężką noc, dziadku! Jestem zmęczona i chcę się wykapać! Nie mam ochoty słuchać takich bzdur!

SŁOŃCE BY NIE WZESZŁO.

– Doprawdy? A co by się stało, jeśli wolno spytać?

ZWYKŁA KULA PŁONĄCYCH GAZÓW ROZJAŚNIŁABY ŚWIAT.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– No tak – mruknęła Susan ze znużeniem. – Sztuczki ze słowami. Wydawało mi się, że jesteś bardziej dosłowny.

JESTEM CAŁKOWICIE DOSŁOWNY. SZTUCZKI ZE SŁOWAMI TO DZIEDZINA LUDZI.

– No dobrze – ustąpiła Susan. – Nie jestem głupia. Chcesz powiedzieć, że ludzie potrzebują... fantazji, żeby życie stało się znośne.

NAPRAWDĘ? JAKBY TO BYŁA JAKAŚ RÓŻOWA PIGUŁKA? NIE. LUDZIE POTRZEBUJĄ FANTAZJI, ŻEBY BYĆ LUDŹMI. ŻEBY BYĆ TYM MIEJSCEM, GDZIE SPADAJĄCY ANIOŁ SPOTYKA SIĘ Z WSTĘPUJĄCĄ MAŁPĄ.

– Wróżki Zębuszki? Wiedźmikołaje? Małe...

TAK. JAKO ĆWICZENIE. MUSICIE ZACZAĆ OD NAUKI WIARY W MAŁE KŁAMSTWA.

– Żebyśmy potem mogli uwierzyć w wielkie?

TAK. SPRAWIEDLIWOŚĆ. MIŁOSIERDZIE. OBOWIĄZEK. TAKIE RZECZY.

– To przecież całkiem co innego!

TAK MYŚLISZ? WEŹ ZATEM WSZECHŚWIAT I ROZGNIĘĆ GO NA NAJDROBNIJSZY PYŁ, PRZESIEJ PRZEZ NAJDROBNIJSZE SITO, A POTEM POKAŻ MI CHOCIAŻ JEDEN ATOM SPRAWIEDLIWOŚCI, JEDNĄ MOLEKUŁĘ MIŁOSIERDZIA. A JEDNAK... Śmierć machnął ręką. A JEDNAK DZIAŁACIE, JAK GDYBY ISTNIAŁ JAKIŚ IDEALNY PORZĄDEK ŚWIATA, JAK GDYBY BYŁA WE WSZECHŚWIECIE JAKAŚ... JAKAŚ SŁUSZNOŚĆ, WEDŁUG

KTÓREJ MOŻNA GO OCENIAĆ.

– No tak, ale przecież ludzie muszą w to wszystko wierzyć, inaczej nie ma sensu...

WŁAŚNIE O TO MI CHODZI.

Spróbowała zebrać myśli.

JEST TAKIE MIEJSCE, GDZIE OD MILIONA LAT ZDERZAJĄ SIĘ DWIE GALAKTYKI, stwierdził Śmierć i propos niczego. NIE PRÓBUJ MNIE PRZEKONYWAĆ, ŻE TO SŁUSZNE.

– No tak, ale ludzie o tym nie myślą – odparła Susan.

Gdzieś tam czekało łóżko...

TAK JEST. WYBUCHAJĄ GWIAZDY, ZDERZAJĄ SIĘ ŚWIATY, WŁAŚCIWIE NIGDZIE WE WSZECHŚWIECIE CZŁOWIEK NIE MÓGLBY ŻYĆ, BY NIE ZOSTAĆ NATYCHMIAST ZAMROŻONY ALBO USMAŻONY, A JEDNAK WIERZYCIE, ŻE... ŻE ŁÓŻKO JEST CZYMŚ ZWYCZAJNYM. TO NAPRAWDĘ ZADZIWIAJĄCY TALENT.

– Talent?

O TAK. BARDZO SZCZEGÓLNA ODMIANA GŁUPOTY. MYŚLICIE, ŻE CAŁY WSZECHŚWIAT ISTNIEJE W WASZYCH GŁOWACH.

– Tak mówisz, jakbyśmy byli obłąkani – zaprotestowała Susan.

Miłe, ciepłe łóżko...

NIE. POTRZEBNA WAM WIARA W RZECZY, KTÓRE NIE SĄ PRAWDZIWE. W JAKI INNY SPOSÓB MOGŁYBY SIĘ STAĆ?

Pomógł jej wsiąść na Pimpusia.

– Te góry – odezwała się Susan, kiedy wystartowali. – Czy to prawdziwe

góry, czy tylko jakieś cienie?

TAK.

Wiedziała, że to wszystko, na co może liczyć.

– Słuchaj... Zgubiłam twój miecz. Został gdzieś w krainie Wróżki Zębuszki.

Śmierć wzruszył ramionami.

ZROBIĘ SOBIE DRUGI.

– Umiesz?

ALEŻ TAK. DZIĘKI TEMU BĘDĘ MIAŁ JAKIEŚ ZAJĘCIE. NIE PRZEJMUJ SIĘ.

Pierwszy prymus zanucił wesoło pod nosem, gdy po raz drugi przejechał grzebieniem po brodzie i obficie spryskał ją tym, co miało się okazać ekstraktem łasicy stosowanym do usuwania demonów, nie zaś – jak zakładał – przyjemnym męskim zapachem*. Po czym wkroczył do swego gabinetu.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale... – zaczął.

W pokoju nie było nikogo. Tylko z bardzo daleka dobiegł go odgłos wycierania nosa, połączony z cichym „dzyń, dzyń, dzyń” zanikającej magii.

Świt złocił już szczyt Wieży Sztuk, gdy Pimpuś zatrzymał się w powietrzu przy balkonie pokoju dzieciennego. Susan zsunęła się na świeży śnieg i przez chwilę stała z niepewną miną. Skoro ktoś nadłożył drogi, żeby podrzucić ją do domu, uprzejmość nakazywała go zaprosić. Z drugiej strony...

MOŻE PRZYSZŁABYŚ NA STRZEŻENIOWIEDŹMOWY OBIAD? –

spytał Śmierć. W jego głosie zabrzmiała nadzieja. ALBERT SMAŻY JUŻ PUDDING.

– Smaży pudding?

ALBERT ROZUMIE SMAŻENIE. WYDAJE MI SIĘ TEŻ, ŻE ROBI DŻEM. NA PEWNO DUŻO O TYM MÓWIŁ.

– Ja... no wiesz... Oni się spodziewają, że będę w domu. Gaiterowie często przyjmują gości. Partnerów od interesów. Przypuszczam, że cały dzień będzie... Tak jakby, wiesz, muszę przypilnować dzieci...

KTOŚ POWINIEN.

– No... Może napijesz się czegoś, zanim odjedziesz?

FILIŻANKA KAKAO BYŁABY W TYCH OKOLICZNOŚCIACH ODPOWIEDNIA.

– Dobrze. Herbatniki są w puszcze nad kominkiem.

Susan z ulgą ruszyła do maleńkiej kuchni.

Śmierć usiadł w trzeszczącym wiklinowym fotelu, zanurzył stopy w dywanie i rozejrzał się z zaciekawieniem. Słyszał stukanie filiżanek, potem dźwięk jakby gwałtownie wciąganego powietrza, a potem ciszę.

Poczęstował się herbatnikiem z puszki. Nad kominkiem wisały dwie wypchane skarpety. Z zawodową satysfakcją stuknął w nie palcem, po czym wrócił na fotel i zaczął się przyglądać tapecie na ścianach. Pokrywały ją obrazki królików w kamizelkach, obok innej fauny. Nie był zaskoczony. Od czasu do czasu pojawiał się osobiście nawet u królików, po prostu by sprawdzić, że cały proces przebiega jak należy. Nigdy nie spotkał żadnego, który by nosił kamizelkę. Nie spodziewał się u nich kamizelek. A przynajmniej nie spodziewałby się kamizelek, gdyby nie miał żadnych doświadczeń z tym, jak ludzie przedstawiają sobie wszechświat. W tej sytuacji można było tylko żywić wdzięczność za to, że nie dołożyli im jeszcze złotych zegarków i cylindrów.

Ludzie lubili też tańczące świnki. I baranki w kapeluszach. O ile Śmierć wiedział, jedynym powodem dowolnych ludzkich kontaktów ze świniami i owcami był fakt, że stanowiły preludium do kotletów i kielbas. Dlaczego więc na tapetach w dzieciennych pokojach nosiły ubrania, pozostawało dla niego tajemnicą. Patrzcie, kochane dzieci, to ich właśnie będziecie jeść... Czuł, że gdyby tylko potrafił znaleźć klucz do tej zagadki, o wiele więcej dowiedziałby się o ludzkich istotach.

Jego spojrzenie przesunęło się w stronę drzwi. Wisiały tam na haczykach należące do Susan płaszcz i kapelusz guwernantki. Płaszcz był szary i kapelusz także szary, okrągły i nudny. Śmierć nie miał pojęcia o wielu kwestiach dotyczących ludzkiej psychiki, ale ubarwienie ochronne potrafił rozpoznać na pierwszy rzut oczodołu.

Nuda... Tylko ludzie ją wynaleźli. Jakąż mieli wyobraźnię.

Drzwi się otworzyły.

Ku swemu przerażeniu, Śmierć zobaczył, że z sypialni wychodzi małe dziecko nieokreślonej płci, człapie sennie przez pokój i zdejmuje znad kominka skarpety. Było już w połowie drogi z powrotem, gdy go zauważyło. Zatrzymało się i przyjrzało mu z zastanowieniem.

Wiedział, że małe dzieci go widzą, ponieważ nie wyrobiły sobie jeszcze tej wygodnej, selektywnej ślepoty, która przychodzi wraz z poczuciem własnej śmiertelności. Czuł się trochę zakłopotany.

– Susan ma pogrzebacz, wiesz? – powiedziało dziecko, jakby starało się być pomocne.

NO, NO. COŚ PODOBNEGO. NIE DO WIARY.

– Mysiałam... Myślałam, że wszyscy już o tym wiecie. W zeszłym... zeszłym tygodniu wywlokła stąd stracha za nos.

Śmierć spróbował sobie to wyobrazić. Czuł, że źle zrozumiał to zdanie, ale nie brzmiało lepiej, jakkolwiek by przestawiał słowa.

– Oddam Gawainowi jego skarpetę, a potem wrócę popatrzeć – powiedziało dziecko.

I wyszło.

EHM... SUSAN! – zawołał Śmierć, wzywając posiłki.

Susan wyszła tyłem z kuchni, trzymając w ręku czarny czajnik.

Ktoś szedł za nią. W słabym świetle lśniło błękitem ostrze miecza. Jego blask odbijał się w szklanym oku.

– No, no... – powiedział cicho Herbatka, kiedy zobaczył Śmierć. – To rzeczywiście niespodzianka. Spotkanie rodzinne?

Miecz buczał cicho, kołysząc się tam i z powrotem.

– Zastanawiam się – mówił Herbatka – czy można zabić Śmierć. To chyba bardzo szczególny miecz i tutaj działa na pewno. – Na moment uniósł dłoń do ust i zachichotał. – Oczywiście, zapewne nie uznają tego za morderstwo. Mogą wręcz potraktować jak spełnienie obywatelskiego obowiązku. Jak to mówią, bohaterski czyn. Proszę wstać, drogi panie. Dysponuje pan może ścisłą wiedzą na temat własnej wrażliwości na ciosy, ale jestem praktycznie pewien, że Susan może tutaj zginąć. Więc radzę nie próbować żadnych sztuczek w ostatniej chwili.

TO JA JESTEM OSTATNIĄ CHWILĄ, powiedział Śmierć, podnosząc się z fotela.

Herbatka okrążył go ostrożnie. Czubek miecza zataczał krótkie łuki.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł odgłos kogoś, kto próbuje cichutko dmuchać w gwizdek.

Susan spojrzała na dziadka.

– Nie przypominam sobie, żeby którekolwiek prosiło o coś, co robi hałas – powiedziała surowo.

OCH, NATURALNIE, ŻE W SKARPETACH MUSI SIĘ ZNALEŻĆ COŚ, CO ROBI HAŁAS. INACZEJ PO CO BY ISTNIAŁA 4.30 RANO?

– Tam są dzieci? – spytał Herbatka. – No tak, oczywiście. Zawołaj je.

– Na pewno nie!

– To będzie pouczające – zapewnił skrytobójca. – Kształcące. A kiedy twoim przeciwnikiem jest Śmierć, choćbyś nie chciał, musisz być pozytywnym bohaterem.

Skierował klingę w stronę Susan.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Zawołaj je.

Zerknęła z nadzieją na dziadka. Skinął lekko głową. Zdawało się jej, że widzi, jak lśnienie w jego oczodole przygasa na moment i rozjarza się znowu – odpowiednik porozumiewawczego mrugnięcia.

Ma jakiś plan. Może zatrzymać czas. Może zrobić wszystko. Ma plan.

– Gawain! Twyla!

Stłumione głosy w drugim pokoju ucichły. Bose stopy zatupały po podłodze i zza drzwi wysunęły się dwie poważne twarze.

– Ależ wejdźcie, wejdźcie, słodkie szkraby – odezwał się serdecznie Herbatka.

Gawain rzucił mu spojrzenie twarde jak stal.

Jego kolejny błąd, pomyślała Susan. Gdyby je nazwał małymi chuliganami, z zachwytem stanęłyby po jego stronie. Ale potrafią poznać, kiedy ktoś je nabiera.

– Złapałem stracha – oznajmił Herbatka. – Co z nim zrobimy?

Dwie twarze zwróciły się ku Śmierci. Twyla wsunęła kciuk do buzi.

– To tylko szkielet – oświadczył krytycznym tonem Gawain.

Susan otworzyła usta, ale klinga miecza przesunęła się w jej stronę. Zamknęła je.

– Tak. Brzydki, straszny, okropny szkielet – przyznał Herbatka. – Przerażający, co?

Zabrzmiało bardzo ciche mlaśnięcie, gdy Twyla wyjęła kciuk z buzi.

– Ziada ciastečko – powiedziała.

– Ciasteczko – poprawiła odruchowo Susan.

Z roztargnioną miną zaczęła kołysać czajnikiem.

– Straszny kościsty stwór w czarnej szacie! – przekonywał Herbatka, zdając sobie sprawę, że sytuacja nie rozwija się ściśle w przewidywanym kierunku.

Odwrócił się do Susan.

– Bawisz się tym czajnikiem – stwierdził. – Podejrzewam więc, że myślisz o czymś kreatywnym. Odstaw go, proszę. Powoli.

Susan przyklęknęła i delikatnie postawiła czajnik na płycie przed kominkiem.

– E tam, nie jest za bardzo straszny. To tylko kości – stwierdził lekceważąco Gawain. – A w ogóle to Willy, stajenny, obiecał mi prawdziwą końską czaszkę. A w ogóle to zrobię z niej czapkę, jak generał Tacticus, kiedy chciał przerazić innych. A w ogóle to on tylko sobie stoi. Nie robi nawet uuu-uuu. A w ogóle to pan jest straszny. I ma pan dziwne oko.

– Naprawdę? No to przekonamy się, jak bardzo jestem straszny – powiedział Herbatka.

Błękitny płomień rozjarzył się wokół klingi.

Susan zacisnęła palce na pogrzebaczu.

Herbatka zauważył, że zaczyna się odwracać. Odskoczył za Śmierć, wzniosł miecz...

Susan zamachnęła się i cisnęła znad ramienia. Pogrzebacz pomknął przez powietrze, wydając odgłos dartej tkaniny i wlokąc za sobą ogon iskier.

Trafił w szatę Śmierci i zniknął.

Herbatka zamrugał i uśmiechnął się do Susan.

Potem odwrócił się i z rozmarzeniem spojrzał na miecz w dłoni.

Miecz wypadł mu z ręki.

Śmierć wyciągnął rękę, chwycił miecz za rękojeść i zmienił jego upadek w płynny łuk skierowany ku górze.

Herbatka popatrzył na sterczący mu z piersi pogrzebacz i zgiął się wpół.

– No nie – powiedział. – Nie mógł przez ciebie przelecieć. Tyle jest tam żeber i innych...

Znowu zabrzmiało ciche „pop!”, gdy Twyla ponownie wyjęła z buzi palec.

– Zabija tylko potwory – wyjaśniła.

– Zatrzymaj czas. Już! – rozkazała Susan.

Śmierć pstryknął palcami. Pokój nabrał szarofioletowej barwy stacjonarnego czasu. Zegar przestał tykać.

– Mrugnąłeś do mnie! Myślałam, że masz jakiś plan!

W SAMEJ RZECZY. O TAK. PLANOWAŁEM ZOBACZYĆ, CO ZROBISZ.

– Tylko tyle?

JESTEŚ BARDZO POMYSŁOWA. I OCZYWIŚCIE MASZ WYKSZTAŁCENIE.

– Co?!

DODAŁEM JEDNAK TE ROZISKRZONE GWIAZDKI I ODGŁOS. UZNAŁEM, ŻE BĘDĄ ODPOWIEDNIE.

– A gdybym nic nie zrobiła?

SĄDZĘ, ŻE COŚ BYM WYMYŚLIŁ. W OSTATNIEJ CHWILI.

– To była ostatnia chwila!

ZAWSZE JEST CZAS NA JESZCZE JEDNĄ OSTATNIĄ CHWILĘ.

– Dzieci musiały na to patrzeć!

KSZTAŁCĄCE. ŚWIAT AŻ NAZBYT SZYBKO DA IM POZNAĆ POTWORY. NIECH PAMIĘTAJĄ, ŻE ZAWSZE ISTNIEJE POGRZEBACZ.

– Ale widziały, że jest człowiekiem...

MAM WRAŻENIE, ŻE DOSKONALE SIĘ ORIENTOWAŁY, CZYM JEST.

Śmierć trącił stopą powalonego Herbatkę.

NIECH PAN PRZESTANIE UDAWAĆ TRUPA, PANIE HERR-BAT-KĄ.

Duch skrytobójcy wyskoczył jak diabełek z pudełka, cały w nieco obłąkanych uśmiechach.

– Trafił pan!

OCZYWIŚCIE.

Herbatka zaczął się rozwiewać.

ZABIORĘ CIAŁO, powiedział Śmierć. ZAPOBIEGNIE TO NIEWYGODNYM PYTANIOM.

– Dlaczego on to robił? – zapytała Susan. – To znaczy, po co? Pieniądze? Władza?

NIEKTÓRZY LUDZIE ZROBIĄ WSZYSTKO DLA CZYSTEJ FASCYNACJI ROBIENIA TEGO. ALBO DLA SŁAWY. ALBO DLATEGO, ŻE NIE POWINNI.

Śmierć zarzucił sobie trupa na ramię. Coś brzęknęło o płytę przed kominkiem. Śmierć obejrzał się z wahaniem.

HM... WIEDZIAŁAŚ, ŻE POGRZEBACZ PRZEZE MNIE PRZELECI?

Susan zauważyła, że jest roztrzęsiona.

– Oczywiście. W tym pokoju to potężna broń.

NIE MIAŁAŚ ŻADNYCH WĄTPLIWOŚCI?

Susan zawahała się i uśmiechnęła.

– Żywiłam silne przekonanie – zapewniła.

AHA. Dziadek przyglądał się jej przez chwilę i miała wrażenie, że dostrzega u niego najlżejsze migotanie niepewności. OCZYWIŚCIE. OCZYWIŚCIE. POWIEDZ, CZY ZAMIERZASZ ZAJĄĆ SIĘ NAUCZANIEM NA SZERSZĄ SKALĘ?

– Nie planowałam.

Śmierć ruszył na balkon, ale nagle jakby przypomniał sobie coś jeszcze.

ZROBIŁEM TO DLA CIEBIE.

Wzięła od niego prostokąt wilgotnego kartonu. Z dolnej krawędzi kapłała woda. Mniej więcej pośrodku zauważyła kilka przyklejonych piórek.

– Dziękuję. Co to jest?

ALBERT POWIEDZIAŁ, ŻE POWINIEN BYĆ NA NIEJ ŚNIEG, ALE CHYBA SIĘ ROZTOPIŁ, wyjaśnił Śmierć. TO STRZEŻENIOWIEDŹMOWA KARTKA, OCZYWIŚCIE.

– Aha...

POWINIEN BYĆ TEŻ RUDZIK, ALE NIESTETY, NIE UDAŁO MI SIĘ GO SKŁONIĆ, BY POZOSTAŁ NA MIEJSCU.

– Rozumiem.

NIE PRZEJAWIAŁ CHĘCI DO WSPÓŁPRACY.

– Naprawdę?

WYDAJE SIĘ, ŻE ZUPEŁNIE NIE WYCZUWAŁ STRZEŻENIOWIEDŹMOWEGO NASTROJU.

– Aha. Hm. No tak. Dziadku...

TAK?

– Dlaczego? Dlaczego to wszystko robiłeś?

Przez chwilę stał nieruchomo, jakby wypróbowywał w myślach kolejne zdania.

SĄDZĘ, ŻE MA TO ZWIĄZEK Z PLONEM, powiedział w końcu. TAK ZGADZA SIĘ. I DLATEGO, ŻE LUDZIE SĄ TACY INTERESUJĄCY. WYNALEŻLI NAWET NUDE. DOPRAWDY ZADZIWIAJĄCE.

– Och...

A ZATEM... SZCZĘŚLIWEGO STRZEŻENIA WIEDŹM.

– Tak... Szczęśliwego Strzeżenia Wiedźm, dziadku.

Śmierć zatrzymał się jeszcze raz, przy oknie.

I DOBRANOC DZIECIOM... WSZĘDZIE.

Kruk sfrunął na pokryty śniegiem pień. Porwana proteza czerwonego brzuszka trzepotała bezużytecznie z tyłu.

– Nawet nie podrzuca do domu – narzekał. – Popatrz tylko. Wszędzie śnieg i zamrożone pustkowia. Nie przelecę już więcej ani cala. Wiesz, że mogę tu zamrozić? Ha! Ludzie bez przerwy opowiadają o recyklingu, ale spróbuj zająć się praktyczną ekologią, a zwyczajnie... nie... chcą... wiedzieć. Ha! Założę się, że rudzika by podrzucili. O tak!

PIP, powiedział ze współczuciem Śmierć Szczurów i pociągnął nosem.

Kruk przyglądał się, jak mała postać w kapturze odgarnia pazurkami śnieg.

– Czyli zwyczajnie tu zamrozę, tak? – stwierdził ponuro. – Żałosny kłębek piór i moje sterczące łapki, skurczone z zimna. Nikt nawet się mną nie naje, a muszę ci powiedzieć, że w moim gatunku to hańba, umrzeć taki wychudzo...

Uświadomił sobie, że pod śniegiem dostrzega plamę nieco przybrudzonej bieli.

Dalsze grzebanie szczura odsłoniło coś, co prawdopodobnie mogło być uchem.

Kruk wytrzeszczył oczy.

– To owca! – zawołał.

Śmierć Szczurów kiwnął łebkiem.

– Cała owca*!

PIIP.

– O rany! – Kruk podskoczył bliżej. Przewrócił oczami. – A niech mnie, ledwie wystygła!

Śmierć Szczurów z satysfakcją poklepał go po skrzydle.

PIIIP-IIP. IIK-IK...

– Dzięki. Tobie również.

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, otworzyły się drzwi sklepu. Niski sprzedawca zabawek wszedł z warsztatu na tyłach i znieruchomiał – z zadziwiającą zdolnością przewidywania – jak martwy.

MASZ NA WYSTAWIE DUŻEGO DREWNIANEGO KONIA NA BIEGUNACH, powiedział nowy klient.

– A tak, tak, rzeczywiście. – Sprzedawca bawił się nerwowo okularami w prostokątnych oprawkach. Nie słyszał dzwonka, co go niepokoiło. – Ale obawiam się, że tylko na pokaz, to specjalne zamówienie lorda...

NIE. JA GO KUPIĘ.

– Nie, bo widzi pan...

MASZ INNE ZABAWKI?

– Tak, oczywiście, ale...

A WIĘC JA WEZMĘ KONIA. ILE ZAPŁACIŁBY CI JEGO LORDOWSKA MOŚĆ?

– Umówiliśmy się na dwanaście dolarów, ale...

DAM PIĘĆDZIESIĄT, obiecał klient.

Sklepiarz zszedł z drogi protestu i skręcił na ścieżkę chciwości. Przecież rzeczywiście są inne zabawki, tłumaczył sobie. W dodatku ten klient, myślał z przenikliwością godną jasnowidza, wygląda jak ktoś, kto nie uznaje odpowiedzi „nie”, a nawet rzadko traci czas na zadawanie pytań. Lord Selachii będzie zły, ale lorda Selachii tu nie ma. Obcy za to jest tutaj. Niewiarygodnie tutaj.

– Ehm... No cóż, w tej sytuacji... Czy mam zapakować?

NIE. WEZMĘ, JAK JEST. DZIĘKUJĘ. WYJDĘ TYŁEM, JEŚLI CI TO NIE PRZESZKADZA.

– Tego... a jak pan wszedł? – zapytał sprzedawca, zdejmując konia z wystawy.

PRZEZ ŚCIANĘ. TO DROGA O WIELE WYGODNIEJSZA NIŻ PRZEZ KOMIN, NIE SĄDZISZ?

Klient rzucił na ladę brzęczący mieszek i bez trudu podniósł konia. Rozejrzał się po półkach.

ROBISZ DOBRE ZABAWKI.

– E... Dziękuję.

PRZY OKAZJI, rzucił jeszcze klient, wychodząc. NA ULICY STOI MAŁY CHŁOPCZYK Z NOSEM PRZYMARZNIĘTYM DO SZYBY WYSTAWOWEJ. TROCHĘ CIEPŁEJ WODY POWINNO ZAŁATWIĆ SPRAWĘ.

Śmierć wyszedł. Znalazł czekającego na śniegu Pimpusia i umocował drewnianego konia do siodła.

ALBERT BĘDZIE BARDZO ZADOWOLONY. NIE MOGĘ SIĘ DOCZekać, ŻEBY ZOBACZYĆ JEGO MINĘ. HO. HO. HO.

Gdy światło dnia Strzeżenia Wiedźm spływało na wieże Niewidocznego Uniwersytetu, bibliotekarz wsunął się do głównego holu, mocno ściskając stopami plik arkuszy nutowych.

Gdy światło dnia Strzeżenia Wiedźm spływało na wieże Niewidocznego Uniwersytetu, nadrektor z westchnieniem osunął się na fotel w gabinecie i ściągnął buty.

To była wściekle długa noc, trudno zaprzeczyć. Zdarzyło się wiele dziwnych rzeczy. Na przykład pierwszy raz w życiu widział, jak pierwszy prymus wybucha płaczem.

Zerknął na drzwi swej nowej łazienki. Cóż, pokonał już początkowe trudności, a miły ciepły prysznic z pewnością go odświeży. Będzie mógł iść na recital organowy czysty i rzeński.

Zdjął kapelusz – i ktoś wypadł ze środka z cichym dzwonieniem. Mały gnom przekoziółkował po podłodze.

– Jeszcze jeden! A myślałem, że pozbyliśmy się już wszystkich – burknął Ridcully. – Czym jesteś?

– No... Zauważyłeś, że kiedy zdarzało się jakieś magiczne objawienie, słyszałeś głos, no... dzwoneczków? – Mina gнома sugerowała, że przyznaje się do czegoś, za co na pewno oberwie.

– Tak. I co?

Gnom pokazał małe dzwoneczki i pomachał nimi nerwowo. Zabrzmiało bardzo smutne „dzyń, dzyń, dzyń”.

– Dobrze, nie? To byłem ja. Jestem Wrózką Dzyńdzyńdzyń.

– Wynoś się.

– Jeśli zechcesz, potrafię też zrobić taki efekt roziskrzonego pyłku, który robi „brzdęk”.

– Wynocha!

– To może „Dzwony św. Ungulanta”? – zaproponował zdesperowany gnom. – Bardzo świeteczne. Bardzo ładne. Może też zaśpiewasz? To idzie tak: „Dzwony [bim] świętego [bom]...”.

Ridcully zaliczył bezpośrednie trafienie gumową kaczką i gnom uciekł przez otwór ścieku wanny. W rurach jeszcze przez długą chwilę rozbrzmiewały echa przekleństw i spontanicznych dzwonków.

Wreszcie nastał spokój. Ridcully zdjął z siebie szatę.

Nim bibliotekarz skończył pompować, organowe miechy rzeziły już wokół nitów. Zadowolony, podpierając się rękami, przeszedł na krzesło i z wielką satysfakcją ocenił wzrokiem rozłożone przed sobą manualy.

Podejście Bezdennie Głupiego Johnsona do muzyki było takie, jak do każdego innego pola działalności, które pieścił jego geniusz – w podobny sposób, jak szron pieści pole ziemniaków. Ma być głośna, mawiał. Ma być przytłaczająca. Ma być wszechobejmująca. Z tego powodu wielkie organy Niewidocznego Uniwersytetu były jedynymi na świecie, na których dało się zagrać pełną symfonię skomponowaną na burzę z piorunami i skrzeki rozdeptywanych ropuch.

Ciepła woda spływała kaskadą ze spiczastego czepka kąpielowego na głowie Mustruma Ridcully.

Pan Johnson, z pewnością niecelowo, stworzył łazienkę doskonałą – a przynajmniej doskonale się nadającą, by w niej śpiewać. Echa i rezonujące rury maskowały drobne niedoskonałości i nawet najbardziej piskliwemu głosowi nadawały donośne, głębokie, dźwięczne brzmienie.

Ridcully zatem śpiewał.

– Gdy sobie szedłem dadadadada po to czy coś innego, i żeby znaleźć dadada, zoczyłem piękną pa-an-nę, chyba tak to było, i wtedy...

Piszczałki organów wibrowały od nagromadzonej energii. Bibliotekarz rozprostował palce. Zajęło to dobrą chwilę. Potem szarpnął za dźwignię zaworu ciśnieniowego.

Wibracje zmieniły się w natrętne brzęczenie.

Bardzo ostrożnie zwolnił zacisk.

Ridcully przerwał śpiew, kiedy zza ściany dobiegły tony organowej melodii.

Muzyka kąpielowa, pomyślał. Akurat na czas.

Właściwie szkoda, że tłumią ją wszystkie łazienkowe instalacje...

W tej właśnie chwili dostrzegł niewielką dźwignię oznaczoną „Rury muzyczne”.

Ridcully nie należał do ludzi, którzy zastanawiają się, do czego służy dowolny przełącznik, skoro łatwiej i szybciej można to sprawdzić, uruchamiając go. I tak właśnie uczynił. Jednak zamiast muzyki, której się spodziewał, efektem było rozsuniecie się kilku paneli. Odsłoniły rzędy mosiężnych dysz.

Bibliotekarz zapadł w trans, śniąc na skrzydłach muzyki. Dłonie i stopy tańczyły po klawiszach, zmierzając do crescendo kończącego pierwszą część „Suity Katastrofalnej” Bubbli.

Jedna stopa kopnęła dźwignię „Dopalacza”, druga przekreśliła zawór cylindra z podtlenkiem azotu.

Ridcully postukał w dysze.

Nic się nie stało. Znowu przyjrzał się tablicom i zauważył, że jeszcze ani razu nie przesunął małej mosiężnej dźwigni oznaczonej „Sprzęg organowy”.

Teraz to zrobił. Nie uzyskał jednak przyjemnego akompaniamentu kąpielowego. Coś tylko brzęknęło i rozległ się daleki bulgot, który z wolna przybierał na sile.

Ridcully zrezygnował i wrócił do namydlania sobie piersi.

– ...biegną jelenie po lesie, granie... *He? Co to...*

Następnego dnia drzwi łazienki znowu zabito na głucho. Umieszczono też na nich kartkę z napisem:

„Nie używać w żadnych okolicznościach. TO WAŻNE”.

Jednakże gdy Modo mocował deski, nie wbił gwoździ do końca. Zostawił trochę wystające, by łatwiej było złapać obcęgami, kiedy znów każą mu je wyjąć. Niczego nie zakładał i na nic nie narzekał; zdobył jednak sporą wiedzę o działaniu umysłu maga.

Nigdy nie znaleźli mydła.

Myślak i jego studenci czujnie obserwowali HEX-a.

– Przecież nie może, no wiecie, tak po prostu się zatrzymać – powiedział Adrian „Wariat Drongo” Rzepiszcz.

– Mrówki stoją nieruchomo. – Myślak westchnął. – No dobra, dajcie z powrotem tę zabawkę.

Adrian starannie umieścił nad klawiaturą HEX-a kudłatego pluszowego misia. Wszystko natychmiast ruszyło. Mrówki pobiegły rurami, mysz zapiszczała.

Próbowali już trzy razy.

Myślak patrzył na jedyne zdanie, które wypisał HEX.

+++ Mój! Łaaa! +++

– Właściwie nie wydaje mi się – powiedział zniechęcony – żebym miał ochotę tłumaczyć nadrektorowi, dlaczego maszyna przestaje działać, kiedy zabierzemy tego kudłatego pluszowego misia. I nie wydaje mi się, żebym chciał żyć w takim świecie.

– Eee... – wtrącił Wariat Drongo. – Zawsze można, no wiecie, tak jakby powiedzieć, że musi pracować z udostępnionym KPM...

– Myślisz, że tak będzie lepiej? – spytał Myślak z powątpiewaniem w głosie. – To nawet nie brzmi jak realistyczna interpretacja niedźwiadka.

– Znaczy, lepiej niż „kudłaty pluszowy miś”?

Myślak kiwnął głową.

– Lepiej – rzekł krótko.

Gawain twierdził, że ze wszystkich prezentów, jakie dostał od Wiedźmikołaja, najlepsza była kulka.

Jaka kulka? – zdziwiła się Susan.

A on wyjaśnił, że znalazł ją w kominku. Wygrywa wszystkie gry. Wydaje się poruszać inaczej niż wszystkie.

Żebracy szli ulicami, cofając się niekiedy i zygzakując. Zaczynał padać świeży poranny śnieg.

Od czasu do czasu któryś z nich bekał z zadowoleniem. Wszyscy mieli na głowach papierowe kapelusiki – z wyjątkiem Paskudnego Starego Rona, który swój zjadł.

Z ręki do ręki podawali sobie blaszaną puszkę. Zawierała mieszaninę najlepszych win i mocniejszych alkoholi, a także czegoś, co już było w środku, kiedy Arnold Boczny ukradł ją spod fabryki farb przy Drodze Fedry.

– Gęś była dobra – stwierdził Kaczkoman, dłubiąc w zębach.

– Się dziwię, żeś ją jadł z tą kaczką na głowie – rzekł Kaszlak Henry, dłubiąc w nosie.

– Jaką kaczką? – zdumiał się Kaczkoman.

– A co to było ta tłusta maź? – zapytał Arnold Boczny.

– To, drogi przyjacielu, było *pâté de foie gras*. Mogę się założyć, że z samej Genoi. I też wyśmienite.

– Pierdzi się od tego, nie?

– Ach, świat *haute cuisine* – westchnął Kaczkoman z zachwytem.

Często przystając i skręcając, dotarli wreszcie do tylnych drzwi swojej ulubionej restauracji. Kaczkoman popatrzył na nie z rozmarzeniem; mgła wspomnień zasnuła mu oczy.

– Kiedyś jadałem tutaj praktycznie co wieczór – powiedział.

– To czemu żeś przestał? – zainteresował się Kaszlak Henry.

– Ja... właściwie nie wiem. To wszystko... niewyraźnie pamiętam, niestety. Jeszcze z czasów, kiedy wydawało mi się, że jestem kimś innym. Ale – poklepał Artura Bocznego po głowie – jak to mówią „lepszy jest pokarm z butów, gdzie jest przyjaźń, niżeli z karmnego wołu, gdzie jest nienawiść”. Przejdź, proszę, Ron.

Ustawili Rona przed drzwiami i zapukali. Kiedy otworzył kelner, Paskudny Stary Ron uśmiechnął się do niego, demonstrując to, co zostało mu z zębów, oraz swoje słynne halitosis, wciąż całe i na miejscu.

– Tysiącletnia wskazówka i krewetki – powiedział, dotykając palcem grzywki.

– „Najlepsze świąteczne życzenia” – przetłumaczył Kaczkoman.

Kelner usiłował zatrzasknąć drzwi, ale Arnold Boczny był na to przygotowany i wcisnął but w szczelinę*.

– Pomyśleliśmy, że może chcielibyście, żebyśmy przyszli w porze obiadowej i zaśpiewali parę wesołych strzeżeniowiedźmowych piosenek dla

waszych gości – zaproponował Kaczkoman. Obok niego Kaszlak Henry rozpoczął już jeden ze swych tytanicznych ataków kaszlu, który nawet brzmiał zielono. – Bez żadnych opłat, ma się rozumieć.

– Bo mamy Strzeżenie Wiedźm – dodał Arnold.

Żebracy, mimo reputacji zbyt fatalnej, by chociaż należeć do Gildii Żebraków, radzili sobie całkiem dobrze – według własnych niskich standardów. Działo się tak dzięki starannemu stosowaniu Zasady Oznaczoności. Ludzie dawali im sporo różnych rzeczy, oznaczało to bowiem, że sobie pójdą.

Po kilku minutach oddalili się, popychając zadowolonego Arnolda otoczonego pospiesznie zapakowanymi darami.

– Ludzie są tacy mili – stwierdził Kaczkoman.

– Tysiącletnia wskazówka i krewetki.

Arnold zaczął badać jałmużnę, podczas gdy reszta sterowała jego wózkiem po topniejącym śniegu pomiędzy zaspami.

– Smakuje... jakoś znajomo – oświadczył.

– Znajomo jak co?

– Jak błoto i stare buty.

– Do licha! To przecież aliganckie żarcie!

– Tak, tak. – Arnold żuł przez chwilę. – Myślicie, żeśmy się nagle zrobili aliganccy?

– Nie wiem. Aligancki jesteś, Ron?

– Demoniszcze...

– No. Dla mnie to brzmi aligancko.

Płatki śniegu zaczęły delikatnie osiadać na rzece Ankh.

– Mimo wszystko... Szczęśliwego Nowego Roku, Arnoldzie.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Kaczkomanie. I twojej kaczce też.

– Jakiej kaczce?

– Szczęśliwego Nowego Roku, Henry.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Ron.

– Demoniszcza!

– I niech bóg błogosławi każdego z nas – dodał Arnold Boczny.

Zakryła ich zasłona padającego śniegu.

– Który bóg?

– Nie wiem. A którego byś chciał?

– Kaczkomanie...

– Tak, Henry?

– Pamiętasz tego karnego woła, coś o nim mówił?

– Tak, Henry?

– Czemu niby on był karny? Kopnął kogoś na polu czy jak?

– Hm... On był karmny. Zresztą to tylko takie powiedzenie, Henry.

– Nie prawdziwy wół?

– Nie tak zupełnie. Chodziło mi o to, że...

A potem był już tylko śnieg.

Po chwili zaczął topnieć w promieniach słońca.

* To znaczy tych, którzy zasłużyli, żeby przelewać krew. A może i nie. Z niektórymi dziećmi nigdy nic nie wiadomo.

* Ta rozmowa zawiera w sobie niemal wszystko, co należy wiedzieć o ludzkiej cywilizacji. Przynajmniej o tych jej kawałkach, które leżą teraz na dnie morza, są ogrodzone lub wciąż jeszcze dymią.

* To smutne i straszne, ale wysoko urodzeni naprawdę wierzyli, iż służba da się oszukać, jeśli karafki zostaną podpisane od prawej do lewej. W licznych momentach historii niejeden politycznie uświadomiony kamerdyner również zakładał - mając lepsze ku temu podstawy - że jego pracodawcy nie zauważą, jeśli whisky zostanie dopełniona ąnyru.

* Brzoskwinia nie należał od osób, którym zadaje się pytania - z wyjątkiem tych brzęących mniej więcej: „Je-je-je-jeśli oddam ci wszystkie pieniądze, to czy możesz nie łamać mi drugiej nogi, bardzo dziękuję?”.

* W podziemiu Ankh-Morpork - które było tak wielkie, że nadziemie unosiło się na nim na podobieństwo bardzo małej kwoki, próbującej wysiadywać pełne gniazdo strusich jaj - funkcjonował już Wielki Dave, Gruby Dave, Dave Wariat, Tyci Davey i Chudy Dai. Każdy musi znaleźć sobie jakąś niszę.

* Siata zyskał swoje przezwisko dzięki osobistemu wkładowi w teorię owej bardzo specjalistycznej formy usuwania odpadków, znanej jako „cementowe buty”. Nieszczęśliwą wadą tego procesu jest - po pewnym czasie - skłonność fragmentów klienta do oddzielania się od reszty i wypływania na powierzchnię, co wzbudza liczne komentarze wśród okolicznych mieszkańców. Pewna ilość drucianej siatki, jak zauważył, zapobiega tym niedogodnościom, nie utrudniając przy tym funkcjonowania krabom i rybom, zajęтым swoją typową działalnością recyklingową.

* Jest to podejście podobne do sugestii wysuniętej przez quirmiańskiego filozofa Ventre’a, który powiedział: „Bogowie może istnieją, a może nie. Dlaczego więc i tak w nich nie wierzyć? Jeśli to wszystko prawda, to po

śmierci trafiasz w przyjemne miejsce, a jeśli nie, to przecież nic nie tracisz”. Kiedy umarł, zbudził się w kręgu bogów trzymających solidne kije, a jeden z nich powiedział „Teraz ci pokażemy, co tu myślimy o takich mądralach...”.

* Starał się, jak mógł. Ale czern, fiolet i żółć wymiocin nie tworzyły dobrej kombinacji barw dla papierowych łańcuchów, a żadna strzeżeniowiedźmowa lalka-wróżka nie powinna być przybijana za głowę.

* Na przykład Wróżka Kluczy Mocujących do Wiertarek Elektrycznych.

* Która była - według matki Sideneya - całkiem niezłą partią, bo jej ojciec posiadał połowę sklepu z zapiekankami z węgorza na Błyskotnej, a w dodatku miała własne zęby i drewnianą nogę, której prawie nie widać, oraz siostrę imieniem Contenance - ładna dziewczyna, może by ją zaprosić na herbatkę, kiedy syn znowu się zjawi, nie dlatego że nie wyobrażała go sobie jako wielkiego maga, ale nigdy nic nie wiadomo i gdyby ta magia jakoś się nie udała, to przecież ćwierci sklepu z zapiekanyimi węgorzami nie należy lekceważyć...

* To nie znaczy, że sam chciałby robić te rzeczy. Albo chciałby, żeby jemu ktoś robił te rzeczy. Po prostu śnił o tych rzeczach w czarnej ciemności złych nocy.

* Prawdę mówiąc, raz znalazła na poddaszu kolekcję zwierzęcych czaszek, pamiątkę po którymś z wcześniejszych diuków o badawczym umyśle. Ojciec był wtedy zajęty sprawami państwowymi i zanim wszystko się wydało, zarobiła dwadzieścia siedem dolarów. Po fakcie uznała, że błędem był trzonowiec hipopotama.

Czaszki nie budziły w niej lęku nawet wtedy.

* KRW zawsze była gotowa do walki o prawa wysokich inaczej i nie przeszkadzał jej fakt, że większość skrzatów i gnomów wcale nie miała ochoty przebierać się w małe spiczaste kapelusiki z dzwoneczkami. Mieli o wiele ciekawsze zajęcia. Cała ta iskierkowa, dzwoneczkowa zabawa dobra była dla staruszków, którzy zostali w domu, w lesie. Kiedy mały człowieczek trafiał do Ankh-Morpork, wolał raczej się upić, skopać komuś kostki i

poszukać malutkich kobiet. W tej chwili KRW tyle czasu poświęcała na tłumaczenie pokrzywdzonym, czemu nie mają należnych im praw, że już nie miała kiedy o nie walczyć.

* Często żyją w skali czasowej stworzonej tak, by im odpowiadała. Wielu starszych, naturalnie, żyje w przeszłości, niektórzy jednak przypominają profesora antropii, który opracował cały system temporalny oparty na wierze, iż wszyscy inni są jedynie iluzją.

Wiele osób słyszało o silnej i słabej zasadzie antropicznej. Słaba stwierdza, ogólnie mówiąc, że to faktycznie zadziwiające, iż wszechświat skonstruowany jest w taki sposób, by ludzie mogli w nim wyewoluować do punktu, w którym mogą zarabiać na życie na przykład na uniwersytetach. Silna mówi, że przeciwnie: głównym celem wszechświata było, aby ludzie nie tylko pracowali na uniwersytetach, ale także za solidne honoraria pisali książki z takimi słowami jak „kosmiczny” i „chaos” w tytułach**.

Profesor antropii NU odkrył Specjalną i Nieuniknioną Zasadę Antropiczną, która stwierdza, że jedynym powodem istnienia wszechświata jest końcowa ewolucja profesora antropii NU. Ale jest to tylko formalne sformułowanie teorii, którą absolutnie każdy - z niewielkimi tylko odchyleniami natury „Tu wpisz swoje nazwisko” - sekretnie uważa za prawdziwą.

** I mają rację. Wszechświat najwyraźniej działa w interesie ludzkości. Można to łatwo zaobserwować choćby po tym, jak dogodnie słońce wschodzi rankiem, gdy ludzie gotowi są, by rozpocząć dzień.

* Ceremonia nadal ma miejsce, oczywiście. Gdyby człowiek zrezygnował z tradycji tylko dlatego, że nie wie, skąd się wzięły, nie byłby lepszy od cudzoziemca.

* Niewykształcony: stan umysłu, który nie wie, co to jest zaimek ani jak wyliczyć pierwiastek kwadratowy z 27,4, a posiada tylko informacje dziecinne i bezużyteczne, na przykład które z siedemdziesięciu wyglądających prawie identycznie gatunków purpurowego węża morskiego są śmiertelnie groźne, jak przyrządzać trujący miąższ drzewa sago-sago, by uzyskać pożywną zupę, jak przepowiadać pogodę z ruchów nadrzewnego kraba-złodzieja, jak nawigować przez tysiące mil po gładkim oceanie,

używając tylko kawałka sznurka i małego glinianego modelu własnego dziadka, jak uzyskać niezbędne witaminy z wątroby dzikiego lodowego niedźwiedzia oraz inne, podobnie trywialne. Dziwne, że kiedy wszyscy zdobywają wykształcenie, każdy wie o zaimku, a nikt o sago-sago.

* Łatwowierność: posiadanie poglądów na świat, wszechświat i miejsce w nim człowieka, jakie dzielają tylko ludzie prości oraz najwybitniejsi matematycy i fizycy.

* To zadziwiające - biorąc pod uwagę historię ich osiągnięć w niemal każdej innej dziedzinie - że rządy tak doskonale radzą sobie z tuszowaniem spotkań z obcymi.

Jednym z powodów może być fakt, że sami obcy są zbyt zakłopotani, by o tym opowiadać.

Nie wiadomo, dlaczego większość ras zdolnych do podróży kosmicznych jako preludium oficjalnego kontaktu podejmuje czynność grzebania w bieliźnie Ziemi. Ale reprezentanci kilkuset ras długo się kręcili - niepodejrzewani przez innych - w wiejskich regionach planety i w rezultacie regularnie porywali innym planowane ofiary porwań. Niektórzy zostali wręcz porwani, gdy przygotowywali porwanie innych obcych, usiłujących porwać jeszcze innych obcych, którzy - wskutek błędnego zrozumienia instrukcji - starali się sformować bydło w kręgi i okaleczyć zboże.

Planeta Ziemia jest obecnie zakazana dla wszystkich obcych ras, do chwili kiedy porównają notatki i ustalą, ilu - jeśli w ogóle - prawdziwych ludzi rzeczywiście zdołali porwać. Istnieje smutne podejrzenie, że tylko jednego, który jest wielki, kosmaty i ma bardzo wielkie stopy.

Gdzieś tam może i jest prawda, ale kłamstwa tkwią w naszych głowach.

* „Różanopióra kwoka wita wstający dzień”. Co prawda kwoka nie jest zwykle ptakiem kojarzonym z powitaniem dla wschodzącego słońca, ale pani Huggs, kolekcjonując dla potomności dawne piosenki ludowe, zadbała o to, by w razie konieczności przepisać je od nowa, w celu uniknięcia - jak to określiła - „urazenia nieumotywowanym grubiaństwem osób o wyrafinowanym smaku”. Ku jej zaskoczeniu, ludzie czasem nie potrafili

dostrzec nieumotywowanego grubiaństwa, dopóki nie zostało im wprost pokazane.

Czasami kurczak jest po prostu ptakiem.

* Musiał przyznać, że odpowiedź brzmiałaby „pięć z kawałkiem”, ale przynajmniej mógł jakąś podać.

* Było to ostatnie życzenie mamy Lilywhite, choć wtedy o tym nie wiedziała. Ostatnie słowa, jakie wygłosiła do synów, brzmiały: „Spróbuj się dostać do koni. Ja postaram się ich zatrzymać na schodach, a gdyby coś mi się przytrafiło, zaopiekuj się głuptasem”.

* Na ogół dowiadują się o tym dość wcześnie, by oddać do prania swoją najlepszą szatę, dokonać poważnych zniszczeń w piwniczce z winem i zjeść naprawdę solidny ostatni posiłek. To coś jak cela śmierci, z dodatkową premią braku prawników.

* Właściwie był to istotnie przyjemny męski zapach. Ale tylko dla łasiczych samic.

* Która skołała we śnie. Z przyczyn naturalnych. W zaawansowanym wieku. Po długim i szczęśliwym życiu, o ile owce mogą być szczęśliwe. I byłaby prawdopodobnie bardzo zadowolona, wiedząc, że po śmierci może komuś pomóc.

* Arnold nie miał nóg, ale - ponieważ często zdarzały się na ulicach sytuacje, gdy but naprawdę mógł się przydać - Kaszlak Henry umocował mu jeden do kija. Arnold posługiwał się nim ze śmiertelną skutecznością; wielu opryszków, których sytuacja przycisnęła tak bardzo, że próbowali okradać żebraków, często ze zdumieniem zarabiała kopniaka w głowę od człowieka mającego trzy stopy wzrostu.